

1021
756

NA POLU CHWAŁY.

HENRYK SIENKIEWICZ

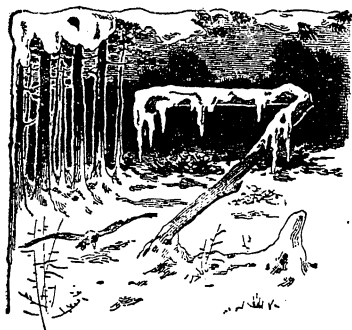
NA POLU CHWAŁY

POWIEŚĆ HISTORYCZNA
Z CZASÓW KRÓLA JANA SOBIESKIEGO.



WARSZAWA.

NAKLAD I DRUK TOW. AKC. S. ORGELBRANDA SYNÓW.
SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI E. WENDE I S-KA.



ima z roku 1682 na 1683 była tak mroźna, że nawet bardzo starzy ludzie nie pamiętali podobnej. Jesienią padały długie deszcze, a w połowie listopada przyszedł pierwszy mróz, który spętał wody i powłókł drzewa jakby szklaną skorupą. W borach złódź osiadła na sosnach i poczęła łamać gałęzie. W pierwszych dniach grudnia ptastwo po ponownych mrozach jęło się zlatywać do wsi i miasteczek a nawet leśny zwierz wychylał się z gęstwiny i zbliżał do mieszkań ludzkich. Jednakże koło św. Damazego niebo zaciągnęło się chmurami a następnie śnieg walił przez dziesięć dni nieustannie. Pokrył krainę na parę łokci grubo, pozasypywał drogi leśne i opłotki a nawet okna w chałupach.

Ludzie rozgarniali łopatami zaspy, aby z domu dostać się do stajen i obór, a gdy wreszcie śnieg ustał, chwycił znów trzaskający mróz, od którego drzewa strzelały w lesie jak rusznice.

Wówczas to chłopci, skoro im wypadło jechać do puszczy po drzewo, jeździli dla bezpieczeństwa nicinaczej jak gromadnie, a i to bacząc, by noc ich nie zaskoczyła zdala ode wsi. Po zachodzie słońca żaden nie śmiał wyjść na własne podwórze bez wideł lub siekiery, a psy poszczekiwały do rana krótkim i przerażeniem szczekaniem, jak zwykle na wilki.

Jednakże w taką to noc i w mróz okrutny sunął puszczańskim gościńcem wielki brożek na saniach, zaprzężony w cztery konie i otoczony ludźmi. Przed końmi jechał na krępej szkapie czeladnik z kafarkiem, to jest z żelaznym koszykiem, osadzonym na długiej tyczce, w którym płonęło smolne łączywo — nie dla rozświecenia drogi, bo widno było od księżyca, — ale dla straszenia wilków. Na koźle siedział woźnica, na siodłowym koniu foryś, a po bokach karocy cłapało na podjezdkach dwóch pacholków, zbrojnych w garłacze i kiścienie.

Cały ten orszak posuwał się bardzo wolno z powodu mało przetartej drogi i zasp śnieżnych, które gdzieniegdzie, zwłaszcza na zakrętach, wznosiły się naksztalt wałów w poprzek drogi.

Powolność ta niecierpliwiła a zarazem niepokoila pana Gedeona Pągowskiego, który, dafając w liezbę i dobre uzbrojenie czeladzi, postanowił był puścić się w drogę, chociaż w Radomiu ostrzegano go o niebezpieczeństwie, a to tem bardziej, że do Bełżączki trzeba było jechać przez puszcę Kozieniecką.

Ogromne te bory rozpoczynały się w owych czasach znacznie jeszcze przed Jedlnią, a szły daleko aż

za Kozienice do Wisły, w stronę leżącą na tamtym brzegu Stężycy, a na północ aż do Ryczywoła.

Zdawało się panu Gedeonowi, że wyjechawszy przed południem z Radomia, stanie jak nie na zachód słońca w domu. Tymczasem w kilku miejscach trzeba było rozkopywać drogę w opłotkach, na czym schodziło po kilka godzin, tak, że Jedlnię przejechali już o zorzy wieczornej. Tam ostrzegano ich jeszcze raz, że lepiej zostać na nocleg, ale że u kowala znalazło się łuczywo, którem można było sobie świecić w drodze, kazał pan Pągowski ruszać dalej.

I oto noc zaskoczyła ich w puszczy.

Trudno było jechać prędzej z przyczyny zasp coraz większych, więc pan Gedeon niepokoił się coraz bardziej, a wreszcie począł kląć, ale po łacinie, aby nie przstraszać swej krewnej, pani Winnickiej, i swej przybranej córki, panny Sienińskiej, które jechały z nim razem.

Panna Sienińska była młoda, niefrasobliwa, więc niebardzo się bała. Owszem, odsunąwszy skórzaną firankę w oknie karocy i rozkazawszy jadącemu wpobok pachołkowi, by nie przesłaniał widoku, wesoło patrzyła na zasy i na pnie sosen, pokrytych długimi rzutami śniegu, po których pełgały czerwone blaski łuczywa, czyniąc wraz z zielonym światłem księżycy miłą dla oczu igraszkę. Wyciągnąwszy następnie usta nakształt dzióbka, poczęła chuchać i bawiło ją to, że oddech jej był widzialny i od ognia różowszy.

Lecz bojaźliwa i wiekowa pani Winnicka poczęła biadać:

— Dlaczego było wyjeżdżać z Radomia, albo przynajmniej nie zanocewać w Jedlni, gdzie ostrzegano ich o niebezpieczeństwie? Wszystko przez czyjś upór. Do Bełczączki jeszcze kawał drogi i samym borem, więc

wiley zastąpią im niezawodnie, chybaży Archanioł Rafał, patron podróżnych, zmiłował się nad zbłąkanymi, czego na nieszczęście nie są wcale godni.

Słyszając to pan Pągowski zniecierpliwił się do ostatka. Tego tylko brakło, by o zbłąkaniu gadać.

Gościniec przecie jak strzeżił, a co do wilków, zastąpią, albo nie zastąpią. Pachółków jest kilku dobrych, a przytem wilk nierad zastępuje żołnierzowi — i nietylko dlatego, że się go boi więcej od pospolitego człeka, ale i jakowegoś afektu, i jako bestya, mająca bystry dowcip.

Rozumie wilk dobrze, że ni mieszczanin, ni chłop nie mu darmo nie dadzą i tylko żołnierz nieraz godnie go pożywi, albowiem wojnę nie napróżno ludzie wilczem żniwem nazywają.

Jednakże pan Pągowski, mówiąc tak, a zarazem schlebiając potrochu wilkom, niezapełnie był ich afektów pewny; zamyślił się więc, czyby nie kazać jednemu z czeladników zleźć z konia i usiąść koło panienki. W takim razie on sam broniłby jednych drzwiczek karocy, a pachół drugich, nie mówiąc o tem, że pozostawiony koń pomknąłby prawdopodobnie w tył lub naprzód i mógłby pociągnąć za sobą wilki.

Ale zdawało się panu Gedeonowi, że na to jeszcze czas.

Tymczasem położył na przednim siedzeniu koło panny Sienińskiej parę krucic i nóż, które chciał mieć napodorędzia, albowiem nie mając lewej ręki, mógł się postugiwać tylko prawą.

Przejechali wszelako spokojnie kilka stajań.

Gościniec począł się rozszerzać.

Pągowski, który znał tę drogę doskonale, odetchnął jakby z poczuciem ulgi i rzekł:

— Niedaleko Malikowa polana.

Spodziewał się bowiem, że na otwartem miejscu bądź co bądź bezpieczniej jest niż w borze.

Ale właśnie w tej chwili pachołek, jadący na przędzie z kafarkiem, zawrócił nagle konia, poskoczył ku karocy i począł mówić coś szybko do woźnicy i do czeladników, którzy odpowiadali mu urywanemi słowy, jak się mówi w chwilach, w których niema czasu do stracenia.

— Co tam? — zapytał pan Pagowski.

— Cości słyhać, panie, od polany.

— Wilki?

— Jakowyś hałas. Bóg wie co!

Pan Pagowski już miał dać rozkaz aby czeladnik jadący z kafarkiem skoczył naprzód i zobaczył, co się dzieje; ale pomyślał, że w takich razach lepiej nie zostawać bez ognia i trzymać się kupy, a dalej, że na widnej polanie obrona łatwiejsza, niż wśród boru, więc kazał jechać dalej.

Po chwili jednak pachołek znów pojawił się przy oknie karocy.

— Dziki, panie — rzekł.

— Dziki?

— Słyhać okrutne rechtanie, na prawo od drogi.

— To chwiała Bogu!

— Ale je może wiley napadli.

— To też chwiała Bogu. Przejedziemy mimo bez zaczepki. Ruszać!

Jakoż przypuszczenie czeladnika okazało się słuszne.

Wyjechawszy na polanę, ujrzeli na jakie dwa lub trzy strzelenia z łuku przed sobą na prawo od drogi zbitą kupę dzików, którą otaczał ruchliwy wieniec wilków. Straszliwe rechtanie, w którym nie było trwogi ale wściekłość, rozlegało się coraz potężniej. Gdy karoca posunęła się ku środkowi polany, pachołkowie,

poglądając z koni, dostrzegli, że wilki nie śmiały jeszcze rzucić się na stado, naciskały je tylko coraz mocniej.

Dziki ustawiły się w okrągłą kupę, jarczaki w środku, tęgie sztuki na obwodzie, tworząc jakby ruchomą fortecę, groźną, połyskującą białymi kłami, nieprzełamana i nieustraszona.

To też między wieńcem wilków a ową ścianą kłów i ryjów widać było białe, śnieżne kolisko, oświecone, jak i cała polana, jasnym światłem księżyca.

Niektóre tylko wilki doskakiwały do stada, ale wnet cofały się jakby przerażone kłapaniem szabel i jeszcze groźniejszymi wybuchami rechtań.

Gdyby wilki były się już związały ze stadem, walka pochłonięłaby je całkowicie i karoca mogła przejechać wówczas niezaczepona; skoro jednak się to nie stało, była obawa, że porzucą niebezpieczny atak, aby popróbować innego.

Jakoż po chwili niektóre poczęły odrywać się od gromady i biedz ku karocy. Za nimi poszły inne. Ale widok zbrojnych ludzi stropił je.

Jedne poczęły się zbierać za orszakiem, inne osadzały się na kilkanaście kroków lub też obiegały naokoło w szalonym pędzie, jakby chcąc się przez to podniecić.

Pachołkowie chcieli strzelać, lecz pan Pałowski zabronił, w obawie, aby strzały nie ściągnęły całej gromady.

Tymczasem konie, lubo zwyczajne wilków, poczęły wspierać się bokami i wykręcać w bok głowy z głośnym chrapaniem, a po chwili zaszedł gorszy wypadek, który stokrotnie powiększył niebezpieczeństwo.

Oto młody podjezdek, na którym siedział pachołek z kafarkiem, wspiął się nagle raz i drugi, a potem rzucił w bok.

Czeladnik, rozumiejąc, że gdyby spadł, zostanie natychmiast rozszarpany, chwycił się łąku, ale jednocześnie upuścił tyczkę z kafarkiem, który pograżył się głęboko w śnieg.

Łuczywo zaiskrzyło się, poczem zgasło i tylko światło księżycza zalewało teraz polanę.

Woźnica, rodem Rusin z pod pomorzańskiego zamku, począł się modlić, pacholey-mazurowie — kląć.

Ośmielone ciemnością wilki nacierały zuchwalej, a od strony walki z dzikami nadbiegały inne. Niektóre przypadały dość blisko, kłapiąc zębami, ze zjeżoną szeszecią na karkach. Ślepia ich połyskiwały krwawo i zielono.

Nastała chwila poprostu straszna.

— Strzelać, panie? — zapytał jeden z pachółków.

— Krzykiem straszyc — odrzekł pan Pągowski.

Rozległo się wnet przeraźliwe: „a ha! a ha!“ Koniom przybyło serca, a wilki, na których głos ludzki robi wrażenie, cofnęły się o kilkanaście kroków.

Ale stała się rzecz jeszcze dziwniejsza.

Oto nagle echa leśne powtórzyły za karocą krzyk czeladzi, lecz z większą mocą, potężniej; rozległy się przytem jakby wybuchy dzikiego śmiechu, a w chwilę później gromada konnych zaczerśniała po obu stronach brozka i skoczyła całym pędem koni ku stadu dzików i otaczającym je wilkom.

W mgnieniu oka i jedne, i drugie, nie dotrzymawszy pola, rozproszyły się po polanie, jakby je wicher rozegnał. Rozległy się strzały, krzyki i znów owe dziwne wybuchy śmiechu. Pachółkowie pana Pągowskiego skoczyli także za jeźdźcami, tak że przy karocy został tylko woźnica i pachółek, siedzący na lejcowym koniu.

W karocy zapanowało tak wielkie zdumienie, że przez pewien czas nikt nie śmiał ust otworzyć.

— A słowo stało się ciałem! — zawołała wreszcie pani Winnicka — z nieba to chyba pomoc.

— Niech się święci, skądkolwiek jest — odrzekł pan Pałowski. — Żle już było z nami.

Panna Sienińska zaś, chcąc także wtrącić słówko, dodała:

— Bóg zesłał tych młodych rycerzy!

Z czego panna Sienińska mogła pomiarkować, że to byli rycerze, a do tego jeszcze młodzi — trudno było odgadnąć, gdy jeźdźcy przesunęli się jak wichry koło sani; ale nikt jej o to nie zapytał, bo oboje starsi zbyt byli przejęci tem, co zaszło.

Tymczasem na polanie brzmiały jeszcze przez kilka pacierzy odgłosy pościgu, a niezbyt daleko od karocy jeden wilk, mając widocznie złamany grzbiet od uderzenia kiścienia, siedział na zadzie i wył z bólu tak strasznym głosem, że aż mrowie przechodziło po skórze.

Foryś zeskoczył na ziemię i poszedł go dobić, bo konie poczęły się rzucać tak, że aż dyszel chrupnął.

Ale po pewnym czasie oddział jezdnych zaczął znów na śnieżnej równinie.

Szli kąpą bezładną we mgle, bo, choć noc była jasna i przejrzysta, zmachane konie dymiły na mrozie jak kominy.

Jeźdźcy zbliżali się ze śmiechem i śpiewaniem, a gdy byli już blisko, jeden z nich poskoczył ku brożkowi i zapytał dźwięcznym, wesołym głosem:

— Kto jedzie?

— Pałowski z Bełżączki. Komu ratunek zawdzięczam?

— Cypryanowicz z Jedlinki!

— Bukojemscy!

— Dzięki waszmościom. W porę was Bóg zesłał. Dziękii!

— Dzięki! — powtórzył młody, niewieści głos.

— Chwalić Boga, że w porę! — odrzekł Cypryanowicz, uchylając futrzanej czapki.

— Skądęście się waszmościowie o nas dowiedzieli?

— Nie mówił nam nikt, jeno że wilki zbiły się w kupy, wyjechaliśmy ludzi ratować, między którymi, że tak znamienita persona się znalazła, tem większa nasza radość i przed Bogiem zastąga, — rzekł grzecznie Cypryanowicz.

A jeden z panów Bakojemskich dodał:

— Nie licząc skór.

— Prawdziwie kawalerska to robota — odpowiedział pan Gedeon — i piękny uczynek, za który, daj Bóg, jaknajprędzej się wywdzięczyć. Myślę też, że i wilkom odeszła ochota na ludzkie mięso i że przezpiecznie dojedziemy do domu.

— Niecałkiem to pewne. Zwabią się znów wilcy niebawem i mogliby powtórnie zastąpić.

— To i niema rady. Nie damy się!

— Jest rada, a mianowicie ta, abyśmy waszmości do samego domu odprowadzili. Zdarzy się też może uratować jeszcze kogo na gościńcu.

— Nie śmiałem o to prosić, ale skoro łaska waszmościów, to niechże już tak będzie, bo i moje niewiasty będą się mniej bały.

— Ja się i tak nie boję, alem z całej duszy wdzięczna! — ozwała się panna Sienińska.

Pan Pągowski dał rozkaz i ruszono. Ale ledwie przejechali kilkanaście kroków, nadłamany dyszel pękł do reszty i karoca stanęła.

Nastała nowa mitręga.

Pachołkowie mieli wprowadzić powrozy i poczęli zaraz naprawiać połamane części, ale niewiadomo było,

czy taka dorywcza robota nie popsuje się znowu po ujechaniu kilku staj.

Więc młody Cypryanowicz zastanowił się nieco, poczem, uchyliwszy znów kołpaka, rzekł:

— Do Jedlinki przez pół bliżej niż do Bełczączi. Uczyniże wasza mość naszemu domowi tę łaskę i za- jedź na nocleg do nas. Nie wiem, coby nas w głębi boru spotkać mogło — i czy nie okazałoby się, że jeszcze nas za mało przeciw tym wszystkim bestyom, które się z całej puszczy na gościniec pewnikiem zbiegną. Karość jakoś zaciągniem, a im bliżej, tem łatwiej. Po prawdzie, zaszczyt będzie nad zastugę, ale że to prawie *da a necessitas*, więc zbytnio w pychę nie urośniem.

Pan Pałowski nie odpowiedział odrazu na te słowa, albowiem począł w nich wymówkę.

Przypomniał sobie, że, gdy stary Cypryanowicz przyjechał przed dwoma laty pokłonić mu się w Bełczącze, przyjął go wprawdzie grzecznie, ale z pewną dumą — i wzajem w odwiedziny do niego wcale nie pojechał, a to z tego powodu, że to był „*homo novus*“ — z rodu uszlachconego dopiero w drugim pokoleniu — i z pochodzenia ormianin, którego dziad jeszcze kapeżył bławatami w Kamieńcu.

Syn tego bławatnika, Jakób, służył już pod wielkim Chodkiewiczem w artyleryi i pod Chocimem tak znaczne oddał usługi, że za protekcyą Stanisława Lubomirskiego otrzymał szlachectwo i królewszczyznę Jedlinkę w dożywocie. Dożywocie owo zmieniono następnie w zastaw jego następcy, Serafinowi, za pożyczkę, udzieloną po inkwizycyi szwedzkiej skarbowi Rze- czypospolitej.

Młodzian, który przybył z tak skuteczną pomocą podróżnym, był właśnie synem Serafina.

Poczuł więc pan Pagowski wymówkę tem łatwiej, że słowa „zbytńio w pychę nie urosniem“ wypowiedział młody Cypryanowicz nieco hardo i z umyślnym naciskiem.

Ale właśnie ta kawalerska fantazyja podobała się staremu szlachcicowi, a że trudno mu było odmówić swemu zbawcy i że do Bełzączki droga była istotnie długa i niebezpieczna, więc, nie wahając się już dłużej, rzekł:

— Bez waścinej pomocy wiley by się teraz może o nasze kości gryźli — niechże choć dobrą wolą odpłacę... Jedźmy!

Cypryanowicz kazał wiązać karocę.

Dyszel złamany był, jakby kto toporem obieiał, więc poprzywiązywano powrozy jednym końcem do płozów, drugim do kulbak — i ruszono rażno w dążej a wesołej kupie, przy okrzykach jeźdźców i śpiewach panów Bakojemskich.

Do Jedlinki, która była więcej osadą leśną niż wsią, nie było zbyt daleko. Wkrótce więc otworzyła się przed podróżnymi obszerna, kilkadziesiąt stajañ licząca, polana, a raczej przestronne, zamknięte z czterech stron borem, pole, a na niem kilkanaście domostw, których dachy, pokryte śniegiem, błyszcząły i iskrzyły się w świetle księżycyca.

Nieco dalej za chłopskimi chatami widać było zabudowania folwarczne, kręgiem wokół dziedzińca stojące — a w głębi dwór, bardzo niekształtny, bo przerobiony przez Cypryanowiczów z dworku, w którym niegdyś mieszkali leśnicy królewscy, ale obszerny, a nawet zbyt obszerny, jak na tak małą osadę.

Z okien jego było jasne światło, różowiąc śniegi przed przyźbą, krzewy, rosące przed domem, i źorawie studzienne, sterzące po prawej stronie obejścia.

Widać stary Cypryanowicz oczekiwał syna, a może i gości z gościńca, którzy wraz z nim przybyć mogli, zaledwie bowiem karoca dotarła do bramy, na ganek wybiegło kilku pacholków z pochodniami, a za służbą i sam gospodarz w kunim tołabie i łasiczym kołpaka, który zdjął zaraz na widok karocy.

— Jakich-że to miłych gości Bóg nam zesłał na nasze leśne pustkowie? — zapytał, zstępując ze schodów ganka.

Młody Cypryanowicz, ucałowawszy rękę ojca, oznajmił kogo przywiózł, a pan Pałowski, wysiadłszy z karocy, rzekł:

— Dawno chciałem to uczynić, do czego mnie ciężki termin dziś przymusił, więc tem bardziej błogosławię tej niewoli, która tak exqusita się z wolą moją zgodziła.

— Różne wydarzają się ludziom przygody, ale dla mnie szczęśliwa to przygoda, zaczem z radością proszę do komnat.

To powiedziawszy, pan Serafin skłonił się znów — i podał ramię pani Winnickiej, za którą reszta gromady weszła do domu.

Zaraz na wstępie ogarnęło gości to uczucie zadowolenia, jakie ogarnia zawsze podróżnych, którzy z ciemności i mrozu wchodzą do ciepłych i widnych komnat. Jakoż i w sieni, i w innych pokojach bazował się w przestronnych kafłowych kominach ogień, a prócz tego służba poczęła zapalać tu i owdzie jarzące świece.

Pan Pałowski rozglądał się naokół z pewnem zdziwieniem, albowiem zwykłym dworom szlacheckim daleko było do dostatku, który bił w oczy w domu Cypryanowiczów.

Przy blasku ognia i świec widać było we wszystkich pokojach sprzęty, jakich nie znalazłbyś nawet

i w niejednym zameczku: skrzynie i krzesła włoskie z rzeźbionego drzewa, tu i owdzie zegar i szkło weneckie, świeczniki odlane z zacnego mosiądzu, broń wshednią, sadzoną turkusami, a porozwieszaną na dzianych niemi makatach. Na podłogach miękkie krymskie kilimy, a na dwóch dłużnych ścianach dwa obrazy, które by u każdego magnata mogły stanowić ozdobę komnaty.

— Z kupiectwa im to przyszło — pomyślał z pewnym gniewem pan Pągowski — a teraz mogą się nad szlachtę wynosić i puszyć bogactwy, zdobytemi nie orężem.

Lecz uprzejmość i szczerą gościnność Cypryanowiczów rozbroiły starego szlachcica, a gdy w chwilę potem usłyszał brzęk naczyń w przyległej stołowni, udobruchał się zupełnie.

Aby rozgrzać przybyłych z mrozu gości, podano tymczasem gorące wino z korzeniem. Rozpoczęła się rozmowa o minionem niebezpieczeństwie. Pan Pągowski chwalił bardzo młodego Cypryanowicza, że zamiast w ciepłej izbie siedzieć, ratował ludzi na gościńcach, nie bacząc na okrutne mrozy, na trud i niebezpieczeństwo.

— Zaprawdę — mówił — tak dawniej czynili owi sławni rycerze, którzy, jeżdżąc po świecie, bronili ludzi od smoków, od jędzonów i różnych innych bestyj.

— Jeśli zaś udało się któremu wybawić jaką cudną królewnę — odrzekł młody Cypryanowicz — to taki był szczęśliwy, jako my jesteśmy w tej chwili.

— Prawda! Żaden cudniejszej nie wybawił! Jak mi Bóg miły! Sprawiedliwie mówi! — zawołali z zapamiętaniem czterej bracia Bukojemscy.

A panna Sienińska uśmiechnęła się mile, tak, że na policzkach utworzyły się jej dwa wdzięczne dołeczki — i spuściła oczy.

Lecz panu Pałowskiemu komplement wydał się trochę za poufały, albowiem panna Sienińska, lubo sierota bez majątku, pochodziła jednak z magnackiego rodu—więc odwrócił rozmowę i zapytał:

— I dawno tak waćpanowie jeździecie po gościńcach?

— Od czasu wielkich śniegów, a będziem jeździli, póki mrozy nie popuszczą — odpowiedział młody Stanisław Cypryanowicz.

— I siła-żeście wilków już nabili?

— Starczy dla wszystkich na wilezary.

Tu panowie Bakojemscy poczęli się śmiać tak rozgłośnie, jakby cztery konie rżały, a gdy się nieco uspokoiłi, najstarszy, Jan, rzekł:

— Będzie król Jegomość rad ze swoich leśników.

— Prawda — odpowiedział pan Pałowski. — A slyszałem, że waćpanowie jesteście nadleśnymi w tatejszej królewskiej puszczy. Ale przecie Bakojemscy pochodzą z Ukrainy?

— My z tych samych.

— Proszę... proszę... dobry ród, Jeło-Bakojemscy... Są tam koligacye nawet z wielkimi domami...

— I z świętym Piotrem! — zawołał Łukasz Bakojemski.

— He? — spytał pan Pałowski.

I począł spoglądać surowo a podejrzliwie na braci, jakby chcąc zbadać, czy nie pozwalają sobie z niego drwić. Lecz oni mieli oblicza pogodne i z głębokiem przekonaniem kiwali głowami, przyswiadczając w ten sposób słowom brata. Więc zdumiał się wiece pan Pałowski i powtórzył:

— Krewni świętego Piotra? A to quo modo?

— Przez Przegonowskich!

— Proszę! A zaś Przegonowscy?

— Przez Uświatów!

— A Uświatowie znowu tam przez kogoś — odrzekł już z uśmiechem stary szlachcic — i tak dalej, aż do Pana Chrystasowego narodzenia... Tak!... Dobrze i w ziemskim senacie mieć krewnych, a cóż dopiero w niebieskim... Tem pewniejsza promocya... Ale jakim-że sposobem zawędrowaliście waćpanowie z Ukrainy, aż do naszej puszczy Kozienickiej, bo jako słyshałem, to już od kilku lat tu jesteście?

— Od trzech. Ukrainne majątności rebelia dawno już z ziemią zrównała, a potem i granica się tam zmieniła. Nie chcieliśmy w czambułach poganom służyć, więc naprzód służyliśmy wojskowo, potem chodziliśmy dzierżawami, aż wreszcie krewny nasz, pan Małczyński, nadleśniczymi nas tu uczynił.

— Tak — rzekł stary Cypryanowicz. — Aż mi dziwno, żeśmy się tak w tej puszczy obok siebie znaleźli, bo pono wszyscy jesteście nie tutejsi, jeno nas zmienność ludzkich losów tu przyniosła. Dziedzictwo waszmości pana (tu zwrócił się do Pągowskiego) też, jako mi wiadomo na Rusi, wedle pomorzańskiego zamka, leży.

Drgnął na to pan Pągowski, jakoby go kto w niezaschłą ranę uraził.

— Miałem i mam tam majątność — rzekł — ale mi obrzydły tamte strony, bo tam jeno nieszczęścia we mnie, jako pioruny, biły.

— Wola Boska — odrzekł Cypryanowicz.

— Pewnie, że próżno w grodzie przeciw niej protestować, ale też i żyć ciężko...

— Waszmość, jak wiadomo, dłuższy czas wojskowo służywałeś.

— Pókim ręki nie stracił. Mściłem się krzywd ojczyzny i własnych. A jeśli Pan Jezus odpuści mi

jeden grzech za każdą pogańską głowę, to żywić nadzieję, że piekła może nie zobaczyć.

— Pewnie, pewnie! I służba za sługa, i boleść za sługa. Najlepiej smutnych myśli poniechać.

— Jabył rad ich poniechał, jeno one nie chcą mnie poniechać. Ale dość o tem. Ostawszy kaleką, a zarazem i opiekunem tej oto panny, przeniosłem się na starość do spokojniejszego kraju, do którego czambuły nie dochodzą i siedzę, jak waszmość widzisz, w Bełczącze.

— Słusznie, i ja tak samo — rzekł stary Cypryanowicz. — Młodzi, chociaż tam teraz spokojnie, rwą się w nadziei przygód na szlaki, ale przecie okropne i żałobne to strony, w których każdy czego opłakuje.

Pan Pałowski przyłożył rękę do czoła i trzymał ją tak przez dłuższą chwilę, poczem ozwał się smutnym głosem:

— Naprawdę to w tamtych stronach może się ostać tylko chłop albo magnat. Chłop dlatego, że gdy przyjdzie nawała pogańska — to umknie w lasy i potrafi tam żyć jako dziki zwierz przez całe miesiące, a magnat, bo ma warowne zamki i własne chorągwie, które go bronią... A i to jeszcze!... Byli Żółkiewscy i wyginęli, byli Daniłowicze i wyginęli. Z Sobieskich zginął brat miłościwie nam dziś panującego króla Jana... A iluż innych!... Jeden z Wiśniowieckich wił się na haku w Stambule... Korecki drągami żelaznymi zabit... Zginęli Kalinowscy, a przedtem płacili daninę krwi Herbertowie i Jazłowiecy. Poległo też w różnych czasach kilka Sienińskich, którzy drzewiej całą prawie tamtejszą krainą władali... Co za cmentarz! Do ranabył nie skończył, chcąc wszystkich wymieniĆ... A gdyby nietylko magnatów, ale i szlachtę cytować, toby i miesiąca nie było dosyć.

— Prawda! prawda! Ale też i to człeka aż dziwno, jak Pan Bóg to plugastwo tatarskie i tureckie rozmnożył. Bo przecie i ich tyłu tam nabito, że gdy chłop wiosną orze, to mu co krok czerepy pogańskie pod sochą zgrzytają... Miły Boże! ilu ich tam wygniótł choćby dzisiejszy nasz Pan... Na dobrą rzekę krwi by tej starezyło, a oni leżą i leżą!

Była to prawda.

Rzeczpospolita, trawiona nierządem i swawolą, nie mogła zdobyć się na potężne armie, które by zdołały w jednej wielkiej wojnie skończyć raz na zawsze z turecko-tatarską nawałą.

Zresztą na taką armię nie mogła zdobyć się cała Europa.

Ale natomiast tę Rzeczpospolitą zamieszkiwał lud zuchwały, który bynajmniej nie poddawał dobrowolnie gardła pod nóż wschodnich najeźdźców. Owszem, na owo straszne, zjeżone mogiłami i zbroczone krwią pogranicze, więc: na Podole, na Ukrainę i Ruś czerwoną, napływały coraz nowe fale polskich osadników, których nietylko nęciła urodzajna ziemia, ale właśnie żądza ustawicznej wojny, bitew i przygód.

„Polacy — pisał stary kronikarz — idą na Ruś dla harców z Tatary*).

Płynęli więc chłopci z Mazowsza, płynęła bitna szlachta, której wstyd było „w łożu zwykłą śmiercią umierać“, wyrastali wreszcie na tych czerwonych ziemiach potężni magnaci, którzy, nie poprzestając na odporze w domu, szli nieraz aż hen — do Krymu lub na Wołoszczyznę, szukać tam władzy, zwycięstw, śmierci, zbawienia i chwały.

*) Kromer.

Mówiono nawet, iż nie chcą Polacy jednej wielkiej wojny, aby jej ciągle zażywać. Ale chociaż nie była to prawda, niemniej jednak miła była hardemu plemieniu ciągła zawierucha — i najeźdnik krwawo płacił czasem za swą zuchwałość.

Ani ziemie dobruckie, ani białogrodzkie, ani zwłaszcza bezpłodne komysze krymskie nie mogły wyżywić swych dzikich mieszkańców, więc głód gnał ich na bujne pogranicze, gdzie czekał ich łup obfity, ale równie często śmierć.

Łuny pożarów oświecały tam nieznane w dziejach pogromy. Pojedyncze pułki roznosiły w puch i proch na szablach i kopytach dziesięćkroć liczniejsze czambuły. Tylko niezmierna szybkość obrotów ratowała najeźdników, w ogóle bowiem każdy czambuł, dognany przez regularne wojska Rzeczypospolitej, był tem samem zgubiony bez ratunku.

Bywały wyprawy, zwłaszcza mniejsze, z których nie wracał do Krymu nikt. Straszne swego czasu były Tatarom i Turkom imiona Pretwica i Chmieleckiego. Z mniejszych rycerzy krwawo zapisali się w ich pamięci: Wołodajowski, Pełka i starszy Ruszczyc, którzy od kilkunastu lub kilku już lat spoczywali w mogiłach i w sławie. Lecz nawet i z wielkich żaden nie wytoczył tyle krwi z wyznawców Islamu, ile ówczesny król Jan III Sobieski.

Pod Podhajcami, Kałuszem, Chocimem i Lwowem leżały dotychczas niepogrzebione stosy kości pogańskich, od których rozległe pola bielily się jak pod śniegiem.

Aż wreszcie postrach padł na wszystkie ordy.

Odetchnęło wówczas pogranicze, a gdy i nienasycona potęga turecka łatwiejszych poczęła szukać podbojów, odetchnęła i cała skołatana Rzeczpospolita.

Zostały tylko bolesne wspomnienia.

Daleko od teraźniejszej siedziby Cypryanowiczów, w sąsiedztwie pomorzańskiego zamku, stał na wzgórzu wysoki krzyż z dwiema włóczniami, który wznosił przed dwadziestu kilku laty pan Pągowski, na miejscu spalonego dworu — więc ilekroć pomyślał o tym krzyżu i tych wszystkich drogich sereu głowach, które na tamtem miejscu utracił, skowyczało w nim jeszcze teraz z bólu stare serce.

Ale że to był człowiek twardy dla samego siebie i dla innych i że się przed obcymi też wstydził — i taniej litości nie znosił, więc nle chciał dłużej mówić o swoich nieszczęściach — i począł wypytywać gospodarza, jak mu się też żyje na leśnej dziedzinie.

A ów rzekł:

— Ot cisza, cisza! Gdy bór nie szumi i wilec nie wyją, to ledwie że nie słyszysz, jak śnieg pada. Jest spokój, jest ogień na kominie i dzbaniec grzanego wina wieczorem — starości więcej nie trzeba.

— Pewnie. Ale synowi?

— Młody ptak prędzej, później z gniazda wyleci. A szumią nam tu jakoś drzewa o wielkiej wojnie z pogany!

— Na tę wojnę i siwe sokoły wylecą. Poleciałbym z innymi i ja, gdyby nie to, oti...

Tu pan Pągowski potrząsnął pustym rękawem, w którym tylko kawałek ramienia przy karku pozostał.

A Cypryanowicz nalał mu wina:

— Za pomyślność chrześcijańskiego oręża!

— Daj-że Boże! Do dna.

Tymczasem młody Cypryanowicz częstował z równie dymiącego dzbana panią Winnicką, pannę Sienińską i czterech braci Bakojemskich. Panie ledwie że dotykały ustami brzegów szklanic, natomiast panowie Bu-

kojemscy nie dali się prosić, skutkiem czego świat wy-
dawał się im coraz weselszy, a panna Sienińska coraz
ładniejsza. Więc nie mogąc znaleźć odpowiednich słów
na wyrażenie swego zachwytu, poczęli spoglądać na nią
ze zdumieniem, sapać i trzącać się łokciami.

— Nakoniec najstarszy, Jan, rzekł!

— Nie dziwować się wilkom, że chciały kosteczek
i mięsa waćpanny popróbować, boć nawet i dzika bestya
wie, co prawdziwy specyał!...

A trzej inni: Mateusz, Marek i Łukasz, naż bić
się dłońmi po udach:

— Utrafił! w sedno utrafił!

— Specyał! nie innego!

— Marcepan!

Słyszając to panna Sienińska złożyła ręce i udając
przestрах, rzekła do młodego Cypryanowicza:

— Ratuj-że waćpan, bo widzę, że ichmościowie
dlatego jeno mnie od wilków ratowali, aby mnie sami
zjedli.

— Mościa panno — odpowiedział wesoło Cyprya-
nowicz — pan Jan Bukojemski mówił: nie dziwować się
wilkom! a ja rzeknę: nie dziwować się panom Buko-
jemskim.

— To już zacząć chyba mówić: „Kto się w opiekę...“

— Jeno nie żartuj z rzeczy świętych! — zawołała
pani Winnicka.

— Hej! gotowi ci kawalerowie i ciotachnę razem
ze mną zjeść. Nieprawda?

Ale pytanie to pozostało przez chwilę bez odpo-
wiedzi. Owszem, łatwo było z twarzy panów Bukojem-
skich wyczytać, że znacznie mniejszą mają do tego
ochotę. Jednakże Łukasz, który miał dowcip od braci
bystrzejszy, rzekł:

— Niech Jan mówi; on starszy brat.

A Jan zakłopotał się nieco i odrzekł:

— Kto tam wie, co go jutro spotka!

— Roztropna to uwaga, — zauważył Cypryanowicz — ale do czego ją waćpan stosujesz?

— Bo co?

— Bo nie: jeno pytam, czemu to o jutrze wspominasz?

— A to wać nie wiesz, że afekt gorszy od wilka, gdyż wilka można zabić, a afektu nie zabijesz.

— Wiem, ale to znów inna materya.

— Byle dowcip dopisał, mniejsza o materyę.

— Ha! jeśli tak, to Boże dopomóż dowcipowi.

Panna Sienińska poczęła się śmiać w piąstkę, za nią Cypryanowicz, a w końcu i panowie Bukojemscy. Lecz dalszą rozmowę przerwała służka, prosząc na wieczerzę.

Starszy pan Cypryanowicz podał ramię pani Winnickiej, po nich szedł pan Pągowski, młody zaś Cypryanowicz prowadził pannę Sienińską.

— Trudna dysputa z panem Bukojemskim! — rzekła rozweselona panienska.

— Bo jego racye są jak narowiste konie, z których każdy ciągnie w inną stronę; wszelako, powiedział on dwie prawdy, którym trudno negocwać.

— Jakaż jest pierwsza?

— Że nikt nie wie, co go jutro spotka, jako i jam naprzykład nie wiedział, że oczy moje ujrzą dzisiaj waćpannę.

— A druga?

— Że łatwiej wilka zabić niż afekt... Wielka to prawda.

To rzekłszy, westchnął młody pan Cypryanowicz, a panienska spuściła na oczy cieniste swe powieki i zamilkła.

Po chwili dopiero, gdy już siadali do stołu, rzekła:

— A waćpanowie prędko przyjedźcie do Beżęczonek, aby zaś opiekun mógł wam wdzięczność za ratunek i za gościnę okazać.

Posępny humor pana Pągowskiego poprawił się znacznie przy wieczerzy — a gdy gospodarz wniósł w ozdobnych słowach, naprzód zdrowie niewiast, a następnie zacnego gościa, stary szlachcic odpowiedział bardzo uprzejmie, dziękując za wybawienie z ciężkich terminów i zapewniając o swej wiekaiestej wdzięczności.

Mówiono potem de publicis, o królu, o jego zwycięstwach, o sejmie, który w kwietniu miał się zebrać, i o wojnie, która groziła cesarstwu niemieckiemu ze strony sułtana tureckiego, a na którą zaciągał już ochotników w Polsce pan Hieronim Lubomirski, kawaler maltański.

Panowie Bukojemscy słuchali z niemłą ciekawością, jako tam w Niemczech przyjmowano z otwartemi rękoma każdego Polaka; albowiem Turcy lekceważyli jazdę niemiecką, polska zaś budziła w nich należyty postrach.

Pan Pągowski ganił nieco dumę kawalera Lubomirskiego, który mawiał o grafach niemieckich: „dzie sięcia takich w jedną moję rękawicę wlezie“, ale chwalił jego przewagi rycerskie, niezmierną odwagę i wielką biegłość w sztuce wojennej.

Słyszac to, Łukasz Bukojemski oświadczył w imieniu swoim i braci, że niech tylko wiosna uczyni się na świecie, to nie wytrzymają, jeno do pana kawalera podążą, ale póki mrozy mocne, będą jeszcze bili wilki, aby się za pannę Sienińską godnie pomścić. Bo chociaż powiedział Jan, że niema co się wilkom dziwować, przecie, gdy się pomyśli, że taki gołąbek niewinny stać

się mógł ich pastwą, to aż serce pod szyję podchodzi od wściekłości, a zarazem trudno utrzymać łez.

— Szkoda — mówi — że skóry wileze takie tanie, i że żydy zaledwie za trzy talara dają, ale łez trudno utrzymać i nawet lepiej poprostu im pofolgować, gdyż kłoby nie pożałował uciśniętej niewinności i cnoty, ten okazałby się barbarusem, nie godnym rycerskiego i szlacheckiego imienia.

To rzekłszy — pofolgował istotnie łzom, a za jego przykładem poszli zaraz i inni bracia; chociaż bowiem wilki mogły w najgorszym razie grozić życiu nie zaś cnotcie panny Sienińskiej, jednakże tak ich wzruszyła wymowa brata, że serca zmiękły w nich jak wosk przygrzany.

Cheili też po wieczerzy palić z pistoletów na cześć panienki, ale sprzeciwił się temu gospodarz, mówiąc, że ma w domu borowego, człowieka wielkich zasług, który jest chory i potrzebuje spokoju.

Mniemał pan Pągowski, iż to może jaki zubożały krewny domu, a w najgorszym razie szlachec z zaścianka, więc przez grzeczność począł się o niego wypytywać; dowiedziawszy się jednakże, iż to jest chłop służebny, wzruszył ramionami i spojrzawszy niechętnem i zdziwionem okiem na starego Cypryanowicza, rzekł:

— A tak! zapomniałem, co o waścinem, zbyt ludzkim, sercu opowiadają.

— Daj Boże, — odpowiedział pan Serafin — aby nie opowiadali nic gorszego. Siła temu człowiekowi zawdzięczam, a może i każdemu się to trafić, gdyż on wybornie zna się na ziołach i każdej chorobie umie zaradzić.

— To już mi tylko to dziwne, że skoro innych tak uzdrawia, siebie nie uzdrowił. Przyślij go waszmość

kiedy tej oto mojej krewniaczce, pani Winnickiej, która z ziół rozmaite extracta wyciąga i ludzi niemi morzy; ale tymczasem niech nam wolno będzie pomyśleć o spożyciu, bo mnie droga okrutnie stradziła, a wino nie-
coś rozebrało, również jak panów Bukojemskich.

Bukojemskim rzeczywiście kurzyło się z czupryn, a oczy mieli mgliste i rozrzewnione, więc gdy młody Cypryanowicz poprowadził ich do oficyny, gdzie miał razem z nimi nocować, to szli za nim wielce niepewnym krokiem po skrzypiącym od mrozu śniegu, dziwiąc się, że miesiąc śmieje się do nich i siedzi na dachu stodoły, zamiast świecić na niebie.

Lecz panna Sienińska tak głęboko zapadła im w serca, że chciało im się jeszcze o niej mówić.

Młody Cypryanowicz nie czuł także ochoty do snu, kazał więc przynieść gąsior miodu, poczem zasiedli wedle wielkiego komina i przy jaskrawem świetle łączywa pili z początku w milczeniu, słuchając tylko świerszczów, grających w izbie.

Wreszcie najstarszy, Jan, nabrał w piersi powietrza, poczem wydmuchnął je w komin z taką siłą, że aż się płomień pochylił, i rzekł:

— O Jezu! Bracia moi mili, zapłaczcie nade mną, bo przyszedł na mnie termin żalosny!

— Jaki termin? mów, nie ukrywaj!

— A to przecie miłując tak, że aż mi kolana mdleją.

— A ja, to, myślisz, nie miłuję? — zawołał Łukasz.

— A ja? — krzyknął Mateusz.

— A ja? — zakończył Marek.

Jan chciał im coś odpowiedzieć, ale zrazu nie mógł, albowiem porwała go czkawka. Wytrzeszczał tylko oczy z wielkiego zdziwienia, i począł spoglądać na nich tak, jakby ich pierwszy raz w życiu widział.

Wreszcie gniew odbił się na jego obliczu.

— Jakto, tacy synowie, — zawołał — to starszemu bratu chcecie w drogę wchodzić i szczęśliwości go pozabawiać?

— O wa! — odpowiedział Łukasz — to cóż? Zali to panna Sienińska jakowaś ordynacya, że ją tylko starszy ma brać? Z jednegośmy ojca i matki, przeto jeśli nas takimi synami zowiesz — to rodzicielom w grobie uchybiasz. Każdemu wolno mówić.

— Wolno każdemu, ale wam wara, boście mi obedientiam powinni.

— Mamy całe życie końskiego łba słuchać? Co?

— Błażniesz, poganinie, jako pies!

— Ty sam błażniesz. Bo Jacobus młodszy był od Ezawa, a Józef najmłodszy z braci, więc ty Pismu Świętemu przyganasz i przeciw wierze szeczekasz.

Przyciśnięty temi argumentami do muru, Jan nie umiał na razie znaleźć odpowiedzi, a gdy jeszcze Mateusz wspomniał o Kainie, jako starszym bracie, wówczas całkowicie stracił głowę.

Gniew wzbierał się w nim coraz większy, aż na koniec począł prawicą szukać szabli, której zresztą nie miał przy boku.

I niewiadomo, do czego byłoby doszło, gdyby nie Marek, który, trzymając od pewnego czasu palec przy czole, jak gdyby się porał z jakąś myślą, nagle wykrzyknął ogromnym głosem:

— Jam najmłodszy z braci, jam jest Józef, więc dla mnie panna Sienińska!

A inni zaraz zwrócili się do niego, ze wzburzeniem w obliczach i skrami w oczach:

— Co? Dla ciebie? Dla ciebie, ty gęsie jaje, ty słomiana kukła, ty końska zołzo, suszykufla, ty opoju!... Dla ciebie?

— Stałcie gęby, skoro tak stoi w Pismie!

— W jakim Pismie, głąbie?

— Wszystko jedno — ale stoi. Samiście się popili — nie ja!

Leez tu wdał się między nich Stanisław Cypryanowicz.

— Czy wam nie wstyd, — mówił — szlachtą i braćmi będąc, kłótnię wszeczynać? Tak-że to obserwujecie miłość braterską? I o co kłótnia? Czy to panna Sienińska jest grzyb, który ten do kobiałki schowa, kto go pierwszy w borze zdybie? Zali taki jest między pelikanami obyczaj, którzy to pelikanowie, nie będąc ani szlachtą, ani nawet ludźmi, przecie z rodzinnych afektów jedne drugim we wszystkim ustępują, a gdy ryb nie nałowią, to się krwią własną wzajemnie karmią? Wspominacie zmarłych rodziców waszych, ależ oni tam łzami się zalewają, widząc niezgodę synów, którym pewnie co innego pod błogostawieństwem nakazywali. Już im tam i pasza niebieska nie smakuje i oczu nie śmieją podnieść na owych czterech Ewangelistów, których imiona na chrzcie świętym wam podawali.

Tak mówił Staszko Cypryanowicz i, choć z początku chciało mu się cokolwiek śmiać, jednakże, w miarę jak mówił, coraz więcej się własną wymową przejmował, albowiem dla kompanii także był nieco podpił. Atoli panowie Bukojemsey rozrzewnili się w końcu jego przemówieniem niezmiernie i zapłakali wreszcie wszyscy czterej, a najstarszy, Jan, zawołał:

— O dla Boga, zabijcie mnie, ale nie nazywajcie Kainem!

Na to Mateusz, który był o Kainie wspomniał, rzucił mu się w objęcia.

— Bracie, katu za to mnie oddać!

— Wybacz, bo się z żalu rozpuknę — wołał Łukasz.

Marek zaś:

— Szczekałem przeciw przykazaniu, jako pies.

I poczęli się ścisnąć, lecz Jan, uwolniwszy się wreszcie z objęć braci, siadł nagle na ławie, rozpiął żupan, rozgarnął koszulę i, obnażywszy pierś, począł mówić przerywanym głosem:

— Macie! oto jako pelikan!... macie!

A tamci już jeszcze bardziej szlochać:

— Pelikan! czysty pelikan!... Jak mi Bóg miły! — pelikan!

— Biercie pannę Sienińską!

— Twoja ona! ty ją bierz.

— Młodszy niech biorą...

— Nigdy! Nie może być!

— Jechał ją sęki!

— Jechał ją sęki!

— Nie chcemy jej!

A wtem Łukasz uderzył się dłońmi po udach, aż rozległo się po izbie.

— Wiem! — zakrzyknął.

— Co wiesz? Mów, nie ukrywaj!

— Niech ją Cypryanowicz bierze!

Usłyszawszy to tamci, aż zerwali się z ław, tak im trafiła do serca myśl braterska i otoczyli Cypryanowicza.

— Bierz ją, Staszku.

— Najlepiej nas pogodzisz.

— Jak nas kochasz!

— Dla nas to uczyń!

— Niech ci Bóg błogosławi — wołał Jan, wznosząc oczy do nieba i wyciągając nad nim ręce.

A Cypryanowicz spłonął na twarzy i stał zdumiony, powtarzając:

— Bóje się ran boskich!...

Lecz serce drgnęło mu w piersiach na samą myśl, bo siedząc od dwóch lat przy ojcu wśród głębokich lasów i mało ludzi widując, oddawna nie napotkał tak cudnej dziewczyny.

Widował podobne niegdyś w Brzeżanach, gdy ojciec oddał go na tamtejszy dwór, aby nabrał ogłady i znajomości spraw publicznych. Lecz wówczas był jeszcze pacholęciami — i czas zatarł te dawne wspomnienia.

Aż oto teraz, gdy wśród borów ujrzał znów niespodzianie taki kwiat śliczny — ludzie mówią mu odrazu: bierz go!...

Więc zmięszał się okratnie i raz jeszcze powtórzył:

— Bóje się Bogal gdzie wam, albo mnie do niej!

Lecz oni, jak to zwykle pijany, żadnej przeszkody nie widząc, poczęli nalegać.

— Nie będzie żaden z nas drugiemu zazdrościł, — mówił Łukasz — a ty ją bierz! Mieliliśmy i tak na wojnę iść, bo dość nam tego leśnego stróżowania. Trzydzieści talarów na cały Boży rok... Na napitki nie starczy, a coże na oehędostwo? Konie posprzedawaliśmy i na twoich za wilkami jeździmy, rzędy też... Wiadomo, że ciężko sierotom. Lepiej na wojnie zginać — a ty ją bierz, jak nas kochasz!

— Bierz ją! — wołał Jan — a my do Rakuz, do kawalera Labomirskiego pociążniem, niemiaszkom pomagać pogan łaszczyc.

— Bierz ją zaraz...

— Jutro! Do kościoła!...

Lecz Cypryanowicz ochłonał już ze zdumienia i wytrzeźwiał tak, jakby nie od rana w ustach nie miał.

— Ludzie, zastanówcie się, co mówicie! Zali to tylko waszej, albo mojej woli do tego potrzeba? A cóż ona sama, a cóż pan Pągowski, który jest człowiek dumny i nieczyty? Choćby też i panna stała mi się z czasem przyjacielem, wolałby on może, by ratę siała, niż aby została żoną takiego chudopachołka, jako ja, albo i któren z was.

— O wa! — zawołał Jan. — A cóż to pan Pągowski, kasztelan krakowski, czy hetman wielki? Jeśliś dla nas dobry, to i jemu wara nosem kręcić. Za mali mu na swatów Bukojemscy? A wiera! Stary jest, niedługo mu do śmierci, niechże się strzeże, aby mu święty Piotr palców we wrotach niebieskich nie przyskrzybnał. Ujmij-że ty się za nami, święty Pietrze i powiedz mu tak: „Nie umiałeś, o taki synu, za życia mojej krwi uszanować, całuj-że psa w nos!” Tak mu po śmierci powiedz! Ale my się i za życia nie pozwolim spostponować. Jakto? To dlatego, że nie stało fortuny, mają nas poniewierać i jako chłopów traktować?... Taką ma być zapłata za nasze służby ojezyźnie, za naszą krew, za nasze rany? O bracia moi, sieroty wy boże! niejedna krzywda nas w życiu spotkała, ale cięższej nikt nam nigdy nie wyrządził.

— Prawda, prawda! — wołali żałośliwie Łukasz, Marek i Mateusz.

I lzy żalu popłynęły im znów obficie po policzkach, lecz, wyłakawszy się, poczęli się barzyć, albowiem zdawało im się, iż takiej obrazy niewolno ludziom-urodzonym puszczać w niepamięć.

Marek, który był najbardziej z braci poryweczy, pierwszy sobie o tem przypomniał.

— Trudno go na szable pozywać — rzekł — bo stary jest i ręki nie ma, ale jeśli by nam wzgardę jakąś okazał, trzeba się pomścić. Co nam czynić? — pomyśleli...

— Nogi mi zmarzły na mrozie—odrzekł Łukasz— a teraz mnie palą okrutnie. Żeby nie to, zarazbym coś obmyślił.

— A mnie łeb pali, nie nogi.

— Z pustego i tak nie nalejesz.

— Kaczan głąbowi przygania! — rzekł Jan.

— Będziecie mi tu kłótnię zaczynać, zamiast odpowiedź obmyślać! — zawołał z gniewem Marek.

Lecz tu wdał się między nich Cypryanowicz.

— Odpowiedź? — zapytał — a komu?

— Pągowskiemu.

— A na co chcecie odpowiadać?

— Na co? Jakto: na co?

I poczęli na się spoglądać z niemałym zdziwieniem, a potem zwrócili się do Marka.

— Czego ty od nas cheesz?

— A czego wy cheecie?...

— Do jutra sessya — zawołał Cypryanowicz. — Ot i ogień już w grabie przygasa i północ dawno minęła. Łoża tam pod ścianą gotowe, a spoczynek słusznie nam się należy, bośmy się spracowali na mrozie.

Ogień przygasł istotnie i pociemniało w izbie, więc rada gospodarza trafiła do przekonania panów Bukojemskich.

Chwilę jeszcze trwała rozmowa, ale coraz mniej żywa, a potem zaszemrał w izbie szept pacierzy, odmawianych to ciszej, to głośniej, a przerywanych głębokimi westchnieniami.

Głównie w kominie poczęły pokrywać się popiołem i czernieć; czasem zapiszczało coś w dogasającym ognisku i świerszcze ozwały się po kątach żalosem ćwierkaniem, jakby z żalu za światłem.

Rozległ się jeszcze w pomroku stukot batów, zrzuconych z nóg na podłogę, poczem krótki czas

cisza, a następnie ogromne chrapanie czterech uspio-
nych braci.

Lecz młody Cypryanowicz nie mógł zasnąć, albowiem wszystkie jego myśli krążyły koło panny Sienińskiej, jak żwawe pszczoły wokół kwiatu.

Gdzie tam spać z takim rojem w głowie!

Przymknął wprawdzie powieki raz i drugi, lecz, widząc, że to na nic, pomyślał:

— Pójdę obaczyć, czy się u niej nie świeci jeszcze.
I wyszedł.

W oknie panny Sienińskiej nie było światła, tylko blask miesiąca drgał na nierównych szybach, jak na bieżącej wodzie.

Świat był cichy i uspiony tak głęboko, że nawet śniegi zdawały się spać w zielonawej topieli księżycowego światła.

— Czy ty wiesz, że mi cię rają? — szepnął młody Cypryanowicz, patrząc w srebrne okno dzieweczyny.

Starszy pan Cypryanowicz, gwoli własnej, przyrodzonej mu gościnności i wedle zwyczaju, nie szczędził próśb i zaklęć, aby goście zostali dłużej w Jedlni. Klękał nawet przed panią Winnicką, co, z powodu lekkiej jeszcze, ale już nieco dokuczliwej, pedogry, nie przychodziło mu łatwo. Wszystko to jednak nie nie pomogło. Pan Pągowski uparł się jechać przed południem do domu — i w końcu trzeba było się na to zgodzić, gdyż na jego oświadczenie, że spodziewa się gości — nie było co rzec. Wyruszyli tedy przed południem w dzień jasny, mroźny i w cudną pogodę. Okiś na drzewach i śniegi na polach były obsypane jakby tysiącami iskier, które migotały tak w słońcu, iż ledwie oczy mogły znieść owe blaski, bijące z nieba i z ziemi. Konie szły tęgo rysią, aż grały w nich śledziony; płozy sanie świstały po twardym śniegu; firanki po bokach

były odsunięte — i co chwila, to w jednym okienku, to w drugim, ukazywała się różowa twarz panny Sienińskiej, z wesołemi oczkami i z zaczerwienionym od mrozu noskiem, właśnie jakby wdzięczny obrazek w ramach.

I jechała, jakby królowna, bo karocę otaczała „salwa-gwardya“, złożona z panów Bakojemskich i młodego Cypryanowicza. Ci, siedząc na dzielnych szkapach z jedlinkowskiej stajni (bo swoje posprzedawali lub pozostawiali wraz z lepszymi szablami panowie Bakojemscy), rwali po bokach, to wspinając konie, to puszczając je naprzód takim pędem, że aż wióry śnieżne, wyrwane kopytami ze zmarzłej drogi, warezwały w powietrzu jak kamienie.

Może i niekoniecznie rad był z tej przyboecznej straży pan Pałowski — i w chwili wyjazdu prosił nawet kawalerów, aby się nie trudzili, bo droga w dzień bezpieczna, a o osacznikach w puszczy nie słyhać, ale gdy uparli się, aby stanowczo niewiasty odprowadzić, nie pozostało mu nic innego, jak, płacąc grzecnością za greczność, zaprosić ich do Bełzączki. Uzyskał też i obietnicę starszego pana Cypryanowicza, że go odwiedzi, ale dopiero za kilka dni, albowiem starszemu człowiekowi trudno było tak obcesowo wyrwać się z domu.

Prędko schodziła podróż, kawalerom na konnych popisach, a pannie Sienińskiej na pokazywania się w okienkach karocy. Zatrzymali się dopiero w połowie drogi, aby dać odetchnąć koniom, przy puszczańskiem karczmiu, zwanej dość złowrogo: „Rozbój“, obok której była kuźnia i szopa. Kowal kuł konia na dworze przed kuźnią, a wedle karczmy stało kilkoro sani chłopskich, zaprzężonych w poszerszeniałe i okryte sędzielizną chude szkapięta, z ogonami wtulonemi między zadnie nogi i z wyobroczonemi torbami na głowach.

Ludzie wysunęli się z kareczmy patrzeć na karocę, otoczoną przez jeźdźców i stanęli opodal. Byli to nie chłopci, tylko mieszczanie-zdani z Kozienic, którzy letnią porą robili garnki, a zimą podczas sanny rozwozili je po wsiach, a szczególnie na odpasty w okolicy. Wydawało się im, że to jakiś wielki dygnitarz musi jechać w tej karoce, otoczonej przez tak dorodną szlachtę, więc mimo mrozu podejmowali czapki i patrzyli z ciekawością.

Podróźni, przybrani ciepło, nie wysiadali z karocey, jeźdźcy pozostali także na koniach; poszedł tylko pacholek pana Pągowskiego z gąsiorkiem wina, aby je zagrzać przy ogniu w karezmie. Tymczasem pan Pągowski kazał się zbliżyć łyczkom i począł ich wypytywać: skąd są, dokąd jadą i czy nie groziło im gdzie „niebezpieczeństwo od zwierza?”

— Gdzietam nie groziło, wasza miłość, — odpowiedział stary mieszczanin — jeno że kupą jedziemy i we dnie. Czekamy tu na naszych od Przytyka i z innych stron. Chłopów może się też coś ściągnie i jeśli się zbierze z piętnaście, albo dwadzieścia wozów, to pojedziem na noc — a nie, to nie, chociaż bez pałek nie jeździemy.

— A z ludźmi nie zdarzył się jakowy wypadek?

— Zagryzły wilki żyda podobno w biały dzień. Jechał z gęsiami, bo pierze zostało na gościńcu, a z człowieka i z konia jeno gnaty. Tylko po krymce poznali ludzie, że to był żyd. A dziś rano przyszedł tu piechotą szlachcic, który całą noc na sośnie przesiadzał. Powiada, że koń mu padł i wiley go w jego oczach zarznęli. Skostniał ci tak na drzewie, że ledwie mógł mówić, a teraz śpi.

— Jak się zwał? Nie mówił skąd jest?

— Nie. Piwa się jeno grzanego napił i zaraz potem padł jak nieżywy na ławę.

Pan Pągowski zwrócił się do kawalerów.

— Słyszycie waćpanowie?

— Słyszemy.

— Bo trzeba go będzie chyba obudzić i rozpytać. Bez konia został, jakże go tu poniechać. Mógłby pacholek mój na drugiego lejeowego sieść w parze z forysiem, a jemu swego oddać. Powiadają, że szlachcic.. Może z daleka?

— I pilno mu musiało być — odrzekł Stanisław Cypryanowicz — skoro nocą jechał i do tego sam jeden. Pójdę, rozbudzę go i rozpytam.

Lecz chęć ta okazała się zbytęzną, albowiem w tej chwili z karczmy wyszedł pacholek, niosąc stolnicę, a na niej dymiące kubki wina — i, doszedłszy do karocy, rzekł:

— Proszę waszej miłości, pan Taczewski tu jest.

— Pan Taczewski? A on tu co u licha robi?

— Pan Taczewski? — powtórzyła panna Sienińska.

— Ogarnie się i zaraz wyjdzie — rzekł pacholek. Mało mi stolnicy z winem nie wytrącił, jak się dowiedział, że państwo tu są...

— A ciebie kto pyta o stolnicę?...

Pacholek umilkł, jakby głos stracił, a pan Pągowski wziął kubek wina pociągnął raz i drugi, poczem rzekł do Cypryanowicza, jakby z pewną niechęcią:

— To nasz znajomek i niby sąsiad... z pod Czarnej... A... trochę wartogłów i szafawiła. — Z tych, tu-tejszych Taczewskich, co to niegdyś w całym pono województwie...

Dalsze objaśnienia przerwało ukazanie się pana Taczewskiego, który, wybiegłszy pośpiesznie z karczmy, szedł ku karocy zamaszystym krokiem, ale z pewną

nieśmiałością w obliczu. Był to młody szlachcic, średniego wzrostu, z pięknymi, czarnymi oczyma, ale chady jak trzaska, głowę miał pokrytą magierką, pamiętającą bodaj czasy Batorego, na sobie szary kabrak, podbity baranem, i żółte szwedzkie buty z ogromnemi cholewami, zakrywającemi nawet i uda. Nikt takich w Polsce już nie nosił, było więc widoczne, że to jest chyba jaka stara zdobycz wojenna z czasów Jana Kazimierza, wyciągnięta z lamasa z konieczności. — Idąc, patrzył naprzemian to na pana Pągowskiego, to na pannę Sienińską, i uśmiechał się, pokazując przytem białe, zdrowe zęby, ale uśmiech miał smutny i twarz zmieszana, a nawet trochę zawstydzoną.

— Cieszę się okrutnie, — rzekł, stanąwszy przy karocy i kłaniając się grzecznie magierką — że widzę w dobrem zdrowiu waćpanią, waćpannę i waszmość pana dobrodzieja mego — gdyż droga niebezpieczna, o czem sam miałem sposobność się przekonać.

— Nakryj acan głowę, bo ci uszy zmarzną — rzekł szorstko pan Pągowski. — Dziękujęm za troskliwość. A czego to acan włożysz się po puszczy?

Taczewski spojrział bystro na panienkę, jakby chciał zapytać: „może ty wiesz dlaczego?“ — ale widząc, że panienka oczy ma spuszczone i zabawia się przygryzaniem wstążek od kapturka, odrzekł nieco twardym głosem:

— At, przyszła mi fantazyja popatrzeć na miesiąc nad borem.

— Piękna fantazyja. A konia ci wiley zarznęli?

— Dorznęli jeno, bom sam z niego duszę wyparł...

— Wiemy. I przesiedziałeś noc na sośnie jak wrona.

Tu panowie Bukojemsey buchnęli tak ogromnym śmiechem, aż im konie poprzysiadaly na zadach, a Taczewski odwrócił się i począł ich kolejno leczyć

oczyma, mając w źrenicach błyski zimne jak lód i zarazem ostre jak brzeszczot.

Poczem rzekł do Pałowskiemu:

— Nie jak wrona, ale jak szlachcie bez konia, z którego waszmości dobrodziejowi śmiać się wolno, ale komu innemu może być niezdrowo.

— Oho! oho! oho! — jęli powtarzać panowie Bukojemscy, przysuwając ku niemu konie. Twarze ich zmierzchły w jednej chwili i wąsy poczęły się poruszać, a on znów począł ich liczyć, zadzierając w górę głowę.

Lecz pan Pałowski ozwał się tak surowym i rozkazującym głosem, jakby nad wszystkimi miał komendę:

— Proszę mi tu żadnych zwad!... To jest pan Taczewski, — rzekł po chwili łagodniej, zwracając się do kawalerów — a to pan Cypryanowicz i panowie Bukojemscy, którym, mogę rzec, iż życie zawdzięczamy, bo i nas wczoraj wilcy napadli. Insperate przyszli nam z pomocą, ale skutecznie i w porę.

— W porę — powtórzyła z naciskiem panna Sienińska, wydymając nieco usta i spoglądając wdzięcznie na Cypryanowicza. A Taczewskiemu zakwitły jagody, na twarzy odbiło się, jakby upokorzenie, oczy zamgliły się i z niezmiernym żalem w głosie odrzekł:

— W porę! bo ich kupa i szczęśliwi, że na dobrych koniach, a mojemu Wołoszynowi wilcy już zębami dzwonią i ostatniego przyjaciela mi zbrakło. Ale — i tu spojrział zyczliwiej na Bukojemskich — niechże się święcą ręce waszmościom, boście uczynili to, co i ja z całej duszy byłbym chciał uczynić, jeno Bóg nie pozwolił...

Panna Sienińska zmienna była widocznie, jak każda białogłowa, a może też żal jej się uczyniło pana Taczewskiego, bo nagle oczki jej stały się słodkie i migotliwe, powieki jęły się mrużyć raz po raz i całkiem już innym głosem zapytała:

— Stary Wołoszyn?... Mój Boże, takem go lubiła i on mnie znał. Mój Boże!..

A Taczewski spojrział zaraz na nią z wielką wdzięcznością.

— Znał, mościa panno, znał!..

— Waćpan, panie Jacka, nie martw się tak okratnie!..

— Martwiłem się już i przedtem, jeno że konno, a teraz się będę martwił na piechotę. Ale Bóg waćpannie zapłać za dobre słowo!..

— Tymczasem siadaj acan na myszatego — rzekł pan Pągowski. — Czeladnik siedzie obok forysia, albo stanie z tyłu za karocą. A jest tam i zapaśna burka w trokach, to się odziej, boś marzył całą noc, a teraz znów mróz bierze.

— Nie — odpowiedział. — Umyślniem nie wziął szuby i ciepło mi!

— No, to w drogę!

I po chwili ruszyli. Jacek Taczewski zajął miejsce przy jednym okienku karocy, Stanisław Cypryanowicz przy drugim, tak, że siedząca na przodzie pannenka mogła, nie obracając głowy, swobodnie na obu dwóch spoglądać.

Lecz panowie Bukojemscy nie radzi byli z Taczewskiego i gniewało ich to, że zajął miejsce przy boku karocy, więc, zebrawszy w kupę konie, tak, że niemal stykały się łbami, poczęli rozmawiać i radzić:

— Hardo ci na nas spoglądał — mówił Mateusz. — Jak Bóg w niebie, chciał nas spostonować.

— Teraz zaś konia zadem do nas obrócić. Cóż wy na to?

— Jużci łbem nie może obrócić, bo koń tyłem, jako rak, nie chodzi. Ale że on się ma do tej panny, to pewna, — zauważył Marek.

— Toś dobrze rozpoznał. Widzicie, jako się nadstawia i przegina. Żeby się tak paślisko urwało, toby zleciał.

— Nie zleci, taki syn, bo dobrze siedzi i w paśliskach zdrowy rzemień.

— Przeginaj się, przeginaj, póki my cię nie przegniami!

— Obaczcie-no! znów się do niej uśmiecha!

— Cóż, bracia rodzeni? Pozwolim na to?

— Nigdy, jako żywo! Nie dla nas dziewczka, dobrze! ale pamiętacie, cośmy wczoraj uradzili?

— Jakże! Musiał on się tego domyślić, bo chytra widać sztuka — i teraz na złość nam się do niej zaleca.

— I na wzgardę naszemu sieroctwu i ubóstwu.

— O, wa! wielki mi magnat — na cudzym podjezdka!

— Ba! przecież i my nie na swoich.

— Ale jedna szkapa nam została, to jak trzech w domu siedzi, czwarty może jechać choćby na wojnę, a ów i siodła własnego nie ma, bo mu je wiley zębami porozrywali.

— I nosa jeszcze zadziera. Co on do nas cierpi? — powiedzcie?

— To się go spytać.

— Zaraz?

— Zaraz, ale politycznie, by starego Pałowskiego nie urazić. Dopieroż, wyrozumiawszy co odpowie, wyzwąć.

— I wtedy już będzie nasz.

— Któryż ma z nas to uczynić?

— Jaści ja, bom najstarszy. Sople jeno sobie z wąsów wykraszę i na!

— Jeno zapamiętaj dobrze, co ci rzeknie.

— Jako pacierz wam powtórzę.

To rzekłszy, najstarszy z panów Bakojemskich począł wycierać rękawicą grudki lodu, osiadłe na wąsach, a potem przysunął konia do podjezdka Taczewskiego i ozwał się:

— Mosanie?

— A co? — zapytał Taczewski, odwracając niechętnie głowę od karocy.

— Co waćpan do nas cierpisz?

Taczewski popatrzył na niego przez małą chwilkę ze zdziwieniem, poczem rzekł:

— Nic.

I ruszywszy ramionami, zwrócił się znów ku karocy.

Bakojemski jechał czas jakiś w milczeniu, rozważając czy ma wrócić i zdać braciom relację z odpowiedzi, czy mówić dalej. Ta ostatnia myśl wydała mu się jednak lepszą, więc ozwał się znowu:

— Bo jeśli myślisz, że co wskórasz, to ja ci rzekę to, co i ty mnie: nie!

Na twarzy Taczewskiego odbiła się nuda i przyżmus, zrozumiał bowiem, że szukają z nim zaczepki, na którą nie miał najmniejszej ochoty w tej chwili odpowiadać. Jednakże pomyślał, że trzeba coś odpowiedzieć i to coś takiego, coby mogło rozmowę zakończyć.

Więc zapytał:

— A czy tamci bracia także?...

— A jakże! ale co także?

— To się waść domyśl, a teraz nie przerywaj mi milszego dyskursu.

Bakojemski przejechał jeszcze wpobok kroków dziesięć lub piętnaście, ale wreszcie ściągnął konia.

— Co ci rzekł? mów otwarcie? — pytali bracia.

Starszy powtórzył. Nie byli radzi.

— Boś go nie umiał zażyć — rzekł Łukasz. — Trzeba mu było konia strzemieniem w brzuch połechać, albo, skoroś wiedział, że mu na imię Jacek, powiedzieć: naści placek!

— Albo powiedzieć mu tak: zjedlić wilcy konia, to kap sobie kożę w Przytyku.

— To nie przepadło, ale co znaczyło to, co rzekł: czy tamci bracia także?

— Może chciał spytać: czy także kpy?

— Pewnie! Jak mi Bóg miły! — zawołał Marek. — Nie innego nie mógł pomyśleć! A teraz co?

— Jego śmierć albo nasza. Dla Boga, toż to jawne kacerstwo, o którem i Stachowi trzeba powiedzieć.

— Nie powiadaj nic, bo skoro Stachowi pannę oddajem, to Stach musiałby go wyzwać, a tu chodzi, żeby my pierwej.

— Kiedy?

— U Pągowskiego nie idzie. A tu już Bełzączka.

Rzeczywiście Bełzączka była już niedaleko. Na skraju lasu stał krzyż fundacyi pana Pągowskiego z błaszany Zbawicielem wśród dwóch włóczni; na prawo, kędy droga skręcała się za borem, widać było łąki obszerne z wstęgą olszyn, rosnących wzdłuż rzeczki; z za olszyn, po drugiej, wyższej stronie, widać było bezlistne korony wysokich drzew i dymy chat.

Wkrótce orszak znalazł się wśród chat, a gdy minął opłotki i zabudowania folwarczne, przed oczami jeźdźców ukazał się dwór pana Pągowskiego.

Obszerny dziedziniec otoczony był starym, spróchniałym a miejscami powywracany częstokołem. Nie dochodził do tych stron od prastarych czasów żaden nieprzyjaciół, nikt przeto nie dbał o należyłą obronność siedliska. Na obszernym dziedzińcu były aż dwa gołęb-

niki. Po jednej stronie stała oficyna, po drugiej lamus, spichrz i daża sernica, sklecona w kratę z cienkich bierwion i desek. Przed domem i wokół dziedzińca tkwiły słupki z żelaznymi kółkami do przywiązywania koni; na każdym słupku siedziała czapka zmarzłego śniegu. Domostwo było stare, obszerne, z niskim dachem słomianym. Po dziedzińcu wałęsały się gończe, a między nimi przechadzał się bezpiecznie oswojony bocian, ze złamanem skrzydłem, który widocznie opuścił przed chwilą ciepłą izbę, aby zażyć rucha i powietrza na mrozie.

W domu czekali ich, albowiem pan Pągowski wyprawił był pacholika przodem z oznajmieniem. Tenże sam pacholek wyszedł teraz na ich spotkanie i, pokłoniwszy się, rzekł:

— Pan starosta rajgrodzki, Grothus, przyjechał.

— Dla Boga! — zawołał pan Pągowski — dawno-żeczekła?

— Niema i godziny. Chciał wyjeżdżać, alem mu rzekł, że waszej miłości tylko co nie widać z powrotem.

— Toś dobrze rzekł.

Poczem do gości:

— Proszę waszmościów. Pan Grothus — to mój krewny przez żonę. Wraca widać tędy do Warszawy od brata, bo jest deputatem na sejm. Proszę! proszę.

Po chwili znaleźli się w izbie stołowej wobec starosty rajgrodzkiego, który głową niemal dotykał pałapu, bo wzrostem przewyższał nieco nawet panów Bukojemskich — a w całym domostwie komnaty były nadzwyczaj niskie. Pan Grothus był to okazały szlachcic z mądrym wejrzeniem, z twarzą i łysiną statysty, i z czółem przeciętem tuż nad nosem między brwiami. Blizna ta, podobna do zmarszczki, nadawała jego obliczu surowy i jakby gniewny wyraz. Uśmiechnął się jed-

nak uprzejmie do pana Pągowskiego i otworzył ręce, mówiąc:

— Tak, to ja, gość, witam w jego własnym domu gospodarza.

A pan Pągowski otoczył jego szyję ręką i mówił:

— Otóż gość, otóż miły gość! Daj ci, Boże, zdrowie, panie bracie, żeś wstąpił. Co tam słysząc?

— De privatis dobrze, a de publicis też dobrze bo wojna.

— Wojna. Jakto? już? My!

— My jeszcze nie — ale przymierze z Jegomości-cesarzem będzie w marcu podpisane — a potem wojna pewna.

Jakkolwiek jeszcze przed nowym rokiem chodziły pogłoski o przyszłej wojnie z Turkami i nawet byli tacy, którzy uważali ją za niezawodną, jednakże potwierdzenie tych wieści z ust osoby tak znakomitej i tak blisko ze sprawami publicznymi obeznanej, jak pan Grothus, wielkie uczyniło wrażenie i na panu Pągowskim, i na jego młodych gościach. Zaledwie też gospodarz przedstawił ich staroście — rozpoczęła się rozmowa o wojnie, o Tekelim i o krwawych zapasach na Węgrzech, od których, jak od ogromnego pożaru, łana biła już na kraje Rakuskie i na Polskę. Miała to być wojna straszna, przed którą drżał cesarz rzymski i wszystkie ziemie niemieckie. Mówił biegły w polityce pan Grothus, że Porta poruszy połowę Azji i całą Afrykę, aby wystąpić z taką siłą, jakiej świat dotąd nie oglądał; ale przewidywania te nie popszały nikomu humoru, owszem, z radością słuchała tego młodzież, której przykrzył się dłuższy domowy wypoczynek, a której wojna otwierała pole do sławy, zasługi, a nawet i korzyści.

To też pan Mateusz Bukojemski, usłyszawszy słowa starosty Rajgrodzkiego, uderzył się dłonią w kolano, aż rozległo się po komnacie, i rzekł:

— Pół Azyi i kogo tam jeszcze? O wa! Albo to nam pierwszyna!

— Nie pierwszyna, słusznie waść mówisz! — odrzekł gospodarz, którego posępna zwykle twarz zapłonęła przelotną radością. — Jeśli to jest rzecz już niechybna, to pewno i listy zapowiednie zostaną wkrótce wydane i zaciągi się rozpoczną. Daj Bóg! daj Bóg jaknajprędzej. Był stary Dziewiątkiewicz pod Chociąmem, ślepy na oba oczy. Synowie mu kopię do ataku nastawiali — i uderzał w janczarów jak i inni. Ale ja nie mam syna!

— Już to, panie bracie, jeśli kto ma prawo w domu ostać, to wy — rzekł starosta. — Źle nie mieć syna na wojnie, gorzej nie mieć oczu, ale pono najgorzej nie mieć ręki...

— Przyczyłem do szabli obie ręce — odpowiedział pan Gedeon — a cugle można i w zębach trzymać. Wreszcie... chciałoby się poledz — przeciw poganom — w polu... I nie dlatego jeno, że mi potargali szczęście żywota... Nie z jakowejś zemsty prywatnej... nie!... Ale ot! szczerze mówię: stary już jestem, siłam widział — siłam rozmyślał — i tylem się napatrzył na złość ludzką, na prywatę, na nieład w tej naszej Rzeczypospolitej, na naszą swawolę, na rwanie sejmów, na nieposłuszeństwo, na wszelkie bezprawia, że powiem waściom, nieraz pytałem w desperacyi Pana Boga: po coś Ty, Panie, stworzył tę naszą Rzeczpospolitą i ten nasz naród? Aż dopiero, gdy to morze pogańskie wzbiera, gdy ów sprosny smok otwiera paszczę, aby połknąć świat cały i chrześcijaństwo, gdy, jako waść mówisz, cesarz rzymski i wszystkie ziemie niepmieckie

drżą przed oną nawałnicą — to wtedy dopiero wiem, po co nas Bóg stworzył i jaki włożył na nas obowiązek. Sami Turkowie mówią o tem. Niechże drżą inni — my nie zadrżym, jakośmy i pierwej nie drżeli; niechże się leje ta nasza szczera krew, choćby do ostatniej kropli — i niech się moja z nią połączy — amen!

Tu rozbłyły oczy pana Pałowskiego i wzruszył się bardzo, ale jednak łzom nie pozwolił wypłynąć na policzki, może dlatego, że wszystkie już dawniej wypłakał, a może dlatego, że był to człowiek i dla siebie, i dla innych twardy. Jednakże pan Grothus, objął go za szyję, ucałował w oba policzki i tak rzekł:

— Prawda, prawda! Wiele u nas złego i tylko tą krwią można przed obliczem Pana naszą złość odkupić. To służba, to straż, którą nam Bóg powierzył, to przeznaczenie naszego narodu. I idą już czasy, w których złożym świadectwo tej służby... Tak jest! są wieści od pogan, że na Wiedeń zwróci się nawała. Tedy tam pójdziem i wobec świata całego pokażem, żeśmy nie co innego, jeno żołnierze Chrystusowi, na obronę wiary i krzyża stworzeni. Wszystkie narody, które dotychczas żyły bezpiecznie za naszymi plecami, będą widziały w jasny boży dzień, jak ową straż sprawujem, i da Bóg, że póki ziemia nie przeminie, póty nie przeminie nasza zasługa i sława.

Na te słowa zapał ogarnął młodych. Panowie Bukojemscy zerwali się z krzesel i poczęli wielkimi głosami wołać:

— Daj Bóg! Na kiedy zaciągi? Daj Bóg!

A Cypryanowicz rzekł:

— Aż dusza się rwie! Gotowiśmy choćby dziś!

Jeden Taczewski milczał i nie rozchmurzył oblicza, a te wieści, które napełniły radością wszystkie serca, były dla niego źródłem tylko bólu i goryczy.

Jego myśl i jego oczy biegły do panny Sienińskiej, krzątającej się wesoło wedle zastawy stołowej, i mówiły do niej z wymówką i żalem niezmiernym:

„Gdyby nie ty, byłbym pojechał na jaki dwór pański i — choćbym tam fortuny nawet nie znalazł, — miałbym przynajmniej zbroiczkę grzeczną i konia, i ot, zaciągnąłbym się teraz pod chorągiew szukać tam śmierci, albo chwały. Twoja to gładkość, twoje spojrzenia, twoje dobre słowa, coś mi je jak jałmużnę czasem rzuciła, sprawiły, żem tu siedział na tych kilku ostatnich zagonach i prawie głodem przymierał. I światam przez ciebie nie poznał i nijakiego poloru nie nabrał. Com ja ci zawinił, żeś mnie z duszą i ciałem jakoby w jasyr zabrała?... A toćbym umrzeć wołał, niż cię przez rok jeden nie widzieć. I ostatniemu konia stracił, na ratunek ci śpiesząc, ty zaś jeszcze się śmiała i wdzięcznie na innego spoglądasz... A teraz co pocznę? Idzie wojna. Zali za pachółka się zgodzę, albo się w piechocie pohańbię? Com ci takiego uczynił, że i miłosierdzia nademną nigdy nie miałaś?”

W taki to sposób biadał Jacek Taczewski, który niedolę swą czuł tem boleśniej, że był szlachcicem wielkiego rycerskiego rodu, choć strasznie biednym. A jakkolwiek nie była to prawda, że panna Sienińska nigdy nie miała nad nim miłosierdzia, była natomiast prawda, że z jej przyczyny nie wyraszył nigdzie w świat i siedział jakoby na wygonie, o dwóch chłopach, nie mając często na pierwsze potrzeby życia. Siedmnaście lat miał, a ona trzynaście, gdy ją pokochał bez pamięci — i od pięciu lat kochał, z każdym rokiem więcej — i z każdym rokiem smutniej, bo bez nadziei. Pan Pągowski przygarniał go z początku chętnie, jako potomka wielkiej rodziny, do której ongi należały w tych stronach całe powiaty; ale później, gdy zmiarkował,

jak rzeczy stoją, począł być dla niego szorstki, a czasem nawet okrutny. Nie zamykał mu wprawdzie domu, ale trzymał go zdaleka od panienki, mając zgoła inne dla niej nadzieje i widoki. A sama panienka doświadczała na nim swej mocy i bawiła się jego miłością, tak właśnie, jak każda dziewczyna bawi się kwiatami na łące. Czasem się nad którym pochyli, czasem który zerwie, a czasem wplecie w warkocz, później rzuci, później nie myśli, a później znów wraca szukać nowych. Nigdy Taczewski nie mówił jej o swojej miłości, ale ona wiedziała o niej doskonale, choć udawała, że nie wie — i że wogóle nie chce wiedzieć o niczem, co się w nim dzieje. Wydziwiała nad nim, jak jej się podobowało. Raz, gdy goniły ją pszczoły, przypadła do niego pod opończę i przytuliła mu się do serca, ale potem przez dwa dni nie chciała mu tego przebaczyć. Traktowała go chwilami niemal pogardliwie, a gdy zdawało mu się już, że wszystko ostatecznie przepadło, jednym słodkim spojrzeniem, jednym serdecznym słowem napępiała mu serce niezmierną radością i nadzieją. Jeśli czasem, czy to z powodu jakiegoś wesela, czy to imienin lub łowów w sąsiedztwie, nie było go przez dni kilka w Bełczączce, tęskniła za nim porządnie, ale gdy wrócił, mściła się za swoją tęsknotę i dokuczała mu długo. Najcięższe chwile przechodził, gdy w domu byli goście, a między nimi zdarzył się jaki młodzian i urodziwy i dorzeczny. Wówczas to myślał Jacek Taczewski, że niema w jej sercu nawet prostej litości. Tak właśnie myślał teraz z powodu Cypryanowicza — a wszystko to, co pan Grothus opowiadał o przyszłej wojnie, dolewało jeszcze goryczy do i tak aż zbyt przepełnionego kielicha jego myśli.

Taczewski przywykł ogromnie w domu pana Pałgowskiego do panowania nad sobą, jednakże przy wie-

czyrzy zaledwie mógł wysiedzieć, słuchając rozmowy panienki ze Stanisławem Cypryanowiczem. Nieszczęsny młodzian spostrzegł, że ten podobał się jej naprawdę, był bowiem istotnie dzielnym, miłym i wcale niegłupim chłopcem. Rozmowa przy stole toczyła się wciąż o przyszłych zaciągach. Cypryanowicz, dowiedziawszy się od pana Grothusa, że może on sam będzie zaciągał w tych stronach, zwrócił się nagle do panienki i zapytał:

— Jakie waćpanna wolisz chorągwie?

A panienka spojrzała mu na ramiona i odrzekła:

— Usarskie.

— Wedle skrzydeł?

— Tak. Raz widziałam usarzy i myślałam, że to chyba niebieskie wojsko. Śnili mi się potem przez dwie noce.

— Nie wiem, czy się przyśnię, ostawszy usarzem, ale że waćpanna mi się nieraz przyśni, to pewna—i też ze skrzydłami.

— A czemu tak?

— Jako właśnie Anioł.

Panna Sienińska spuściła na to oczy, aż cień od rzęs padł na jej różane policzki, i po chwili odrzekła:

— Ostań waćpan usarzem.

Taczewski zaciął zęby i przeciągnął dłonią po spoconem czole, ale przy wieczerzy nie doczekał się ani słówka, ani spojrzenia. Dopiero, gdy wszyscy wstawali już od stołu i w komnacie uczynił się rum krzesel, słodki, ukochany głos zaszemrał mu nad uchem:

— A waćpan pójdziesz także na wojnę?

— By poledzi! by poledzi!—odpowiedział pan Jacek.

I w tej odpowiedzi był taki prawdziwy i szczerzy jęk bólu, że ukochany głos ozwał się znów jakby ze wzruszeniem:

— Po co ludzi zasmuć?

— Nie będzie nikt po mnie płakał.

— Skąd waćpan wiesz? — zaszemrał po raz trzeci głos dziewczyny.

Poczem przesunęła się do innych gości tak szybko, jak cudne, senne widzenie i zakwitła jak różany kwiat w drugim końcu komnaty.

Tymczasem starsi panowie zasiedli sobie po posiłku nad kawkami z miodem i nagadawszy się dowoli o sprawach publicznych, poczęli gwarzyć o prywatnych. Pan Grothus wodził czas jakiś rozczulonemi oczyma za panną Sienińską, poczem rzekł:

— To ci świeca! Popatrz no waś, panie bracie, na tych młodych, którzy jako ćmy do ognia lecą! Ale nie dziwota, bo gdyby nie to, że człeka lata są, leciałby tak samo.

Lecz pan Pągowski machnął niechętnie ręką.

— Ćmy też to, szare ćmy, nie innego.

— Jakże? Przecie chyba Taczewski nie szarak.

— Ale chadopachołek. Bakojemscy także nie szaraki. Nawet się krewnymi świętego Piotra powiadają, co może im do promocyi w niebie dopomódz, ale tymczasem na ziemi w leśniczówce królewskiej we czterech siedzą, poprostu jako gajowi.

Pan Grothus zadziwił się pokrewieństwem Bakojemskich niemniej niż w swoim czasie pan Pągowski, więc począł o nie szczegółowo wypytywać, aż w końcu rozśmiał się i tak rzekł:

— Święty Piotr, wielki to apostoł i nie chcę ja mu czei umknąć, a to tem bardziej, że czując się starym, wkrótce będę jego łaski potrzebował, ale, mówiąc między nami, — jako parantela... no, — to tam niebardzo znów jest się czem chwalić... Jaści rybitwa był — nie więcej... Święty Józef, któren od-

Dawida się wywodził — ba! o takim to mi waść gadaj!

— Ja jeno mówię, że niemasz tu dla tej dziewczki nikogo odpowiedniego — i nietylko między tymi, których waść teraz widzisz pod moim dachem, ale i w całej okolicy.

— A ów że, któren siedzi przy pani Winnickiej?... Grzeczny wydaje się kawaler.

— Cypryanowicz? Tak! grzeczny ci on jest, ale to ród ormiański, od trzech czy też czterech dopiero pokoleń uszlacheony.

— To czemu ich waść prosisz? Kapido zdraadny jest, i ani się obejrzysz, jak ci tu kaszy nawarzy.

Pan Pałowski, któren już przy przedstawieniu kawalerów wspomniał, ile im zawdzięcza, opowiedział jeszcze raz szczegółowo o napadzie wilków i o pomocy, jakiej doznał, wskutek czego przez samą wdzięczność musiał zbawców swych do domu zaprosić.

— Prawda, prawda, — potwierdził pan Grothus — ale swoją drogą amor może ci tu kaszy nawarzyć, bo i w dziewczynie krew nie woda.

— Eji wykrętna to łasica — odpowiedział pan Pałowski. — Ukąsić, to ona może i potrafi, ale sama się z pomiędzy palców wywinie — i nie byle kto ją przychwyci. Taka to już przyrodzona cnota wielkiej krwi, że nie poddawać się, jeno panować i rządzić musi. Nie należę ja tam do takich, których łatwo za nos wodzić, a wszelako nieraz i ja jej ustąpię: Prawda, żem dązo Sienińskim powinien, ale choćbym nie był powinien, to, jak ci stanic przedemną, a pocznie warkocz z ramienia na ramię przekładać, a głowę przechylać, a spoglądać, najczęściej robi, co zechce. I jeszcze nieraz pomysle, jaki to zaszczyt i jakie błogostawieństwo Boskie, że ostatnie dziecko, ostatnia dziedziczka takiego rodu

pod moim dachem się znajduje... Bo przecie waćpan o Sienińskich wiesz... całe Podole było ich. Po prawdzie to i Daniłowicze, i Żółkiewscy, i Sobiescy z nich wyrosli... Król jegomość powinien o tem pamiętać — tembardziej, że z tych niezmiernych majątności nie prawie nie ostało — i że dziewczka, jeśli co będzie miała, to tylko to, co po mnie zostanie...

— A co krewni powiedzą?

— Pağowscy są jeno bardzo dalecy, którzy się nie wylegitymują. Wszelako nieraz nie daje mi spokoju myśl, że po mojej śmierci mogą być jakoweś trudności, procesy, zwady... jak to u nas zwykle. Chodzi mi zwłaszcza o krewnych żony, po której mam część majątności i tę oto właśnie Bełżączkę.

— Ja tam z procesem nie wystąpię, odrzekł uśmiechając się pan Grothus — ale za innych nie zaręczam.

— Otóż to! Otóż to... Myślałem właśnie w tych czasach jechać do Warszawy i samego króla prosić o opiekę nad sierotą w przyszłości, ale on ma teraz głowę czem innem zaprzątniętą.

— Żebyś tak waść miał syna, byłaby prosta rzecz dać mu dziewczkę...

Na to Pağowski spojrział na starostę Raygrodzkiego wzrokiem tak bolesnym, że ów urwał w połowie zdanie. Przez dłuższy czas milczeli obaj; poczem pan Gedeon rzekł przerywanym ze wzruszenia głosem:

— Mógłbym ci, panie bracie, powiedzieć z Wirgiliuszem: „infandum jubes renovare dolorem“... Tak... byłaby prosta rzecz... I powiem ci, że gdyby nie ta prosta rzecz, to byłbym może zezezł oddawna. Mój syn dzieckiem zagarnięty był przez Ordę. Trafiało się nieraz, że wracali ludzie z niewoli pogańskiej wtedy, kiedy i pamięć o nich zginęła... Lata całe czekałem

cuđu — lata całe żyłem tą nadzieją. Dziś jeszcze, kiedy podpisę, myślę sobie: a nuż! Bóg większy, niż spodziewanie ludzkie. Ale te chwile nadziei są krótkie, a ból jest długi, codzienny... Nie! Po co mam samego siebie zwodzić? Nie połączy się krew moja z krwią Sienińskich, a jeśli krewni rozdrapią moją fortunę, to i to ostatnie dziecko z rodu, któremu wszystko zawdzięczam, ostanie bez chleba na świecie!

Pili znów obaj w milczeniu. Pan Grothus rozmyślał, jakby załagodzić ból, który niechęący gospodarzowi zadał — i czemu go w strapieniu pocieszyć. Aż wreszcie przyszło mu coś do głowy, co przeczytał za bardzo szczęśliwy pomysł.

— Ej, — rzekł — na wszystko jest sposób: i waść, panie bracie, możesz dziewczynie kawałek chleba bez wszelakich przeszkód zapewnić.

— Jakiż to sposób? — zapytał z pewnym niepokojem pan Pągowski.

— Alboż to raz się trafia, że starzy ludzie biorą za żony niedorośle nawet dziewczki. Exemplam z historii wielki hetman Koniecpolski, którego starszym będąc od ciebie, zieloną jeszcze pannę poślubił. Prawdać i to, że zbyt wiele odmładzającej dryakwi spożywszy, zmarł w pierwszą noc po ślubie, ale ani pan Makowski, po-cillator wasz radomski, ani pan łowczy Rudnicki nie zmarli, choć obaj mieli po siedmdziesiątce... Waść też człek jary... Jeśliby Pan Bóg jeszcze pobłogosławił, to tem lepiej, a jeśli nie, to we wszelakim spokoju i dostatku młodą wdowę zostawisz, która wówczas wybierze sobie takiego męża, jakiego zechce.

Czy pana Pągowskiego przychodziły kiedy takie myśli do głowy, trudno powiedzieć, dość, że, wysłuchawszy słów starosty Raygrodzkiego, zmieszał się bardzo, drżącą nieco ręką nalał mioda staroście, przelał

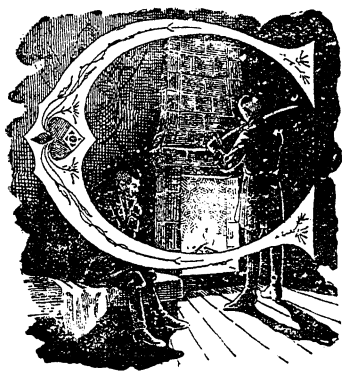
kubek, aż znaczny napitek zaczął ściekać po stole na podłogę, i rzekł:

— Napijmy się!... Za pomyślność oręcza chrześcijańskiego.

— To swoją drogą, — odpowiedział pan Grothus, idąc dalej za biegiem własnych myśli — a swoją drogą waść zastanów się nad tem, com powiedział — bo tak mi się widzi, żem utrafił.

— Ale co zaś! Gdzie tam co do czego! Napij się waść jeszcze.

Dalszą rozmowę przerwało im poruszenie krzesel przy większym stole. Pani Winnicka i panna Sienińska chciały się udać na spoczynek. Dźwięczny, jak srebrny dzwonek, głos panienki począł powtarzać: „dobranoc waćpanu, dobranoc waćpanu“ — potem dygnęła pięknie panu Grothusowi, pocałowała w rękę pana Pągowskiego, otarła się, jak kotka, czołem i noskiem o jego ramię i poszła. Cypryanowicz, Bukojemscy i Taczewski wyszli też zaraz za paniami. W izbie pozostali tylko dwaj starzy i gwarzyli długo, albowiem pan Pągowski kazał podać nowy gąsiorek jeszcze zaeniejszego miodu



zy to był czysty przypadek, czy figiel panienki — nie wiadomo, dość, że amieszczono w oficynie czterech panów Bakojemskich w jednej wielkiej izbie, a w drugiej, mniejszej, Cypryanowicza i Taczewskiego razem. Zmieszało ich to niepomału, więc, żeby do siebie nie gadać, poczęli zaraz pacierze i odmawiali je dłużej, niż zwykle. Jednakże, gdy je ukończyli, nastąpiło kłopotliwe mileżenie, które ciążyło obum, bo chociaż nie żywili dla się przyjaznych uczuć, czuli, że nie wypada się z tem zdradzać i że trzeba do czasu, a zwłaszcza w domu pana Pażowskiego, nadrabiać politykę.

Taczewski odpasał szablę, wydobył ją z pochwy, popatrzył na ostrze pod światło komina i począł ją chustką przecierać.

— Po mrozie — rzekł nawpół do siebie, nawpół do Cypryanowicza — zapoci się w ciepłej izbie i rdza odrazu gotowa.

— A zeszej nocy musiała dobrze zmarznąć — odpowiedział Cypryanowicz.

I rzekł to bez żadnej złośliwej intencji, dlatego tylko, iż przyszło mu na myśl, że Taczewski spędził istotnie ową noc na trzaskającym mrozie; lecz ów oparł zaraz koniec szerpentyny o podłogę i począł mu patrzeć bystro w oczy.

— Waś do tego pijesz, żem siedział na sośnie?

— Tak, — odrzekł z prostotą Stanisław — już-ci tam komina nie było.

— A co byłbyś na mojem miejscu uczynił?

Cypryanowicz chciał już odpowiedzieć: „to samo“ — ale że pytanie zadane było głosem ostrym, więc rzekł:

— A po co mam sobie nad tem głowę łamać, kiedy tam nie był.

Gniew mignął na twarzy pana Jacka, więc, żeby się pohamować, począł chuchać na szablę i wycierać ją jeszcze mocniej; wreszcie wsunął ją napowrót w pochwę i rzekł:

— Bóg zsyła przygody i szkody.

I błyszczące przed chwilą oczy przyoblekły mu się znów zwykłym smutkiem, bo wspomniał na jedynego przyjaciela, konia, którego wiley rozerwali.

Tymczasem drzwi się otwały i weszli ze dwóra czterej panowie Bukojemscy.

— Mróz zelżał i śniegi dymią — rzekł Mateusz.

— Będzie mgła — dodał Jan.

A wtem ujrzeli Taczewskiego, którego w pierwszej chwili nie spostrzegli.

— O! — zawołał, zwróciwszy się do Cypryanowicza Łukasz — to ty w takiej kompanii?

Wszyscy czterej wsparli się w boki i poczęli patrzyć wyzywającym wzrokiem na pana Jacka.

Ów zaś chwycił stołek i, wysunąwszy go na środek izby, obrócił nagłym ruchem ku panom Bukojemskim, poczem okraczył go jak konia, wsparł łokcie na poręczy, podniósł głowę i odpowiedział im również wyzywającym wzrokiem.

I w ten sposób tkwili naprzeciw siebie — on z szeroko rozstawionymi nogami, w swoich szwedzkich butach, oni zaś stojąc ramię przy ramieniu, ogromni, groźni i zaczepni.

Cypryanowicz widział, że zanosi się na kłótnię, ale zarazem chciał mu się śmiać. Mniemając też, że w każdej chwili potrafi zwadzie zapobiedz, pozwolił im tymczasem patrzeć na siebie.

— Ej, zuchwała jakaś sztuka! — mówił sobie, myśląc o Taczewskim — nie się jakoś nie konfunduje.

Tymczasem milczenie trwało dalej, zarazem nieznośne i śmieszne. Odczuł to i pan Jacek, albowiem pierwszy je przerwał:

— Siadajcie, mopankowie, — rzekł — nietylko przyzwalam, ale proszę.

Bukojemscy spojrzeli na siebie ze zdziwieniem, zmieszani niespodzianym zwrotem.

— Jakto? Cóż to? Co on sobie myśli?...

— Proszę, proszę!... — powtórzył Taczewski, wskazując na zydle.

— Stojem, bo nam się podoba — rozumiesz?

— Zbytek ceremonii.

— Jakich ceremonij? — krzyknął Łukasz. — Cóż to biskupa, czy senatora udajesz, ty — ty Pompejuszu jakiś...

Taczewski nie ruszył się z krzesła, tylko grzbietem począł mu drgać, jakby z nagłego śmiechu.

— A czemuś aćan zowiesz mnie Pompejuszem? — zapytał.

— Boś tego godzien.

— A może dlatego, żeś kiep?

— Bij, kto w Boga wierzysz! — zawołał Jan.

Lecz pan Jacek miał już widocznie też dosyć rozmowy, bo nagle poderwało go coś z miejsca i skoczył jak kot ka Bukojemskim.

— Słuchajcie, zawalidrogi, — rzekł zimnym jak stał głosem — czego wy odemnie chcecie?

— Krwi! — zawołał Mateusz Bukojemski.

— Nie wywiniesz się! — krzyknął Marek.

— Wychodź zaraz!... — dorzucił, chwytając się za bok, Mateusz.

Lecz Cypryanowicz wsunął się szybko między nich.

— Nie pozwolę! — zawołał. — To cudzy dom.

— Tak! — przyświadczył Taczewski — to cudzy dom i nie uczynię tego panu Pągowskiemu, abym was miał pod jego dachem popłatać, ale jatro znajdě was!

— To my cię jatro poszukamy! — huknął Mateusz.

— Szukaliście zaczepki, dawaliście okazje cały dzień — dlaczego? — nie wiem, bom was nie znał, ani wy mnie — ale przypłaciecie mi to, bo za moją obrazę, nie czterem, ale dziesięciu do oczu stanę.

— O wa! o wa! doś będzie jednego. Widać to, żeś o Bukojemskich nie słyszał — zawołał Jan.

Lecz Taczewski zwrócił się nagle do Cypryanowicza.

— Mówiłem o czterech — rzekł — ale może i wać — pan łączysz się z tymi kawalerami?

Cypryanowicz skłonił się grzecznie.

— Skoro waś o to pytasz...

— Ale my pierwsi i po starszeństwie. Od tego nie odstąpić. Obiecaliśmy ci ją i usieczem każdego, który ci w drogę wejdzie.

Taczewski spojrział bystro na Bakojemskich, w jednej chwili domyślił się, o co chodzi, i przybladł.

— To taki panie kawalerze? — rzekł znów do Cypryanowicza — to masz najmitów i za ich szablami się chowasz? A wiera, że to i pewnie, i przezpiecznie, ale czy po szlachecka i po rycerska, to inna rzecz! Tfa! w jakiej-żem się to znalazł kompanii.

Cypryanowicz, labo z natury duszę miał łagodną, usłyszawszy tak haniebny posąd, oblał się krwią, żyły wystąpiły mu na czoło, oczy poczęły ciskać błyskawicę zazgrzytał okropnie zębami i chwycił za rękojęść szabli.

— Wychodź! wychodź w tej chwili! — zawołał zdławionym przez gniew głosem.

Zabłyły szable i w izbie rozwidniło się od stali, na którą padał blask płonącego w kominie łączywa. Lecz trzech panowie Bakojemsey, skoczywszy między przeciwników, stanęli murem między nimi, czwarty zaś chwycił w ramiona Cypryanowicza i począł wołać:

— Staszka, na miły Bóg, pohamuj się! My pierwwej!

— My pierwwej! — powtórzyli inni.

— Paszczaj! — rzęził Cypryanowicz.

— My pierwwej!

— Paszczaj!...

— Trzymajcie Staszka a ja tymczasem się sprawię! — wołał Mateusz.

I, chwyciwszy za rękę Taczewskiego, począł go ciągnąć na stronę, ażeby zaraz zacząć, lecz ów ochłonał już, więc wyszarpnął dłoń, wbił szablę do pochwy i rzekł:

— Moja wola, kto pierwwej i kiedy! Zaczem wam mówię: jutro, i nie tu, jeno w Wyrąbkach.

— O nie wymigasz się. Zaraz! zaraz!

Lecz Taczewski skrzyżował ręce na piersiach.

— Ha! jeśli pod cudzym dachem chcecie mnie bez bitwy mordować, to dobrze.

Na to wściekłość porwała braci. Poczęli bić napiętkami o podłogę, szarpać wąsy i sapać jak niedźwiedzie.

Ale żaden nie śmiał się już porwać na Taczewskiego, aby hańby na się nie ściągnąć!

Ów zaś stał jeszcze czas jakiś, jakby czekając, czy ku niemu nie skoczą, wreszcie chwycił za magierkę, wtulił ją na czuprynę i rzekł:

— Tedy wam zapowiadam: jutro! Panu Pągowskiemu powiedzcie, że w goście do mnie idziecie — a pytajcie o drogę do Wyrąbek. Za strugą będzie Męka Pańska z czasów zarazy. Tam was w południe czekam... Bodaj was zabilo!

I ostatnie słowa wymówił jakby z żalem, poczem otworzył drzwi i wyszedł.

Na dziedzińcu opadły go pieski i, znając go dobrze, poczęły się do niego łąsić. On spojrzał mimowoli na słupki pod oknami, jakby szukając swego konia; przypomniał sobie, że go już niema na świecie, więc westchnął i, poczawszy chłodny powiew wiatru, rzekł sobie w duszy:

— Biednemu wiatr w oczy! Pójdę piechotą!...

A tymczasem w izbie młody Cypryanowicz łamał ręce z bólu, z gniewu i z okropną goryczą mówił do panów Bakojemskich.

— Kto was o to prosił? Najgłębszy wróg nie pograżył by mnie głębiej, niż wy, razem z waszą przysługą.

Oni zaś żalowali go bardzo — i poczęli go ścisnąć jeden po drugim.

— Staszka — mówił Mateusz. — Przysłali nam gąsiorek na noc do izby. Na Boga, pociesz się!...



zaro było jeszcze na świecie, gdy ksiądz Woynowski cłapał przez wysoki śnieg z latarką do swoich zajęcy, do gołębi i karopatw, które w spichlerku w osobnej zagrodzie hodował. Oswojona liszka, z dzwoneczkiem na szyi, szła za nim w trop, a obok niej szpie łaciasty i jeź, którego w ciepłej

księżej izbie nie zmorzył sen zimowy. Czwórka owa, przeszedłszy zwolna dziedziniec, zatrzymała się pod słomianym okapem spichlernym, z którego zwieszały się długie sopele lodu. Tam zakołysała się latarka, zaskrzypiał klucz w kłódce, szczęknął skobel, zaskrzypiały jeszcze moeniej od klucza drzwi i starsuszek wraz ze zwierzęty wszedł do środka. Po chwili, siadłszy na pieńku, postawił na drugim latarkę i, wzięwszy przed

się płócienną torbę z ziarnem i z pachnącemi piwnicą liśmi kapusty, począł, ziewając głośno, miotać je przed siebie na polepę.

Ale zanim jeszcze do tego się zabrał, z ciemnych kątów komórki przykicały zaraz trzy zające, a potem zamigotały w świetle latarki nakształt błyszczących paciorków oczka gołębi i rdzawych kurapatw, które przysunęły się zbitem stadkiem, kołysząc główkami na giętkich szyjach. Gołębie, jako śmielsze, wnet zaczęły kąc dziobkami w polepę, kurapatwy zaś zbliżały się ostrożniej, spoglądając to na padające ziarno, to na księdza, to na liszki, z którą opatrzyły się zresztą oddawna, bo, schwywane jeszcze latem pisklętami i hodowane od maleńkości, widywały ją codziennie.

Ksiądz zaś sypał wciąż ziarno, i zaraz mruczał pacierz poranny.

— Pater noster, qui es in coelis, sanctificetur nomen...

Tu przerwał i zwrócił się do liszki, która, opierając się o niego bokiem, dygotała, jakby ją febra trzęsła.

— A zawsze skóra na tobie drży, skoro je aj-rzysz... Codzień to samo... Naucz-że się przyrodzone żądze hamować, boć wikt masz zaeny i głodu nie cierpisz. Na czym-żem stanął?...

Tu przymknął oczy, jakby czekając na jakowąś odpowiedź, a że jej nie usłyszał, więc zaczął od początku:

— Pater noster, qui es in coelis, sanctificetur nomen Tuum, adveniat regnum Tuum...

I znów przerwał.

— Wijesz się, wijesz, — mówił, kładąc rękę na grzbiecie liszki... Taka już paskudna w tobie natura, że ci nietylko jeść, ale i mordować trzeba. Chwyć ją

Filaś za kity, a jeśli ci co niepolitycznego pod nos uczyni, to ją ugryź... Adveniat regnum Tuum... O taka córko! wiem, co byś odrzekła, że i człek libenter perdives manducat, ale to wiedz, że człek chociaż w post daje im spokój, a w tobie chyba sprośnego Lutra dasza siedzi, bo ty byś i w wielki piątek mięso żarła. Fiat voluntas Tua... Traś! traś! traś!... sicut in coelo — naści jeden z drugim jeszcze po kaczanie!.. et in terra...

I, tak mówiąc, rzucał głąbiki a następnie znów miotał ziarno, zrzędząc trochę i na gołębie, że choć wiosna jeszcze nieblizko, a one już coś nadto koło siebie zachodzą i depeą, i grachają. Wreszcie, gdy już torba wypróżniła się zupełnie, wstał, podniósł latarnię i zabierał się do wyjścia, gdy wtem na progu spiechrza ukazał się Taczewski.

— A! Jacuś — zawołał ksiądz — a ty tu co tak rano robisz?

Taczewski ucałował go w ramię i odrzekł:

— Do spowiedzi, dobrodzieju, przyjechałem, a wczasie rannej mszy chciałbym do Stołu Pańskiego przystąpić.

— Do spowiedzi? Dobrze, ale cóż ci tak przypiliło? Gadaj no zaraz, bo to nie bez kozery!

— Powiem szczerze. Mam się dziś pojedynkować, a że z pięciu mężami łatwiej o przygodę niż z jednym, więc chciałbym daszę oczyścić.

— Z pięciu mężami? Rany Boskie! a tyś im co uczynił?

— Ot właśnie, że im nie nie uczyniłem. Sami szukali zwady i sami mnie pozwali.

— Cóż to za jedni?

— Bakojemscy leśniczowie i Cypryanowicz z Jedlinki.

— To ja ich znam. Pójdź-że na plebanię, powiesz mi, jako co było.

I wyszli. Ale na środku obejścia ksiądz Woynowski zatrzymał się nagle, spojrział bystro w oczy Taczewskiego i rzekł:

— Słuchaj, Jacek, w tem jest mulier?

A ów uśmiechnął się smutno.

— I jest, i niema, — rzekł — bo w rzeczy o nią poszło, ale ona temu niewinna.

— Aha! niewinna! wszystkie one niewinne. A czy ty wiesz, co mówi Ekleziasta o niewiastach?

— Nie pamiętam, dobrodzieju.

— I ja nie pamiętam, ale czego sobie nie przypomnę, to ci w domu przeczytam. „Inveni (powiada) amariorem morte mulierem, quae laqueus (powiada) venatorum est et sagena cor ejus. I coś tam dalej powiada, ale w końcu mówi: qui placet Deo, effugiet illum, qui autem peccator est, capiatur (powiada) ab illa“. Ostrzegałem cię, nieraz i nie dziesięć razy, żebyś w tym domu nie przesiadywał — a teraz masz.

— Oj! łatwiej ostrzegać, niżli tam nie bywać — odpowiedział z westchnieniem Taczewski.

— Nie cię tam dobrego nie spotka.

— Pewnie — odrzekł cicho młody rycerz.

I szli ku plebanii w milczeniu, a ksiądz z twarzą stroskaną, bo kochał Jacka z całej duszy. Gdy po śmierci ojca, którego umarł z zarazy, młodzieńczyk pozostał sam na świecie, bez blizkich krewnych, bez mienna, na kilku chłopach w Wyrąbkach, staruszek otoczył go tkliwą opieką. Majątku dać mu nie mógł, bo, mając duszę anielską, rozdawał biednym wszystko, co mu uboga parafia przynosiła, ale jednakże skrycie mu pomagał, a przytem pilnował go, uczył — i to nietylko na książce, ale i sztuki rycerskiej. Był to bowiem swego

czasu zawołany żołnierz, jeden z przyjaciół i komilitonów sławnego Wołodyjowskiego, i czarniecczyk, który całą wojnę szwedzką odbył i dopiero po jej ukończeniu przywdział, wskutek pewnej okropnej przygody, suknię kapłańską. Pokochawszy Jacka, cenił w nim nietylko potomka znamienitego rycerskiego rodu, ale i duszę szlachetną i smutną, taką, jak była jego własna. Więc bolał i nad jego niezmiernem ubóstwem, i nad jego nieszczęsną miłością, z powodu której młodzian, zamiast szukać sławy i chleba na szerokim świecie, marniał w zapadłym wyciółku, prowadząc nawpół chłopskie życie. Stąd czuł pewną niechęć dla całego domu w Bełżączce, mając i to za złe panu Gedeonowi Pa-gowskiemu, że był dla kmieci przyostry.

On zaś miłował owych „robaków ziemnych“ jak źrenicę oka — ale prócz nich kochał także wszystko, co żyje na świecie: i te zwierzęta, na które zrzędził, i ptaki, i ryby, a nawet i żabi naród, który rechoce i kumka latem w przygrzanych słońcem wodach.

Jednakże w tej kapłańskiej sukni chodził nietylko anioł, ale i dawny żołnierz, więc, gdy teraz dowiedział się, iż Jacek ma się z pięciu mężami potykać, myślał już tylko o tem, jak się też młodzian popisie i czy wyjdzie ze sprawy bez szwanku.

Zatrzymał się przeto jeszcze przy samych drzwiach plebanii i rzekł:

— Ale się przecie nie dasz? Bo, com sam umiał i co mi Wołodyjowski pokazał, tegom ci nie ukrywał.

— Nie chciałbym, by mnie na śmierć asiekli, — odpowiedział skromnie Taczewski — bo idzie wielka wojna z Tarczynem.

Na to zaświeciły jak gwiazdy oczy staruszka, w jednej chwili chwycił Jacka za pętlę od kabranka i począł pytać:

— Pochwalone imię Pańskie! Skąd wiesz? kto ci mówił?

— Pan starosta Grothas — odpowiedział młodzieniec.

Długo trwała rozmowa Jacka z księdzem, długo spowiedź przede mszą, a gdy wreszcie znaleźli się obaj po mszy na plebanii i zasiedli do piwnej polewki, staruszkowi wciąż jeszcze nie schodziła z myśli wojna z pogany i począł z tego powodu narzekać na zepsucie obyczajów i na upadek pobożności w Rzeczypospolitej:

— Mój Boże, — mówił — toć że to pole chwały i zbawienia otwarte... a wy wolicie prywatnych spraw dochodzić i wzajem się szcerbić. Mogąc krew przelewać w obronie krzyża i wiary, gotowicie bratnią przelewać. I dla kogo? dla czego? dla uraz prywatnych, albo dla niewiast i tym podobnych marności światowych. Wiem ci ja, że w Rzeczypospolitej stary to nałóg — i mea culpa, bom za czasów grzesznej i płochej młodości sam mu podlegał. Na leżach zimowych, gdy wojska jeno próżniactwem i pijaństwem zajęte, niemasz dnia bez pojedynków, ale przecież i Kościół je karci, i prawo ich broni. Grzech też to jest zawsze, a przed wojną tareką grzech tem większy, bo tam każda szabla potrzebna i każda wierze prawdziwej i prawdziwemu Bogu służy. Dlatego to król nasz, któren jest defensor fidei, nienawidzi pojedynków, a wobec nieprzyjaciół, w polu, gdy prawo wojenne sprawuje, to i surowo za nie karze.

— Król też w młodości nie jeden i nie dwa odbył pojedynki — odpowiedział Taczewski. — Wreszcie cóż robić, ojeze wielebny? Nie ja przecież pozwalałem, ale mnie pozwano. Zali mogę nie stanąć?!

— Prawda, nie możesz! i dlatego też smaci się dusza moja. Ha! Bóg będzie przy niewinności.

Taczewski począł się żegnać, bo do południa nie było więcej jak dwie godziny, a drogę miał przed sobą znaczną.

— Czekał-że — ozwał się ksiądz Woynowski. — Tak cię przecie nie puszcze. Każę czeladnikowi sanie z drabkami wymościć słomą i podjechać ku pobojowisku. Bo jeśli u Pałowskiego nie o pojedynku nie wiedzą, to i pomocy nie poślą, a jakoż będzie, jeśli który z tamtych, albo i ty ciężką ranę poniesiesz? Pomyślałeś o tem?

— Nie pomyślałem, a pewnie i tamci też nie pomyślą.

— A widzisz! Pojadę i sam, ale na placu nie będę, jeno się w Wyrąbkach u ciebie zatrzymam. Wiatyk i chłopca z dzwonkiem też wezmę, bo kto wie, co się może zdarzyć. Nie przystoi, nie przystoi duchownemu być świadkiem takich rzeczy, ale gdyby nie to, chętnie bym tam był, choćby dlatego, żeby i tobie ducha dodać.

A Taczewski spojrział na niego swemi słodkimi jak u dziewczyny oczyma.

— Bóg zapłać, — rzekł — ale ja ducha nie tracę, bo choćby przyszło nałożyć głowę, to...

— Mileżałbyś lepiej — przerwał ksiądz. — A nie żałby ci to było na Turka nie iść — i sławniejszą śmiercią nie ginąć?

— Prawda, dobrodzieju, postaram się też, aby mnie te ludojady odrazu nie połknęły.

Lecz ksiądz Woynowski zamyślił się przez chwilę poczem rzekł:

— Ale gdybym tak pojechał na miejsce i przedstawił im, jaka nagroda może ich spotkać w niebie, jeśli z pogańskiej ręki zginą, możeby cię zaniechał?

— Niechże Bóg broni! — zawołał żywo Jacek. Myśleliby, że z mojej namowy. Niechże Bóg broni! Lepiej mi zaraz jechać, niż takich rzeczy słuchać.

— Ha! to niema co! Jedziem!—rzekł ksiądz.

I zawoławszy czeladnika, wydał mu rozkaz, by zakładano co ładu do sani, poczem obaj z Taczewskim wyszli z plebanii, aby osobiście pomagać w zaprzęganiu.

Lecz na podwórzu staruszek na widok konia, na którym pan Jacek przyjechał, aż cofnął się ze zdumieniem i zawołał:

— W imię Ojca i Syna, a tyś skąd wziął takiego chmyza.

I rzeczywiście pod płotem stała z nisko zwieszonym i obrośniętym na szczękach łbem poszerzeniała szkapina, niewiele większa od rostej kozy.

— Od chłopca pożyczylem—odpowiedział Taczewski. Ot, jakbym na wyprawę turecką jechał...

I począł się śmiać z bolesnym przymusem.

A na to ksiądz:

— Mniejsza, na jakim pojedziesz, byleś na tureckim wrócił, co daj ci Boże, Jacuś, ale tymczasem przelóż kulbakę na mego podjezdka, bo tak się nie można tamtej szlachcie prezentować.

Poczem przyładzili jeszcze co potrzeba i ruszyli: ksiądz, chłopak kościelny z dzwonkiem i woźnica na saniach a Taczewski konno. Dzień był chmurny i nieco mglisty, albowiem na świecie uczyniła się odwilż. Śnieg leżał na zmarzniętej ziemi, ale zwierzeha zmiękł znacznie, tak, że kopyta końskie pograżyły się w nim bez odgłosu a płozy cicho sunęły po równej drodze. Zaraz za Jedlnią spotkali kilkanaście fur z drzewem a przy nich chłopów idących pieszo, którzy klękali na odgłos dzwonka, mniemając, że ksiądz jedzie gdzieś z Panem Bogiem do konającego. Potem zaczęły się przedlesne pola, przysłonięte mgłą, pastę, białe, nad którymi przeciągały stada wron. W miarę jak zbliżali się ku lasom, mgła gęstniała coraz bardziej, toczyła się do-

żem, napełniała przestrzeń i szła ku górze, tak, że po pewnym czasie słyszeli nad sobą krakanie, ale nie mogli dojrzeć ptastwa. Przydrożne krze wyglądały jak dachy. Świat stracił zwykłą rzeczywistość i zmienił się w jakąś krainę niepewną, obłądną, z zatartem, majaczącym po- bliżem i zupełnie niewiadomą dalą.

Jacek jechał na podjezdka po cichych śniegach, rozmyślał o czekającej go bitwie, a więcej jeszcze o pannie Sienińskiej, i tak nawpół do siebie, nawpół do niej przemawiał w duszy: „Moje kochanie dla cię zawsze jednakie, jeno żadnej radości w sercu z niego nie mam. Ej! po prawdzie mało ja jej miałem i przedtem. A teraz, gdybym to choć te twoje nożyny mógł objąć, albo dobre słowo od ciebie usłyszyć, albo choć wiedzieć, że pożałujesz, jeśli mnie spotka przygoda, ale to wszystko jest jako ta mgła... i tyś sama jakoby za mgłą i nie wiem, co jest, i nie wiem, co będzie, ni co mnie spotka, ni co się stanie — nie nie wiem.“

I poczuł Jacek, że wielki smutek osiada mu na duszy, jak wilgoć osiadła na jego ubrania, więc westchnął głęboko i rzekł:

— Ale już wolę, że się to raz skończy!

A księżda Woynowskiego również niewesołe opadły myśli. „Nabiedowało się chłopczysko, — mówił sobie— młodości nie użyło, nagryzło się z powodu tych nieszczęśnych amatorów, a teraz co? Jeszcze mi go te zabijaki Bakojemscy usieką. Niedawno w Kozienicach poszczerbili po odpaście pana Korzybskiego... A choćby mi Jacka nie usiekli, to też nic dobrego z tego nie wypadnie. Mój Boże! dyć to chłop jako najszczerze złoto—i z wielkiego rycerskiego rodu ostatni odzimek, ostatnia żywiąca kropla krwi... Żeby się choć teraz przypilnował... w Bogu nadzieja, że nie zapomniał tych dwóch ciosów — jednego mylnego pod zastawę z usko-

czeniu w bok, drugiego, — z młyńca przez policzek... Jacku!...

Lecz Jacek nie dosłyszał, bo był naprzód odjechał, a starszek nie powtórzył wołania. Owszem, stropił się bardzo, gdyż przyszło mu na myśl, że nie wypada duchownemu, który jedzie z sakramentami, o takich rzeczach rozmyślać. Począł się tedy kruszyć i przeproszać pana Boga.

Alé na duszy było mu coraz ciężej. Opanowało go nagle złe przecucie, które zmieniło się niemal w pewność, że ten dziwny pojedynek, bez świadków, skończy się jaknajgorzej dla Jacka.

Tymczasem dojechali do poprzecznej drogi, która w prawo szła do Wyrąbków, w lewo Bełczączi. Woźnica, jak miał rozkaz, stanął. Taczewski przysnął się do sani i zeskoczył z podjezdka.

— Pójdę pod figurę piechotę, — rzekł — bo nim sanie Jegomości odwiozą i ku nam wrócą, niewiedziałbym co z koniem uczynić. Oni tam może już są.

— Jeszcze niema południa, ale blisko — odpowiedział ksiądz zmienionym nieco głosem. A jaka mgła! Po omacku będziecie się bili.

— Ej, dość widać!

Krakanie niewidzialnych wron, czy kruków znów ozwało się nad ich głowami.

— Jacku! — rzekł ksiądz.

— Słucham.

— Bo skoro już ma do tego przyjść, to pamiętaj na rycerzy z Taczewa.

— Nie powstydzą się mnie, ojeze — nie!

Jakoż starszek zauważył, że rysy młodzieńca jak gdyby stwardniały, a oczy nie pozbyły się wprawdzie smutka, ale nie miały już takiej dziewczęcej słodyczy jak zwykle.

Więc rzekł:

— To dobrze, ale klęknij, to cię przeżegnają i sam się przeżegnaj przed samem rozpoczęciem.

To rzekłszy, nakreślił palcami znak krzyża na głowie Jacka, który ukląkł na śniegu.

Następnie przywiązał podjezdka za saniami obok chmyza, ucałował rękę księdza i poszedł w stronę Bełżączki.

— A wracaj mi zdrowo! — zawołał za nim ksiądz

Pod krzyżem nie było jeszcze nikogo. Taczewski obszedł kilka razy figurę, poczem siadł na kamieniu leżącym u jej podstawy i czekał.

Naokół panowała ogromna cisza; tylko wielkie, podobne do łez krople, utworzone z wilgotnej mgły, spadając z ramion krzyża, uderzały z cichym szelestem o miękki śnieg. Ta cisza pełna jakowegoś smutku, i ta mglista pustka zapełniły nową falą żalu serce Jacka. Poczul się tak samotny jak nigdy dotąd: „Prawdziwie jestem ci jako ten kołek na świecie! — rzekł sobie — i taka też będzie dola moja aż do śmierci.“

I machnął ręką.

— To też niech się raz skończy!

I z coraz większą goryczą myślał, że przeciwnikom nie pilno, bo im weselej, bo oto siedzą sobie teraz w Bełżączce: rozmawiają z „nią“ i mogą na „nią“ patrzeć dowoli.

Ale mylił się, bo im było także pilno. Po chwili doszedł go gwar głośnej rozmowy i w białawym tamacie zamajaczyły cztery ogromne postacie Bakojemskich i piąta, mniejsza, Cypryanowicza.

Rozmawiali tak głośno dlatego, że kłócili się o to, który pierwszy ma się rąbać z Taczewskim. Bakojemscy swarzyli się zresztą zawsze i o wszystko między sobą, ale tym razem spór szedł z Cypryanowiczem, który

dowodził, że będąc najciężej obrażony, koniecznie powinien przed nimi stanąć. Umilkli dopiero na widok krzyża oraz stojącego pod nim pana Jacka i uchylili czapek, niewiadomo, czy przez uszanowanie dla Męki Pańskiej, czy dla powitania przeciwnika.

Taczewski skłonił im się w milezeniu i dobył szabli, ale serce poczęło mu w pierwszej chwili bić niepokojnie w piersi, albowiem było ich przecie pięciu przeciw jednemu, a przytem Bakojemscy wyglądali po prostu strasznie: chłopy duże, barczyste, o wosach jak miotły, na których mgła osiadła siwą rosą i o brwiach namaszczonech,— w twarzach mieli jakąś ponurą, zbójcką radość, jakby cieszyli się ze sposobności do rozlania krwi ludzkiej.

— Po co ja kładę zdrową głowę pod ewangelię?— pomyślał Jacek.

Lecz po owej chwili niepokoju, poczęło go ogarniać oburzenie na tych odjów, których prawie nie znał i którym nie uczynił żadnej krzywdy a którzy, Bóg wie dlaczego, przyczepili się do niego i oto teraz przyszli nastawać na jego życie.

Więc w duszy tak do nich przemówił:

— Czekajcie — że, zawalidrogi. Przynieśliście tu i swoje głowy!

I policzki zakwitły mu, a zęby zacisnęły się z gniewu. Oni tymczasem poczęli zrzucać opończe i zawijać rękawy u żupanów, co czynili niepotrzebnie wszyscy odrazu, ale czynili dlatego, że każdy myślał, iż od niego się rozpocznie. Wreszcie stanęli rzędem, już z gołemi szablami, a Taczewski, postąpiwszy ku nim, stanął również i patrzyli na się w milezeniu.

Przerwał je Cypryanowicz:

— Ja pierwszy służę waćpanu.

— Nie! Ja pierwszy, ja pierwszy!—powtórzyli razem Bakojemscy.

I gdy Cypryanowicz wysunął się naprzód, tamci pochwycili go zaraz za łokcie. Poczęła się znów kłótnia, w której Cypryanowicz wymyślał im od hajdamaków, a oni jemu od gładyszów, sobie zaś wzajem od psubratów. Zgorszył się nią niezmiernie pan Jacek i rzekł:

— Takich kawalerów w życiu-m jeszcze nie widział. I zasunął szablę do pochwy.

— Wybierzcie, bo odejdę! — rzekł podniesionym twardym głosem.

— Wybierz ty sam!—zawołał Cypryanowicz, w nadziei, że wybór na niego padnie.

Mateusz Bakojemski począł krzyczeć, że na to nie pozwoli, by lada chłystek miał nimi rozporządzać i krzyczał tak, że aż przednie zęby, które miał przydługie, jak u zająca, błyskały mu z pod wąsów; ale umilkł, gdy Taczewski wydobywszy znów szablę, wskazał go jej krzywcem i rzekł:

— Aćana wybieram.

Pozostali bracia wraz z Cypryanowiczem usnęli się też zaraz, widząc, że nigdy do ładu nie dojdą, tylko oblicza im posmatniały, albowiem, znając siłę Mateuszową, byli niemal pewni, że nie zostanie im nic po nim do roboty.

— Poczynajcie! — rzekł Cypryanowicz.

Taczewski odezwał także siłę przeciwnika, zaraz przy pierwszym złożeniu, bo aż szabla zadrżała mu w dłoni, odbił jednak cięcie, odbił drugie, po trzecim zaś rzekł sobie w duszy:

— Nie tak ci on sprawny, jak mocny.

I przykucawszy nieco dla lepszego skoku, natarł z impetem.

. Inni bracia, pospuszczawszy końce szabel ku dołowi, śledzili z otwartymi ustami przebieg walki, poznali bowiem, że i Taczewski „zna się na rzeczy“ i że nie będzie z nim tak łatwo. Po chwili pomyśleli, że zna się nawet bardzo dobrze i ogarnął ich niepokój, gdyż, pomimo ciągłych kłótni, miłowali się niezmiernie między sobą. To jednemu, to drugiemu, okrzyk: ha! wyrwał się z piersi przy każdym tęższem cięciu. A tymczasem cięcia stawały się szybsze, podobne do błyskawic. Taczewski nabierał widocznie coraz więcej pewnością siebie. Był spokojny, ale skakał jak żbik i z oczu szły mu skry złowrogie.

— Żle — pomyślał Cypryanowicz.

A wtem rozległ się krzyk, szabla Mateusza zwiśla, a on podniósł obie ręce do twarzy, która w jednej chwili zalała się całkiem krwią—i runął na ziemię.

Ryknęli jak byki na ów widok młodszy bracia, i w mgnieniu oka rzucili się z wściekłością na Jacka, nie z tym zapewne rozmysłem, żeby go razem we trzech napaść, ale dlatego, że każdy chciał pierwszy pomścić najstarszego.

I byliby go może roznieśli na szablach, gdyby nie Cypryanowicz, który, skoczywszy mu na pomoc, krzyknął co głosu w piersiach:

— Hańba! Precz! Zbójce, nie szlachta! Hańba! precz! To i ze mną, zbójce! precz!

I począł się wręcz z nimi ścinać, póki się nie opamiętali. Tymczasem Mateusz przypodniósł się na rękach i zwrócił ku nim oblicze pokryte jakby maską krwi, więc Jan chwycił go pod pachy i posadził na śniegu, Łukasz pośpieszył mu również na pomoc.

A Taczewski posunął się do zgrzytającego zębami Marka i jął powtarzać prędkim głosem, jakby w obawie, żeby spólny napad nie powtórzył się po raz drugi:

— Proszę! proszę!

I szable zaszezękały znów złowrogo. Ale z Markiem, który o ile jeszcze był silniejszy, o tyle mniej zręczny, małą Taczewski miał robotę. Marek śmigał ogromnem szablikiem, jak cepem—więc pan Jacek zaraz w trzecim złożeniu ciął go w prawy obojczyk, przeciął kość i obezwładnił.

Poznali teraz i Łukasz, i Jan, że zdarzył im się „casus“ wielce paskudny i że ten chudy młodzieńczyk jest w istocie rzeczy osą, której lepiej było nie drażnić. Ale z tem większą zapaleczywością, stanęli z nim do walki, która skończyła się dla nich równie źle jak dla starszych; albowiem Łukasz, cięty przez policzek aż do dziąseł, przewróciwszy się z wielkim impetem, potłukł się w dodatku o kamienie ukryte pod śniegiem, a Janowi, lubo najbiegłyszemu z braci, szabla wraz z palcem upadła po chwili na ziemię.

Taczewski nie drażnięty, patrzył teraz na swoje dzieło jakby ze zdziwieniem — i owe skry, które przed chwilą błyszczały mu w źrenicach, poczęły stopniowo gasnąć. Lewą ręką poprawił magierkę, która zsanęła mu się cokolwiek na prawe ucho podczas walki, poczem zdjął ją całkiem, odetchnął głęboko raz i drugi, zwrócił się do krzyża i rzekł nawpół do Cypryanowicza, nawpół do siebie:

— Bóg mi świadek, że ja nie winien.

— A na to Stanisław Cypryanowicz:

— Moja kolej teraz, aleś waćpan zziajany, to może wypoczniesz, a ja tymczasem poprzykrywam opończami towarzyszków, aby ich zamróz nie chwycił, nim pomoc przyjdzie.

— Pomoc blisko, — odpowiedział Taczewski — bo tam we mgle stoją sanie z drabkami, które podesłał ksiądz Woynowski, a sam jest u mnie. Pozwól waćpan,

że pójdę po sanie, na których ichmościom będzie lepiej niż na śniegu.

I odszedł, a Cypryanowicz zabrał się tymczasem do okrywania Bukojemskich, którzy siedzieli ramie przy ramieniu w śniegu z wyjątkiem Jana, ten bowiem, najlżej ranny, klęczał przed Mateuszem i, trzymając prawą dłoń do góry, aby krew zbyt nie uchodziła z odciętego palca, lewą obmywał śniegiem oblicze najstarszego.

— Jakże wam? — zapytał Cypryanowicz.

— A pokąsał nas, taki syn,—odpowiedział Łukasz, wypławając obficie krew — ale się jeszcze pomścimy.

Całkiem ręką nie władnę, bo mi kość nadwyrężył, — dorzucił Marek. Oj, pies!... Oj!

— A Mateusz nade brwiami cięty — rzekł Jan. — Trzebaby chlebem z pajęczyną ranę założyć, ale tymczasem i śniegiem tamuję.

— Żeby nie to, że mi ślepie zalało... — ozwał się Mateusz — byłbym...

Lecz nie mógł dokończyć, bo osłabł z utraty krwi — przerwał mu Łukasz, którego porwała nagła złość:

— A chytra, psiakrew,—rzekł—bo patrzy jak pan-na, a dżga jak gad.

— Tej chytrości właśnie ma nie daruję!—zakrzyknął Jan.

Lecz dalszą rozmowę przerwało im parskanie koni. We mgle zamajaczyły sanie, poczem stanęły tuż przy Bukojemskich. Z sani wyskoczył Taczewski i kazał woźnicę złązić.

Chłop spojrział na Bukojemskich, obrzucił bystrem spojrzeniem Taczewskiego i Cypryanowicza, i nie ozwał się ani słowem, tylko na twarzy odbiło mu jakby zgorszenie i, odwróciwszy się na chwilę do koni, przeżegnał się.

Poczem we trzech zaczęli podnosić rannych i przenosić ich na opończy. Bukojemscy protestowali zrazu

przeciw udziałowi pana Jacka w tych przenosinach, ale ów rzekł im:

— A gdybyście waćpanowie mnie usiekli, zali zostawilibyście mnie bez pomocy? Toć to szlachecka usługa, której nie godzi się nie oddać, ani też nie przyjąć.

Więc umilkli, bo ich nieco ujął temi słowy — i po chwili legli wygodnie w obszernych drabkach na słomie, gdzie zaraz uczyniło im się ciepłej.

— Dokąd jechać? — zapytał chłop.

— Czekaj. Wezmiesz jeszcze jednego — odpowiedział Cypryanowicz.

I zwróciwszy się do Jacka:

— No! moiści panie! — rzekł — czas i nam.

Lecz Taczewski spojrział na niego niemal przyjaznym wzrokiem.

— Ej! lepiej nam się zaniechać. I tamto Bóg wie, dlaczego się przygodziło, a waćpan stanąłeś przy mnie, gdy ci ichmościowie kupą na mnie natarli. Po co my się mamy bić?

— Będziemy i musimy — odparł zimno Cypryanowicz. Waćpan mi hańbę zadałeś, a gdybyś i nie zadał, to teraz idzie o moją reputację — rozumiesz? Choćbym miał gardło dać, choćby to miała być ostatnia moja godzina — musimy się bić!

— Ha! niechże i tak będzie, ale to przeciw mojej woli! — odpowiedział Jacek.

I poczeli się ścinać. Cypryanowicz, lubo mniej silny od Bukojemskich, był jednakże od nich bieglejszy. Znać było, że czyli go lepsi mistrze, i że praktykował nietylko po jarmarkach i zajazdach. Nacierał roztropniej, a odbijał ściślej i umiejętniej. Taczewski, w którego sercu nie było już żadnej zawziętości i który wolałby był poprzestać na nauce danej panom Bukojemskim, począł go chwalić.

— Z waćpanem zgoła inna rzecz — ozwał się. — Nie byle kto waści układał.

— Szkoda, że nie waćpani! — odpowiedział Cypryanowicz.

I uradował się podwójnie, naprzód z pochwały, a powtóre z tego, iż odpowiedział, albowiem na rozmowę w czasie walki pozwalali sobie tylko najzawołańsi rębacze, a grzeczna rozmowa uważana była przytem za szczyt dworności. Wszystko to podnosiło Cypryanowicza we własnych oczach.

Natarł więc znów z dobrą otuchą. Wszelako, po kilku jeszcze złożeniach, musiał uznać w duszy wyższość przeciwnika. Taczewski odbijał jakby od niech, cenia, ale z największą łatwością — i w ogóle zachowywał się tak, jakby chodziło nie o pojedynek, ale o szermierkę dla wprawy. Widocznie pragnął przekonać się co też Cypryanowicz umie i o ile wyższy jest od Bukojemskich, a zbadawszy tę rzecz dokładnie, był już zupełnie sobie pewny.

Zrozumiał to i pan Stanisław, a przeto i radość jego znikła i począł atakować goręcej. A wtem Taczewski skrzywił się, jakby już miał dosyć zabawy, odbił cios zwany „mylnym“ — i natarł a po chwili uskokzył w bok.

— Dostałeś waści! — rzekł.

Cypryanowicz poczuł istotnie jakby zimno w ramieniu ale rzekł:

— Nie mi! Dalej!

I przyciął znów, lecz w tej chwili koniec szabli Taczewskiego roztworzył mu dolną wargę i skórę na brodzie. Pan Jacek uskokzył po raz wtóry.

— Broczysz! — rzekł.

— Nic i to!

— Jeśli nie, to chwała Bogu! — odparł Taczewski — ale ja mam już dość, a do waści rękę wyciągam. Waćpan prawdziwie po kawalersku stawałeś.

Cypryanowicz, podniecony bardzo, ale zarazem ujęty słowami pana Jacka, stał przez chwilę, jakby wahając się, czy ma dać pokój, czy nacierać dalej — wreszcie jednak schował szablę do pochwy i wyciągnął dłoń.

— Niechże i tak będzie. Co prawda, to i broczę, jak się patrzy.

To rzekłszy, dotknął lewą ręką brody i począł spoglądać jakby ze zdziwieniem na krew, która poplamiała mu obficie dłoń i palec.

— Trzymaj śnieg na ranie, bo spachnie! — rzekł pan Jacek — i chodź do woza.

To rzekłszy, wziął go pod ramię i poprowadził do Bukojemskich, którzy spoglądali na niego w mileczeniu, nieco zdziwionym, a zarazem osowiałym wzrokiem. Pan Jacek budził w nich teraz rzetelny szacunek, nie tylko jako mistrz w szable, ale jako kawaler „górných manier,” takich właśnie, jakich im brakło.

Więc, dopiero po chwili, Mateusz zwrócił się do Cypryanowicza:

— Jakoż ci jest Stachu?

— Dobrze. Mógłbym i piechotą pójść, ale wolę na saniach, bo będzie prędeej.

A Taczewski przysiadł się bokiem przy nim i zawołał na woźnicę:

— Do Wyrąbek!

— Dokąd? — zapytał Cypryanowicz.

— Do mnie. Nie będzie tam waszmościom wygodnie, ale trudno. W Bełżączce postrachałyby się niewiasty, a u mnie jest ksiądz Woynowski, który waściów opatrzy, bo się na ranach zna wybornie. Po konie waszmościów można posłać, a potem uczynicie co zech-

cecie. Księdza też uproszę, żeby pojechał do Bełżączki i oznajmił ostrożnie, co się stało.

Tu zamyślił się pan Jacek, a po chwili rzekł:

— Oj! nie przedtem była bieda, ale teraz będzie bieda... Bogdaj-że waszmościów, żeście się tego pojedynku naparli.

— Prawda! napieraliśmy się — odrzekł Cypryanowicz. — To ja poświadczę i panowie Bukojemscy poświadczą.

— Poświadczym, choć mi ramię okratnie dolega — ozwał się stękając nieco Marek. — Oj! toś nas waćpan afetował, niech cię kule biją.

Do Wyrąbek nie było daleko. Wkrótce też wjechali w opłotki, wśród których spotkali brnącego w śniegu księdza Woynowskiego; ów bowiem, niespokojny o to, co się stanie, nie mógł już dłużej wysiedzieć i wyszedł naprzeciw.

Taczewski zeskoczył na jego widok z sani, a ksiądz posunął się też żywiej ku niemu, a widząc, że zdrow i cały, zawołał:

— No, co tam?

— A przywożę ichmościów — odpowiedział Jacek.

Twarz staruszka rozjaśniła się na chwilę, ale spoważniała zaraz, gdy na saniach dostrzegł umazanych krwią Bukojemskich i Cypryanowicza.

I aż klasnął w dłonie.

— Wszystkich pięcia! — zawołał.

— A pięcia!...

— Obraza Boska!

Poczem do rannych:

— Jakże waściom?

Oni pokłonili mu się czapkami, prócz Marka, który, mając przecięty obojezyk, nie mógł nietylko prawą, ale i lewą ręką poruszać. Więc tylko stęknął i rzekł:

— Ha, godnie nas opieprzył, niema co!

— Nie to! — ozwali się inni.

— W Bogu nadzieja, że nie — odpowiedział starszek. — Do domu teraz! Do domu jaknajprędzej! Wnet się was opatrzy.

I kazał ruszać saniom, sam zaś poszedł za nimi z Taczewskim tak pospiesznie jak tylko mógł. Na chwilę jednak zatrzymał się, radość zamigotała mu znów w twarzy, nagle objął za szyję Taczewskiego i rzekł:

— Jacuś! niech-że cię uściskam. A to pełne sannie ich przywiózł, jak snopów!

Taczewski zaś pocałował go w rękę i odpowiedział:

— Sami cheieli, dobrodzieja.

A ksiądz położył mu jeszcze dłoń na głowie, jakby chcąc go pobłogosławić, ale wnet się pomiarkował, że sukni nie przystoi, więc spojrział sarowiej i rzekł:

— Jeno nie myśl, że ci to pochwalam. Twoje szczęście, że sami cheieli, ale zgorszenie jest!

I weszli na podwórze, poczem Jacek skoczył ku saniom aby wraz z woźnicą i jedynym czeladnikiem, jakiego posiadał, pomódz rannym do wysiadania.

Ale oni wysiedli bez pomocy, z wyjątkiem Marka, któremu trzeba było ramię podtrzymać — i po chwili znaleźli się w izbie. Słoma tam była już przygotowana, a nawet i łóżko Taczewskiego, pokryte białą, trochę wytartą, skórą końską i z wojłokiem pod głowę. Na stole, przy oknie, widać było chleb, zagnieciony z pajęczyną, wyborny do tamowania krwi i równie wyborne balsamy księdza Woynowskiego „do gojenia.“

Starszek, zdjawszy satanę, zabrał się wraz do opatrywania ran, z całą wprawą starego żołnierza, który ich tysiące w życiu widział i który z długoletniej praktyki znał się na opatrunku lepiej od niejednego

medyka. Prędko też poszło, bo, nie licząc Marka, inni lekko tylko byli poszczerbieni. Obojczyk Markowy dłuższej znacznie wymagał roboty, ale gdy wreszcie i on został zestawiony, odetchnął ksiądz Woynowski i zataił ubabrane ręce.

— No?—rzekł—dzięki Panu Jezusowi, odbyło się bez ciężkiej przygody. Pewnie się też waszmościowie lepiej zaraz czujecie.

— Pię się chce!—odrzekł Mateusz Bakojemski.

— Nie zaszkodzi! Każ, Jacku, przynieść wody.

Lecz Mateusz aż przypodniósł się na słomie.

— Jakto wody?—zapytał złamanym głosem.

A Marek, leżąc na wznak na Jackowem łóżku i stękając nieco, ozwał się niespodzianie:

— Ksiądz dobrodziej chce pewnie ręce umyć.

Na to Jacek spojrział z prawdziwą rozpaczą na księdza, a ów począł się śmiać i rzekł:

— Oto szczerzy żołnierze! Można też i wina, można, ale niewiele.

Lecz Taczewski zaciągnął go za rękaw do alkierza.

— Dobrodzieju,—szepnął—co ja pocznę! W śpiżarni pastki, w piwnicy pastki, ja sam coraz to pasa dociskam. Co ja im dam!

— Jest! jest!—odszepnął starszek.—Wyjeżdżając, dałem dyspozycję i już przywieźli, a jak nie starczy, to poproszę u piwowarów w Jedni... Dla siebie niby, oczywiście... dla siebie... Każ-że im dać zaraz po szklanicy, aby się zaś pocieszyli po przygodzie.

Usłyszawszy to Jacek, zawinął się prędko i wkrótce panowie Bakojemscy zaczęli się pocieszać wzajemnie. Wzrastała też z każdą chwilą i ich życzliwość dla Jacka:

— Biliśmy się, bo to się każdemu trafi, — mówił Mateusz — ale ja zaraz pomyślałem, że waśc godny kawaler.

— A nieprawda, bom ja to pierwszy pomyślał — ozwał się Łukasz.

— Tyś pomyślał? Albo to potrafisz coś pomyśleć?

— A właśnie myślę, żeś kiep, więc potrafię, ale mnie gęba boli.

I poczynali się już kłócić. Ale tymczasem w oknie zaczerniał jeździec na koniu.

— Ktoś przyjechał — rzekł ksiądz.

Jacek poszedł zobaczyć kto i po chwili powrócił stropiony.

— Pan Pagowski przysłał czeladnika, — rzekł — kazał powiedzieć, że czeka z obiadem.

— Niech-że go sam zje — ozwał się Jan.

— Co mu rzec? — zapytał Jacek, patrząc na księdza.

— Najlepiej prawdę — odrzekł starszek. — Ale to już lepiej ja sam powiem.

I wyszedł do pacholka i rzekł:

— Powiedz panu Pagowskiemu, że ani pan Cypryanowicz, ani panowie Bakojemscy nie przyjadą, bo wszyscy ranni w pojedynku, na który pana Taczewskiego wyzwali, ale nie zapomnij powiedzieć, że niebardzo ranni. Ruszaj.

Czeladnik ruszył z kopyta, a ksiądz, wróciwszy, począł uspokajać Jacka, który okrutnie był poruszony. Nie bał się on z pięciu mężami potykać, ale bał się pana Pagowskiego, a jeszcze więcej, co powie i pomyśli panna Sienińska.

Ksiądz zaś mówił:

— Przecie by się i tak wydało, a niechże się jaknajprędzej dowiedzą, że nie twoja wina.

— Waszmościowie zaświadczycie? — zapytał Jacek, zwracając się jeszcze raz do rannych.

— Pić się chce, ale zaświadczymy — odpowiedział Mateusz Bukojemski.

Jednakże niepokój Jacka wzrastał coraz bardziej, a wkrótce potem, gdy sanie z panem Pągowskim i panem starostą Grothusem zatrzymały się przed gankiem, serce zamarło w nim zupełnie. Skoczył jednakże witać i pochylił się panu Pągowskiemu do kolan, ale ów ani spojrział, jakby go całkiem nie widział, i z ponurą surową twarzą wszedł do izby.

W izbie pokłonił się pan Pągowski księdzu z powagą, ale z daleka, gdyż od czasu jak starszerek wystrofiował go raz z ambony za zbytnią surowość dla ludzi, nie mógł mu tego zawzięty szlachcic przebaczyć, więc i teraz, po owym zimnym ukłonie, zwrócił się zaraz do rannych, chwilę popatrzył na nich a potem rzekł:

— Mości panowie, po tem co zaszło, nie przestąpiłbym ja zaiste progu tego domu, gdyby nie chęć powiedzenia waszmościom, jak okrutnie dotknęła mnie wasza krzywda. Oto, na co wam wyszła moja gościnność, oto nagroda, jaka w domu moim moich zbawców spotkała. Ale to wam jeno rzekę, że kto was pokrzywdził, mnie pokrzywdził, kto waszą krew przelał, gorzej niżli by moją przelał, bo mnie pohańbił, kto pod moim dachem was pozwał...

Tu nagle przerwał Mateusz:

— My jego wyzwali, nie on nas!

— Tak jest, mości dobrodzieju, — dodał Stach Cypryanowicz. — Niemasz w tem, co się stało, winy tego kawalera, jeno nasza, za którą pokornie waszmość pana przepraszamy.

— Godziło się też sędziemu zapytać świadków, nim wyrok wydał — rzekł poważnie ksiądz Woynowski.

Łukasz chciał się też odezwać, ale że miał policzek i dziąsła aż do zębów przecięte, przeto zabolalo

go okratnie gdy poruszył brodą, więc dłonią tylko zakrył masę, która już poczęła była przysychać i półgębkiem zawołał:

— Niech dyabli porwą wyroki i moją szczękę razem!...

Stropił się nieco temi głosami pan Pagowski, ale jednakże nie ustąpił. Owszem, potoczył surowemi oczyma, jakby chciał w ten sposób niemą przyganę dla obrońców Jacka wyrazić i tak rzekł:

— Nie mnie przystoi moim zbawcom przebaczać. Waszmościów winy niema; owszem, rozumiem ja to i pojmuję, bom doskonale widział, jak was umyślnie postponowano. Zaiste, ta sama zazdrość, która na zdechłym koniu żywych wilków nie mogła dogonić, dodała później do zemsty ochoty. Nie ja jeden zauważyłem, jako ów „kawaler,“ którego tak wspaniałomyślnie bronicie, od pierwszej chwili spotkania nieustannie waszmościom dawał okazje i wszystko czynił, aby was do takowego postępku przywieść. Moja to raczej wina, że mu folgowałem i że mu nie rzekłem, aby na jarmarku lub w karczmie, słusznej dla siebie poszukał kompanii.

Taczewskiemu, gdy to usłyszał, twarz pobladła jak płótno, księdzu Woynowskiemu zaś przeciwnie — krew uderzyła do głowy.

— Wyzwany był! co miał uczynić? Wstydź się waćpani! — zawołał.

Lecz pan Pagowski spojrział na niego z góry i odrzekł:

— Świeckie to są sprawy, których świeccy ludzie tak samo jak duchowni, albo i więcej są periti, ale i na to odpowiem, aby mnie tu nikt o niesprawiedliwość nie posądzał. Co miał uczynić? Jako młodszy starszemu, jako gość gospodarzowi, jako człowiek, który tyle razy chleb mój jadł, swego własnego nie mając, powinien był

przedewszystkiem mnie rzecz oznajmić, a ja byłbym ją swoją powagą gospodarską zagodził i nie dopuścił do tego, by moi zbawcy, a tak godni kawalerowie, tu, w tej chałupie, we krwi własnej, na słomie, jako w chlewie leżeli.

— Myślałbyś waszmość, że mnie tchórz obleciał!— wołał, łamiąc ręce i trzęsąc się jak w febrze, Taczewski.

Pan Gedeon nie odpowiedział mu ani słowem, gdyż od początku udawał, że go nie widzi, natomiast zwrócił się do Cypryanowicza:

— Panie kawalerze,— rzekł— eo instante jedziemy z panem starostą Grothusem do waszmości ojca do Jedlinki, aby mu kondolencję wyrazić. Nie wątpię, że przyjmie on gościnę moją w Bełzączce, więc i waszmości pana wraz z towarzyszymi proszę z powrotem do siebie. Przypominam wam też, że znajdujecie się tu tylko przypadkiem, a w rzeczy moimi przeciw gośćmi jesteście, którym ja chciałbym całym sercem wdzięczność okazać. Ojciec waszmości pana, panie Cypryanowicz, nie może przeciw zajechać do sprawy ran twoich, a pod moim dachem lepsze mieć będziecie wygody i z głodu nie pomrzecie, coby was tu snadnie spotkać mogło.

Cypryanowicz zakłopotał się wiele i przez chwilę wahał się z odpowiedzią i ze względu na Taczewskiego, i dlatego, że, będąc młodzianem wiele przystojnym, dbał o to, jak się wyda, a tymczasem wargę i brodę, które już nabrzmiały pod plastrem, szpeciły go okrutnie.

— Głodu i pragnienia byśmy tu nie doznali,— rzekł— eo już i probatum fuit, ale w samej rzeczy gośćmi waszmości dobrodzieja jesteśmy i mój ojciec, nie wiedząc, jak co było, możeby i nie chciał tu zajechać. Jeno jakże to nam stanąć przed obliczem krewniaczków waszej mości z tak szpetnymi gębami, które tylko abominację wzbudzać mogą?

To rzekłszy, skrzywił się, bo go zabolęła od dłuższego przemówienia warga — i istotnie niezbyt pięknie przytem wyglądał.

Lecz pan Pągowski odrzekł:

— O to się waść nie frasuj. Czują moje krewniaczki abominationem, ale nie do ran waszmościów, po których zagojeniu prędko wróci dawna uroda. Wnet tu zajadą trzy pary sani ze służbą, a w domu już was łoża wygodne czekają. Tymczasem bywajcie zdrowi, bo czas nam z panem starostą do Jedlinki. Czołem!

I skłonił się wszystkim, osobno księdzu, tylko Jackowi głową nie kiwnął. Gdy tedy był już blisko drzwi, zbliżył się do niego ksiądz i rzekł:

— Waćpan masz za mało miłosierdzia i sprawiedliwości.

A pan Pągowski odpowiedział:

— Grzechy wyznawam tylko na spowiedzi.

I wyszedł, za nim pan starosta Grothus.

Jack stał cały czas, jak na mękach. Twarz mu się mieniła i sam chwilami nie wiedział, czy ma skoczyć panu Pągowskiemu do nóg z prośbą o przebaczenie, czy do gardła za te wszystkie upokorzenia, których doznał. Jednakże pamiętał, że był u siebie — i że stoi przed nim opiekun panienki. Więc, gdy tamci wyszli, wysunął się i on za nimi, nie zdając sobie wcale sprawy z tego co czyni, ale i dla zwyczaju, który nakazywał gości odprowadzać i w jakiejś ślepej nadziei, że może choć na samem odjeźdźnym zawzięty pan Pągowski bodaj głową mu skinię. Ale i to go zawiodło, tylko pan Grothus, człowiek widać dobry i wyrozumiały, ścisnął mu dłoń na ganku i szepnął:

— Nie desperuj, kawalerze, pierwszy gniew minie i wszystko się naprawi.

Lecz Jack tak nie myślał, a byłby całkiem pewny

iż wszystko raz na zawsze przepadło, gdyby był wiedział, że pan Pągowski, jakkolwiek szczerze był oburzony i zagniewan, to jednakże jeszcze większy gniew udawał niż czuł. Cypryanowicz i Bakojemscy byli istotnie jego zbawcami, ale przecie Taczewski mu ich nie wymordował, a pojedynek sam w sobie był rzeczą nadto zwykłą, aby aż taką nieubłaganą zawziętość miał rozbudzić. Ale pan Pągowski, od chwili, gdy mu Grothus powiedział, że i starzy ludzie się żenią, a czasem nawet miewają potomstwo, spoglądał innemi oczyma na pannę Sienińską. To, o czem przedtem nigdy nie pomyślał, wydało mu się nagle możliwem, a zarazem i ponętnem. Na myśl o wdziękach cudnej jak róża dziewczyny rozgrzała się w nim dusza, a jeszcze daleko silniej zagrała dama. Tożby to zazielenił się i rozkwitł nanowo ród Pągowskich, do tego jeszcze urodzonych z takiej patrycyuszki jak Sienińska, nietylko pokrewnej wszystkim wielkim domom w Rzeczypospolitej—ale ostatniej lato-rośli rodu, z którego fortuny wynosili w znacznej części Żółkiewscy, Daniłowicze, Sobiescy i wielu innych. Panu Pągowskiemu aż w głowie zakręciło się na tę myśl i poczuł, że nietylko jemu, ale i całej Rzeczypospolitej powinno na takich Pągowskich zależeć. Więc zaraz potem przyszła obawa, że się to może nie stać przez to, że panna może kogo innego pokochać i komu innemu rękę oddać. Godniejszego od siebie w okolicy nie widział, ale byli młodszy. Więc kto? Cypryanowicz? Tak! ten był młody, gładki i wiele zamożny, ale dopiero w trzecim pokoleniu z uszlacheconych ormian szlachcie. Żeby taki homo novus miał naprawdę uderzyć o pannę Sienińską, to się w głowie pana Pągowskiego nie mogło żadną miarą pomieścić. O Bakojemskich, chociaż byli szlachtą dobrą, a powiadali się krewnymi świętego Piotra, śmiech było pomyśleć. Pozostawał

więc tylko jeden Taczewski, wprawdzie „Lazarus,” goły jak mysz kościelna, ale z odwiecznego rodu potężnych rycerzy z Taczewa, herbu Powąła, z których jeden, prawdziwy olbrzym i uczestnik strasznego pogromu Niemców pod Grünwaldem, sławny był nie tylko w Rzeczypospolitej, ale i na dworach zagranicznych. Tylko Taczewski mógł się z Sienińskimi porównać, a przytem był młody, odważny, arodziwy, smutny (co często niewieście serca porusza) i zadomowiony w Bełżączce, a z panną jakoby przyjaciel albo brat. Począł więc sobie pan Pagowski różne rzeczy przypominać: to niby jakoweś niesnaski i dąsy młodych, to ich zgody i przyjaźń, to różne spojrzenia i słowa a smutki, a wspólne radości i uśmiechy. I wszystko to, na co dawniej ledwie, że zwracał uwagę, wydało mu się naraz podejrzane. Tak! niebezpieczeństwo tylko z tej strony mogło grozić. Pomyślał też stary szlachcic, że i z tego pojedynku mogła być przynajmniej w części powodem panna Sienińska i zląkł się w duszy. By zaś zapobiedz niebezpieczeństwu, postarał się przedewszystkiem o to, aby przedstawić jak najmocniej całą bezecność Jackowego uczynku panience i wzbudzić w niej gniew należyty, a następnie, by przez udanie jeszcze większego gniewu, niż go czuł i niż sprawa była warta, spalić mosty między Bełżączką i Wyrąbkami i, upokorzywszy nie miłosiernie Jacka, zamknąć mu tem samem drzwi domu.

I celu tego dopiął. Jacek, wróciwszy z przed ganuku, siadł przy stole, palec wbił w czaprynę, podparł głowę łokciami i milczał, jakby mu z bólu mowę odjęło.

Aż ksiądz Woynowski zbliżył się i położył mu dłoń na ramieniu.

— Jaceś, co masz przecierpieć, przecierp, — rzekł — ale noga twoja nie powinna stać w tamtym domu.

— Tak i będzie — odparł głucho Taczewski.

— Ale i boleści się nie daj. Pomyśl, ktoś jest.

A ów zacisnął zęby:

— Pamiętam, ale właśnie dlaczego pieczęl

A wtem ozwał się Cypryanowicz.

— Nikt tu tego panu Pągowskiemu nie pochwali, bo inna jest rzecz przyganić, a inna po czei deptać!

Na to poruszyli się i Bukojemscy, a Mateusz, któremu najmniej dokuczało mówienie, rzekł:

— U niego w domu nie ma nie powiem, ale jak wyzdrowię a spotkam go kiedy na drodze, albo u somsiada, to mu wręcz rzekę, żeby pocałował psa w nos.

— O, jej!—dodał Marek.—Takiego godnego kawalera spostonować! Przyjdzie czas, że mu się tego nie daruje.

Tymczasem nadeszły trzy pary wymoszczonych dywanami sani, z trzema pachółkami prócz woźniców, którzy mieli rannych przenosić. Taczewski nie śmiał ich zatrzymywać ze względu na spodziewany przyjazd starszego Cypryanowicza i ze względu na to, że byli rzeczywiście gośćmi Pągowskiego, oni zaś nie byliby zostali, zasłyszawszy o wielkiem ubóstwie Jacka, aby mu ciężaru nie przyezyniać. Poczeli jednak żegnać się z nim i dziękować mu za gościnę tak szczerze, jak gdyby nie między nimi nigdy nie zaszło.

Gdy jednak Cypryanowicz miał wsiadać na ostatnie sanie, zerwał się nagle pan Jacek i rzekł:

— Jadę z waćpanem! Nie wytrzymam tak! — Nie wytrzymam! Póki Pągowski nie wróci, muszę—ostatni raz!..

A ksiądz Woynowski, choć, znając Jacka, wiedział że wszelkie perswazyje nie pomogą zaciągnął go jednak do alkierza i począł przekładać:

— Jacku, Jacku! Znów malier! Bogdajby cię tam jeszcze większa krzywda nie spotkała. Pamiętaj, Jacku, co mówi Ekleziasta: „Virum de mille unam reperi, mulierem ex omnibus non inveni!“ Pamiętaj i miej nad sobą zmiłowanie.

Leecz był to groch na ścianę. Po chwili siedział już Taczewski w saniach obok Cypryanowicza i ruszyli. Mgłą tymczasem poskręcał wiatr wschodni, popędził ją na puszcę i z błękitnego nieba wyrzało jasne słońce.



le zmyślał pan Pagowski, mówiące o „abominacyi,“ jaką czują dla zwycięzcy obie niewiasty w Bełżączce. Przekonał się o tem Jacek od jednego na nie spojrzania. Pani Winnicka wyszła naprzeciw z twarzą zgorzszą i umknęła mu dłoni, gdy ją chciał na powitanie pocałować, a panienska nie użaliła się też jego strapieniu, jego pomieszaniu, nie odpowiedziała na jego ukłon i zajęła się całkiem Cypryanowiczem. Nie skąpiąc mu tkliwych spojrzeń i troskliwych zapytań, posunęła do tego stopnia pieczołowitość, że gdy Cypryanowicz wstał z krzesła w stołowej izbie, aby przejść do przeznaczonego dla rannych pokoju, podparła go pod ramię i, chociaż się wzdragał i wymawiał, odprowadziła go aż do drzwi.

— Nie tu po tobie, wszystko przepadło! — wołała na taki widok rozpacz i zazdrość w sercu Jacka. Ból jego był tem większy, że dotychczas ani się domyślał, jak ta sama dziewczyna, która dla niego miewała zmienne humory i na jedno przychylniejsze słowo mówiła mu zwykle dziesięć obojętnych, albo zgoła złośliwych — umiała być słodka, dobra i anielska dla kochanego prawdziwie człowieka. Bo że panna Sienińska kocha Cypryanowicza, nie wątpił już o tem nieszczęsny Jacek wcale. A on przecież poniósłby nietylko taką ranę jak Cypryanowicz, ale z radością wytoczyłby wszystką krew, żeby choć raz w życiu przemówiła do niego takim głosem i spojrzała na niego takimi oczyma. Więc obok bólu, chwycił go zarazem żal niezmierny, bijący potokiem łez do oczu, które, jeśli się z nich wydostaną i po policzkach nie spłyną, to zaleją serce i napełnią całe jestestwo człowiecze. Takie wypełnienie piersi łzami czuł teraz Jacek, a na dobitkę, nigdy nie wydała mu się panna Sienińska tak bez żadnej miary piękna, jak teraz, z pobladałą twarzycką i z koroną płowych włosów, rozpierzchłych nieco ze wzruszenia: „Anielska ci ona, — wołał w nim ten żal — ale nie dla ciebie! cudna, ale ją inny weźmie!“ I chciał jej do nóg padać, i u jej stóp wyznać całą mękę i miłość, a jednocześnie czuł, że, zwłaszcza po tem, co zaszło, czynić tego nie należy i że, jeśli się sam nie opamięta i nie potłami w sobie dusznej rozterki, to jej powie co innego, niż chce, i pograży się w jej oczach do ostatka.

A tymczasem pani Winnicka, jako osoba wiekowa i znająca się na lekach, weszła wraz z Cypryanowiczem: do drugiey izby, a panna wróciła ode drzwi. Jacek, rozumiejąc, że trzeba korzystać z czasu, posunął się ku niej:

— Chciałbym słówko waćpannie rzec — przemó-

wił drżącym i jakby nie swoim głosem, siłąc się na spokój.

A ona spojrzała na niego z zimnem zdziwieniem:

— Czego waćpan sobie życzysz?

Jackowi zaś rozświecił twarz uśmiech tak bolesny, że prawie męczeński.

— Czego ja sobie życzę, to się nie stanie, choćbym i zbawienie duszy za to oddał, — mówił, kiwając głową — ale o jedno waćpanny proszę: nie winuj mnie, nie miej do mnie urazy, miej trochę miłosierdzia, boć i ja nie z drewna, ani z żelaza...

— Ja waćpanu nie mam nic do powiedzenia — odrzekła — i nie pora po temu.

— Hej! — ludzkie dobre słowo rzec człowiekowi, któremu ciężko na świecie — zawsze pora.

— Czy za to, żeś waćpan moich zbawców poranił?

— Bo Bóg stoi przy niewinności. Czeladnik, który przyjechał po tych kawalerów do Wyrąbek, powinien był powiedzieć, co mu ksiądz Woynowski przykazał, że ja ich pierwszy nie wyzywał. Zali waćpanna wiedziałaś o tem?

Wiedziała. Czeladnik, jako człek prosty, nie potworzył wprawdzie dokładnie słów księdza i zakrzyknął tylko, że „młody pan z Wyrąbek wszystkich posiekał;“ natomiast pan Pągowski, wracając z Wyrąbek, wpadł po drodze do domu i powiedział, jak co było. Poprostu obawiał się, aby wiadomość, że to Jacek był wyzywany, nie doszła do panny z innych ust i nie osłabiła jej gniewu, więc wołał sam sprawę oznajmić, przyczem nieomieszkał dodać, że Taczewski srogimi obelgami zmusił tamtych do wyznania. Liczył też na to, że panna Sienińska, po kobiecemu rzeczy biorąc, będzie zaw-
sze po stronie tych, którzy ucierpieli więcej.

Wszelako Jackowi zdawało się, że ukochane oczy spojrzwały na niego mniej surowo, więc powtórzył pytanie:

— Waćpanna wiedziałaś o tem?

— Wiedziałam, — odrzekła — alem pamiętała o tem, o czem i waćpan byłbyś nie zapomniiał, gdybyś miał choć trochę dla mnie życzliwości, że tym kawalerom życie zawdzięczam. Wiem i to od opiekuna, że musieli waćpana wyzwać.

— Ja nie mam dla waćpanny życzliwości? A to niech już Bóg sądzi, któren patrzy w serca ludzkie...

Oczy dziewczyny poczęły się nagle mrużyć raz po raz. Nagle wstrząsnęła głową, aż warkocz przesunął się jej na drugie ramię, i rzekła:

— Tak!...

A on mówił dalej nieco zdyszczanym i głęboko smutnym głosem:

— Ale prawda! prawda! Powiniennem się być pozwolić posiekać, byle waćpanny nie zasmućać. Nie byłaby popłynęła ta krew, która ci milsza... Ale na to już niema rady! I na nie już niema rady! Opiekun mówił waćpannie, że ja ich zmusiłem do wyzwania. To zdaję też na sąd Boży. Ale czy powiedział, że mnie pod moim własnym dachem bez miary i miłosierdzia insultował? Przyjechałem jeszcze, bom wiedział, że go tu teraz nie zastanę. Przyjechałem, aby moje nieszczęsne oczy ostatni raz widokiem waćpanny nasycić. Wiem, że to waćpannie wszystko jedno, alem myślał, że choć...

Tu urwał Jacek, bo mu łyzy głos zdławiły. Usta panny Sienińskiej poczęły też drgać i coraz bardziej przybierać kształt podkówki — i tylko hardość a zarazem nieśmiałość dziewczęca walczyła w niej ze wzruszeniem. Pohamowała je jednak, może dlatego, aby jeszcze żałośliwsze z Jacka wydobyć wyznania, a może dlatego, że nie wierzyła, aby on naprawdę miał pójść sobie

i więcej nie wrócić. Nieraz już bywały między nimi nieporozumienia, nieraz i pan Pagowski wyrządzał mu wielkie przykrości, a jednakże po krótkich gniewach następowały mileżące lub głośne przeprosiny i wszystko pozostawało po staremu.

— Tak i teraz będzie! — myślała panna Sienińska.

Że zaś słodko jej było go słuchać i słodko patrzeć na tę wielką miłość, która, lubo nie śmiała wypowiedzieć się wyraźnemi słowy, biła jednak od niego z równą pokorą jak mocą, przeto chciała, aby mówił tak do niej jaknajdłużej swoim cudnym głosem i jaknajdłużej pokładał u jej nóg młode, rozkochane i zbolące serce.

Lecz on, niedoświadczony w rzeczach miłości i ślepy jak wszyscy zakochani, nie dostrzegł i nie zrozumiał, co się w niej dzieje. Milczenie jej poczytał za ztwardziałą obojętność—i gorycz poczęła mu stopniowo zalewać duszę. Spokój, z jakim mówił pierwej, jął go opuszczać, oczy nabierały innego blasku, krople zimnego potu uperliły mu skronie. Coś rwało mu się i łamało w duszy. Chwytała go taka rozpacz, w której człowiek o nie nie pyta i gotów własnymi rękoma rozdrapywać własne, serdeczne rany.

Mówił jeszcze niby spokojnie, ale już i głos jego brzmiał inaczej, twardziej, chrapliwiej.

— Tak! — rzekł — ani jednego słowa?...

Panna Sienińska wzraszyła tylko ramionami.

— Ha! prawdę powiedział ksiądz, że mnie tu jeszcze większa spotka krzywda!

— W czym ja waćpana krzywdzę? — spytała, przykro dotknięta niespodzianą zmianą, jaka w nim zaszła.

Lecz on brnął już naoslep dalej:

— Gdybym nie widział, jakaś była dla Cypryanowicza, myślałbym, że serca w piersiach nie masz. Ale

ty masz serce, jeno dla niego, nie dla mnie! Spojrzał jeno na cię i dosyć.

I nagle schwyił się oba rękami za czuprynę.

— Bodajem go był na śmierć usieki!

A przez pannę Sienińską przeleciał odrazu jakby płomień. Policzki jej zakwitły, w oczach zamigotał gniew, zarówno na Jacka, jak i na siebie samą, za to, że przed chwilą gotowa się była rozplakać. Głęboka a nagła uraza chwyciła jej serce.

— Waćpan oszalał! — zawołała, podnosząc głowę i odrzucając w tył warkocz.

I chciała odejść, lecz to właśnie doprowadziło Jacka do zupełnego zapamiętania. Porwał jej obie ręce i zatrzymał:

— Nie ty odejdiesz, ja odejdę! — mówił z zaciśniętymi zębami — jeno to ci jeszcze powiem, że chociażem cię od lat całych miłował bardziej niż zdrowie, bardziej niż życie, bardziej niż duszę własną, nie wrócę tu więcej. Pięści z boleści pogryzę, a nie wrócę — tak mi dopomóż Bóg!

I, pozostawiwszy na podłodze swą wytartą magierkę, skoczył do drzwi, po chwili mignął w oknach, skrecając do ogrodu, przez który bliżej było do Wyrąbek, i zniknął.

A panna Sienińska stała czas jakiś, jakby piorun w nią uderzył. Myśli jej rozleciały się na wszystkie strony nakształt ptactwa i przez chwilę nie wiedziała nic, co się stało. Lecz, gdy wróciły, znikł jej gniew, znikła bez śladu uraza a w uszach brzmiały tylko słowa Jacka: „Miłowałem cię więcej niż zdrowie, więcej niż życie, więcej niż duszę własną — i nie wrócę!...” Teraz uczuła, że on naprawdę nie wróci, właśnie dlatego, że tak okropnie ją kochał. Czemuż nie powiedziała mu choć jednego dobrego słowa, o które, zanim

go porwało szaleństwo, żebrał jak o jałmużnę, albo jak o kawałek chleba na drogę? I chwycił ją zarazem niezmierny żal i strach. Poleciał w bólu, w szaleństwie—może gdzie padnie po drodze, może co złego sobie z desperacyi uczynić, a przecie jedno serdeczne słowo mogło wszystko załagodzić i naprawić. Niechby choć głos jej usłyszał. Musi za ogrodem przelecieć przez łąkę do strugi, tam ją jeszcze usłyszy.

I, zerwawszy się; wybiegła do sadu. Śnieg głęboki leżał na środkowej ulicy, ale ślady Jacka były w nim widoczne, biegła więc po nich, zapadając chwilami do kolan, gubiąc po drodze różaniec, chustkę, woreczek z niemi i, zdyszana, dopadła wreszcie do ogrodowej furty.

— Panie Jacku!..

Ale łąka za furtą była już pusta. Przytem ten sam wiatr, który rozwiewał mgłę poranną, czynił teraz szum wielki między gałęziami grusz i jabłoni. Jej słaby głos zniknął zupełnie w tym szumie. Wówczas, nie zważając na chłód i na lekką swą odzież pokojową, siadła na ławce przy furtce i poczęła płakać.

Łzy wielkie jak perły spływały jej po różanych polizkach, a ona, nie mając nic innego do ich obtarcia, poczęła obcierać je warkoczem.

— Nie wróci.

Wiatr tymczasem szumił coraz mocniej, strząsając mokry śnieg z czarnych gałęzi.

Gdy Taczewski wpadł jak wicher, bez czapki i z rozwianą czupryną do dworku w Wyrąbkach, ksiądz Woynowski domyślił się, co się stało, i rzekł.

— Praedixi! Boże ci dopomóż, Jacku! ale o nie nie pytam, póki się nie opamiętasz i nie uspokoisz...

— Skończonę! wszystko skończonę!—odpowiedział Taczewski.

I zaczął chodzić po izbie, jak dziki zwierzę po klatce. Ksiądz nie odzywał się, nie przeszkadzał mu wcale i dopiero po dłuższym czasie wstał, objął go ramionami, ucałował w głowę, a następnie, wzięwszy go za rękę, poprowadził do alkierza.

Tam klęknął przed krzyżykiem, który wisiał nad Jackowem łóżkiem, a gdy młodzian klęknął przy nim, zaczął mówić:

— Panie, Ty wiesz, co jest boleść, boś sam na krzyżu za grzechy ludzkie cierpiał...

...Więc oto przynoszę Ci krwawe serec moje i u stóp Twoich przebitych błagam, abys miał miłosierdzie nademną...

...A zaś nie wołam na Cię: weź mój ból, ale wołam: dodaj mi mocy, abym go przeniósł...

...Bom ci jest żołnierz na Twoim ordynansie, o Panie, i chciałbym Tobie i matce mojej, Rzeczypospolitej, służyć...

...A jakoż to uczynię, gdy mdleje serec moje i osłabła prawica moja?!

...Przeto spraw, abym o sobie samym zabaczył, a tylko o chwale Twojej i o zbawieniu matki pamiętał, które to sprawy są większe, niż boleść lichego jak ja robaka.

...I umocnij mnie, Panie, w siodle mojem, abym, przeciw poganom czyniąc, zajechał do chwalebnej śmierci i do nieba...

Przez Twoją koronę cierniową, wysłuchaj mnie!

Przez ranę w boku Twoim, wysłuchaj mnie!

Przez przebite gwoźdźmi ręce i nogi, wysłuchaj mnie!

Poczem klęczeli jeszcze przez dłuższą chwilę, ale już w połowie modlitwy widać było, że ból załamał się Jackowi w piersiach, bo nagle zakrył twarz rękoma

i począł szlochać. Więc, gdy wstali i przeszli do pierwszej izby, westchnął głęboko ksiądz Woynowski i tak mówił:

— Mój Jacku, siła ja w życiu za moich żołnierskich czasów przeszedłem i cięższa od twojej przygoda mnie spotkała, o której nie chcę opowiadać, ale to ci tylko powiem, że w chwili najsroźszego bólu, ułożyłem tę oto właśnie modlitwę i że ratunek jej zawdzięczam. Nieraz odtąd ją powtarzałem w każdym nieszczęściu, a zawsze z ulgą wielką. Dlatego odmówiłem ją i teraz. I jakże? Zali cię nie popuściło? Powiadaj!

— Żałośnie mi jest, ale mniej piecze—odrzekł Taczewski.

— A widzisz! Teraz napij się wina, ja zaś powiem ci, a raczej pokażę, jeszcze coś takiego, co ci powinno dodać otuchy. Patrz.

I, pochyliwszy głowę, pokazał straszliwą na niej szramę białą, między białymi włosami, a biegnącą przez całą czaszkę—i rzekł:

— Małom z tego nie umarł. Rana bolała okrutnie, ale blizna nie boli. Tak zawsze bywa, Jacku. Twoja rana też boleć przestanie, gdy z czasem w bliznę się przemieni. Powiadaj teraz, co spotkało.

Jack począł opowiadać, ale mu nie szło. Nie miał on tego w naturze, aby zmyślać, przesadzać lub dodawać, więc teraz dziwił się sam, że to wszystko, co go tak boleśnie dotknęło, w opowiadaniu wydaje się mniej okrutne. Jednakże ksiądz Woynowski, człowiek widocznie doświadczony i znający świat, wysłuchawszy go do końca, rzekł:

— Rozumiem, że trudno wydać w słowach spojrzenia albo li też gesta, które mogą być zgoła pogardliwe i owłaczające. Nieraz też o jedno spojrzenie, albo machnięcie ręki, do pojedynków i do krwi przelewu

przychodzi. Główna rzecz, iżś tej pannie zapowiedział, że więcej tam nie wrócisz. Młodość bywa płochą, a gdy nią tęsknota powoduje, tak się jako miesiąc na niebie odmienia. I miłość jest też jako luna men-dax, która, gdy pokazuje, że się zmniejsza, to właśnie rośnie i do pełni się przybliża. Jakże więc? masz-że szczerą intencję dotrzymać tego, coś zapowiedział?

— Powiedziałem: „tak mi dopomóż Bóg“, a jeśli chcecie, ojcze, to taką przysięgę zaraz na krzyżu powtórzę.

— A co zamierzasz z sobą czynić?

— Iść w świat.

— Tego czekałem, bom ci już dawno to radził. Wiedziałem, co cię tu trzyma, ale teraz, gdy się powróz urwał—tak!—idź w świat. Niczego tu nie doczekasz, nie cię dobrego nie spotkało i nie spotka. To była zguba dla ciebie! Szczęście, że byłem oto blisko i że cię chociaż w łacinie i w robieniu szabłą trochę wyćwiczył—inaczej byłbyś tu schłopiał. Nie dziękuj, Jaccaś, bo to było ze szczerzego afekta. Tęskno mi też będzie bez ciebie, ale nie o mnie chodzi. Idziesz w świat, to, jak rozumiem, znaczy, że chcesz się do wojska zaciągnąć. To najprostszą i najgodniejszą drogą, zwłaszcza, że wojna z pogany idzie. Pióro i kancelarya, pewniejsza powiadają, niż promocya od szabli—ale mniej to przystoi takiej, jak twoja, krwi...

— Nie myślałem też o innej służbie—odrzekł Taczewski. — Ale przecie do piechoty się nie zaciągnę, a nijak mi do górniejszych chorągwi, bom hołysz.

— Szlachcic, który ma łacinę w gębie, a szabłą w dłoni, zawsze sobie da rady—przerwał ksiądz—wszelako niema gadania, że poczet zacząć musisz mieć. Trzeba się o tem naradzić. Tymczasem powiem ci rzecz, o której dotąd nie mówiłem. Mam dla cię

dziesięć czerwonych złotych, które nieboszezka matka twoja u mnie złożyła — i list jej, w którym prosi, abym ci ich nie dawał, żeby się nie rozeszły, jeno w nagłej potrzebie, gdyby przyszedł na cię wóz albo przewóz. No i przyszedł! Zaoną, świętobliwą, ale i nieszczęśliwą miałaś matkę, bo, gdy umierała nieboga, niedostatek był już w domu wielki i to, co u mnie złożyła, od ust sobie odejmowała...

— Wieczny odpoczynek racz jej dać, Panie — odrzekł Jacek. — Niechże za te czerwone złote msze za jej duszę się odprawują, a ja Wyrąbki sprzedam, choćby za byle co.

Rozczulił się, usłyszawszy to, ksiądz Woynowski, aż łza zabłysła mu w oku, i znów uściskał Jacka.

— Zaona i w tobie krew — rzekł — ale nie wolno ci matczynego daru odrzucać, nawet na taką intencję. Mszy też nieboszezce nie zbraknie, tego bądź pewien, bo choć ona pewnie niebardzo ich potrzebuje, ale się innym duszom w czyściu będącym przydadzą. Co do Wyrąbków, lepiejby było w zastaw je oddać, ile że na szlacheica, choćby najmniejszy spłachetek ziemi posiadał, zawsze inaczej patrzą, gdy jest posesjonatus.

— Jeno że pilno. Chciałbym bogdaj dziś jechać.

— Dziś nie pojedziesz, chociaż im prędzej — tem lepiej. Ale ci pierwaj muszę listy wygotować do moich commilitonów i znajomków. Trzeba będzie także z piwowarami w Jedlni pogadać, u których i mieszki pełne i konie takie, że niejeden towarzysz pancerny nie ma lepszego. Znajdzie się też u mnie, w plebanii, jakowaś stara zbroiczka i kilka szabel, nietyle ozdobnych, jak wypróbowanych na szwedzkich i tureckich karkach...

Tu spojrział ksiądz w okno i dodał:

— Ale ot! sanie gotowe, a komu w drogę, temu czas...

Lecz po twarzy Jacka boleść przemknęła nanowo, pocałował księdza w rękę i rzekł:

— Jedną jeszcze mam prośbę, ojcze i dobrodzieju mój, abym mógł z wami jechać teraz i pozostać aż do wyjazdu w plebanii... Stąd tamte dachy widać i tu mi... zablizko...

— Jakże! sam chciałem ci to proponować i z ust mi to wyjąłeś. Nie tu po tobie—i z daszy ci będę rad. Hej, Jacuś, bądź dobrej myśli. Nie kończy się świat w Bełczączce, jeno stoi szeroko przed tobą otworem. Gdy raz na konia sidziesz, Bóg wie dokąd dojedziesz. Wojna cię czeka! sława cię czeka, a co dziś boli, to przyschnie. Widzę już, jak ci skrzydła u barków rosną: leć że, boży ptaku, boś na to stworzon i przeznaczon.

I radość, jak promień słońca, rozświeciła zasną twarz księdza. Uderzył się po żołniersku dłonią w udo i zawołał:

— A teraz bierz czapkę i jedźmy.

Ale drobne rzeczy stają często na przeszkodzie większym, a śmieszne płaczą się ze smutnemi. Jacek obejrzał się po izbie, potem spojrział zakłopotanym wzrokiem na księdza i powtórzył:

— Czapkę?

— Juści! Z gołą głową nie pojedziesz.

— Ba!

— No, co?

— A! kiedy została w Bełczączce.

— Masz, babo, amory! Cóż będzie?

— Co będzie?... Choćby od czeladnika wziąć, — w chłopskiej nie moge jechać.

— W chłopskiej nie możesz jechać! — powtórzył ksiądz—ale pošlij chłopą po swoją do Bełczączki.

— Za nie!—zawołał Jacek.

Lecz staruszek począł się niecierpliwić.

— A u licha! wojna, sława, szeroki świat—wszystko dobrze, ale i czapka potrzebna.

— Jest na dnie w skrzyni jakiś stary kapelusz, co go ojciec zdobył na jednym oficyerze szwedzkim pod Trzemesznem.

— To go weź—i jazda!

Jaček zniknął w alkierzu i po chwili wrócił przybrany w rajtarski żółty kapelusz, zaduży na jego głowę. Rozweselony tym widokiem ksiądz Woynowski chwycił się za lewy bok, niby szukając szabli, i rzekł:

— Dobrze jeszcze, że to szwedzki kapelusz, a nie turecki zawój. Ale i tak czyste zapusty!

Jaček uśmiechnął się w odpowiedzi i rzekł:

— Na sprzączce są jakoweś kamuszki, może co warte.

Poczem siedli i pojechali. Zaraz za opłotkami widać było przez bezlistny olszak Bełżączkę i dwór w niej jak na dłoni—więc ksiądz pilnie uważał na Jaćka, ale ów nacisnął tylko na oczy swój zaduży szwedzki kapelusz i ani spojrzął, choć tam została nietylko jego magierka.



ie wrócił, wszystko przepadło! — mówiła sobie w pierwszej chwili panna Sienińska.

I dziwna rzecz, w domu było pięciu kawalerów, z których jeden młody i przystojny, a prócz pana starosty Grothusa miał jeszcze przyjechać starszy Cypryanowicz, słowem, rzadko kiedy było tylu gości

w Bełzączce, tymczasem panienee wydało się, że otoczyła ją nagle pustka i jakiś ogromny brak, że dom jest pusty, ogród pusty, ona sama tak samotna, jakby w bezładnym stepie — i że już tak zostanie na zawsze.

Więc serce jej scisnęło się ciężkim żalem, jakby po stracie kogoś najbliższego. Była pewna, że Jacek nie wróci, tembardziej, iż opiekun obraził go śmiertel-

nie, zarazem jednak nie umiała sobie wyobrazić, jak to będzie bez niego, bez jego twarzy, słów, śmiechu, spojrzeń, co będzie jutro, pojutrze, za tydzień i za miesiąc, dlaczego rankami ma wstawać z łóżka, dlaczego zaplatać warkocze, dla kogo przybierać się i trenić, poco żyć?

I doznała takiego uczucia, jakgdyby jej serce było świecą, na którą ktoś nagle dmuchnął i zgasił.

Nie, jeno ciemność i pustka!

Lecz gdy, wszedłszy do pokoju, zobaczyła na podłodze magierkę Jacka, wszystkie te niewyraźne uczucia astąpiły prościej a ogromnej za nim tęsknocie. Rozrzewniło się w niej znów serce i poczęła go wołać po imienia. Jednocześnie jakiś błysk nadziei przeleciał przez jej daszę. Podniósłszy czapkę, przycisnęła ją, niby niechcący, do piersi, poczem schowała w rękaw i tak poczęła rozmyślać:

— Nie będzie, po dawnemu, bywał codziennym w Bełczącze, ale zanim opiekun z panem Grothusem i panem Cypryanowiczem zdążą przyjechać z Jedlinki, musi wrócić po czapkę, więc go zobaczę i powiem mu, że był okratny i niesprawiedliwy — i że nie powinien był tak postąpić.

Ale nie była sama ze sobą szczerą, albowiem chciała mu powiedzieć więcej — znaleźć jakieś ciepłe, serdeczne słowo, któreby nawiązało na nowo zerwane między niemi nici. Byle się to stało, byle się mogli widywać bez gniewu w kościele, albo czasem u sąsiadów — to w przyszłości znajdzie się jakiś sposób, aby wszystko obróciło się na dobre... Jaki to miał być sposób i co miało być tem dobrem, nad tem nie zastanawiała się w tej chwili panna Sienińska, albowiem myślała przedewszystkiem o tem, aby jaknajprędzej Jacka zobaczyć.

Tymczasem z pokoju, w którym leżeli ranni, wyszła pani Winnicka i, ujrawszy wzburzoną twarz i zaczerwienione oczy dziewczyny, poczęła ją uspokajać:

— Nie bój się, nie im nie będzie. Jeden tylko z Bukojemskich ciężej trochę poszwankowan, ale i temu nie będzie. Inni mało co. I opatrzył ich dobrze ksiądz Woynowski, tak, że nie zmieniać nie trzeba. Dobrej są też myśli i weseli.

— Chwała Bogu.

— A Taczewski pojechał? Czego tu chciał?

— Odwiózł rannych...

— No — ale ktoby się tego po nim spodziewał?

— Sami go wyzwali.

— Tego się też nie zapierają, ale że on wszystkich posiekał—pięciu! jednego po drugim. A myślałabyś, że on i kwoczee od kureząt ustąpi.

— To go ciotachna nie zna. Aha! — odrzekła z pewną dumą panna Sienińska.

Ale i w głosie pani Winnickiej było tyle samo prawie zdziwienia co przygany, gdyż urodzona i wychowana w stronach podległych ciągłym napaściom tureckim, od małego przyuczyła się uważać odwagę i sprawność do szabli za pierwszą cnotę męską. Więc, gdy pierwszy strach o gości przeszedł, poczęła na cały ten pojedynk patrzeć nieco inaczej.

— Wszelako—mówiła dalej—muszę i im przyznać, że godni kawalerowie, bo nietylko złości do niego nie czują, ale go jeszcze chwają, a zwłaszcza ten Cypryanowicz. Toż to (powiada) „urodzony żołnierz“. I gniewno im nawet na jegomości, który (mówią) przebrał w Wyrąbkach miarę.

— Ciotachna też nielepiej pana Jacka przyjęła.

— Bo zasłużył. A ty toś niby dobrze go przyjęła!

— Ja?

— A ty. Widziałam,, jakeś się na niego odeła.

— Moja ciotachno...

Tu dziewczyna urwała nagle, bo czuła, że się rozplacze. Jednakże wskutek tej rozmowy Jacek urósł jeszcze w jej oczach. Sam jeden przeciw takim ćwiczonym mężom—i wszystkich posiekał, wszystkich zwyciężył. Mawiał on wprawdzie, że z oszczepem na odyńce jeździ, ale przecież chłopci, po brzegu paszczy osiedli, jeździli nawet z kłonicami, więc nie było to nikomu dziwne. Natomiast pięciu rycerskiej szlachty pokonać mógł tylko rycerz jeszcze od nich większy i dzielniejszy. Pannie Sienińskiej wydało się to wprost dziwne, żeby człowiek, który miał takie smutne i łagodne oczy, mógł być tak strasznym w bitwie. Więc to jej tylko tak się poddał, tylko od niej tak wszystko znosił, tylko dla niej był taki słodki i ustępujący. Dlaczego? Bo ją kochał nad zdrowie, nad szczęście, nad zbawienie własne. Przed godziną sam jej to wyznał.

I znów tęsknota za nim napłynęła jej ogromną falą do serca. Czuła jednak, że i między nimi coś się zmieniło, i że jeśli go ujrzy, a potem widywać będzie często, już nie pozwoli sobie z nim tak igrać, jak igrała dawniej, to pogrązać, to rozweselać i dodawać otuchy, to go odpychać, to pociągać,—czuła, że mimowoli będzie nań patrzeć jakby z większym respektem i stanie się bardziej ostrożną i pokorniejszą.

Chwilami jeszcze jakiś głos odzywał się w niej, że po prawdzie, to Jacek postąpił z nią zbyt zapaleczywie, że nagadał jej więcej gorzkich i obraźliwych słów, niż ona jemu, ale głos ów stawał się coraz, coraz słabszy, a chęć pojednania się coraz silniejsza.

Byle wrócił, nim tamci przyjadą z Jedlinki.

Ale tymczasem upłynęła godzina, dwie i trzy, a on nie wracał. Wówczas przyszło jej na myśl, że już jest

zapóźno i że sam już nie przyjdzie, ale przysłał kogoś po magierkę.

Więc postanowiła ma ją odesłać wraz z listem, a w nim wypowiedzieć wszystko, co jej ciążyło na sercu. Że jednak postaniec mógł lada chwila nadejść, więc, chcąc przygotować wszystko zawczasu, zamknęła się w swojej panieńskiej izdebce i wzięła się do roboty.

„Niech waćpanu Bóg odpuści ten smutek i to zmartwienie, w jakim mnie zostawiłeś, bo gdybyś mógł przejrzeć serce moje, nie byłbyś tak postąpił. Dlatego ja nietylko odsyłam waćpanową magierkę, ale przydaję i to dobre słowo, żebyś był szczęśliwy i żebyś zapomniał...

Tu spostrzegła się, że nie pisze tego, co myśli i czego chce, bo wcale nie chodziło jej o to, żeby on zapomniał, więc, przekreśliwszy kartkę, poczęła pisać drugą z większem jeszcze wzruszeniem i rozżaleniem:

„Odsyłam waćpanową magierkę, gdyż wiem, że już nigdy nie zobaczę pana w Bełzączecce i że za nikim tu, a tembardziej za mną sierotą nie zapłaczesz, czego też ja z przyczyny twojej niesprawiedliwości, choćby zaś niewiem jak było żal, także nie uczynię...

Ale tym słowom zaprzeczył odrazu aczynek i wielkie łzy splamiły nagle papier. Jakże ma tu taki dowód posyłać, zwłaszcza, jeśli ją całkiem z serca wyrzucił. Po chwili przyszło jej znów na myśl, że możeby ma już lepiej o tej jego niesprawiedliwości i zapalezywym postępku nie pisać, bo gotów się jeszcze bardziej zawziąć. Tak myśląc, poczęła szukać trzeciej kartki, ale pokazało się, że jej niema. Wobec tego stanęła bezradna, albowiem, gdyby chciała pożyczać papieru u pani Winnickiej, nie obeszłoby się bez pytań, na które ni-jak jej było odpowiadać. Czuła przytem, że traci głó-

wę i że w żadnym razie nie potrafi wypisać Jackowi akuratnie tego wszystkiego, coby pragnęła wypisać, więc natroskała się okrutnie, więc, szukając niewieścim sposobem ulgi w strapieniu, dała znów folgę łzom.

A tymczasem ściemniło się, przed gankiem, zabrękały dzwonki od sanek i pan Pągowski powrócił z gośćmi. W pokojach służba pozapalała wszędy światła, gdyż ciemność się zwiększała. Dziewczyna otarła łzy i weszła do gościnnej komnaty z pewną obawą, że wszyscy poznają zaraz, iż płakała—i Bóg wie co pomyśla, albo też będą ją dręczyli pytaniami. Lecz w komnacie był tylko pan Pągowski i pan Grothus, bez pana Cypryanowicza, o którego też, chcąc odwrócić od siebie uwagę, poczęła zaraz wypytywać.

— Poszedł do syna i do Bukojemskich—odpowiedział pan Pągowski—ale już w drodze uspokoiłem go, że nie się złęgo nie stało.

Poczem popatrzył na nią uważnie, ale jego posępna zwykle twarz i siwe surowe oczy rozbliły jakąś wyjątkową dobrocią. Zbliżywszy się, położył rękę na jasnych włosach dziewczyny i rzekł.

— A i ty niepotrzebnie się frasujesz. Za parę dni będą wszyscy zdrowi. No, no! dość tego! Winniśmy im wdzięczność—prawda!—i dlatego się za nimi ująłem, ale w rzeczy to przecie ładzie obcy i dość mizernej kondycyi.

— Mizernej kondycyi?—powtórzyła jak echo, dlatego tylko, aby coś powiedzieć.

— A tak, bo Bukojemscy hołusze, a Cypryanowicz homo novus. Wreszcie, co mi tam! Pojadą sobie i będzie spokój po dawnemu.

Panna Sienińska pomyślała sobie, że będzie nawet zawiele spokoju, gdy zostaną tylko we troje w Bełczącze, ale nie wypowiedziała głośno tej myśli.

— Pójdę—rzekła—zakrzętnąc się koło wieczerzy.
 — Idź, gospochno, idź!—odpowiedział pan Pągowski. Z ciebie jest i radość w domu, i pożytek.

Poczem dodał:

— A talerze każ dać srebrne, aby pokazać temu Cypryanowiczowi, że godny statek nietylko u uszlachconych ormian się znajduje.

Panna Sienińska skoczyła do czeladnej, ale że chciała jeszcze przed wieczerzą załatwić inną, ważniejszą dla niej sprawę, więc, zawoławszy służebnego wyrostka, rzekła mu:

— Słuchaj, Wojtaszku, skoczysz do Wyrąbków i powiesz panu Taczewskiemu, że panienska bardzo się kłania i odsyła mu tę oto magierkę. Naści tynia za drogę, a powtórz, co masz powiedzieć?

— Że panienska się kłania i odsyła magierkę.

— Nie że się kłania, jeno że bardzo się kłania — rozumiesz?

— Rozumiem.

— To ruszaj! a kożuch weź, bo na noc znów mróz bierze. Psy niech też pójdą z tobą. „Bardzo się kłania“ — pamiętaj i wracaj zaraz — chyba pan chciał dać odpowiedź.

Tak załatwiwszy tę sprawę, udała się do kuchni, ażeby zająć się wieczerzą, która, ponieważ spodziewano się powrotu pana z gośćmi, była już prawie gotowa. Potem, przybrawszy się i przygładziwszy włosy, zeszła do stołowej izby.

Stary Cypryanowicz powitał ją dobrotnie, albowiem jej młodość i uroda bardzo mu były jeszcze w Jedince przypadły do serca. Że zaś o syna był już zupełnie spokojny, więc, gdy siedli do wieczerzy, począł rozmawiać z nią wesoło, starając się nawet i z pomocą żartów rozproszyć tę jakowąś troskę, którą widział

na jej czole, a której przyczynę przypisywał właśnie temu, co zaszło.

Lecz wieczera nie miała się skończyć pomyślnie dla dziewczyny, gdyż zaraz po drugim daniu w progu izby pojawił się Wojtaszek i, chuchając w zmarznięte palce, poczał wołać:

— Proszę panienki, czapkę zostawiłem, ale pana Taczewskiego niemasz w Wyrąbkach, bo pojechał z księdzem Woynowskim.

Usłyszawszy to, pan Pągowski zdumiał się, zmarzszy natychmiast brwi i, atkwiwszy swe żelazne oczy w pacholka, zapytał:

— Co to jest? co za czapkę? A ciebie kto posłał do Wyrąbków?

— Panienka—odpowiedziało ze strachem pacholec.

— Ja—powtórzyła panna Sienińska.

I, widząc skierowane na się wszystkie spojrzenia, zmieszała się okrutnie, ale nie nadługo, gdyż wykrętny dowcip niewieści wnet przyszedł jej z pomocą.

— Pan Taczewski odwiózł tu rannych — rzekła — ale że obie z cioteczną źleśmy go przyjęły, więc się rozgniewał i bez czapki poleciał do domu, a ja mu czapkę odesłałam,

— Prawda, źeśmy go niezbyt wdzięcznie przyjęły—ozwała się pani Winnicka.

Pan Pągowski odetchnął i twarz stała mu się mniej groźna.

— Dobrzeście zrobili!—rzekł.— A czapkę byłbym mu sam odesłał, bo pewnie nie ma drugiej.

Lecz zaeny i wyrozumiały pan Cypryanowicz począł się ujmować za Taczewskim.

— Mój syn—rzekł—nie ma do niego nijakiej urazy. Sami go do bitwy zmusili, a on ich potem jeszcze do siebie zawiózł, opatrzył i ugościł. Bukojemsey też

to samo powiadają, z tym dodatkiem, że to jest gracz na szable, który, gdyby był chciał, byłby ich godniej poszczerbił. Ha! chcieli dać naukę, a sami znaleźli nauczyciela. Jeśli prawda, że król jegomość na Turka ruszy, to przyda się tam taki Taczewski.

Pan Pągowski nierad słuchał tych słów, a w końcu rzekł:

— Jego ksiądz Woynowski tych sztuk wyuczył.

— Księdza Woynowskiego widziałem tylko raz na odpuście — mówił pan Cypryanowicz — ale słyszałem o nim wiele jeszcze za moich wojskowych czasów. Śmieli się z niego na odpuście inni księża, mówiąc, że jego plebania jest jako arka i że wszelkie animalia, jako Noe hoduje. Wiem wszelako, że to była szablą wielką, a teraz jest cnota wielką, czego jeśli pan Taczewski też się od niego wyuczył, tobym chciał, żeby mój syn, gdy się wygoi, innej amicycyi nie szukał...

— Mówią, że sejm się zaraz aukcją wojska zajmie — rzekł, chcąc zmienić rozmowę, pan Geodeon.

— Tak jest, wszyscy się już tem zajmują — potwierdził starosta Grothus.

I rozmowa potoczyła się dalej o wojnie. Ale po wiczerzy panna Sienińska, upatrzawszy stosowną chwilę, zbliżyła się do Cypryanowicza i podniósłszy na niego swe modre oczka, rzekła:

— Waszmość pan jesteś dobry, bardzo dobry.

— A czemu to? — zapytał Cypryanowicz.

— Żeś się za panem Jackiem ujął.

— Za kim? — spytał Cypryanowicz.

— Za panem Taczewskim. Jemu Jacek na imię!

— Ba, a samaś waćpanna tak go sarowie skarciła. Poco tak było?

— Gorzej go skarcił opiekun. Ale przyznaję waszmość panu, że nie postąpiliśmy sprawiedliwie i myślę, że należy mu się jakowaś pociecha...

— On też pewnie rad ją z rąk waćpanny przyjmie.

A dziewczyna potrząsnęła swą złotą główką na znak przeczenia.

— Ej nie—odrzekła ze smutnym uśmiechem, już on się na nas na wieki rozniewał...

Cypryanowicz popatrzył na nią prawdziwie dobrym, ojcowskim wzrokiem:

— Ktoby się tam na ciebie, wdzięczny kwiatuszku, potrafił na wieki rozniewać.

— O! on potrafi!... Ale co do pociechy, to byłaby dla niego najlepsza, gdybyś waszmość pan sam mu powiedział, że urazy do niego nie masz i że niewinność jego widzisz. Wtedyby już i opiekun musiał mu jakąś sprawiedliwość wyrządzić, a ta mu się od nas należy.

— Widzę, że waćpanna nie była tak znów bardzo dla niego ostra, skoro się teraz za nim z takim gorącym sercem ujmajesz.

— Bo mam wyrzuty sumienia i że nie chcę nieczyjej krzywdy, i że on jest sam na świecie, i że jest bardzo, bardzo ubogi.

— Tedy powiem waćpannie, że m to już sobie w duszy postanowił. Waćpanny opiekun, jako gościnny sąsiad, zapowiedział mi, że mnie nie paści, póki mi się syn nie wygoi, ale i Stacha, i Bakojemskich możnaby choćby jutro zabrać do domu. Przedtem jednak z pewnością będę i u pana Taczewskiego, i u księdza Woynowskiego, a to nie przez żadną dobroć, ale przez zrozumienie, że im się to ode mnie należy. Jać nie mówię, że jestem zły, jeno tak myślę, że jeśli tu kto jest naprawdę dobry, to nie ja, ale waćpanna. Nie przeczi

Ona jednak przeczyła, bo czuła, że nie o samą sprawiedliwość względem Jacka jej chodzi, ale i o inne sprawy, o których, nie wtajemniczony w jej dziewczęce rachuby, pan Cypryanowicz nie mógł nie wiedzieć. Serce jej jednak wezbrało wdzięcznością dla niego i na dobranoc pocałowała go w rękę, za co rozgniewał się na nią pan Pagowski.

— Toć to trzecie dopiero pokolenie, a przedtem kupcy—mówił.—Pamiętaj, ktoś jest!



два дни później wyjechał Jacek z dziesięciu dukatami do Radomia, aby się ogarnąć przystojnie przed podróżą, a ksiądz Woynowski został na plebanii i rozmyślał, skądby wziąć więcej pieniędzy na cały moderek żołnierski, na wozy, na konie, na poczet i na czeladź—co wszystko towarzysz

musiał mieć, jeśli powagę kochał i jeśli nie chciał, aby jego samego miano za hetkę-pętelkę.

Zwłaszcza wypadało tak wystąpić Taczewskiemu, który nosił wielkie i sławne, lubo już nieco zapomniane w Rzeczypospolitej nazwisko.

Pewnego dnia zasiadł więc ksiądz Woynowski do stolika, namarszczył brwi, że aż biała czupryna zsunęła

mu się na czoło, i rachował, ile na co będzie potrzeba. „Animalia“, to jest pies Filuś, oswojona liszka i borsak trzeci, przewracały kalki, bawiąc się u jego nóg, ale on na nie nie zważał, tak okrutnie był zajęty i zafrasowany, gdyż „kalkulacye“ wcale nie chciały dobrze wypadać i rwały się co chwila. Nie stawało nietylko na rzeczy pomniejsze, ale i na główne. Staruszek tarł czoło coraz mocniej, a w końcu zaczął sam z sobą głośno rozmawiać.

— Wziął dziesięć — dobrze. Pewno nie mu nie ostanie. Liczmy dalej: od piwowara Kondrata na borg pięć, od Słoninki trzy, to ośm. Od Dudy talarów bitych pruskich sześć i koń podjezdek na borg. Spłaci się jęczmieniem, jeśli urodzi. Razem ośm czerwonych złotych i sześć talarów i dwadzieścia złotych moich. Mało! Choćbym mu oddał wałacha pod czeladnika, to będzie dopiero, licząc z podjezdkiem, koni dwa, a do wozu trzeba jeszcze dwa — i dla Jacka samych powodowych najmniej dwa. Paasa! a mniej nie można, bo, jeśli mu jeden padnie, musi mieć inne na odmianę. A barwa dla czeladzi, a zapasy na wóz, a kotły, a opony, a puzdra! Tfu! z takimi pieniędzmi chyba do dragonów iść.

Poczem zwrócił się do zwierząt, które znaczny czyniły hałas.

— Cicho tam, odmieńce, bo skóry z was żydom posprzedają.

I znów zaczął z sobą rozmawiać.

— Jacek ma słuszość, że Wyrąbki trzeba sprzedać. Jenó, że to potem, gdy zapytają: skąd jesteś? — niema co rzec. Skąd? Z Wiatrowa. Z jakiego Wiatrowa? Z Wiatrowa w polu. Zaraz każdy lekce sobie takiego waży. Lepiejby zastawić, byle się zastawnik znalazł. Pągowskiemu byłoby najporęczniej, ale Jacek

by o tem słyszeć nie chciał i ja sam nie wszcząłbym z nim tej materyi... Mój Boże! Niesłusznie ludzie mówią: „ubogi, jak mysz kościelna!“ — Człeku czasem większa bieda. Mysz kościelna na święty Szczepan ¹⁾ godnie żyje, a wosk ma o każdej porze. Panie Jezu, któryś pomnożył chleb i ryby, pomnóż-że tych kilka czerwonych złotych i tych kilka talarów, bo Tobie, miłościwy Panie, nie nie ubędzie, a ostatniemu Taczewskiemu dopomożesz...

Tu przyszło mu do głowy, że pruskie talary, jako z luterskiego kraju pochodzące, „abominacyę“ tylko w niebie wzbudzić mogą, ale co do czerwonych złotych zawahał się, czyby ich na noc pod nóżki Chrystasowi nie podłożyć — aż nazajutrz znajdzie się ich więcej? Nie czuł się jednak godnym cuda i nawet kilkakrotnie uderzył się w piersi w skrusze na myśl zuchwałą. Ale dłużej nie mógł o tem rozmyślać, gdyż ktoś zajechał przed plebanię.

Po chwili otwały się drzwi i do izby wszedł wysoki, siwy mąż z czarnemi oczyma, patrzącemi mądrze i dobrotliwie. Mąż ów skłonił się w progę i rzekł:

— Jestem Cypryanowicz z Jedlinki.

— Jakże, widziałem waszmość pana na odpuszcie w Przytyku, ale jeno zdaleka, bo zjazd był srogi — zawołał ksiądz, posuwając się żywo ku gościowi. — Witam waszmości z radością w moich niskich progach.

— I ja też z radością tu przybywam — odpowiedział Cypryanowicz. — Wielki to i miły obowiązek pokłonić się tak znakomitemu rycerzowi i tak świętemu kapłanowi.

¹⁾ Na św. Szczepan lud rzucał wszelakiem ziarnem na księdza przy oltarzu, na pamiątkę ukamienowania tegoż świętego.

To rzekłszy, ucałował staruszka w ramię i w rękę, choć ów bronił się, mówiąc:

— At, co za świętość! Może oto te bestiae mają więcej zasługi przed Bogiem, niż ja.

Ale Cypryanowicz mówił z taką prostotą i szczerością, że odrazu tem ujął księdza Woynowskiego, poczeli więc wzajem mówić sobie słowa przychyłne i z serca płynące.

— Poznałem i syna waszmości—rzekł staruszek—zacny to kawaler i górnych manier. Owi Bukojemscy przy nim ledwo jak jego dworzanie. To powiadam wac-panu, że Jacek Taczewski tak go odrazu pokochał, że nie, tylko go wciąż wychwala.

— I mój Stach również. Często to bywa, że się ludzie biją, a potem kochają. Nikt z nas nietylko żadnej urazy do pana Taczewskiego nie żywi, ale wszyscy chcielibyśmy rzetelną amicyję z nim zawrzeć. Byłem też u niego w Wyrąbkach i stamtąd jadę. Myślałem, że go tu znajdę, i chciałem zaprosić do Jedlinki was, księżę dobrodzieja mój—i jego.

— Jacek jest w Radomiu, ale jeszcze tu wróci i pewnie chętnie służyć będzie... Ale patrz-że waszmość pan, jako to się tam z nim obeszli w Bełżączce.

— Sami się w tem spostrzegli—odrzekł pan Cypryanowicz—i już tego żałują: nie pan Pągowski, ale niewiasty.

— Pan Pągowski to człek zawzięty, jak mało kto, i ciężki kiedyś zda z tego rachunek przed Bogiem, a co do niewiast—Bóg z niemi... Co tu ukrywać, że całego tego pojedynku przyczyna, to jedna z nich.

— Ja się tego też domyślałem, zanim mi syn potwierdził. Ale to niewinna przyczyna.

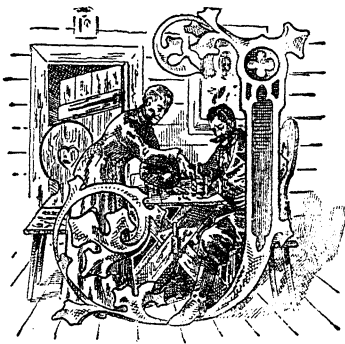
— Wszystkie one niewinne... A czy waszmość wiesz, co eklezyasta mówi o niewiastach?

Pan Cypryanowicz nie wiedział, więc ksiądz Woynowski zdjął z półki wulgatę i odczytał ustęp z eklezjasty, poczem rzekł:

— A co?

— Bywają i takie — odpowiedział pan Cypryanowicz.

— Jacek też nie z innej przyczyny rusza w świat. Ale tego wcalem mu nie odradzałem. Owszem!



akże to? zaraz rusza? Wojna latem się dopiero rozpocznie.

— Wiesz waćpan napewno?

— Wiem, bo dopytuję, a dopytuję dlatego, że i mojego syna nie utrzymam.

— Od tego szlachcie. Jackek zaś zaraz rusza, bo, mówiąc prawdę, boleśnie ma tu zostawać.

— Rozumiem, rozumiem wszystko. Pośpiech — najlepsze to w takich terminach lekarstwo.

— To też tyle tylko czasu jeszcze w tych stornach zabawi, ile będzie trzeba, aby Wyrąbki sprzedać lub zastawić. Nieduży to wycóżtek, ale przecie radzę Jackowi, by wolej zastawił niż sprzedawał. Choćby też nie miał nigdy już do nich wrócić, zawsze się może

z nich pisać, a to jest przystojniej dla człowieka z jego krwią i nazwiskiem.

— Zali koniecznie musi sprzedawać albo zastawiać?

— Musi. Człowiek jest ubogi, całkiem ubogi. Waszmość wiesz, ile każda wyprawa kosztuje, a on w byle dragońskim regimencie służyć nie może.

Pan Cypryanowicz zastanowił się przez chwilę, poczem rzekł:

— To wiecie co, dobrodzieju, może jabym wziął w zastaw Wyrąbki?

Książdz Woynowski zarumienił się, jak panna, której młodzieniec wyznaje niespodzianie to, co jaknajmocniej pragnęła usłyszeć; ale ramieńce owe przeleciały mu tak szybko przez twarz, jak letnia błyskawica przelatuje przez wieczorne niebo, poczem spojrzął bystro na Cypryanowicza i zapytał:

— A waszmości co po tem?

Leez ów odpowiedział z całą szczerością zacnej duszy:

— Co mi po tem? To, że chcę zacnemu młodzianowi przysługę bez straty dla siebie oddać, za którą jeszcze sobie wdzięczność jego zaskarbię. Nie bójcie się, ojcze dobrodzieju, mam przytem i swoje w tem wyrachowanie. Oto wyprawię jedynaka do tej samej chorągwi, w której będzie służył pan Taczewski, i tuszę, że mój Stach znajdzie w nim godnego kompaniona i przyjaciela. Wiecie, jaka to ważna rzecz kompania, i co to jest wierny przyjaciel przy boku i w obozie, gdzie tak łatwo o zwadę, i na wojnie, gdzie łatwiej jeszcze o śmierć. Bóg mi fortuny nie poskąpił, a dziecko dał tylko jedno. Pan Taczewski jest mężny, trzeźwy, mistrz, jako się pokazało do szabli — i cnotliwy,

bo wyście go hodowali! Niech-że będą ze Stachem jako Orestes i Pylades. Oto moje wyrachowanie.

Ksiądz Woynowski otworzył mu szeroko ramiona.

— A to Bóg waści zesłał! Za Jacka ja ręczę, jak za siebie samego. Złoty to chłop i serce ma wdzięczne, jak pszenna ziemia. Bóg waści zesłał! Będzie teraz mogło moje chłopczysko pokazać się, jak na Taczewskiego Powale przystoi—i, co najważniejsza. może ujrzawszy szeroki świat, zapomni o tej dziewczce, dla której tyle lat zmarnował i tyle przecierpiał.

— Także to ją oddawna miłował?

— Ba, prawdę mówiąc, od małego dziecka. A i teraz nie mówi nic, zęby zacina, ale wije się jako węgorz na trzonie... A, niechże jedzie jaknajprędzej, bo z tego nie mogło i nie może nie być.

Nastała chwila milczenia.

— Trzeba jednak acuratissime o tych sprawach pogadać—rzekł wreszcie staruszek.—Ile waszmość pan możesz dać na zastaw Wyrąbków? Lichy to płachetek.

— Choćby i sto dukatów.

— Bój-że się waszmość Boga!

— A czemu? Jeśli pan Taczewski spłaci mi to kiedyś, to wszystko jedno, ile dam, a jeśli nie spłaci, to także wyjdę na swoje, bo tu wkoło ziemia licha, a to nowina po lesie, która przeto musi być dobra. Ja dziś zabieram Stacha i Bukojemskich z powrotem do Jędlinki, a waszmościowie bądźcie na nas łaskawi, jak tylko pan Taczewski z Radomia wróci. Pieniądze będą gotowe.

— Z nieba-ś się waszmość wziął razem ze swoją fortuną i ze swoim złotem sercem—odpowiedział ksiądz Woynowski.

Poczem kazał przynieść miodu, sam ponalewał kusztyczki i pili z ochotą, jak piją ludzie, mający ra-

dość w sercu. Przy trzecim jednak kusztyczka spoważniał ksiądz i rzekł:

— Za pomoc, za dobre słowo, za waćpanową poczciwość niech choć dobrą radą zapłacę.

— Słucham.

— Nie osadzaj waśce syna w Wyrąbkach. Dziewka jest gładka nad wszelką imaginację. Może być przytem sama w sobie i zaena, nie przeczę, ale to Sienińska, z czego nie ona sama, ale pan Pągowski jest tak pyszny, że, gdyby o nią się posunął — albo ja wiem? — choćby sam nasz królewicz Jacobus, jeszczeby się to staremu nie wydało zanadto. Strzeż-że waśce syna, nie pozwól mu, aby sobie o tę pychę młode serce podrapał, albo i śmiertelnie, jak Jacek, poranił. Ze szczerej i życzliwej przyjaźni to waści mówię, chcąc dobrem za dobre zapłacić.

Pan Cypryanowicz przeciągnął dłonią po czole i tak rzekł:

— Spadli nam do Jedlinki, z powodu podróźnej przygody, jakoby z chmur. Ja byłem kiedyś w domu pana Pągowskiego z sąsiedzkiemi odwiedzinami, ale on nie był u mnie. Wymiarkowawszy stąd jego pychę, więcej jego przyjaźni i znajomości nie szukałem. Samo to przyszło. Syna jednakże w Wyrąbkach nie osadzę, ani też bałamucić mu się w Bełżączce nie pozwolę. Nie tak my stara szlachta jak Sienińscy, ani może jak Pągowsy — ale szlachta i to wyrosła z wojny, z tego co boli, jako mawiał pan Czarniecki. Godność naszą potrafimy zachować — i mój syn niemniej ode mnie jest na to czuły. Strzały Kupidyna trudno się młodemu ustrzedz, ale powiem wam, dobrodzieju, co mi Stach rzekł, gdym go teraz w Bełżączce o dziewczkę rozpytywał: „Wolę — powiada — jabłka nie urwać, niż za wysoko podskakiwać, bo jak nie doskoczę, to wstyd.“

— O, to dobrze ma w głowie!—zawołał ksiądz.

— Taki on był od małego— odrzekł z pewną dumą Cypryanowicz. — Przytem powiedział i to jeszcze, że, gdy teraz dowiedział się, czem ta dziewczka była dla Taczewskiego i co on dla niej przeszedł — nie chciałby za nie tak godnemu kawalerowi w drogę wchodzić. Nie, mości dobrodzieja—nie dlatego ja biorę w zastaw Wyrąbki, by synowi memu było do Bełzączki blisko. Niech mi Bóg chłopca strzeże i od wszelkiego złego go uchroni!

— Amen. Wierzę, jakoby mi anioł powiadał. A tę pannę niech ktoś trzeci weźmie, choćby jeden z panów Bakojemskich, którzy szczycą się tak wielką parantelą.

Cypryanowicz począł się śmiać, poczem dopił miodu, pożegnał się i odjechał. Ksiądz Woynowski udał się do kościoła, aby Bogu podziękować za niespodzianą pomoc, poczem niecierpliwie czekał na Taczewskiego.

A gdy nareszcie Jacek wrócił, wybiegł do niego aż na podwórze, chwycił go w ramiona i począł wołać:

— Jacku! za jedno podogonie możesz dziesięć dukatów zapłacić. Sto czerwonych masz jakoby na stole i Wyrąbki przy tobie zostają!

A Taczewski atkwił w niego zapadłe z męki i bezsenności oczy i zapytał ze zdziwieniem:

— Co się stało?

Stała się zaś istotnie rzecz dobra, bo płynąca z uczciwego ludzkiego serca. Z największą też pociechą zauważył ksiądz Woynowski, że Jacek, mimo ciężkiego strapienia i wszystkich serdecznych adreżczeń, nabrał jakoby nowego ducha na wiadomość o układzie z Cypryanowiczem. Przez kilka dni mówił i myślał tylko o koniach, wozach, o rysztanku wojennym i cze-

ładzi tak, iż zdawało się, że w jego duszy niemasz już na nic innego miejsca.

— To ci lekarstwo, to ci balsam, to ci dryakiew— powtarzał sobie w duchu ksiądz Woynowski— bo, żeby kto nie wiem jak był przez niewiastę usidlon, żeby nie wiem jaki nieszczęśnik, to przecież, jeśli na wojnę idzie, musi obaczyć, czy nie dychawicznego, albo nie włogawego konia kupuje, musi między szablami wybrać, a pancerza przymierzyć, a kopią się raz i drugi złożyć, przez co animus zaraz się od niewiasty odwróci i, przystojniejszemi rzeczami zajęty, sercu też ulgę zapewni.

I wspominał, jako niegdyś, za młodych lat, sam szukał w wojnie zapomnienia albo śmierci. Ale że teraz wojna jeszcze nie rozkwitła, więc Jackowi w każdym razie było do śmierci daleko, a tymczasem cały zaprzątnięty był wyprawą i związanemi z nią sprawami.

Było zaś czynności dużo.

Obaj Cypryanowicze przyjechali znów do księdza Woynowskiego, u którego mieszkał Jacek. Počem wszyscy razem udali się do grodu, aby spisać akt zastawu. Tamże sporządzoną została część Jackowej wyprawy, której resztę doświadczony i przezorny ksiądz Woynowski radził załatwić w Warszawie, albo w Krakowie. Wypełniło to kilka dni od rana do wieczora, przyčem wygojony już prawie zupełnie po nieznanym skaleczeniu, Stanisław Cypryanowicz pomagał gorliwie Jackowi, z którym coraz ściślejszą zawiązywał znajomość i przyjaźń.

Cieszyli się na ów widok starzy, albowiem obu wiele na tem zależało. Zaeny pan Serafin począł nawet żałować, że Jacek tak prędko odjeżdża i namawiać księdza, aby zbyt wyjazdu jego nie spieszał.

— Rozumiem,—mówił—rozumiem dobrze, dlatego byście go eheili, ojeze dobrodzieju, jako najprędzej wyprawić, ale po sprawiedliwości muszę powiedzieć, że ja o tej pannie Sienińskiej źle nie myślę... Już-ci prawda, że w pierwszej chwili niezbyt wdzięcznie Jacka po pojedynku przyjęła, ale pomyście, że Stach i Bakojemscy dopiero co i ją, i panią Winnicką z wileczej paszczęki wyrwali; cóż więc dziwnego, że na widok ich ran i krwi chwycił ją gniew, który, jako wiem, ekscytował w niej umyślnie i Pałowski. To,—to zawzięty prawdziwie człęk, ale dziewczynina, gdym tam a nich był, przyszła już do mnie całkiem skruszona: „Przyznając,—powiada—że nie postąpiliśmy sprawiedliwie i że się panu Jackowi należy jakowaś od nas pociecha“. I zaraz ci jej oczka zmokły, aż mi się zrobiło żal, że to przytem liezko nad miarę gładkie. Ale duszę to ona ma sprawiedliwą i krzywdę czuje...

— Na miły Bóg, niechże Jacek o tem nie wie, bo zaraz by mu serce znów pod gardło podeszło, a ledwie że począł lepiej dychać. Uciekł stamtąd bez czapki, przysiągł, że nie wróci—i niech go Bóg od tego broni. Niewiasty, widzisz waszmość, są jako te ogniki, co w Jedlni na tłastych błotach nocami chodzą. Gonisz go—ucieką; uciekasz—on cię goni... Ot co!...

— Mądra to jest sentencya, którą muszę dla Stacha zakonotować—rzekł pan Serafin.

— A Jacek niech jedzie jaknajprędzej. Wygotowałem mu już listy do różnych znajomych i dygnitarzy, których znałem, gdy nie byli jeszcze dygnitarzami, i do żołnierzy, co znamienitszych... W tych listach polecam i waszmość syna, jako godnego kawalera, a gdy przyjdzie na niego czas wyruszyć, to mu jeszcze dam osobne, choć to może i zbyteczna, bo mu już tam Jacek drogę atoruje. Niech służą razem.

— Dziękuję wam, ojeze dobrodzieja, z całej duszy. Tak! niech służą razem i niech do końca życia w stałej amicycyi dotrwają. Mówiliście o chorągwi królewicza Aleksandra, która pod Zbierchowskim chodzi. Górna to chorągiew, może i najpierwsza w usarji, więcbym dla Stanisława okrutnie był rad, ale on mi powiedział tak: „lekka jazda na sześć dni w tygodniu, a usarze tylko jakoby na niedzielę.“

— Generaliter prawdę powiedział—odrzekł ksiądz.— Jużci, usarzy na podjazdy nie posyłają i rzadko też który na hare wyjeżdża, że to takiemu żołnierzowi nie przystoi z byle kim się potykać; ale też za to jak przyjdzie ich niedziela, to się tak napiją a natratują, że inni i przez sześć dni tyle krwi nie wytoczą. Zresztą nie wojnie rozkazują, ale wojna rozkazuje, więc czasem się trafi, że i usarze mają powszednią robotę.

— Ojciec dobrodziej wiesz to najlepiej...

Ksiądz Woynowski przymknął na chwilę oczy, jakby chcąc przypomnieć sobie dokładniej czasy ubiegłe, poczem podniósł szklanicę, spojrzął pod światło na miód, pociągnął jeden i drugi łyk i rzekł:

— Tak było, gdyśmy pod koniec wojny szwedzkiej poszli pokarać zdrajcę elektora za znowę z Carolusem. Poniósł pan marszałek Lubomirski ogień i miecz pod sam Berlin. Byłem wtedy towarzyszem w jego własnej usarskiej chorągwi, której Wiktor poręcznikował. Zastawiał nam się Brandeburezyk, jako mógł: to piechotę, to pospolitem ruszeniem, w którym była szlachta niemiecka — i mówię waści, że nam usarzom, tak samo jak i nadwornym kozakom ledwie że w końcu ramiona w zawiasach chodziły...

— Taką to była ciężka robota?

— Nie była ciężka, bo na sam nasz widok tak niebożętom muszkiety i dzidy w rękach się trzęsły, ja-

ko gałęzie na wietrze — ale była codzien, od rana do wieczora. Czy wrażasz kopię w piersi, czy w plecy, jednakowo się trudzisz. Hej, miłaż to była wyprawa, bo, jako się rzekło: pracowita, a swoją drogą w życiu ja się tyle ludzkich i końskich zadów nie napatrzył, ile wówczas. Spustoszyliśmy też z połowę Brandenburgii tak godnie, że aż Later w piekle płakał.

— Miło wspomnieć, że zdrada otrzymała słuszną karę.

— Pewnie, że miło. Przyjechał potem elektor do pana Lubomirskiego prosić mira. Jam tego nie widział, ale powiadali potem żołnierze, że pan marszałek chodził po majdanie wsparty w boki, a elektor dreptał cięgiem za nim i kłaniał się tak, że bez mała peraką do ziemi dostawał, i pod kolana marszałka chytał — ba! mówili nawet, że i całował gdzie popadło; ale temu to i nie bardzo daję wiary, gdyż pan marszałek, mając serce pyszne, lubił nieprzyjaciela przygiąć, ale człowiek był przytem polityczny — i nie byłby na nie podobnego zezwolił.

— Daj Bóg, aby teraz z Turkami tak poszło, jak wonezas z Brandenburczykiem.

— Niewysoka ci jest moja eksperyencya, ale za to długa, powiem tedy szczyrze waszmości, iż myślę, że [pójdzie, albo tak, albo jeszcze i lepiej. Pan marszałek był wojennik doświadczony i zwłaszcza fortunny, ale przecie z naszym Jegomością, dziś szczęśliwie nam panującym, porównać go nie można.

Poczem wspominali wszystkie zwycięstwa królewskie i bitwy, w których sami jeszcze brali udział, pijąc za zdrowie króla i ciesząc się, że pod takim wodzem młodzi nietylko wojny zażyją, ale i sławy niezmiernej nabędą, zwłaszcza że wojna miała być z odwiecznym nieprzyjacielem krzyża.

Wprawdzie nikt nie o niej dobrze nie wiedział.

Nie było też jeszcze wiadomo, czy potęga turecka zwróci się naprzód na Rzeczpospolitą, czy na cesarza. Sprawa przymierza z dworem rakuskim miała być dopiero na sejmie poruszoną. Ale już na zjazdach szlacheckich i sejmikach powiatowych mówiono tylko o wojnie. Statyści, którzy bywali w Warszawie i przy dworze, przepowiadali ją bez pochyby, a prócz tego cały naród ogarnęło jakoweś przeczucie, że musi ona nastąpić — przeczucie, niemal od samej pewności silniejsze, a wysnute zarówno z dotychczasowych czynów królewskich, jak i z powszechnej woli i z przeznaczeń narodowych.



drodze z Radomia zaprosił ksiądz Woynowski Cypryanowiczów, aby wstąpili dla wytehnienia na plebańczę, poczem miał wraz z Jackiem udać się do nich do Jedlinki. Tymczasem zajechali go niespodzianie trzej panowie Bukojemscy. Marek, który miał przecięty obojezyk, nie mógł się jeszcze ruszać, ale

Mateusz, Łukasz i Jan przybyli pokłonić się starszuszce i podziękować mu za opatrunek. Janowi brakło wprawdzie małego palca, a starsi mieli potężne kresy—jeden na czole, drugi na policzku—ale zresztą wygoili się całkiem i byli zdrowi jak rydze.

Przed dwoma dniami wyprawili się już do puszczy na łowy i, podkurzywszy śpiącą niedźwiedzicę

w barłogu, skłuli ją oszczepami, a piastana przywieźli w darze księdzu, którego miłość dla leśnych bestyj znana była powszechnie.

Staruszek, któremu przypadli do serca jako „chłopy szczerę“, ucieszył się i do nich i do niedźwiadka — i aż popłakał się ze śmiechu, gdy ów, porwawszy jeden z kuszyków, nalanych dla gości miodem, począł ryczeć w niebogłosy dla wzbudzenia należytego postrachu i zabezpieczenia sobie łupu.

Poczem, widząc, że mu nikt nie odbiera, stanął na zadnich nogach i wypił jak człowiek, co jeszcze większą wzbudziło radość.

— Nie uczynię go ani piwniczym, ani bartnikiem—mówił rozbawiony ksiądz.

— Ha! — wołał, śmiejąc się, Stanisław Cypryanowicz—krótco był w szkole u Bukojemskich, ale przez jeden dzień tyle skorzystał, ileby się w boru przez całe życie nie nauczył.

— A nieprawda—odrzekł Łukasz—gdyż to jest bestya, która z przyrodzenia ma ten dowcip, że wie, co jest dobre. Ledwieśmy go z lasu przywieźli, zaraz się gorzałki napił, jakby co rano w lesie pijał, a potem psa dał w pysk: „naści (powiada) nie obwąchaj“—i poszedł spać.

— Dzięki waszmościom, szczerą będą miał z niego pociechę—rzekł ksiądz—ale go piwniczym nie uczynię, bo choć na napitkach zna się dobrze, zbyt by gorliwie koło nich chodził.

— Niedźwiedź niejedno potrafi — zauważył Jan — u księdza Głomińskiego, w Przytyku, jest taki, o którym powiadają, że do organów kalikuje. Ale niektórzy się tem gorszą, bo czasem też i sam ryknie, zwłaszcza gdy go drągiem pokseytują.

— Niemasz w tem nijakiego zgorzenia—odpowiedział ksiądz—ptacy sobie gniazda w kościołach czynią i na chwałę Boską śpiewają, a nikt się tem nie gorszy. Każdy zwierz to też służka Boży, a Zbawiciel w sta-jence się narodził.

— Mówią przytem—rzekł Mateusz—że Pan Jezus młynarza w niedźwiedzia zmienił, więc może się w nim i dusza ludzka ostała.

A na to starszy Cypryanowicz:

— Toście młynarzową w takim razie zabili, za co musicie odpowiadać. Król Jegomość bardzo o swoje niedźwiedzie zazdrosny i nie po to leśniczych trzyma, aby mu je zabijali.

Usłyszawszy to, trzej bracia zatroskali się rzetelnie i, dopiero po dłuższym namyśle, Mateusz, chcąc coś powiedzieć na obronę spólnego uczynku, rzekł:

— Ba, albośmy to nie szlachta? Tacy dobrzy Ba-kojemscy, jak i Sobiescy.

Lecz Łukaszowi przyszła do głowy szczęśliwa myśl, więc zaraz rozpogodził oblicze:

— Daliśmy kawalerski parol — rzekł — że nie będziemy niedźwiedzi strzelać—prawda? To też nie strzelamy, jeno kłujem.

— Nie o niedźwiedziach teraz król jegomość myśli — zauważył Jan — a przytem nikt mu nie doniesie. Niechby który leszczowy śmiał... Ha! szkoda wszelako, żeśmy się pana Pągowskiego i pana Grothasowi z tem pochwalili, bo pan Grothas właśnie do Warszawy jechał, a że króla często widuje, to może tam przypadkiem się wygadać.

— A kiedyście Pągowskiego spotkali? — zapytał ksiądz.

— Wezoraj. Właśnie pana Grothasa odprowadzał. Wicie, dobrodzieju, gdzie jest karczma, co się Mor-

downia nazywa? Zajechali tam koniom wytehnąć i nas zastali. Począł tedy Pągowski o różne rzeczy wypytować, a i o Jacka też.

— O mnie?—zapytał Taczewski.

— Tak. „Czy prawda (pyta), że Taczewski do chorągwi jedzie?“

— Powiadamy: Prawda!

— A kiedy?

— Pono wkrótce.—Tak Pągowski znów mówi: To dobrze, ale chyba do piechoty.

Na to rozgniewaliśmy się wszyscy, a Mateusz powiada:

— Jegomość takich rzeczy nie suponuj, bo Jacek teraz nasz przyjaciel i musielibyśmy się za nim ująć. I że to zaczęliśmy trochę sapać, więc on się pomiar-kował i rzekł:

— Nie mówię ja tego z jakiej osobliwej niezyczliwości, jeno wiem, że Wyrąbki—nie starostwo.

— Starostwo, czy nie starostwo, a jemu zasię!—zawołał ksiądz.—Niechże sobie tem głowy nie zaprzęta

Widocznie jednak pan Pągowski odmiennego w tej sprawie był zdania i zaprzętał sobie głowę Jackiem, albowiem w godzinę później pacholek przyniósł razem z nowym gąsiorkiem miodu list z pieczęcią i rzekł:

— Jest posłaniec do jegomości z Bełczączki.

Ksiądz Woynowski wziął list, odpieczętował, rozwinął, adarzył wierzchem dłoni w arkusz i, zbliżywszy się do okna, począł czytać.

A Jacek aż przybladł ze wzruszenia: patrzył jak w tęczę w ową kartę, albowiem przeczucie mówiło mu, że o nim w niej będzie mowa. Myśli, jak jaskółki, przelatywały mu przez głowę: naż stary się skruszył, naż to są przeprosiny? Tak powinno być i nawet nie może być nic innego Pągowski nie miał przecie prawa

gniewać się o to, co zaszło, więcej od tych, którzy ucierpieli w zajściu. Więc oto ozwało się samienie: poznał niesprawiedliwość swego postępku, zrozumiał, jak ciężko niewinnego człowieka pokrzywdził, i pragnie naprawić krzywdę.

Seree poczęło w Jacku bić jak młotem: Och, pojedę—mówił sobie w duszy—nie dla mnie tamto szczęście, a choć i przebaczę, to już zapomnieć nie potrafię, ale by raz ujrzeć jeszcze przed wyjazdem tę tak okrutną a tak umiłowaną Anulę, raz się jej jeszcze napatrzyć, raz jeszcze głos jej usłyszyć—tego mi, miłosierny Boże, nie odmawiaj!

I myśli leciały szybciej jeszcze od jaskółek, ale nim przeleciały, stało się coś całkiem niespodzianego, bo oto nagle ksiądz Woynowski zmiął list w rękę i chwycił się za lewy bok, jakby szukając szabli. Oblicze zaszło mu krwią, szyja napęczniała, a oczy ciskały błyskawice. Był poprostu tak straszny, że Cypryanowicze i Bakojemsey patrzyli na niego z takim zdumieniem, jak gdyby przez jakieś czary zmienił się nagle w innego człowieka.

W izbie zapanowało głuche milczenie.

Tymczasem ksiądz pochylił się ku oknu, jakby na coś przez nie wyglądał, poczem odwrócił się, spojrzął naprzód po ścianach, potem na gości, ale widocznie zwalczył się już i opamiętał, bo twarz mu zbladła i płomień przygasł w oczach.

— Mości panowie,—rzekł—to człowiek nietylko zapaleczywy, lecz i zgoła zły. Bo powiedzieć w zapaleczywości więcej niż słusność pozwala, to się każdemu trafi, ale w zawziętości krzywdzić dalej i deptać po pokrzywdzonym, to już nie szlachecka i nie katolicka rzecz.

To rzekłszy, pochylił się, podniósł zmięty list i zwrócił się do Taczewskiego

— Jacku, jeśli ci jeszcze drzazga jaka w sercu została, to tym nożem ją wykroisz. Czytaj, nieboże, czytaj w głos, bo nie ty się wstydić powinieneś, ale ten, kto taki list napisał. Niech się ichmościowie dowiedzą, jaki jest pan Pągowski.

Jacek chwycił drżącemi rękoma kartę, rozwinął ją i czytał:

„Mnie wielce miłościwy księżę proboszcza Dobrodzieju etc. etc.

„Dowiedziawszy się, iż Taczewski z Wyrąbek, którego bywał w moim domu, ma się w tych czasach do wojska udać, przez pamięć na chleb, którym go w ubóstwie jego karmiłem, i dla posług, do których czasami trafiało mi się go używać, posyłam mu podjezdka i dukat na podkowy z zaleceniem, aby go na inne niepotrzebne rzeczy nie przetrwonił.

„Polecając zarazem chętne a gorliwe służby moje, piszę się... etc. etc.“

Jacek zbladł tak bardzo po przeczytaniu listu, że aż obecni zlekli się o niego, zwłaszcza ksiądz, który nie był pewny, czy ta bledość nie jest zwiastunką szalonego wybuchu, a wiedział, jak straszny bywa w gniewie ten, tak łagodny zwykle młodzian. Począł go też odrazu hamować:

— Pągowski stary jest i niema ręki — mówił pośpiesznie — wyzwać go nie możesz!..

Lecz Taczewski nie wybuchnął, albowiem niezmiernie i bolesne zdamienie wzięło w nim w pierwszej chwili górę nad wszelkimi innymi uczuciami.

— Wyzwać go nie mogę — powtórzył, jak echo — ale dlaczego on jeszcze mnie depeze?

Na to podniósł się starszy Cypryanowicz, wziął obie ręce Jacka, potrząsnął nimi silnie, poczem ucałował go w czoło i rzekł:

— Sobie jeno Pałowski tem Źubliżył, nie tobie, a jeśli zemsty poniechasz, tembardziej będzie każdy podziwiał twoją wspaniałą i godną wielkiej krwi daszę.

— Oto mądre słowa! — zawołał ksiądz — których musisz okazać się godnym...

Z kolei uściskał Jacka Stanisław Cypryanowicz.

— Prawdę mówiąc — rzekł — to coraz więcej cię kocham...

Lecz panom Bukojemskim, którzy od chwili wysłuchania listu nie przestawali zgrzytać, taki obrót rzeczy nie był wcale po myśli. Za przykładem Stanisława poczęli i oni ścisnąć Jacka.

— Niech ta będzie, jak chce — ozwał się wreszeie Łukasz — ale na miejscu Jacka inaczej jabym sobie poradził.

— Jak? — zapytali z ciekawością dwaj bracia.

— Właśnie, że nie wiem jak, ale bym się namyślił i swegobym nie darował.

— Skoro nie wiesz, to się nie odzywaj.

— A wy, to niby wiecie?

— Cicho wać! — rzekł ksiądz. — Jużci bez odpisu tego listu nie ostawim, ale zemsty poniechać — chrześcijańska i katolicka rzecz.

— Ba! a jegomość też się w pierwszej chwili za bok porwał.

— Bom za długo przy nim szablę nosił. Mea culpa! A jakom rzekł, zachodzi jeszcze i ta okoliczność, że Pałowski jest stary i bez ręki. Na nie ta żelazne racye... I powiem waściom, że właśnie dlatego brzydnie mi do ostatka ten zaciekły człek, że w tak paskudny sposób z bezkarności korzysta.

— Będzie mu wszelako przyciasno w naszej okolicy — rzekł Jan Bukojemski. — Jaż to nasza głowa w tem, żeby żywa noga pod jego dachem nie powstała...

— Tymczasem trzeba odpisać—przerwał ksiądz — i to zaraz.

Jednakże przez chwilę jeszcze namyślali się, kto ma odpisać: czy Jacek, dla którego był list przeznaczony, czy ksiądz, do którego był przesłany. Stanęło na tem, że ksiądz; sam Taczewski rzecz rozstrzygnął, rzekłszy:

— Dla mnie cały ten dom i wszyscy ludzie jakby wymarli, i szczęście dla nich, żem to sobie w duszy powiedział.

— Tak ci i jest! mosty spalone!—dorzucił ksiądz, szukając piór i papieru.

Na to Jan Bukojemski:

— To dobrze, że mosty spalone, ale lepiejby było, żeby i Bełżączka poszła z dymem! Bywało tak u nas na Ukrainie, gdy się jaki obcy przybędą osiedlił a z ludźmi żyć nie umiał, to się samego usiekło, majątek zaś puszczano się z dymem.

— Nikt jednakże nie zwrócił uwagi na te słowa, prócz starszego Cypryanowicza, który machnął niecierpliwie ręką i odparł:

— Waćpanowie przybyliście w te strony z Ukrainy, ja z pod Lwowa a pan Pągowski z pod Pomorzan, to, wedle waćpanego dowcipu, pan Taczewski mógłby nas wszystkich za przybłądów uważać; ale wiedz o tem, że Rzeczpospolita to jest wielki dom, w którym mieszka familia szlachecka i w którego każdym kącie szlachcie jest a siebie...

Nastało milczenie, z alkierza dochodziło tylko skrzypienie pióra i wymawiane półgłosem słowa, które ksiądz sam sobie dyktował.

Taczewski wsparł czoło na dłoniach i czas jakiś siedział bez ruchu; nagle wyprostował się, spojrzął po obecnych i przemówił:

— Jest coś takiego, czego ja wyrozumieć nie mogę.

— My też nie rozumiemy—odrzekł Łukasz Bakowski—ale jeśli się miodu jeszcze napijesz, to i my się napijem.

Jacek nalał machinalnie miodu w kasztyki, jednocześnie zaś, idąc za biegiem własnych myśli, mówił dalej:

— Bo, że się pojedynek począł w jego domu, za to Pałowski,—choć takie rzeczy przytrafiają się wszędy—mógł się obrazić. Ale on teraz wie, że nie ja wyzwałem, wie, że mi niesłusznie pod moim własnym dachem ubliżył, wie, że z waćpanami już w zgodzie, wie, że się więcej u niego w domu nie pokażę—i jeszcze mnie ściga, jeszcze podeptać usiłuje...

— Prawda, że to jakaś osobliwa zaciekłość—rzekł stary Cypryanowicz.

— Ha! waszmość też mniemasz, że w tem coś jest?

— W czym?—zapytał ksiądz, który, wyszedłszy z gotowym listem z alkierza, usłyszał ostatnie słowa.

— W tej osobliwej dla mnie nienawiści.

— Ksiądz spojrzał na półkę, na której stało, wśród kilku innych ksiąg, Pismo święte, i rzekł:

— To ja ci powiem, com zresztą dawno mówił: w tem jest malier.

Tu zwrócił się do obecnych:

— Czym waćpanom zacytował, co mówi o niewieście Eklezjasta?...

Leez nie mógł skończyć, gdyż Jacek zerwał się, jakby sparzony żywym ogniem, wbił palec w czuprynę i począł prawie krzyczeć z bólem niezmiernym:

— Tembardziej nie rozumiem, bo jeśli kto w świecie... bo jeśli komu w świecie... bo jeśli jest kto taki... to przecie duszę całą...

I nie mógł nic więcej powiedzieć, gdyż serdeczna boleść chwyciła mu gardło, jakby w kleszcze, i zebrała się w oczach w postaci dwóch wielkich a gorzkich i palących łez, które spłynęły mu po policzkach.

Lecc ksiądz zrozumiał go doskonale.

— Mój Jacku—radził—lepiej ranę wypalić, choćby z największym bolem, niż żeby się jątrzyła; dlatego nie oszczędzam cię. Hej! i ja swego czasu byłem żołnierzem świeckim, przeto wiele rzeczy rozumiem. Wiem, iż bywa tak, że pamięć i żal, choćby człowiek najdalej odjechał, wloką się za nim jako psi i, po nocach wyjąc, spać mu nie dają. Więc co? więc lepiej od razu je zabić. Ty w tej chwili czujesz, że byłbyś tam oddał wszystką krew, z której przyczyny tak ci dziwno i straszno, że właśnie zemsta cię z tamtej strony ściga. I rzecz wydaje ci się niepodobna, a przecie jest podobna... Bo jeśliś sam niewieścią pychę i niewieście samolubstwo zadrażnił, jeśli liczone, że będziesz skomlał, a tyś nie skomlał, jeśli cię wybito, a tyś się nie łasił, jeno za łańcuch targnął i zerwał, to wiedz, że ci to nigdy nie będzie wybaczone i że zacieklejsza, niżli bywa męska, nienawiść ścigać cię będzie zawsze. A na to rada jest tylko jedna: złamać afekt, choćby o własne serce i cisnąć daleko od siebie, jako pęknięty łuk—ot co!

I znowu nastąpiła chwila mileżenia. Stary Cypryanowicz kiwał głową, przytwierdzając księdzu i, jako człowiek doświadczony, podziwiając mądrość jego słów.

Jacek powtórzył:

— Prawda jest, żem za łańcuch targnął i żem go zerwał... Tak, to nie Pągowski mnie ściga!

— Już wiem, cobym zrobił—ozwał się nagle Łukasz Bukojemski.

— Mów, nie ukrywaj!—zawołali dwaj bracia.

— A wiecie, co powiada zając?

— Jaki zajac? czyś się upił?

— A ten, co pod miedzą.

I, widocznie podochocony, wstał, wziął się w boki i zaczął śpiewać,

Siedzi sobie zajac pod miedzą,

Pod miedzą,

A myśliwi o nim nie wiedzą,

Nie wiedzą.

Siedzi sobie, lamentuje

I testament zapisuje

Pod miedzą.

Tu zwrócił się do braci i zapytał:

— A wiecie, jaki jest tenor testamentu?

— Wiemy, ale miło posłuchać!

— To słuchajcie:

Pocałujcie że mnie wszyscy,

Dojeżdżacze i myśliwcy,

Pod miedzą...

...Ot, tobym ja na miejscu Jacka wszystkim w Belczącze napisał, a jeśli on tego nie uczyni, niech mnie pierwszy janczar wypatroszy, jeżeli ja tego w mojem i waszem imieniu Pągowskiemu na pożegnanie nie napiszę.

— O, jak mi Bóg miły, to jest przednia myśl! — zawołał z radością Jan.

— I z fantazyą, i do rzeczy!

— Niech Jacek tak odpisze!

— Nie—rzekł ksiądz, którego zniecierpliwiła rozmowa braci — nie Jacek odpisuje, jeno ja, a mnie się pożyczać terminów od waszmościów nie godzi.

Tu zwrócił się do Cypryanowiczów i do Jacka:

— Materya była trudna, bo trzeba było i złości rogów przytrzeć, i z polityką się nie rozminąć, i poka-

zać, że się domyślamy, skąd wysunęło się żądło. Przeto posłuchajcie, a jeśli by który z waszmościów grzechną jaką uwagę uczynił, to i owszem.

I począł czytać:

„Wielmożny mości dobrodzieju, a mnie wielce miły Panie i Bracie...

Tu uderzył wierzchem dłoni w kartę i rzekł:

— Uważcie waszmościowie, że ma nie pisać: „a mnie wielce miłościwy“ jeno: „mnie wielce miły..“

— Będzie miał dość! — rzekł pan Serafin — czytaj dobrodziej dalej.

— Tedy słuchajcie:

„Wiadoma to jest rzecz wszystkim obywatelom w Rzeczpospolitej naszej zamieszkałym, że ci tylko w każdym zdarzeniu przystojną politykę conservare et applicare umieją, którzy, albo od młodości z politycznemi przestawali ludźmi, albo, którzy z wielkiej krwi pochodząc, z przyrodzenia już ją na świat z sobą przynieśli. Co, że ani jedno, ani drugie nie przypadło W. Mości Panu Dobrodziejowi w udziale, przeto W. Pan Jacek Taczewski, który ex contrario Wać. M. Pana i krew, i daszę odziedziczył po sławnych przodkach wspaśniałą, odpuszcza mu jego prostackie słowa, a również prostackie dary odsyła. Że zaś, jako campones, którzy gospody w miastach, albo zajazdy po drogach trzymają, za gościnność, której W. Pan Jacek Taczewski w domu W. Mości doznawał, jakoby rachunek podajesz, z takowej racyi gotów jest W. Taczewski wszelkie expensa zwrócić, z odpowiednim przyrodzonej swej hojności suplementem..“

— O, jak mi Bóg miły—przerwał starszy Cypryanowicz—chyba Pagowskiego krew zaleje!

— Ha! trzeba było pychę upokorzyć, a że się przytem pali mosty, sam Jacek tego chciał.

— Tak! tak!—zawołał gorączkowo Taczewski.

— A teraz słuchajcie, co mu już od siebie dopisują:

„Do której wyrozumiałości ja sam skłoniłem W. Taczewskiego w tej myśli, że wprowadzie łuk jest waścin, ale zatruta strzała, którą zacnego młodzieńca ugodzić chciałeś, może i nie z waścinego sajdaka pochodzi. Rozum bowiem równie jak siła w kościach słabnie z wiekiem i niedołążna starość, łatwo cudzym podszeptom się poddając, tem samem na większe pobłażanie zasługuje. W tej myśli kończę, przydając jeszcze, jako kapłan i sługa Boży, tę awagę, że im wiek późniejszy, a kres bliższy, tem mniej przystoi słażyć pysze i nienawiści, a natomiast tem więcej myśleć o zbawieniu dusz, którego sobie i W. Mości żyjecz. Amen. Przyczem pozostając, etc. piszę się etc.“

— Wszystko jest accurate wypisane — rzekł pan Serafin—nie dodać, nie ująć.

— Ha! — rzekł ksiądz. — I myślisz waćpan, że ma na co zasłażyć?

— Oj! aż mi się gorąco przy niektórych terminach czyniło.

— I mnie—dodał Łukasz Bukojemski. — Prawdziwie, że jak człowiek takie rzeczy słyszy, to mu się pić, jak w czasie upału, zachciewa.

— Bądź-że, Jacku, rad ichmościom, a ja pismo zapieczętuję i odeślę.

To rzekłszy, zdjął sygnet z palca i poszedł do alkierza. Jednakże, przy pieczętowaniu listu, widocznie jakieś inne myśli przysłyły mu do głowy, bo gdy wrócił, rzekł:

— Jest. Skończona sprawa. Ale, czy aby nie za ostro? Stary już zdrowiem przypłaci? Vulnera zadane piórem nie mniej bolą niż te, które czyni miecz albo kula.

— Prawda! prawda! — ozwał się na to Taczewski. I zacisnął zęby.

Lecz właśnie ten mimowolny okrzyk bólu rozstrzygnął sprawę. Starszy Cypryanowicz rzekł:

— Księżę dobrodzieju, zaćne to są skrapuły, ale Pałowski ich nie miał. Jego list godzi prosto w serce, a wasz tylko w pychę i złość; mniemam przeto, iż powinien być wysłany.

I list został wysłany, poczem jeszcze pośpieszniej czyniono przygotowania do odjazdu Taczewskiego.



ie przewidzieli jednakże przyjaciele Jacka, że list księdza będzie pod pewnym względem na rękę pana Gedeonowi Pągowskiemu i posłuży jego domowej polityce.

Nie przyjął on go wprawdzie bez gniewu. Jacek, który był mu dotąd tylko przeskodą, stał się odtąd, chociaż nie był autorem listu, przed-

miotem nienawiści. Nienawiść owa rozkwitła w zamkniętym, starym sereu jak zatruty kwiat, jednakże przemyślny rozum postanowił skorzystać z księżej odpowiedzi.

Pohamował więc pan Gedeon wściekły gniew, przybrał twarz w wyraz pogardliwej litości i udał się z listem do panny Sienińskiej.

— Za twoje myto jeszcze cię wybito — rzekł. — Jam tego czynić nie chciałem, bom człowiek doświadczo-ny i znający ludzi, ale jak zaczęłaś składać ręce a prawić, że ma się krzywda stała, że byłem za ostry i że ty byłaś zbyt ostra, że lepiej, by w gniewie nie odjeżdżał, takim ustąpiłem: posłałem zasiłek w pieniądzach, posłałem konia, posłałem polityczny list; myślałem, że przyjedzie, pokłoni się, podziękuję, pożegna się, jak przystało temu, kto tyle czasu pod tym dachem spędził — a tymczasem patrz, jaką mi przysłano odpowiedź!

To rzekłszy, wyciągnął z za pasa list księdza i podał go panience.

Ona zaczęła czytać i wnet ciemne jej brwi ściągnęły się gniewnie, ale gdy doszła do tego miejsca, w którym ksiądz mówił, iż pan Pałowski chciał upokorzyć Jacka dzięki „cudzym podszeptom“ — zadrżały jej ręce i twarz oblała się przelotnym szkarłatnym rumieńcem, a potem zbladła, jak płótno, i tak pozostała.

Leez pan Gedeon, lubo zważał na wszystko, udał, że tego nie zauważył.

— Niech im tam Bóg przebaczy to, co mi ad personam wypisują—ozwał się po chwili milczenia—bo On jeden wie, czy Pałowscey tak wiele gorsi od Taczewskich, o których znakomitości więcej ludzie bajają niż prawda. Czego jednak nie mogę im darować, to tego, że tobie, nieboga moja, za twoje szczere anielskie serce taką się odpłacają niewdzięcznością.

— To nie pan Jacek odpisywał, jeno ksiądz Woynowski—odpowiedziała panna Sienińska, chwytając jakby za ostatnią deskę ratunku.

Na to westchnął stary szlachcic i zapytał:

— Wierzysz ty dziewczyno, że cię kocham?

— Wierzę — odrzekła, pochylając się i całując jego rękę.

A on z wielką tkliwością począł ją głaskać po jasnej głowie.

— Chociaż wierzysz—mówił—ale i tak nie wiesz, jak bardzo. Tyś cała moja pociecha. Rzadko ja sobie na takie słowa pozwalam i rzadko wypowiadam, co czuje serce, bo mam w niem dawną boleść zamkniętą. Ale to powinnaś rozumieć, że ja mam ciebie jedną na świecie. Nie frasunku i zmartwienia, a tembardziej bólu, jeno radości i szczęścia chciałbym ci w każdej godzinie życia przymnożyć. Nie chcę wypytywać, co tam poczęło w twojem sercu kiełkować, ale ci powiem tak: czy to był, jako mniemam, siostrzany czysto afekt, czy co więcej—niegodzien tego ów młodzian, który za naszą szczerą amicycę niewdzięcznością nas nakarmił. Moja Anulko, tożbyś sama siebie zwodziła, gdybyś mniemała, że ta bez wiedzy Taczewskiego ksiądz tak odpisał. We dwóch oni układali odpowiedź i wiesz, dlaczego odpowiedzieli tak hardo? Bo jakem słyszał, Taczewski od tego tam Ormianina z Jedlinki pieniądze dostał. Ot, czego mu było trzeba, a gdy to ma, o nie i o nikogo więcej nie dba. Taka jest prawda — i ty sama w duszy musisz przyznać, że inaczej myśleć, to byłoby dobrowolnie się oszukiwać.

— Przyznaję—szepnęła panienka.

Pan Gedeon zamyslił się przez chwilę, jakby się nad czemś zastanawiał, poczem rzekł:

— Nie! Powiadają, że to nałóg starszych ludzi chwalić dawne, a przyganiać nowszym czasom. Ale nie! To nie nałóg!... Psuje się świat, psują ludzie i za moich czasów niktby jak Taczewski nie postąpił. Bo wiesz, jaki jest tego wszystkiego pierwszy początek? To ten nocleg na drzewie, który pana kawalera na po-

śmiewisko ludzkie naraził... Śpieszyć niby komuś z pomocą, a samemu wlaźć ze strachu na drzewo — to się może przytrafić, ale lepiej się w takim razie nie chwalić, bo że to rzecz śmieszna, to śmieszna. Ja przeciw Bukojemskich, ani Cypryanowicza za żadnych bohaterów nie podaję: pijacy są, zawalidrogi i kostery — wiem! Więcej im też pono o wilecze, niż o nasze skóry chodziło. Ale w Taczewskim taka się gnieździ invidia, że jaż im i tej mimowolnej pomocy nie mógł darować. Stąd wyrósł ten pojedynek. Niechże mnie Bóg sądzi, czym nie miał słuszności się gniewać. Ha! pogodzili się potem, bo widać kawaler zrozumiał, że u Cypryanowiczów można pieniędzy dostać, więc wołał złość ku nam zwrócić. Pycha, złość, chciwość i niewdzięczność — oto, co się w nim pokazało. I nie więcej! Mnie pokrzywdził — Bóg z nim, ale za co ciebie, mój kwiatuśku? Całe lata sąsiedztwa, całe lata gościny, codzienne bywanie!... Cygan się w takich kondycyach przywiąże, jaskółka do strzechy przywyknie, bocian się do gniazda nałoży, a on plunął na nasz dom, jak tylko grosz ormiański w kalecie poczwał... Nie! nie! tak by za moich czasów nikt nie postąpił!

Panna Sienińska słuchała z dłońmi przy skroniach i z oczyma wbitemi nieruchomo przed siebie, więc Pągowski przerwał i, spojrzawszy na nią raz i drugi, zapytał:

— Czego się zapamiętywasz?

— Ja się nie zapamiętywam — odrzekła — jeno mi tak smutno, że i słów nie mam...

I, nie znalazłszy słów, znalazła łzy. Pan Gedeon pozwolił się jej wyplakać dowoli.

— Lepiej — rzekł wreszcie — żeby ci ten smutek łzami spłynął, niż żeby się miał w sereu zaskalić. Ha, tra-

dnol niech sobie jedzie, niechaj cudzemi talarami brząka, niech tyftyki z konia po błocie włóczy, pana udaje i warszawskim gamratkom dworuje. A my sobie tu ostaniem, moja dziewczyno... I zapewne — nie wielkać to pociecha, ale przecie pociecha, gdy sobie pomyślisz, że cię tu nikt nie zawiedzie, nikt nie narazi, nikt serca ci nie okaleczy, że tu będziesz zawdy okiem w głowie każdemu i że twoja szczęśliwość to będzie najpierwsza sprawa, a zarazem i ostatnia myśl mego życia.—Chodź...

I wyciągnął ku niej ramiona, a ona padła mu na piersi rozżalona, a zarazem i wdzięczna, jak córka ojca, który ją w chwili strapienia pociesza. Pan Pągowski począł znów gładzić swą jedyną dłońią jej płową główkę i długo siedzieli tak w milczeniu.

Tymczasem ściemniało: potem zamarzłe szyby zaślniły światłem miesięcznem i psy ozwały się tu i owdzie z podwórca przeciągłem szeszekaniem.

Ciepło dziewczęcego ciała przeniknęło aż do serca pana Gedeona, które počęło bić żywiej, ale że bał się zdradzić przedwczesnie, więc nie chciał dłużej narażać się na pokusę.

— Wstań, dziecko — rzekł. — Nie będziesz już płakać?

— Nie będę — odpowiedziała, całując go w rękę, panienska.

— A widzisz! Oj tak! Pamiętaj zawsze, gdzie pewna ostoja i gdzie cicho ci będzie i przytulnie. Bo każdy młodzik rad wiać jak wiatr po całym świecie, a dla mnie ty jedna. To sobie dobrze zakonotaj!... Nieraz może myślałaś: „opiekun spogląda jak wilk surowie, rad patrzy kogo skrzyzczyć i na moją młodość

nie ma wyrozumienia“ a wiesz ty, o czem ten opiekun myślał i myśli? Często o swoim minionem szczęściu, często o tej boleści, która mu jako grot tkwi w sercu — prawda, ale prócz tego, tylko o tobie, tylko o twojej przyszłej doli, tylko o tem, jakby ci wszystkiego dobrego przysporzyć. Z panem Grothusem tośmy całemi godzinami tak gadali, aż się i czasem śmiał, że to (powiada) jedna mi tylko myśl ostała. A mnie chodziło o to, żeby ci po mojej śmierci chociaż kawałek chleba spokojny i dostatni zapewnić.

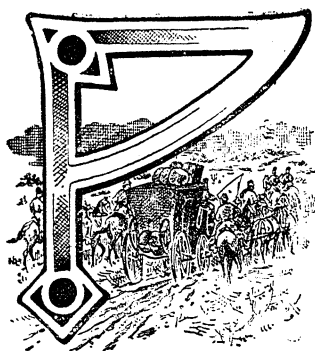
— Nie daj Bóg mi tego doczekać — zawołała panna, pochylając się znów ku dłoni pana Gedeona. I w głosie jej tyle było szczerości, że surowa twarz starego szlachcica zajaśniała na chwilę prawdziwą radością.

— Miłujesz że mnie choć ździebło?

— Oj, opiekanie!

— Bóg ci zapłać, dziecko. Wiek mój niezbyt jeszcze podeszły i ciało — gdyby nie rany w sercu i na skórze, byłoby dosyć czerstwe. Ale mówią, że śmierć siedzi zawsze pod wrotami, a do domu zapuka kiedy zechce. W takim razie zostałabyś na świecie jeno z panią Winnicką. Pan Grothus dobry człowiek i możliwy, który moją wolę i mój testament zawsze uszanuje — ale co do innych krewnych nieboszezki żony... kto ich tam wie! A Bełzajączkę wzięłam po żonie. Nażby chcieli się spierać, naż procesować... Trzeba wszystko przewidzieć. Pan Grothus dawał i na to radę — pewnie że skuteczną, — ale dziwną, — i dlatego nie będę ci o niej mówił... Chciałbym króla jegomości zobaczyć, aby ciebie i mój testament jego opiece polecić. Ale król teraz sejmem i przyszłą wojną zajęty. Mówił pan Grothus, że jeśli będzie wojna, to wojska pod hetmanami pierwsze ruszą, a sam Jegomość w Kra-

kwie przyzostanie... Może wówczas... Może razem się wybierzemy... Ale co bądź nastąpi, wiedz o tem, dziecko, że wszystko, co mam, jest i będzie twoje — choćbym miał pójść w ostatku za pana grothusową radą. Ba!... choćby i na godzinę przed śmiercią!... Tak mi dopomóż Bóg. Jam przecie nie wiater w polu, nie pustak, nie łuszczymieszek, nie Taczewski,



anna Sienińska wróciła do siebie pełna wdzięczności dla opiekuna, który nigdy nie przemawiał do niej tak serdecznie, a zarazem rozżalona, pełna goryczy i zniechęcenia do ludzi i do całego świata. W pierwszych chwilach nie mogła i nie umiała myśleć spokojnie, miała tylko poczucie, że wyrządzono jej ciężką krzywdę, wielką niesprawiedliwość i że spotkał ją okrutnie bolesny zawód.

Za jej serce, za jej żal, za tęsknotę, za to wszystko, co uczyniła, aby związać na nowo potargane węzły, zapłacono jej tylko nienawistnym podejrzeniem. I nie było już na to żadnej rady. Nie mogła przecie pisać po raz wtóry do Jacka, tłumaczyć się i usprawiedliwiać.

Na samą myśl o tem były na jej twarz ramieńce upokorzenia i wstydu. Była przytem prawie pewna, że Jacek już pojechał...

A potem przyjdzie wojna, może nie zobaczą się już więcej w życiu, może on polegnie—i polegnie z przekonaniem, że w jej piersiach bije złe i przewrotne serce. Nagle chwycił ją żal niezmierny: Jacek stanął przed jej oczyma jak żywy, ze swoją smagłą twarzą i z temi smutnemi oczyma, które wyśmiewała nieraz, że były takie jak panięńskie.

Myśl dziewczyny leci jako jaskółka chybka za poróżnikiem i woła na niego: „Jacku! jam ci zła nie chciała! Jacku, Bóg widzi moje serce!“ Tak to ona na niego woła, a on ani pyta: jedzie przed siebie, a co o niej wspomni, to jeno zmarszczy się, a splunie.

I znów uperliły się jej rzęsy. Przyszła na nią jakaś niemoc i chwila rozezulenia, i chwila rezygnacyi, w której poczęła sobie mówić: „Ha! trudno!... niech mu Bóg odpuści i niech go prowadzi, a o mnie mniejsza!...“

Jednakże usta jej drgały jak u dziecka, oczy pa-trzyły jak oczy adręzonego ptaka i gdzieś tam, w skrytym kąciku swej czystej, jak łza, duszy, skarżyła się pocichutku Bogu na to, co ją spotkało.

Była teraz pewna, że Jacek nigdy jej nie kochał, i nie mogła zrozumieć, dlaczego nie kochał ani trochę.

— Opiekun słusznie mówił!—myślała.

Lecz potem przyszło zastanowienie.

— Nie! to jednak nie mogło być.

Naraz przypomniała sobie te słowa Jacka, które wyryły się w jej pamięci jak w marmurze: „Nie ty odejdziesz, ja odejdę, jeno to ci jeszcze powiem, że chociażem cię od lat całych miłował bardziej niż zdrowie, bardziej niż życie, bardziej niż duszę własną, nie

wrócę tu więcej: pięści z boleści pogryzę, a nie wróćę—tak mi dopomóż Bóg!” I blady był jak ściana, gdy to mówił, a prawie oszalały z gniewu i bólu.

— Nie wrócił—prawda! nie pokazał się więcej, zaniechał jej, wyrzekł się, opuścił ją, skrzywdził niegodziwem podejrzeniem, ułożył razem z księdzem ten okrutny list—wszystko prawda i w tem opiekun miał słusność; ale żeby miał jej nigdy nie kochać, żeby, dostawszy pieniędzy, miał wyjeżdżać z lekkim i radosnym sercem, żeby przestał całkiem o niej myśleć, to przecie było zupełnie do wiary niepodobne.

Troskliwość opiekuńska mogła tak mniemać, ale prawda była inna. Nie blednieje, nie zgrzyta zębami, nie gryzie pięści z bólu i nie szarpie sobie duszy ten, który wcale nie kocha...

Pomyślała wprawdzie panna, że jeśli tak, to jest tylko ta różnica, że dwoje cierpi, nie jedno, ale przecie wstąpiła w nią pewna otucha, a nawet jakowaś nadzieja.

Dni i miesiące, które miały nadejść, wydały jej się może jeszcze bardziej smutne, ale mniej gorzkie. Słowa listu przestały ją też tak piec, jak rozpalone żelazo, bo chociaż nie wątpiła, że Jacek brał udział w pisaniu, przecie inna jest rzecz, gdy człowiek coś czyni z rozżalenia i bólu, a inna, gdy z zimnej złości...

Więc ogarnęła ją z nową siłą wielka litość dla Jacka, tak wielka, a zwłaszcza tak gorąca, że mogła to być nie tylko sama litość. Myśli jej poczęły się snuć i skręcać w jakąś złotą nić, która ginęła w przyszłości, ale zarazem rzucała na nią blask weselny.

Wojna się skończy, rozłąka także.

— Nie wróci wprawdzie ten okrutny Jacek do Bełczączki—o nie!—bo taki zawziętnik jak sobie coś raz powie, to dotrzyma, ale wróci w te strony, do Wyrąbek,

będzie mieszkał blisko, a potem stanie się, co Pan Bóg zechce. Wyjeżdżał może ze łzami, może w bólu, może łamiąc ręce—niechże go Bóg pocieszył!

Do domu wraca się jednak zawsze z wezbranem sercem i z radością, a zwłaszcza po wojnie z wielką sławą...

Tymczasem ona tu będzie siedzieć cicho w Bełczącze, gdzie dla niej opiekun taki dobry, będzie temu opiekunowi tłumaczyła, że Jacek nie taki zepsuty jak inni młodzi—i będzie snuła dalej tę złotą nić, którą poczęła się znów nawijać koło jej serca.

Gil w gdańskim zegarze wygwizdał w gościnnej komnacie późną godzinę, ale sen odbiegał całkiem panią.

Leżąc już w łóżku, atkwiła jasne oczy w pałap i rozważała, jak tu sobie tymczasem poradzić w trosce i frasanku? Jeżeli Jacek już wyjechał, to przecie tylko dlatego, żeby od niej uciec, bo do wojny było jeszcze, wedle tego co słyszała, daleko. Opiekun nie o tem nie wspominał, aby młody Cypryanowicz i Bukojemscy mieli już także wyjechać, więc należało się z nimi porozumieć, dowiedzieć się czegoś o Jacku i rzec jakie dobre słowo, które by go przez nich doszło, choćby w dalekich obozach, w czasie wojny.

Panią nie bardzo się spodziewała, aby przybyli do Bełczączi, wiadomo jej bowiem było, że przeszli na jackową stronę i że od pewnego czasu krzywo trochę spoglądają na pana Pągowskiego, ale liczyła na co innego.

Oto za kilka dni przypadała uroczystość Najświętszej Panny i wielki odpust w kościele parafialnym, w Przytyku, na który zjeżdżała szlachta okoliczna z żonami i dziećmi. Tam musiała spotkać Cypryanowicza i Bukojemskich, jeżeli nie przed kościołem, to na

obiedzie u proboszcza, który w tym dnia wszystkich podejmował.

Spodziewała się też, że w tłumie potrafi się swobodnie z nimi rozmówić i że nie znajdzie w tem przeszkody ze strony opiekuna, który, lubo od pewnego czasu niezbyt im chętny, nie mógł jednakże, przez pamięć na usługę, jaką mu oddali, zerwać z nimi zupełnie.

Do Przytyka z Bełżączki droga była dość daleka i pan Gedeon, który nie lubił się spieszyć, odbywał ją zwykle z noclegiem w Radomiu, albo też, jeśli wybrał drogę na Jedlińsk, to w Jedlińska.

Tym razem, z powodu wód rozlanych, wybrali dłuższy ale bezpieczniejszy gościniec radomski — i ruszyli na dzień przed odpustem — na kołach, nie saniami, bo zima przełamała się nagle zupełnie. Szły za nimi dwie, ciężko ładowane podwozy ze służbą, z zapasami żywności, tudzież z pościelą i dywanami do jakiegoś takiego przybrania stancyi w zajazdach.

Gdy wyjeżdżali, gwiazdy mrugały jeszcze z wysoko a niebo ledwo poczynało błędnąć na wschodzie. Panni Winnicka poczęła śpiewać w mroku godzinki, a panna i pan Gedeon wtórowali jej bardzo jeszcze sennymi głosami, gdyż zeszłego wieczora, z powodu przygotowań podróży, późno udali się na spoczynek. Dopiero za wsią i za małym borem, w którym tysiące wron miały swoje noclegi, ramiany świt rozświetlił równie rumianą twarz i zaspane oczki panny Sienińskiej. Usta jej układały się jeszcze do ziewania, ale gdy strzelił pierwszy promień słońca i rozświetlił pola i lasy, poczęła się otrząsać z senności i raźniej rozglądać się wokoło, gdyż jasny ranek napełnił jakąś dobrą nadzieją i jakimś weselem jej duszę. Dzień zapowiadał się istotnie ładny, bo ciepły a pogodny. W powietrzu jakby było pierwsze tchnienie przedwczesnej

wiosny. Po niebywałych mrozach i śniegach nastąpił naraz ku wielkiemu podziwowi ludzi, dni słoneczne i ciepłe. Mówiono, że zimę od Nowego Roku „jakby ktoś nożem uciął!”—a pastuchowie przepowiadali z ryku była tęskniącego po oborach, że zima więcej nie wróci. Jakoż była już właściwie wiosna. W bródzjach, w lasach, pod lasami od strony północnej i wzdłuż rzeczułek, leżały jeszcze wielkie płachty śniegu, ale słońce przygrzewało je z góry, a dołem wyciekały z pod nich całe strugi i potoki, tworząc w nizinnych miejscach obszerne rozlewy, w których przeglądały się jak w zwierciadłach mokre, bezlistne drzewa. Wilgotne garby zagonów świeciły się jak złote pasy w blaskach słonecznych. Chwilami powstawał wiatr duży, ale tak przejęty radosnem ciepłem, jakby wiał wprost od słońca—i, lecąc nad polami, marszczył wody, strącając zarazem tysiące pereł z cienkich, czarnych gałązek.

Z powodu roztopów i „klejowatości“ gościńca, tudzież z powodu ciężaru kolaski, którą sześć koni ciągnęło z niemałym trudem, posuwali się bardzo wolno. W miarę jak słońce szło wyżej i wyżej, uczyniło się tak ciepło, że panna Sienińska rozwiązała wstążki kapturka, sam kapturek odsunęła na tył głowy i poczęła rozpinać na przodzie łaśnicą szubkę.

— Tak-że ci to dogrzewa? — spytała pani Winnicka.

— Wiosna, ciotachno! szczerza wiosna! — odpowiedziała.

I taka była ładna ze swą wysuniętą z kapturka jasną, nieco roztarganą głową, ze śmiejącemi się oczyma i różową twarzą, że sarowe oczy Pągowskiego złagodniały także. Przez czas jakiś patrzył na nią, jakby ją po raz pierwszy w życiu widział, poczem rzekł, jakby nawpół do niej, nawpół do siebie:

— No, aleś i ty nie gorsza! — dalibóg!

A ona uśmiechnęła się do niego w odpowiedzi.

— O, jak to wolno jedziem! — rzekła po chwili. — Okrutnie ciężka droga. Prawda, jegomość, że jeśli kto ma długą podróż przed sobą, to chyba musi czekać, aż drogi trochę obeschną?

Na to zmierzchnęła znów twarz pana Gedeona, więc nie odpowiedział na pytanie, tylko, wyjrawszy, z karety, rzekł:

— Jedlnia.

— To może wstąpić do kościoła? — zapytała pani Winnicka.

— Nie wstąpić, naprzód dlatego, że kościół pewnie zamknięty, bo ksiądz pojechał chyba do Przytyka, a powtóre, że mnie ciężko obraził i unknęć mu ręki, jeśli się do mnie zbliży.

Poczem dodał:

— A waćpanię i siebie, Anuła, proszę, abyście się w żadne rozmowy z nim nie wdawały.

Nastała chwila milczenia. Nagle za kareta rozległy się cłapania końskie i odgłosy błota, zwierającego się jakby ze strzelaniem w miejscach, z których konie wyciągały grzęznące nogi, — poczem donośne słowa zabrzmiały z obu stron kolaski:

— Czołem! czołem!..

Byli to panowie Bakojemsey.

— Czołem! — odpowiedział pan Pagowski.

— Waszmość pan do Przytyka?

— Jako co rok. Myślę, że i waćpanowie też na odpust?

— Jużci — odpowiedział Marek. — Trzeba się przed wyprawą z grzechów oczyścić.

— A czy to jeszcze nie zawcześnie?

— Dlaczego ma być zawcześnie? — zapytał Łu-

kasz. — Co się dotychczas nagrzeszyło, to po odpuście z pleców spadnie, bo od tego i odpust; a co się potem nabroi, to już ksiądz wobec nieprzyjaciela in partikulo mortis odpuści.

— Chcesz waćpan powiedzieć: in articulo.

— Wszystko jedno, byle pokuta była^ś szczera.

— Jak to waćpan rozumiesz?—zapytał rozbawiony pan Pągowski.

— Jak to rozumiem? Kazał ostatnim razem po spowiedzi ksiądz Wiór, żebyśmy sobie dali po trzydzięści dyscyplin, a myśmy sobie dali po pięćdziesiąt. Bo myśleliśmy tak: skoro to Niebieskim Potęgom smakuje — no! — to niech się najedzą!

Na to uśmiechnęła się nawet poważna pani Winnicka, a panna Sienińska pochowała całkiem twarz w zarękawek, jakby chcąc sobie noskę rozgrzać.

Spostrzegł to Łukasz, spostrzegli i inni bracia, że odpowiedź śmiech wzbudziła, więc śmilkli, nieco urażeni, i przez czas jakiś słyhać było tylko zgrzyt łańcuchów w kolasee, parskanie koni, chłopot błota pod kopytami i krakanie wron, których ogromne stada pławiły się w słońcu, lecąc od miasteczek i wsi do borów.

— Hej! czują już, że będzie żarcia w bród! — rzekł, wiodąc za nimi oczyma najmłodszy Bakojemski.

— Ba! wojna dla nich żniwo! — zauważył Mateusz.

— Jeszcze one jej nie czują, bo do niej daleko — rzekł pan Pągowski.

— Daleko czy blisko, ale pewna!

— A skąd waćpan wiesz?

— Przecie wszyscy wiemy, o czem była mowa na sejmiku i jakie instrakeye pójda na sejm.

— Prawda, ale nie wiadomo, czy wszędzie było tak samo.

— Pan Przyłubski, który siła kraju zjeździł, mówił, że wszędy.

— Co za pan Przyłubski?

— Z Olkuskiego... który zaciąga dla księdza biskupa krakowskiego.

— To już ksiądz biskup krakowski jeszcze przed sejmem kazał zaciągi czynić?

— A widzisz waszmość! Jeszcze i jak! Najlepszy w tem dowód, że wojna pewna. Ksiądz biskup chce grzeczną chorągiew lekkiej jazdy postawić... no, i pan Przyłubski umyślnie w te strony przyjechał... że to trochę o nas słyszał.

— Ho! ho!... Szeroko widać sława waćpanów chodzi po świecie... I zaciągnęliście się?

— A rozumie się!

— Wszyscy?

— Dlaczego by nie wszyscy? Dobrze na wojnie mieć w pobok przyjaciół, a jeszcze lepiej braci.

— No — a młody Cypryanowicz?

— Cypryanowicz będzie służył razem z Taczewskim.

Pan Pągowski spojrział bystro na siedzącą na przedzie panienkę, po której policzkach przeleciał nagły płomień — i pytał dalej:

— Tacyż to już konfidenci? A pod kim że mają służyć?

— Pod panem Zbierzechowskim.

— Cóż to — dragonia?

— Dla Boga! co waszmość mówisz? Dy to usarska chorągiew królewicza Aleksandra.

— Proszę! proszę!... Nie byle chorągiew...

— Taczewski też nie byle kto.

Pan Gedeon już miał na ustach słowa, że taki pacholek w usarskiej chorągwi chyba pocztowym, nie

towarzyszem, może zostać — ale się wstrzymał z tą uwagą, bojąc się, aby nie wyszło na jaw, że jego list nie był tak policzny, ani jego pomoc tak znaczna, jak to mówił panie Sienińskiej, więc nachmurzył się tylko i rzekł:

— A słyszałem o zastawie Wyrąbek. Za ileż poszły?

— Za więcej, niżbyś waszmość dał — odparł szorstko Marek.

Oczy Pągowskiego zabłyśły na chwilę srogim gniewem — pohamował się jednakże po raz wtóry, albowiem przyszło mu na myśl, że dalsza rozmowa może posłużyć jego zamiarom.

— Tem lepiej — rzekł — musi być kawaler rad.

A Bakojemscy, chociaż dowcip mieli z przyrodzenia dość tępy, poczęli zaraz jeden przez drugiego zmyślać, właśnie dlatego, by pokazać Pągowskiemu, jak mało sobie Taczewski i z niego i ze wszystkich w Bełczącee robił.

— Oj-jej! — rzekł Łukasz — jak wyjeżdżał, to mało nie oszalał z radości. A śpiewał ci tak, że aż się łojówki w karezmie przewracały. Prawda, że i podpiliśmy na waletę.

Pan Pągowski znów spojrzał na pannę Sienińską i spostrzegł, że rumiana, pełna życia i młodości jej twarz nagle jakby skamieniała. Kaptarek zsunął się jej całkiem z głowy, oczy miała zmrazone jak we śnie i tylko z ruchu nozdrzy i nieznacznego drżenia brody można było poznać, że nie śpi, ale słucha i pilnie słucha.

I aż litość brała patrzeć na nią, lecz nieabłagany szlachcic pomyślał:

— Jeśli jeszcze tkwi drzazga w sercu, to ci ją wyrwę.

A głośno rzekł:

— Takem się i spodziewałam...

— Czegoś się waszmość spodziewała?

— Że waćpanowie podpijecie na waletę i że pan Taczewski wyjedzie stąd śpiewający... Ha! kto fortunę goni, musi się śpieszyć, a komu się ona uśmiecha, ten ją może i złapie...

— Oj-jej! — powtórzył Łukasz.

Na to zaś Marek:

— Dał mu ksiądz Woynowski listy do pana Zbierzechowskiego, jako jego znajomek i przyjaciel, a tam w Zbierzehowie ziemia taka, że wszędy cebulę można siać — i panna jedynaczka, co jej dopiero piętnaście lat. Już też się waszmość o Taczewskiego nie frasuj. Da on sobie rady i bez waszmości i bez tatejszych radoskich piasków.

— Ja też się nie frasuję — odparł sucho Pągowski — ale może i aćpanom pilna droga, a kolaska idzie jako zółw po tem błocie.

— A no to czołem!

— Czołem. Czołem. Sługam waćpanów.

— I my też!...

To rzekłszy, ruszyli końmi żywiej, ale odjechawszy na strzelenie z łuku od karocy, zwolnili znów i poczeli żywo rozprawić.

— Widzieliście? — pytał Łukasz — dwa razy powiedziałem: „oj-jej!“ i dwa razy, jakobym ma miecz w serce wraził... mało się nie rozpuknął...

— Jam im lepiej dogodził — rzekł Marek — bo i staremu i dziewee.

— Czemu? — mów, nie ukrywaj! — zawołali bracia.

— A to nie słyszeliście?

— Słyszeli, ale ty powtórz.

— Tem, com o panie Zbierzehowskiej powiedział. Uważaliście, jak dziewczka zaraz zbielała. Patrząc: rękę

trzyma na kolanie i to ją otworzy, to zamknie, to otworzy, to zamknie!... całkiem jak kot, który chce drapać. Tak w niej widać złość nurtowała...

Lecz Mateusz wstrzymał konia i rzekł:

— A mnie jej było żal... Taki ci jakiś kwiatu-szek... I pamiętacie, co stary Cypryanowicz mówił?...

— Co? — zapytali z wielką ciekawością Łukasz, Marek i Jan, wstrzymując także konie.

On zaś spoglądał na nich przez chwilę swemi wypukłemi oczyma, poczem rzekł jakby z żalem:

— A kiedym zapomniał.

Tymczasem w karocy, nie tylko Pałowski, ale nawet i pani Winnicka, która zwykle niebardzo wiedziała, co się wokół niej dzieje, zwróciła jednak uwagę na zmienione lica panienki i zapytała:

— A tobie co, Anulko? — nie zimno ci?

— Nie—odrzekła dziewczyna jakimś sennym, nieswoim głosem.— Nie mi nie jest, jeno mnie to powietrze rozebrało tak dziwnie... tak dziwnie...

I chociaż głos załamał się jej nagle, nie miała jednak w oczach łez. Przeciwnie: w suchych źrenicach świeciły jej jakieś iskry, szczególne, niezwykle i twarz stała się jakby starsza.

Co widząc, pan Pałowski rzekł sobie w duchu:

— Czyby zaś nie kuć żelaza, póki gorące?



a odpust zjechała licznie szlachta z pobliza i nawet z dalszych okolic. Byli Kochanowscy, Podgajecy, Silniccy, Potworowscy, Salgostowscy, Cypryanowicz z synem, Bakojemscy i wielu innych. Ale największe zajęcie rozbudziło przybycie pana wojewody sandomierskiego, Czartoryskiego, który zatrzymał się w Przytyku w przejeździe na sejm do Warszawy i, w oczekiwaniu na odpust, od kilku już dni zażywał nabożeństwa. Radzi z niego byli wszyscy, bo przydawał blasku uroczystości, a zarazem można się było od niego de publicis niemało dowiedzieć. Sam on rozmawiał chętnie. Prawił o krzywdach, jakie wyrządziła Porta Rzeczypospolitej przy rozgraniezeniu Podola, o czambułach, które wbrew traktatowi spustoszyły

znów ziemie ruskie—i zapowiadał pewną wojnę. Twierdził, że przymierze z cesarzem stanie niezawodnie i że nawet stronnicy francuscy nie wystąpią przeciw niemu otwarcie, ponieważ i sam dwór francuski, chociaż generaliter cesarstwa nieprzyjazny, rozumie jednak niebezpieczeństwo, w jakim się Rzeczpospolita znajduje. Czy Turcy rzucą się naprzód na Kraków, czy na Wiedeń, tego nie umiał książę Michał powiedzieć, wiadomością mu natomiast było, że nieprzyjaciel pod Adryanopolem „*arma virosque parat*“ i że, prócz tych, którzy już są przy Tekelim, pod Koszycami, ba, w całych Węgrzech, ściągają tysiącami lud z Ramelii, z Azji, aż hen z nad Eufrata i Tygra — a także z Afryki, od brzegów Czerwonego morza aż po wały niezmiernego Oceanu. Słuchała tego szlachta chętnie: starsi, którzy wiedzieli jak ołbrzymia jest potęga pogańska — z troską w obliczach, młodsi — z ogniem w oczach i zmarszczonymi brwiami. Przeważała jednak otucha i zapał, świeża była bowiem pamięć Chocimia, pod którym tenże sam miłościwie dziś panujący król, a wówczas hetman, na czele mniejszych sił polskich obległ większe tureckie i rozniósł je na szablach i kopytach. Pocieszano się myślą, że w Turkach, którzy z niepomaganą odwagą rzucali się na wszelkie wojska innych narodów, mdlało jednak serce, gdy w czystym polu przyszło im stanąć oko w oko strasznej jeździe „Lechistanu“. Jeszcze większą otuchę i jeszcze większy zapał wzbudziło kazanie księdza Woynowskiego. Obawiał się trochę pan Pągowski, że może w tem kazaniu będą jakieś wytykania grzechów i jakoweś przygany, któreby mógł do siebie i do swego postępowania z Taczewskim stosować, ale nie było tego nic. Całą duszę i serce księdza porwała wojna i posłannictwo Rzeczypospolitej. „Ciebie (mówił) Chrystus między wszystkiemi narodami wy-

brał, ciebie na stróży innych postawił, tobie pod swym krzyżem kazał się położyć i bronić wiary krwią, życia fundamentem, do ostatniej kropli, do ostatniego tehu. Przed tobą pole chwały, więc choć ci boki krwią opływają, chociaż tkwią w tobie strzały i dziury, powstań, łwie Boży, potrząśnij grzywą i zagrzmij, by aż od tego grzmotu strach zważył śpik w kościach pogańskich i padły półksiężycy i buńczuki jako ów bór pod wichrem!...“

Tak to on mówił do swych rycerskich słuchaczy, że zaś był stary żołnierz, że całe życie sam praktykował i wiedział jako jest w polu, więc gdy zaczął o samej wojnie mówić, obecnym się zdało, że patrzą na owe obrazy w zamku królewskim w Warszawie, na których rozliczne bitwy i „wiktorye“ polskie były jak żywe namalowane: „Oto ruszają się chorągwie, już złożyły kopie w pół końskiego acha, już pochyliły się w kulbakach, krzyk trwogi między pogany, a w niebie radość. Leci Matka Najświętsza co ducha do okienka i woła: „bywaj Synaczku, obacz jako Polacy atakują!“ Pan Jezus krzyżem świętym ich żegna: „Na rany boskie, krzyknie: to, to mi szlachta! to mi żołnierze! — i żołąd tu dla nich już gotowy!“ A święty Michał Archanioł aże się dłońmi po udach uderza: „w nich psubratów! Biji!“ Tak, to oni się tam radują, a ci tu gołą i gołą, walą ludzi, konie, chorągwie, idą po brzuchach janeczarskich, po działach zdobytych, po stratowanych półksiężycach—idą ku chwale, ku zasłudze, ku spełnionej missyi, ku zbawieniu i ku nieśmiertelności...“

Więc gdy nareszcie skończył słowami: „I was Chrystus już woła i wam czas na pole chwały!“—uczynił się w kościele okrzyk i trzaskanie szablami, w czasie zaś nabożeństwa, gdy przy Ewangelii wszystkie szerpety zazgrzytały w pochwach i stal rozbrzysła w bla-

sku słonecznym, czułym niewiastom wydawało się, że już wojna rozpoczęta i poczęły szlochać, polecając ojców, mężów i braci opiece Najświętszej Panny.

Wtedy to, poszeptawszy ze sobą, bracia Bakojemscy ślubowali, że zaraz po odpaście ruszą i że aż do Wielkiej nocy ani wody, ani mleka, ani nawet piwa do ust nie wezmą, temi tylko napitkami się kontentując, które gorącość krwi a zatem i odwagę podtrzymają.

Zapał powszechny był tak wielki, że nie oparł mu się nawet surowy i zimny pan Pągowski. Pomyślał przez chwilę, że choć ma brak lewej ręki, mógłby przecie eugle zębami trzymać, a prawą pomścić się raz jeszcze w życiu za własne krzywdy, których od przekłętego plemienia doznał, a przytem i dawne zasługi względem Rzeczypospolitej nanowo pozłocić.

Lecz śluba żadnego nie uczynił, zostawiając tę rzecz do dalszego zastanowienia.

Tymczasem nabożeństwo odbywało się wspaniale. Na cmentarzu bito z działek, których na wielkie uroczystości pożyczali panowie Kochanowscy. Na dzwonnicy huczały rozkołysane dzwony; chowany niedźwiedź kalkował na chórze do organów z takim rozmachem, że mało ołowiane rury nie wylatywały z obsady; kościół napełnił się dymem kadzideł i aż drżał od głosów ludzkich. Samę celebrował prałat Tworkowski z Radomia, ksiądz uczony, pełen sentencyj, cytat, przysłów i przypowieści, a zarazem wesoły i znający świat wybornie, dla której to przyczyny we wszystkich sprawach udawano się do niego po radę.

Tak też uczynił i pan Pągowski, tembardziej, że był jego przyjacielem. W wigilię odpustu był u niego u spowiedzi, ale gdy przy konfesyonale począł mu wyznawać swoje zamiary, których celem była panna Sienińska, ksiądz odłożył to do późniejszej osobnej roz-

mowy, mówiąc, że mu ledwie starczy czasu do wystąpienia grzechów ludzkich. Kazał mu tedy, by w powrotnej drodze z odpustu wyprawił niewiasty do Bełczączki a sam zatrzymał się u niego w Radomiu, gdzie „procul negotiis“ będzie mógł go swobodnie wysłuchać.

Tak się też stało—i w dzień później zasiedli obaj przed gąsiorkiem zacnego węgryzyna i talerzem podprażonych migdałów, które ksiądz prałat rad przy winie spożywał.

— Conticeo — rzekł — intentasque os teneo, mów waści!

Pan Gedeon pociągnął z kielicha i spojrzał swemi żelaznemi oczyma jakby z pewną niechęcią na prałata — za to, że mu rozmowy odpowiednim wstępem nie ułatwia.

— Hm! jakoś mi niesporo i widzę, że będzie trudniej, niżem myślał.

— To ja waści pomogę. Czy nie o jednym ze Świętych chcesz waści mówić?

— O Świętym?

— Tak. O takim, który ma dwie głowy i cztery nogi.

— Cóż to za święty? — zapytał ze zdumieniem pan Gedeon.

— To zagadka. Zgadnij jegomości!

— Mój księżę prałacie, komu poważne rzeczy w głowie, ten na zagadki nie ma czasu.

— Ba, pomyśl waści!...

— Święty, co ma dwie głowy i cztery nogi?!

— A taki

— Dalibóg nie wiem.

— No! Święty stan małżeński. Zali tak nie jest?

— Jak mi Bóg miły, prawda! Tak, tak, właśnie w tej materji chcę mówić...

— Chodzi o Anulkę Sienińską.

— O nią właśnie. Widzicie, dobrodzieja, ona mi bogdaj nie krewna, albo jeśli krewna, to tak daleka, że tego nikt już nie wylegitymuje... Ale przywiązałem się do niej, bom ją hodował i winienem wdzięczność jej rodowi, bo co Pagowscy mieli na Rasi, to tak samo jak Żółkiewscy, jak Daniłowicze, i jak Sobiescy, mieli od Sienińskich albo po Sienińskich... Chciałbym sierocie ostawić to, co mam, ale naprawdę, to fortuna Pa-gowskich zezęła od inkursyj tatarskich, a została tylko majątność żonina... Moja ona jest, bo mnie zapi-sana, ale krewnych żoninych jest pełno. Naprzód pan Grothus, starosta rajgrodzki... No! tego jeszcze się nie obawiam, bo człowiek jest dobry i možny nad po-trzebę... Sam on mi wreszcie tę myśl poddał, która przedtem nieraz mi wprawdzie przychodziła do głowy, bo chęć drzemała na dnie serca... ale on ją rozbu-dził... Wszelako, prócz pana Grothusa, są Sulgostow-scy, są Krzepscecy, są Zabierzowscy... Ci już dziś nie-chętnie na dziewczynę patrzą, a cóż będzie po mojej śmierci? Uczynię testament, zapiszę jej to pójdą do sądów, będą procesy, włóczenia po trybunałach— jakże ona, nieboga, da sobie radę? A przecież nie mogę jej tak ostawić... Jest przywiązanie, jest litość, jest wdzięcz-ność—silne to ogniwa, dla których ze szczerem sumie-niem zapytuję: zali nie powinienem jej ubezpieczyć choćby i takim sposobem?...

Ksiądz rozgryzł migdał a drugą połowę pokazał panu Gedeonowi.

— Wiesz waść, dlaczego mi ten migdał smakuje? Bo dobry! Żeby był sparciały, tobym go nie zjadł.

— Więc co?

— Więc Anulka smakuje waści, bo to też mig-dał... Hej, jeszcze i jaki! Ale żeby tak miała z pić-

dziesiąt lat, pewnie by waście sumienie nie troszczyło się o jej przyszłość.

Zmieszał się na to pan Pałowski, ksiądz zaś rzekł:

— Wcale ja tego waści za złe nie biore, bo jaści we wszystkim musi być dobra racya i takie jest już rozporządzenie Boskie, że każdy woli młodą rzepeć od starej. Z winem tylko jest inaczej, dlatego też co do wina chętnie godzimy się na wyroki Opatrzności...

— Tak, prawda! lepsze zawsze to, co młode, z wyjątkiem wina, i pan Kochanowski żartem jeno napisał, że stary mąż, równie jak stary dąb — wzywa młodego. Chodzi mi tylko o to, że gdy ostawię jej majątek jako mojej żonie, to nikt nie będzie śmiał i palcem ruszyć — a jeśli jako wychowance — wraz będą spory, kłótnie, procesy a może i zajazdy, przed którymi któż ją osłoni? Już-ci nie pani Winnicka!

— Tak to i jest...

— Ale jako nie płoch, ani żaden pustak, nie chciałem tego własną głową stanowić i dlatego przyjechałem do was, abyście mnie atwierdzili w przekonaniu, iż dobrze czynię i radą światłą wsparli.

Ksiądz pomyślał i rzekł:

— Widzisz waćpan: w takiej materji rada jest trudna i nieraz potem powtórzy sobie człowiek razem z Boeciusem: „Si tacuisses, philosophus mansisses...” albo też z Hiobem: „Stultus quoque si tacerit, sapiens reputabitur...” Intencya waści, o ileś afektem gorącym zapłonął, jest asprawiedliwiona, a o ile płynie przytem z troski o dobro dziewczyny — to nawet i chwalebna. Ale nie stanie-że się przytem dziewee jakowaś krzywda, nie trzebaż jej będzie przyniewalać, albo groźbami ad altare prowadzić? Bo słyszałem, że oni się z Jackiem Taczewskim kochają, a szczerze i bez ogródki

mówiąc, tom to i nieraz, częstym gościem u was bywając, — widział.

— Coście widzieli? — zapytał porywczo Pągowski.

— Nie żadne grzeszne rzeczy, ale takowe signa, po których się konfidencyę i miłość poznaje: widziałem nieraz jak się za ręce przydłużej niż wypadało trzymali, jako za sobą oczyma wodzili; widziałem, jak on raz na drzewie siedział i wiśnie jej do fartuszką spuszczał, a tak się oboje w siebie zapatrzyli, że wiśnie obok fartuszką na ziemię padały; widziałem, jako na lecące bociany spoglądając, ona się całkiem, niby nie chcący, na nim wsparła, a potem (niewiasta zawsze chytra) jeszcze go wylażała, że się nadto przybliżył... i cóż więcej? — i rozmaite takie experimenta, które o utajonych żądzach świadczą. Powiesz waszmość, że to nie? Już-ci nie! Ale że ona czuła Bożą wolę ku niemu taką, albo-li i gorętszą, niż on ku niej, tego ślepy chyba mógł nie widzieć i dziwić się, żeś waćpan nie widział, a jeszcze bardziej, jeżeliś, widząc, wobec swoich zamiarów nie hamował.

Pan Pągowski widział i wiedział, a jednakże słowa prałata wywarły nań okrutne wrażenie.

Co innego jest, gdy się coś bolesnego w sercu tai, a co innego, gdy wsunie się do piersi obca ręka i tym bolem potrząśnie. To też twarz mu zecerwieniła, oczy nabiegły krwią, grube węzły żył wystąpiły na czoło i począł sapać nagle i oddychać tak szybko, że aż zaniepokojony prałat zapytał:

— Co waści jest?

On dał znak ręką, że nie, ale nie odpowiadał.

— Napij się wać wina—zawołał ksiądz.

Pągowski wyciągnął ramię, drżącą dłonią wziął kielich i podniósł do ust, poczem napił się, parsknął i szepnął:

— Zamroczyło mnie trochę.

— Z przyczyny tego, com powiedział?...

— Nie. To mi się od pewnego czasu często przytrafia, a teraz fatigatus jestem postem, drogą i to wczesną, niespodzianą wiosną.

— Tedy lepiej może, nie czekając maja, krew puścić.

— Tak też uczynię, a teraz jeno odpocznę chwilę i powrócimy do materyi.

Upłynął jednak dość długi czas, zanim Pałowski przyszedł całkiem do siebie; wreszcie jednak ochłonął, żyły sfolżały mu na czole, serce zaczęło bić zwykłym ruchem i rzekł:

— Nie powiem, żeby mi brakło sił, i gdybym tą oto dłonią, która mi została, ścisnął dobrze ten srebrny kasztyczek, myślę, żebym go zgniół z łatwością. Ale zdrowie i siły to nie to samo, choć jedno i drugie w ręku Boskiem.

— Krucha to rzecz życie ludzkie!

— Ale właśnie dlatego, jeśli ma co do czego przyjść, to trzeba się śpieszyć. Mówicie, dobrodzieju, o Taczewskim i o afektach, jakie młodzi wzajem dla się czuć mogli. Powiem szczerze: nie byłem ślepy. Widziałem i ja, co się zaczyna, ale dopiero w ostatnich czasach. Bo pamiętajcie, że do niedawna zielona to była jagoda, która i teraz nie prawie dojrzała. Przychodził co dzień, prawda! ale że w domu może i nie bardzo miał co jeść, przeto go jakoby z litości przyjmował. Ksiądz Woynowski ćwiczył go w łacinie i w szablach, a jam mu dawał jeść. Ot, i wszystko. On też dopiero przed rokiem wyrósł na młodziana. Takem na nich patrzył, jak na dzieci, którym ze się różnych krotofil i figłów zachciewało, uważałem za zwykłą rzecz. Ale żeby taki pauper śmiał pomyśleć—i jeszcze o kim?

o pannie Sienińskiej, to, przyznając, nigdy mi do głowy nie przyszło, i ledwie w ostatnich czasach coś po miarkowałam.

— Ba! co pauper, to pauper, ale Taczewski.

— Na Głodomorach!... Nie, dobrodzieju! taki, który cudzy rondel wylizuje, psa chyba może do kompanii zapraszać. Tedy, gdym pomiarkowałam jako co jest, pilniej począł na niego zważać i wiecie com odkrył?—oto, że to nietylko fireyk i hołysz, ale i gad jałowity, gotów zawsze żgnąć rękę, która go karmiła. Chwalić Bogą, niema go, pojechał, ale na waletę żgnął nietylko mnie, ale i tę niewinną dziewczkę.

— Tak-że to jest?—spytał prałat.

A pan Pagowski począł mu opowiadać, jak i co było, malując tak czarno uczynki Taczewskiego, że choćby zaraz kata wołać.

— Nie bójcie się, dobrodzieja,—rzekł w końcu—doleli do pełna Anulee Bakojemscy w czasie naszej drogi do Przytyka: ha! tak do pełna, że się przelało, i teraz tak jest, że nigdy ta dziewczyna do żadnego Boskiego stworzenia podobnej abominacyi nie czuła, jak do tego chłystka, do tego wyrostka, do tego hultaja!

— Miarkuj się wać, bo znów krew w sobie wzburzysz.

— Prawda. I nie o nim chciałem mówić, jeno o tem, że ja ni krzywdy nijakiej nie chcę dziewczce wyrządzić, ni też masu używać. Namowa co innego. Ale to powinien czynić człek postronny, jej i mój przyjaciel a zarazem człek słynny z powagi i z wielkiego dowcipu, który i grzecznych terminów użyć, i serce poruszyć, i rozum przekonać potrafi. Dlatego was chciałem o to prosić, mój osobliwy dobrodzieja. Jaże mi też tego nie odmówicie, nie tylko per amicitiam dla mnie, ale z takowej racyi, że rzecz jest słuszna i godziwa.

— O jej i o wasze dobro chodzi, więc nie odmawiam—rzekł prałat—jeno chciałbym mieć czas zastanowić się, jak to najłacniej uczynić...

— To ja wraz do cyrulika pójdę i każę sobie krew paścić, aby z trzeźwiejszym umysłem do domu wrócić, a wy koncept sobie ułóżcie. Nie trudno to wam będzie, a tak myślę, że i z tamtej strony nie znajdzie się żaden szkopał.

— Szkopał może być tylko jeden, panie bracie.

— Jaki?

— Przyjaźń powinna prawdę mówić, więc wam szczerze powiem. Zaeny z was człowiek—wiem! — ale trochę przytwardy. Taką macie reputację, a macie ją dlatego, że wszyscy, którzy od was zależą, boją się was okrutnie. Nietylko chłopci, o których poróżniliście się z księdzem Woynowskim, nietylko ezeladź i oficjaliści, ale i domowi. Bał się was Taczewski, boi się pani Winnicka, boi się i dziewczyna. Dwóch zwykle swatów przyjeżdża, więc ja zrobię, co będę mógł, ale czy ten drąg nie popsuje mi roboty—nie ręczę.

Oczy Pągowskiego zabłysły przez chwilę gniewem, bo nie lubił, gdy mu wobec mówiono prawdę, ale nad gniewem przemogło zdziwienie, więc zapytał:

— O czym mówicie? Jaki drugi swat?

A ksiądz odrzekł:

— Strach.



Ie mogli jednak wyjechać tego samego dnia do Bełżączki, albowiem Pałowski po puszczeniu krwi zasłabł znacznie i sam mówił, że ma potrzeba wypoczynku. Nazajutrz za to czuł się rzeświejszy, jakby odmłodzony, i z dobrą otuchą, chociaż z pewnym niepokojem zbliżał się do domu. Zajęty całkiem swemi myślami, mało rozmawiał z księdzem przez drogę, lecz gdy wjeżdżali już do wsi i gdy uczył, że ów niepokój coraz bardziej go ogarnia, rzekł:

— Aż mi to dziwno. Drzewiej wracałem ci zawsze do mojej siedziby jako człowiek, który u siebie jest panem i inni troszczyli się o to, jakiem ich powitam obliczem, a teraz ja się troszczę, jak mnie powitają.

— Powiedział Wirgili:—rzekł na to ksiądz—„amor omnia vincit“ a zapomniał dodać, że i matat. Włosów nie ostrzyże ci ta Dalila, boś waćpan łysy, ale że ja cię jeszcze obaczę przędącego kądziel u jej nóg, jako Herkules przął u nóg Omfali, to pewna.

— Ej, nie taka moja natura! — umiałem zawsze trzymać w garści i czeladź, i rodzinę.

— Tak ludzie mówią, ale właśnie dlatego tembardziej się to waćpanu należy, żeby cię wziął kto w karby.

— Mięż to karby!—odrzekł z niezwykłą sobie wesołością Pągowski.

Jechali bardzo wolno, bo we wsi błoto było okrutne, że zaś z Radomia wyruszyli nierychło z południa, więc zapadła już noc. W chatkach po obu stronach świeciło z okien łączywo, od którego kładły się w poprzek drogi czerwone smugi. Gdzieś tam przy płocie zamajaczyła jakaś postać ludzka baby lub chłopca, który, ujrawszy jadących, coprędzej zdejmował czapkę i kłaniał się w pas. Widać było zaraz z tych zbyt niskich ukłonów, że Pągowski umiał trzymać w garści ludzi, ba, nawet że ich trzymał zanadto i że ksiądz Woynowski nie bez przyczyny gromił go za zbyt surowość. Ale w tej chwili stary szlachcic miększe czuł niż zwykle w piersiach serce, więc, spoglądając na owe pochyłone postacie i na zapadłe w ziemię okienka chałup, rzekł:

— Uczyni się też jakaś łaska poddaństwu, za którym zawsze się ona wstawiała.

— Oj to, to!—odrzekł prałat.

I umilkli. Pan Gedeon rozprawiał się czas jakiś z własnymi myślami, poczem ozwał się znova:

— Wiem, że wam, dobrodzieju, rad dawać nie trzeba, ale to musicie jej powiedzieć, że to dla niej gotuje się dobrodziejstwo i że ja przedewszystkiem

o niej myślę; a w razie oporu (którego się nie spodziewam, ale naż!) choćby i fuknąć trochę...

— Powiedziałeś waćpan, że nie chcesz jej zmuszać...

— Powiedziałem, ale co innego, gdybym ja groził i fukał, a co innego, gdy jej niewdzięczność wytknie kto inny, a do tego osoba duchowna.

— Zostaw-że mnie waćpan tę sprawę, której, ponieważ-żem się podjął, tedy dołożę starań, by ją z jakim najlepszym skutkiem przeprowadzić. To wszelako waćpanu powiem, że przemówię do dziewczki delicatissime...

— Dobrze, dobrze! Jedno tylko jeszcze słowo. Wielką ona rzuje do Taczewskiego abominację, ale gdyby przygodziła się o nim wzmianka, wartoby coś, jeszcze o nim dorzucić...

— Jeśli tak postąpił, jak waćpan mówiłeś, to nequam jest.

— Dojeżdżamy. No! W imię Ojca i Syna...

— I Ducha Świętego—amen!

Dojechali; ale nikt nie wyszedł na ich spotkanie bo z powodu błota koła nie czyniły tarketu, a psy nie szczekały na znajomych ludzi i konie. W sieni było ciemno, bo czeladź widocznie siedziała w kuchni, i zdarzyło się tak, że na pierwsze zawołanie p. Pałowskięgo: „jest tam kto?“—nie ukazał się nikt, a na powtórne, ostrzejszym już głosem uczynione, wyszła sama panienka.

Wyszła, ogarniając ręką świecę, ale ponieważ była w blasku, a oni w cieniu, więc, nie dojrawszy ich zrazu, zatrzymała się koło drzwi. A oni też nie odezwali się przez chwilę, bo naprzód wydało im się to jakąś osobliwszą wróżbą, że ona pierwsza ku nim wychodzi, a powtóre, że uroda jej zdumiała ich tak, jakby jej przedtem nigdy nie widzieli. Palce, którymi

ogarniała świecę, wydawały się różowe i przezrocze; blask pełgał po piersiach, rozświecał usta i małą twarz, która wydawała się trochę senna i smutna, może dlatego, że oczy pozostawały we wgłębionym cieniu. Czoło i śliczne jasne włosy, tworzące nad niem jakby koronę, były jednak skąpane w blasku. I, otoczona ną okół mrokiem, a sama świetlista i cicha, stała tak przed nimi, podobna poprostu do anioła, stworzonego z różowej jasności.

— O, jak mi Bóg miły, czyste objawienie!—rzekł prałat.

A Pałowski zawołał:

— Anulu!

Wówczas podbiegła ku nim i, postawiwszy świecę na przymurku komina, poczęła ich witać z radością. Pałowski przycisnął ją czule do serca, kazał jej się cieszyć z przybycia tak zacnego gościa i sławnego we wszystkich sprawach konsyliarza, a gdy po skończonych powitaniach weszli do stołowej izby, zapytał:

— Toście już po wiecezery?

— Nie. Właśnie czeladź miała przynosić z kuchni i dlatego nikogo w sieni nie było.

A ksiądz spojrział na starego szlachcica i zapytał:

— To możeby nie czekając?

— Nie, nie—rzekł prędko Pałowski.—Pani Winnicka wnet się tu zakrzętnie.

Jakoż pani Winnicka zakrzętnęła się skutecznie— i w kwadrans później zasiedli do grzanego wina i jacecznicy. Ksiądz Tworkowski jadł i pił dobrze, lecz przy końcu wiecezry spowaźniało mu oblicze i rzekł, zwracając się do panienki:

— Moja mościa panno! Bóg wie, dlaczego ludzie zowią mnie konsyliarzem i dlatego się mnie tak często

radzą, ale skoro i opiekun waćpanny tak czyni, tedy maszć pomówić z nią w pewnej ważnej sprawie, którą memu lichemu doweipowi powierzył.

Pana Pałowskiemu, gdy to usłyszał, nabrały znów żyły na czole, a panna przybladła nieco i podniosła się niespokojna, gdyż nie wiadomo dla czego, wydało jej się, że ksiądz będzie z nią mówił o Jacku.

Prałat zaś rzekł:

— Proszę na osobności

I wyszli.

Pan Pałowski odetchnął głęboko raz i drugi, za-
bębnił palcami po stole, poczem wstał i, czując potrze-
bę zagadania wewnętrznego wzruszenia byle jakimi
słowy, rzekł do pani Winnickiej:

— Czy też waćpani kiedy zauważyła, jak wszyscy
krewni mojej nieboszczki żony nienawidzą Anulki?

— Szczególniej Krzepeccy—odrzekła pani Winnicka.

— Ha! ledwie nie zgrzytają na jej widok, ale za-
zgrzytają oni wkrótce jeszcze lepiej!

— Czema zaś?...

— Dowiesz się waćpani wkrótce, a tymczasem
trzeba o noclegu dla prałata pomyśleć!

I po chwili pan Pałowski został sam. Dwaj pa-
chołkowie weszli, by uprzątnąć naczynia po wieczery,
ale on kazał im z nagłym wybuchem gniewu pójść
prez i w komnacie uczyniło się cicho, tylko wielki ze-
gar gdański powtarzał głośno i poważnie: tik, tak! tik,
tak!... Pałowski położył rękę na łysinie i począł cho-
dzić po izbie. Zbliżył się do drzwi, za którymi prałat
rozmawiał z panną Sienińską, ale usłyszał tylko szmer,
w którym rozpoznał wprawdzie głos księdza, ale nie
mógł usłyszeć wyrazów. Więc naprzemian to chodził,
to się zatrzymywał. Podszedł ku oknu, bo mu się
zdawało, że mu tam będzie mniej daszno, i patrzył

trochę bezmyślnemi oczyma na niebo, po którym wiatr pędził podarte wiosenne chmury o rozjaśnionych grzywach, po których błądy księżyc zdawał się wspinać wyżej i wyżej. Ilekroć się przesłonił, chwycił pana Pągowskiego złe przeczucia. Widział przez okno czarne gałęzie pobliskich drzew, chybotające się, jakby w męce, na wicherze, i tak samo chykotały się jego myśli, bezładne, złe, podobne do wyrzutów sumienia, do głuchych poczuć, że staje się rzecz niedobra, za którą czeka go jakaś blizka kara... Lecz gdy rozjaśniło się na dworze, wstępowała w niego znów lepsza otucha. Każdy ma przecie prawo myśleć o swojej szczęśliwości—a co do Taczewskiego, wielka rzecz! czy to jeszcze takich ludzie używają sposobów! O co tu chodzi? o dobro i o spokojną przyszłość dziewczyny, a że przytem i jemu uśmiechnie się trochę życie na starość—to ma się i należy. —I to jedno jest prawda, a reszta wiatr! wiatr!...

Uczuł znowu zawrót głowy i czarne płatki jęły mu skakać przed oczyma, ale trwało to bardzo krótko. Począł znów chodzić i zbliżać się do drzwi, za którymi ważyły się jego losy. Tymczasem świece na stole dostały długich knotów i w izbie pociemniało. Chwilami głos księdza stawał się donioślejszy, tak że może i wyrazy dochodziłyby do ucha Pągowskiego, gdyby nie owo głośnie i ciągłe „tik-tak!“ zegara. Łatwo było zrozumieć, że taka rozmowa nie może skończyć się prędko, a jednak niepokój pana Gedeona wzrastał i wzrastał, przybierając kształty jakby jakichś dziwnych pytań, związanych z przeszłością, ze wspomnieniami nie tylko dawnych bólów i nieszczęść, ale także dawnych, niezmazanych dotychczas, win—dawnych ciężkich grzechów—i świeżych krzywd, wyrządzonych nie tylko Taczewskiemu, ale i innym ludziom.

— Za co i dlaczego ty masz być jeszcze szczęśliwy?—pytało go sumienie.

I dałby w tej chwili nie wiedzieć co, żeby choć pani Winnicka wróciła do izby i żeby nie potrzebował zostawać sam na sam z temi myślami. Ale pani Winnicka zajęta była robotą gdzieś tam na drugim końcu domu, a w tej izbie tylko zegar powtarzał: tik-tak! tik-tak!—i sumienie pytało:

— Za co cię Bóg ma nagradzać?

Czuł zaś pan Pągowski, że teraz, jeśli go ta dziewczyna, podobna razem do kwiatu i do anioła, ominie— to już w życiu jego uczyni się zmierzch, trwający aż do tej godziny, w której nastanie noc śmierci...

A wtem drzwi otworzyły się nagle i weszła panna Sienińska, blada, ze łzami w oczach, a za nią ksiądz.

— Płaczesz?—zapytał chrapliwym, zduszonym głosem pan Pągowski.

— To z wdzięczności, opiekuniel— zawołała, wyciągając ku niemu ręce.

I przypadła do jego kolan.



czegoż wieczora, ale już późno w noc, pani Winnicka przyszła do pokoiku krewniaczki i, zastawszy panienkę jeszcze nierozebraną, poczęła z nią rozmawiać:

— Nie mogę ochłonąć ze zdziwienia—rzekła—bo prędejbym się śmierci spodziewała, niż żeby jegomości coś podobnego przyszło

do głowy.

— I ja się nie spodziewałam.

— Jakże tedy?—i tak już naprawdę? Sama nie wiem, co myśleć—radować się, czy nie?... Bo jużci ksiądz prałat, jako persona duchowna, lepszy ma od świeckich ludzi rozum, i to słuszna, co powiada, że będziesz miała nad głową do śmierci dach i do tego swój,

nie cudzy; ale z drugiej strony jegomość leciwy człek i (tu pani Winnicka zniżyła głos), czy ci go trochę nie strach?

— Stało się—i niema już o czem myśleć!—odrzękała panna Sienińska.

— Jak-że to mówisz?

— Mówię, żem mu za przytułek, za kawałek chleba wdzięczność powinna—i że licha to zapłata—moja osoba, której nikt innyby nie chciał, ale skoro on chce, to jeszcze jego łaska!

— On dawno już chciał—rzekła tajemniczo starszka.—Zawołał mnie dziś po rozmowie z tobą,—myślałam, że było co złego w wieczery i że będzie łajał—a on nie! Widzę, że jakiś wesół—i nagle powiada mi nowinę. A pode mną aż nogi zdrząły. Dopiero on mówi: „Czemaś to wacani, jak żona Lota, w słup soli się zmieniła—cóżem to taki grzyb?”— „Nie!—powiadam—jeno, że to taka niespodziana rzecz!” A on znów: „Dawna to myśl (mówi) tylko, że była jako ryba na dnie, dopóki nie znalazł się ktoś, co jej pomógł na wierzech wypłynąć... I wiesz wacani kto?

Byłam pewna, że to ksiądz prałat Tworkowski, ale on rzekł: „Wcale nie ksiądz Tworkowski, jeno pan Grothus...”

Nastała chwila milczenia.

— A ja myślałam, że to pan Taczewski—rzekła przez zaciśnięte usta panna Sienińska.

— Co znowu? Dlaczego Taczewski?

— Aby pokazać, że o mnie nie dba.

— Ale przecie wiesz, że Taczewski nie widywał się z jegomością.

A ona zaczęła powtarzać gorączkowo:

— Tak! wiem!—co innego miał w głowie! Mniejsza z tem! Nie chcę nie wiedzieć. Nie chcę! nie chcę! Stało się już i dobrze się stało!

Suchy, spazmatyczny płacz wstrząsnął jej piersią. Przez chwilę powtarzała jeszcze; „dobrze się stało!“ poczem uklękła nagle do pacierzy, które codziennie zwykły były razem odmawiać.

I na drugi dzień zeszła ze spokojną już twarzą do świetlicy. Coś jednak się w niej zmieniło, coś pozostało niedomówionem, coś się zamknęło. Nie była smutna, ale stała się nagle jakby o kilka lat starsza i miała w sobie jakąś cichą powagę, tak, że pan Pałowski, który dotychczas liczył się tylko z sobą, począł się mimowoli liczyć i z nią. Wogóle nie mógł się z tem wszystkim połapać, a szczególnie dziwnem wydało mu się to, że czuł jakby jakąś swoją od niej zależność. Począł się obawiać tych myśli, których ona nie wypowiedziała, ale które mogła w duszy zamykać—i starał się im zapobiegać, a na ich miejsce podsawać inne, takie, jakichby sobie w niej życzył. Nawet milczenie pani Winnickiej ciążyło mu i wydawało się podejrzanem—więc nadrabiał fantazyą, zagadywał, żartował, ale chwilami błyski niecierpliwości migotały mu w stalowych oczach.

Tymczasem wieść o jego oświadczeniach rozeszła się po okolicy. Nie robił zresztą on z nich tajemnicy, owszem, oznajmił rzecz listownie Cypryanowiczowi w Jedlinie i najbliższym sąsiadom, oraz porozpisywał listy do Kochanowskich, do Podlódowskich, do Sulgostowskich, do pana Grothusa i do Krzepeckich, a nawet do dalszych żoninych krewnych, z zaproszeniem na zrekowiny, po których zaraz miał ślub nastąpić.

Wolałby był wprawdzie pan Pałowski uzyskać dyspensę nawet i od zapowiedzi, na nieszczęście jednak był to czas Wielkiego postu i trzeba było czekać, aż przejdą święta. Zabrał więc obie niewiasty i pojechał z niemi do Radomia, gdzie panna miała robić wyprawę

a on kupować konie, paradniejsze od tych, które były w stajniach bełżączkich.

Dochodziły go tam słuchy, że między krewnymi, którzy spodziewali się wziąć wszystko nietylko po jego nieboszczce żonie, ale i po nim — wre jak w ulu, ale cieszyło go to, gdyż wszystkich z duszy nienawidził — i zawsze rozmyślał o tem, jakby im szkodę wyrządzić. Wieści te o zjazdach, szeptach i naradach skracały mu czas w Radomiu, a gdy nakoniec wyprawa została ukończoną i cugi wraz z nowemi chomątami kapione — wrócili do Bełżączki na samą Wielkanoc. Goście też poczęli się zjeżdżać prawie równo z niemi, gdyż zrę-kowiny miały się odbyć w trzecie święto.

Pierwsi przybyli Krzepeccy, najbliżsi zarazem sąsiedzi i krewni: ojciec, starzec blizki ośmdziesiątki, z twarzą sępa, słynny ze skąpstwa; trzy córki, z których najmłodsza Tekla, hoże i wesołe dziewczę — i dwie starsze, Agnieszka i Joanna, niemłode, zapalczywe pan-nice z wiecznemi wypiekami na policzkach, a wreszcie syn Marceyan, przezywany w okolicy Pniakiem.

I słusznie nosił to przezwisko, albowiem na pierw-szy rzut oka był istotnie do grubego pnia podobny. Piersi i bary miał potężne, ale nogi pałakowate i tak krótkie, że wyglądał prawie na karła. Ręce natomiast dochodziły mu aż do kolan. Niektórzy mieli go za garbatego, nie był on jednakże garbatym, tylko głowę miał tak pozbawioną szyi, i tak nisko osadzoną w ka-dłubie, że wysokie barki dochodziły mu prawie do uszu. Z tej głowy patrzyły wypukłe, lubieżne oczy i twarz miał do kozłej głowy podobną, podobieństwo to po-większała jeszcze niewielka broda, którą jakby umyśl-nie i wbrew powszechnemu zwyczajowi nosił.

Wojskowo nie służywał, bo go w chorągwiach wy-śmiewano, z którego powodu liczne odbywał swego

czasu pojedynki. W krótkim, pękatem ciele posiadał niezwykle siłę i ludzie obawiali się go powszechnie, był to bowiem barda i zawalidroga, który rad okazał szukał, a we wszelkich zajściach okazywał jakąś zwierzęcą zapalczywość. Raz poranił ciężko w Radomiu swego stryjecznego brata Krzepeckiego, pięknego i dobrego młodziana, który omal z ran nie umarł. Bały się go siostry, a nawet i ojciec — on zaś czuł respekt tylko przed Taczewskim, o którego biegłości w szermierce wiedział — i przed Bakojemskimi, z których jeden, a mianowicie Łukasz, przerzucił go niegdyś, jak wiązkę słomy, przez parkan w Jedlni.

Reputacyę miał wielkiego labieżnika — i to była prawda. Pan Pągowski wyłasknał go przed kilkoma laty z domu za to, że w zbyt koźli sposób patrzył na małą jeszcze wówczas pannę Sienińską. Ale że od owego zajścia upłynęło kilka lat i że spotykali się potem i w Radomiu i w domach sąsiedzkich, przeto zaprosił go teraz wraz z całą rodziną na uroczystość familijną.

Zaraz po Krzepeckich przyjechali Sulgostowscy, dwaj bracia bliźniacy, tak do siebie podobni, że gdy włożyli jednakowe kontasze, nikt ich nie umiał rozróżnić; potem troje dalszych Sulgostowskich z za Przytyka — i liczna, bo z dziewięciu osób złożona a urodziwa rodzina Zabierzowskich. Z sąsiedztwa przybył pan Cypryanowicz, ale sam, bo syn wyruszył już do chorągwi; pan starosta Podlodoski, niegdy plenipotent potężnego pana na Zamościu; państwo Kochanowscy, księża z Przytyka, ksiądz Prałat Tworkowski z Radomia, który miał pierścionki błogosławić — i sporo pomniejszej szlachty z bliższych i dalszych stron; niektórzy nawet bez zaproszenia, w tej myśli, że gość, choćby całkiem nieznan, zawsze będzie z otwartemi rękoma przyjęty —

i że gdy zdarza się sposobność jedzenia i picia, to nie należy jej opuszczać.

Zaroił się tedy podwórzec w Bełżączce od bryk i powozów, stajnie od koni, oficyny od wszelakiej służby, a dwór od barwnych kontaszów. od szabel, od golonych łbów, i pełno w nim było łaciny, niewieściego szczebiotania, lamówek, robronów i rozmaitych „angażantów“. Latały dziewczki służebne z gorącą wodą, pijana czeladź z gąsiorami win zaenych, z kuchni dymiło się od rana do wieczora jak ze smolarni, a okna dworu świeciły i płonęły wieczorami tak, że aż na całym dziedzińcu było widno. A wśród tego rozgardyaszu chodził po pokojach pan Pałowski, trochę pyszny, poważny, ale zarazem jakby odmłodziły, strojny w karmazyny i z szablą jasną od klejnotów, którą panna Sienińska po możliwych niegdyś przodkach jako jedyne wiano odziedziczyła. Chodził, zapraszał, czasem, gdy chwycił go zawrót głowy, opierał się rękoma o poręcz krzesła i znów chodził, częstował gości-personatów, szargał nogami, zbliżając się do starszych niewiast, ale przedewszystkiem wodził coraz bardziej rozkochanemi oczyma za „swoją Anulę“, która w tym tłumie różnobarwnym, wśród spojrzeń często niechętnych, często zazdrosnych a czasem i pożądlivych, kwitła biała, jak lilia, słodka, może trochę smutna, a może tylko ważnością tego, co ją miało spotkać, przejęta.

Aż wieczorem, trzeciego święta, we wtorek, zagrzniały z dziedzińca domowe moździerze, oznajmując gościom i włości, że chwila uroczysta zrękwina nadeszła.

Ustawili się tedy w świetlicy półkołem wszyscy goście, niewiasty i mężczyźni we wspaniałych strojach, grających jak tęcza przy blasku świec jarzących, a na-

przeciw nich stanął pan Pałowski z panną Sienińską. Uczyniła się cisza, tylko oczy wszystkie atkwione były w oblubienicę, która ze spuszczonei oczyma, ze skąpieniem i powagą na twarzy, bez uśmiechu, ale i nie żalosa, wyglądała jakby uśpiona. Ksiądz prałat Tworowski, mając przy sobie Tecię Krzepecką, trzymającą srebrną tackę z pierścieniami, sam przybrany w komżę, wysunął się z półkola i rozpoczął przemowę do przyszyłych nowożeńców. Mówił uczenie, długo i wymownie, wywodząc, co to były „sponsalia de futuro“ i jak wielką wagę przywiązywał do zrzekowin kościoła od pierwszych czasów chrześcijaństwa. Cytował Tertuliana i sobór Trydencki i opinie różnych uczonych kanonistów, poczem dopiero, zwróciwszy się do pana Pałowskiego i do panny Sienińskiej, jął przekładać im, jak mądre było ich postanowienie, jak wielkie świadczą sobie wzajem dobrodziejstwo i jak przyszła ich szczęśliwość od nich samych tylko zależy. Słuchali tego z podziwem zgromadzeni, ale zarazem i z niecierpliwością, gdyż jako krewni, którym wymykało się dziedzictwo, niechętnie patrzyli na ów związek. Sam pan Gedeon, który od dłuższego stania dostawał zawrotu głowy, począł przestępować z nogi na nogę i dawać znaki oczyma prałatowi, by skończył, co on, nierychło spostrzegłszy, pobłogosławił wreszcie pierścionki i założył je na palce oblubieńców. Wówczas zagrzmiały znów armatki na dziedzińcu, a z chórką, w izbie stołowej, ozwała się hucznie kapela, złożona z pięciu grzecznie grających żydków radomskich. Goście przychodzili teraz kolejno składać życzenia gospodarzowi i pannie — po największej części kwaśne i nieszczere. Dwie starsze panny Krzepeckie dygały wprost drwiąco przed „wujną“, a pan Mareyan, całując jej ręce, polecał się jej przyszyłym łaskom z tak koźlim wzrokiem,

że pan Pągowski powinienby go był na dobrą sprawę powtórnie z domu wylusknąć.

Lecz inni—dalsi krewni, a lepsi i mniej cheiwi ludzie—życzyli szczerzej i goręcej. Tymczasem otworzono szeroko drzwi do izby stołowej; pan Pągowski podał ramię narzeczonej, a za nimi ruszyły inne pary, wśród migotania i chwiejby płomyków od świec, którą spowodował nagły, wpadający aż do sieni, chłodny przewiew powietrza. Z tej sieni napływała czeladź, już nawpół pijana, z niezliczoną ilością potraw i gąsiorów z winem. W izbie stołowej, od ciągłego otwierania drzwi, panował chłód tak mocny, że biesiadników, gdy siedli za stołem, aż dreszcz przejął w pierwszej chwili, a z powodu ciągłej chwiejby płomyków świec cała izba, mimo pięknej zastawy, wydała im się dość ciemną i ponurą. Lecz należało się spodziewać, że wino prędko rozgrzeje krew w żyłach, a wina nie żałował pan Pągowski. Był to człek raczej skąpy na codzień, natomiast w wyjątkowych okazyach lubił popisać się tak, by długo o nim mówili. Zdarzyło się to i teraz. Za każdym biesiadnikiem stał pachol z omszałym gąsiorrem, a nawet i pod stołem było ukrytych kilkunastu czeladzi z butlami, aby, na wypadek, gdy gość, nie mogący pić więcej, wsunie kielich między kolana, napełnić mu go natychmiast. Olbrzymie pijackie szklenice, roztrahany, kusztyki lśniły przed każdym nakryciem, tylko przed niewiastami stały mniejsze, włoskie albo też francuskie kieliszki.

Goście nie obsiedli jednakże całego stołu, gdyż pan Pągowski kazał dać więcej nakryć niż było biesiadników. Ksiądz prałat rzucił oczyma na owe paste miejsce i począł chwalić gościnność domu i gospodarza, ale ponieważ głos miał zawsze bardzo donośny, a przytem podniósł się w tej chwili nieco z krzesła,

chcąc sobie ułożyć wygodniej fałdy sutanny, więc obecni sądzili, że chce wznieść pierwszy toast i uciszli się wszyscy.

— Słuchamy!—ozwało się kilka głosów.

— Ej, niema czego — odrzekł wesoło ksiądz. — Nie toast to jeszcze żaden, choć wkrótce przyjdzie i na to pora, bo widzę, jak niektórzy z ichmościów trą sobie zawczasu czupryny, a pan Kochanowski już i szeptem do siebie, i na palcach coś liczy. Trudno, mości panie! od kogóż jak nie od Kochanowskiego ryt-mów wyglądać. Ja jeno chciałem rzec, iż chwalebny to jest staropolski zwyczaj te nakrycia dla niespodzianych gości.

— Ba — rzekł pan Pągowski — jak się dom w nocy świeci, to z ciemności zawsze ktoś może nadjechać...

— A może kto i jedzie — ozwał się pan Kochanowski.

— Może pan Grothus?

— Nie... pan Grothus na sejmie. Jeśli ktoś nadjedzie, to całkiem nieoczekiwany.

— Ale go nie usłyszymy, bo ziemia miękka.

— A no! pies pod oknem szczeka. Naż się ktoś zjawi.

— Z tej strony nikt się nie zjawi, bo to okna na sad.

— I, co prawda, to pies wyje, nie szczeka.

Jakoż tak było. Pies ozwał się raz, drugi i trzeci, poezem szczekanie jego zmieniło się w niskie, posępne wycie.

Pan Pągowski wdrygnął się mimowoli, przypomniał sobie bowiem, jak przed wielą, wielą laty, w innych okolicach, w jego dworze, leżącym o milę od

zamku pomorzańskiego, na Rusi, tak samo psy wyły przed nagłym napadem Tatarów.

A pannie Sienińskiej przyszła do głowy myśl, że już jej nikogo czekać nie wolno, i że ktokolwiekby nadjechał z ciemności do oświetconego dworu, to już nadjedzie zapóźno.

Lecz i innym uczestnikom uczyniło się jakoś dziwnie, tembardziej, że do pierwszego psa przyłączył się drugi—i za oknem rozległo się podwójne wycie.

Więc mimowoli słuchali w przykrem milczeniu, które dopiero po chwili przerwał Marcyan Krzepecki.

— Nie nam po takim gościu, na którego psi wyją—rzekł.

— Wina!—zawołał pan Pągowski.

Ale puchary były pełne, więc nie trzeba było nalewać. Stary Krzepecki, ojciec Marcyana, podniósł się ociężale z krzesła, chcąc widocznie przemówić. Wszyscy zwrócili na niego oczy, a starsi poczęli otaczać dłońmi uszy, aby lepiej dosłyszeć co powie, lecz on jął tylko poruszać przez dłuższą chwilę ustami, przyczem broda schodziła mu się prawie z nosem, albowiem wcale nie miał zębów.

Tymczasem, pomimo, że na dworze była odwilż i ziemia miękka, z drugiej strony dworu dał się słyszeć jakby głuchy tarkot — i rozlegał się dość długo, jakby ktoś dwa razy objeżdżał dziedziniec. Więc stary Krzepecki, który już był podniósł kielich, postawił go znów na stole i począł patrzeć na drzwi.

A za nim uczynili to wszyscy inni.

— Zobaczycy, kto przyjechał!—rzekł do czeladnika pan Pągowski.

Pachołek skoczył i zaraz potem powrócił.

— Niemasz nikogo—rzekł.

— To dziwne—ozwał się prałat Tworkowski—słychać było wyraźnie.

— Wszyscy słyszeliśmy — odrzekł jeden z bliźniaków Sulgostowskich.

— I psy przestały wyć—dodał drugi.

Wtem drzwi od sieni, widocznie źle zamknięte przez czeladnika, otworzyły się same i do izby wpadł znowa powiew tak silny, że zgasił odrazu kilkanaście świec.

— Co to jest? zamykać drzwi! Świece gasną! — ozwało się kilka głosów.

Lecz wraz z powiewem wleciał do pokoju jakby przestрах. Pani Winnicka, osoba bojaźliwa i przesądna, poczęła się żegnać głośno:

— W imię Ojca i Syna i Ducha...

— Cicho, acani!—rzekł pan Pagowski.

Poczem, zwróciwszy się do panny Anny, ucałował jej rękę.

— Nie pomiesza mi radości byle zgaszona świeca—rzekł—i daj mi Bóg być jeno do końca życia tak szczęśliwym, jako w tej chwili jestem, prawda Anulko?

A ona również pochyliła się do jego dłoni.

— Prawda, opiekunie—rzekła.

— Amen!—dokończył prałat.

I, powstawszy, począł mówić:

— Mości państwo! skoro ów niespodziany odgłos powaryował widocznie koncept panu cześnikowi Krzepeckiemu, niechże ja pierwszy będę tłumaczem tych afektów, któremi goreją dla przyszłych nowożeńców nasze corda. Więc, zanim zawołamy: o Hymen, o Hymenaios, zanim, rzymskim obyczajem, Thalassiasa, nadobnego młodziana przyzywać zaczniemy, co daj Bóg, aby jak najprędzej się stało, wzniesmy ex imo ten pierwszy toast za ich pomyślność i za ich przyszłą szczęśliwość: vivant, crescant, floreat!

— Vivant! vivant!—zagrzmiały wszystkie głosy.

Ozwała się wraz radomska kapela, a za oknami woźnice poczęli palić w ciemności z batów. Czeladź podniosła też okrzyk w całym domu, a w izbie, wśród ciągłych wiwatów, grały łykające wino krtanie:

Vivant, crescant! floreant!...

Długo trwały okrzyki, tupania nogami. dźwięki z tręb i palba z batów—i uciszyło się dopiero, gdy pan Pągowski wstał, podniósł kielich i ozwał się gromkim głosem:

— Mnie wielce miłościwi, a najmiłsi sercu mojemu goście i krewni!... Zanim moją całą wdzięczność niedołącznemi słowy wypowiem, naprzód uderzę wam czołem za oną życzliwość braterską i sąsiedzką, którąście mi okazali, zebrawszy się tak licznie pod moim ubogim dachem...

Lecz słowa: „pod moim ubogim dachem“ wymówił jakimś dziwnym, cichszym i jakby pokorniejszym głosem, poczem siadł znowu i pochylił głowę tak, że czołem wsparł się istotnie o stół—a goście aż się zdziwili, że człowiek zwykle tak chłodny i dumny ozwał się z taką serdecznością.

Pomyśleli jednak, że wielkie szczęście roztopia choćby najtwardsze serca—i, czekając co dalej powie, patrzyli tymczasem na jego siwą czuprynę, wciąż o krawędź stołu opartą.

— Cicho! słuchamy!—ozwały się głosy.

I rzeczywiście zapadła głęboka cisza.

Lecz pan Pągowski nie poruszył się wcale.

— Co właściwie? co to jest?... Na Boga!...

— Mów właściwie!—zawołał.

Ale pan Pągowski odpowiedział tylko okropnym chrapnięciem, przyczem kark i ramiona poczęły mu drgać nagle.

Panna Sienińska zerwała się z miejsca błada, jak ściana, i zaczęła krzyczeć przerażonym głosem:

— Opiekunie! opiekunie!...

Przy stole uczynił się rum i zamieszanie. Zabrzmiały okrzyki i pytania. Otoczono Pagowskiego kołtem, prałat chwycił go za ramiona i przechylił na poręcz krzesła; inni jęli go zlewać wodą, inni wrzeszczeli, by przenieść go na łożo i puszczać mu krew co prędzej. Niektóre z niewiast pokłękały—niektóre biegały jak szalone po izbie z przeraźliwym lamentem i jękami—a pan Pagowski z zadartą w tył głową, z nabranemi, jak postronki, żyłami na czole i zamkniętymi oczyma chrapał i rzeził coraz rozgłośniej...

Nieoczekiwany gość przybył istotnie z ciemności—i wstąpił do jego dworu—straszny i nieubłagany.



zeladź na rozkaz księdza pochwyciła chorego i przeniosła go na drugi koniec domu do „kancelaryi“, która służyła panu Pągowskiemu zarazem za sypialnię. Posłano tymczasem po kowala na wieś, który umiał puszczać krew i puszczał ją też zwykle, zarówno ludziom, jak zwierzętom.

Pokazało się po chwili, że znajdował się on przed domem wraz z całą gromadą, zebraną na poczęstunek — ale na nieszczęście był zupełnie pijany. Pani Winnicka przypomniła sobie, że ksiądz Woynowski słynie na całą okolicę, jako zawołany doktor, wyprawiono więc i po niego co koń wyskoczy kałamaszkę, chociaż wydawało się rzeczą oczywistą, że to wszystko na nie się nie zda i że dla chorego niemasz już żadnego ratunku.

Jakoż tak było. Prócz panny Sienińskiej, pani Winnickiej, dwóch panów Krzepeckich i pana Zabierzowskiego, który bawił się trochę w medyka, nie puścił ksiądz Tworkowski nikogo więcej do kancelaryi, aby natłok nie przeszkadzał ratunkowi. Ale wszyscy inni biesiadnicy, zarówno niewiasty, jak mężczyźni, zebraли się w sąsiedniej wielkiej izbie gościnnej, gdzie były przygotowane posłania dla mężczyzn, i stali zupełnie jak stado trwożnych owiec, pełni niepokoju, obawy, ciekawości i, spoglądając na drzwi, czekali nowin, a niektórzy robili pociechu uwagi nad okropnem zdarzeniem i nad prognostykami, które zapowiedziały nie-szczęście.

— Uważaliście, jak migotały świece i płomienie były jakieś czerniawe? to już widać śmierć je przesta-niała—ozwał się szeptem jeden z Salgostowskich.

— Była między nami, a myśmy o tem nie wiedzieli.

— Psy na nią wyły.

— A ów harkot? — może to ona właśnie zajechała.

— Bóg, widać, nie chciał dopuścić do tego małżeństwa, które byłoby z krzywdą familii.

Dalsze szepty przerwało ukazanie się pani Winnickiej i Marcyana Krzepeckiego. Ona przebiegła chy-żo izbę, śpiesząc po relikwie, broniące przystępu złym duchom, a jego otoczono zaraz kołem!

— Co tam? jak się ma?

A Marcyan ruszył ramionami, podniósł je tak, że głowa znalazła mu się prawie na piersiach—i odrzekł:

— Rzęzi jeszcze.

— Niema ratunku?

— Niema!

Wtem przez uchylone drzwi doszły wyraźnie uro-czyste słowa prałata Tworkowskiego:

— „Ego te absolvo a peccatis tuis — et ob omnibus censuris, in nomine Patris et Filii et Spiritus Sancti. Amen.“

Włec poklękali wszyscy i zaczęli się modlić. Pani Winnicka przeszła między klęczącymi, trzymając oba dłońmi relikwie. Marcyan udał się za nią i zamknął drzwi.

Leec nie pozostały jaż długo zamknięte, po kwadransie bowiem okazał się w nich znova i zawołał swym skrzypiącym, klarinetowym głosem:

— Skończył!

Wówczas ze słowami „wieczny odpoczynek“ — raszyli jedni po drugich do kancelaryi, by rzucić ostatnie, pożegnalne spojrzenie na nieboszczyka.

A tymczasem na drugim końcu doma, w izbie stołowej, poczęły się dzieć rzeczy ohydne. Służba w Bełczączej o tyle właśnie nienawidziła Pałowskiego, o ile się go bała, więc wydało się jej, że wraz z jego śmiercią nastaje czas ulgi, radości i bezkarnej swawoli. Służbie przyjezdnej zdarzała się sposobność do pohulanki, więc cała czeladź, zarówno miejscowa jak obca, pijana mniej lub więcej jaż od południa, rzuciła się teraz na potrawy i wino. Pachołkowie przechylali do ust całe flasze wódek gdańskich, petercymentów, małmazji i węgryzna; inni, bardziej cheiwi na jadło, wyrzawali sobie kawały mięsiwa i ciast. Śnieżny obrus ubroczył się w mgnienia oka kałażami wielorakich płynów. W zamieszaniu poprzewracano krzesła i świeczniki na stołe. Rznięte ozdobnie kielichy i szklanice wymykały się z pijaekich rąk i rozbiyały z brzękiem o podłogę. Tu i owdzie powstały kłótnie, bijatyki; niektórzy rabowali wprost zastawę stołową. Słowem, rozpoczęła się orgia, której odgłosy doleciały aż na drugą stronę doma.

Wpadł na owe krzyki Marcyan Krzepecki, za nim dwóch Sulgostowskich, młody Zabierzowski i jeszcze jeden z gości, a widząc co się dzieje, porwali się do szabel. W pierwszej chwili zamieszanie powiększyło się jeszcze bardziej. Sulgostowscy poprzestali na płazowaniu pijaków, lecz Marcyana Krzepeckiego ogarnął szal wściekłości. Wypukłe oczy wylazły mu jeszcze bardziej na wierzch, zęby błysnęły z pod wąsów i porzął poprosta siekać kto mu się nawinął. Kilku sług zalało się krwią, inni chronili się pod stół, reszta stłoczyła się w bezładnej ucieczce we drzwiach, a on bił w kapę, krzycząc:

— Haltaj! psubraty! ja tu pan! ja tu gospodarz!

I wyjechał na nich do sieni, skąd doszedł jeszcze jego przeraźliwy głos:

— Kijów, różęg!...

A ci tu w izbie stali, jak wśród rumowiska, patrząc na siebie zgorzonym wzrokiem i kiwając głowami.

— Jeszczem też takich rzeczy w życiu nie widział—ozwał się jeden z Sulgostowskich.

A drugi rzekł:

— Dziwna śmierć i dziwne jej okoliczności. Patrzcie—toż tu, rzekłbyś: tatarzy wtargnęli.

— Albo złe duchy—dodał Zabierzowski.—Straszna jakowaś noc.

Kazali jednakże wyleźć ukrytej pod stołem ezeldzi, by uczynić w izbie ład jaki taki. Pachołkowie wyszli wytrzeźwieni zupełnie ze strachu i ręczo wzięli się do roboty, a tymczasem powrócił Marcyan.

Był już spokojniejszy, tylko jeszcze wargi trzęsły mu się ze złości.

— Popamiętajaj! — rzekł, zwróciwszy się do obecnych. — Ale dziękuję waćpanom, żeście mi pomogli do

skarania tych łajdaków. Nie laźniej im tu będzie, niż za nieboszczyka! moja w tem głowa!

Na to spojrzeli na niego zaraz bystro obaj Salgostowscy i jeden rzekł:

— Tak samo waćpan nie masz nam za co dziękować, jak my jemu.

— No?

— I dlaczego się tu na jedyne go sędziego sposobisz?—zapytał drugi z bliźniaków.

A on począł natychmiast podskakiwać na swoich krótkich, pałkowatych nogach do góry, jakby im chciał do oczu doskoczyć, i odrzekł:

— Bo mam prawo! mam prawo! mam prawo!

— Jakie prawo?

— Lepsze od waszego!

— A cóż to? czytałeś testament?

— Co mi testament? (tu dmuchnął na dłoń) — ot co! wiatr! Komu zapisał? żonie? A gdzie jaka żona? Ot co?—Ja tu najbliższy!—my—Krzepeccy—nie wy!

— A to obaczym. Bogdaj cię zabito!

— Bogdaj was zabito! Idźcie precz!

— Ty koźle, ty psiaku! Doczekasz! Precz, mówisz, mamy iść?... Pilnuj ty lepiej swego koźlego łba!

— Grozicie?

Tu trzasnął pan Marcyan szablą i posunął się ku braciom—a oni też chwycili za rękojeści.

Lecz w tej chwili ozwał się za nimi zgorzszony głos księdza Tworkowskiego.

— Mości panowie! Nieboszczyk jeszcze nie ostygł.

— Więc Salgostowscy zawstydzili się ogromnie i jeden z nich rzekł:

— Księżę pałacie, o nie nam tu nie chodzi, bo swój kawałek chleba mamy i każdego nie pragniemy. Ale ta źmija już tu żgać poczyna i ludzi chce rugować.

— Jakich ludzi? Kogo?

— Kogo popadnie. Dziś nas, którym już kazał iść przez, a jutro może te niewiasty-sieroty, pod tym dachem żyjące.

— A nieprawda! nieprawda!—zawołał Marcyan.

I, zwinąwszy się nagle w kłębek, uśmiechnął się, począł zacierać ręce, kłaniać się i mówić z jakąś jadowitą uprzejmością:

— Owszem, owszem! — proszę wszystkich na pogrzeb i stypę—proszę pokornie—prosimy obaj z ojcem, a co się tyczy panny Sienińskiej, zawsze tu znajdzie dach i opiekę—zawsze! zawsze!

To rzekłszy, zacierał dalej z wielką radością ręce.



akoż postanowił Marcyan sam oświadczyć pannie Sienińskiej, że Beteżączkę może zawsze uważać za dom własny, ale odłożył tę rozmowę aż do czasu ukończenia ceremonij pogrzebowych, pierwiej bowiem chciał pogadać z ojcem, który z powodu procesów, jakie przez całe życie prowadził, znał się na prawie i umiał zapobiegać z góry wszelkim tra-

dnościami. Obaj byli zresztą przekonani, że sprawa ich jest dobra, więc na drugi dzień po wypadku, właśnie w chwili, gdy pana Pągowskiego wkładano w trumnę, zamknęli się w bocznej izbie i poczęli z równie dobrą otuchą radzać.

— Opatrzność nad nami!—mówił stary—nie, tylko Opatrzność—i Pągowski ciężko odpowie przed Nią za tę krzywdę, którą nam chciał wyrządzić.

— A niech odpowiada — odrzekł Marcyan.—Nasze szczęście, że tylko chciał, a nie zdążył, bo teraz wszystko weźmiemy w ręce. Już się Salgostowscy skłócili ze mną, ale pierwej ja im dasze wydrę, niż oni nam jeden zagon z Bełczączki.

— Ha, szelmy! tacy synowie! bodaj ich skrzywiło!... Wszelako nie ich się boję, jeno testamenta. Wypytywałeś księdza Tworkowskiego? Jeśli kto co wie, to on.

— Nijak mi było wczoraj, bo zdybał mnie przy kłótni z Salgostowskimi i rzekł nam: „Nieboszczyk jeszcze nie ostygł“... potem wyjechał po trumnę i po księży—a dziś nie było czasu.

— Naż Pągowski tej tam kozie wszystko zapisał.

— Nie miał prawa, bo to majątek po nieboszczce, naszej najbliższej krewnej.

— To też się testament zwali, ale będą koszta, jazdy do trybunałów... Bóg wie co!

— Ojciec do procesów zwyczajny, ja zaś ułożyłem sobie w głowie coś takiego, że nie będzie potrzeba żadnych procesów, tymczasem *beatu qui tenet*, przeto już się z Bełczączki nie ruszę i po czeladź naszą już posłałem. Niech mnie potem rugają — Salgostowscy albo Zabierzowscy!

— Ale ze strony dziewczki, jeśli jej zapisano?

— A kto się za nią ujmie? Dziewka jak palec na świecic: ni krewnych, ni przyjaciół—zwyczajnie sierota. Komu się zechce karku dla niej nadstawiać, narażać się na zwady, na pojedynki, na ekspensa? Co ona kogo obchodzi? Taczewski się w niej kochał, ale Taczewskiego niema; może wcale nie wrócić, a choćby

wrócił, to golec — i na procesach tyle się rozumie, co mój koń. Prawdę rzekłszy, to położenie jest takie, że choćby jej nie Pągowski, ale rodzony ojciec Bełęczązkę zapisał, to jeszcze moglibyśmy tu zjechać i rządzić, jak nam się podoba, pod pozorem opieki nad sierotą. Ja myślę, że Pągowski chciał jej dopiero w interesie poczynić zapisy — więc albo testamentu wcale się nie znajdzie, albo, jeśli się znajdzie, to jaki stary, z zapisem dla panny Sienińskiej, jako dla wychowanki...

— A taki da się zwalić — rzekł stary — moja w tem głowa! Choć procesa się nie uniknie.

— Czema zaś? Ja słucham co ojciec mówi, ale myślę, że się uniknie.

— Kiedy, bo to, mówiąc między nami, nieboszezka Pągowska (głupia była... Panie, świeć nad jej duszą!) zapisała wszystko mężowi, więc i on miał prawo zapisać, komu chciał.

Ostatnie słowa wypowiedział starszy pan Krzepcki, rozglądając się na wszystkie strony i prawie szepcząc, chociaż wiedział, że w izbie prócz nich niema nikogo więcej.

Lecz syn zapytał:

— Jak ona mogła mu zapisać, skoro zginęła nagłą śmiercią?...

— Data jest w rok po ślubie: widać Pągowski to z niej wydarzył dlatego, że tam, gdzie mieszkali, niebezpieczne strony i nikt nie wie, kiedy ma Tatarzy rekwiem zawyją. Wzajem sobie zapis uczynili i testamenta były złożone w grodzie w Pomorzanach, skąd je Pągowski tu przywiózł. Chciałem się wtedy z nim prawować, ale widział, że nie wskóram. Teraz co innego...

— Teraz obejdzie się całkiem bez procesa.

— Jeśli się obejdzie, to tem lepiej, ale trzeba być gotowym...

— Eji—nie trzeba.

— Jakoż ma być?

— Już ja bez ojca poradzę.

Usłyszawszy to, stary pan Krzepecki rozgniewał się.

— Ty poradzisz? co? jak? Jenó mi ty roboty nie psaj. On poradził... Alboś to nie radził, żebym z Silnickimi o Drążków dał spokój, bo nie sposób!... Nie sposób?... Dlaczego?... Zaprzysięgano świadków na granie — wielka rzecz! Kazałem ludziom nabrać w buty ziemi z mego podwórza — no i co? I poszli na grant Silnickich i żaden fałszywie nie przysięgał, gdy mówił: „Przysięgam, że ta ziemia, na której stoję, jest pana Krzepeckiego!“ A tybyś rok myślał i nie takiegobys nie wymyślił. Ty poradzisz? — patrzcie go!...

I począł z gniewu poraszać bezzębniemi szczękami, jakby co żuł, przyczem broda zbiegała mu się zupełnie z zakrzywionym jak u drapieżnego ptaka nosem.

A syn rzekł:

— Odsapnij ojciec i posłuchaj. Jak chodzi o to, by lege agere cum aliquo, to ja zawdy ojca ustąpię, ale co się tknie dziewczek, to moja eksperyencya większa i sobie więcej ufam.

— No?...

— Przeto jeśli przyjdzie do procedera z panną Sienińską, to nie w żadnym trybunale.

— Coże zamyślasz?

— Nietrudno zgadnąć. Albo mi to nie czas? albo to taką drugą dziewczkę znajdziesz ojciec w całej okolicy?...

To rzekłszy, pan Mareyan zadarł głowę do góry i począł patrzeć ojca w oczy, a ów patrzył na niego także pytającym wzrokiem i żuł szczękami, a potem spytał:

— To tak?

— Czemu by nie? Mnie to już od wczoraj chodzi po głowie!

— Hm! czemu nie? Dlatego, że goła jak Łazarus.

— Ale do Bełzączki przyjdę śpiewający, bez żadnych impedymentów. Goła jest, ale to dziewczka z wielkiej krwi... A pamięta ojciec, co Pągowski powiadał, że gdyby się tak w papierach Sienińskich rozpatrzeć, to możnaby z pół województwa wyprocesować? Przecie i Sobiescy na nich wyrosli, więc byłaby i protekcyja królewska. Sam król powinien o jakowejś sprawie pomyśleć... A mnie dziewczka dawno w oko wpadła, bo też łakomy to kasek, łakomy! łakomy!

I począł podskakiwać na swych krótkich nogach, oblizując się zarazem po wąsach — przyczem wyglądał tak szpetnie, że stary Krzepecki rzekł:

— Nie zechce cię.

— A starego Pągowskiego chciała? — co? a mało było takich, co mnie chciały? Siła poszło młodych chłopów do chorągwi, więc dziewczki można będzie na kopy kupować, jak ufnale. Wiedział stary Pągowski, dlaczego mnie z domu przepędził — i nie byłby przepędzał, gdyby się o dziewczkę nie bał.

— Ale suponując, że cię nie zechce, to wówczas co?

Złe błyski mignęły w oczach Marcyana.

— To wówczas — odrzekł z naciskiem — z dziewczką bez żadnej opieki można tak postąpić, że jeszcze sama będzie się do kościoła prosić...

Leż stary przestraszył się temi słowami.

— Hę? — zapytał. — A wiesz ty, że to gardłowa sprawa?

— Wiem, że za Sienińską niktby się nie ujął!

— A ja ci mówię: wara! I tak już są na ciebie krzyki, Proces o majątek wygrasz, czy przegrasz, bezecnym nie zostaniesz — a to kryminał — rozumiesz?

— Bo też do tego i nie przyjdzie, chyba żeby sama chciała. Ale wy mi nie przeszkadzajcie, jeno zróbcie tak, jak powiem. Weź ojciec po pogrzebie Tecię do domu, a jeśli się pozór jakowys znaleźć, to i starą Winnicką, ja zaś tu przy dziewczce ostanę z Agnieszką i Joanną. Gadziny to są, zawzięte na każdą, która od nich młodsza i urodziwsza. Już one wczoraj zaczęły tę niebogę żądłami żgać, a cóż dopiero będzie, gdy pod jednym dachem z nią zamieszkają. Toż ją będą kłóć, toż kąsać, toż poniewierać, toż łaskawy chleb wymawiać! Tak to widzę, jakobym w książce czytał — a to woda na mój młyn.

— Cóż na nim zmielesz?

— Co zmieleć? To, że często umyślnie na kłótnię wpadnę, tamte żmije zwymyślam, czasem której w pysk dam: — „a zasię!“ — a ją po rękach, ba i po kolanach wyciąuję: „Jam twój defensor, jam brat, jam prawdziwy przyjaciel—tyś tu prawdziwa pani!“ I myślisz ojciec, że się w niej serce nie rozplynie, że nie pokocha tego, kto jej będzie tarczą i obroną, kto jej będzie obcierał łzy, kto będzie nad nią w dzień i w noc czuwał? A jeśli w rozżaleniu, w zapamiętaniu i we łzach przyjdzie do jakowejś ekstraordynaryjnej konfidencyi, to tem lepiej, tem lepiej! tem lepiej!..

Tu Marcyan począł zacierać ręce i patrzeć na ojca tak koźlemi oczyma, że stary aż splunął.

— Tfa! poganinie! Tobie zawsze jedno na myśli.

— Bo aż po mnie mrowie chodzi, jak na nią spojrzeć. Niedarmo mnie Pągowski stąd wymiatał.

Nastała chwila mileżenia.

— To tedy, powiesz Joannie i Agnieszce, by w myśl swoją czyniły?

— Im? Im nie trzeba nic mówić, ani niczego uczyć — bo ich natura wystarczy. Jedna Teczka gołąb', a to kanie.

Jakoż nie mylił się pan Marcyan, albowiem siostry jego już poczęły, każda po swojemu, opiekować się panną Sienińską. Teczka brała ją co chwila w ramiona i płakała z nią razem, a Joanna i Agnieszka pocieszały ją także, ale inaczej.

— Co się nie udało, to się i nie udało — mówiła starsza — ale waćpanna się uspokój. Nie będziesz nam wujną, bo Pan Bóg tego nie chciał, ale nikt ci tu krzywdy nie uczyni i kawałka chleba nie pożałuje.

— I do żadnej roboty nikt cię nie będzie napędzał — ciągnęła druga — bo wiemy, żeś tego niezwyčajna. Jak ochłoniesz a sama zechcesz, to co innego, ale poczekaj z tem, aż ci żal przejdzie, bo w samej rzeczy wielkie spotkało cię nieszczęście. Miałaś tu być panią, miałaś mieć męża, a teraz nie masz nikogo prócz nas; ale wierzaj, że chociażemy nie krewni, będziemy dla cię jakby krewni.

Poczem znów Joanna:

— I zgódź się z wolą Boską. Bóg cię w tem doświadczył, ale za to inne grzechy ci odpuści. Bo jeśli może nadto dufała w urodę, albo pożądała bogactw i strojów — (wszyscy my przecie grzeszni — i dlatego tylko to mówię), to się jedno za drugie polieży.

— Amen — zakończyła Agnieszka. — Daj za duszę nieboszczyka na kościół jaką lamówkę, albo mały klejnocik, bo ci teraz nie po wyprawie, a już my uprosimy naszego ojca, żeby ci na to pozwolił.

Tak mówiąc poczęły bacznie oczyma spoglądać na szaty, leżące na stole, i na skrzynie, w których była

wyprawa. Brała je ciekawość tak niezwalczona zobaczyć co tam jest, że wreszcie Joanna rzekła:

— Możeby ci trochę w szukaniu dopomódz?

I po tych słowach obie rzuciły się na skrzynie, na puzdra, na łaby, w których leżały jeszcze niewypakowane po powrocie z Radomia szaty, i naż je wydostawać, naż rozkładać, naż oglądać do światła i pod światło—naż przymierzać.

A panna Sienińska siedziała w ramionach słodkiej Teci jak odurzona — nie nie słysząc i nie wiedząc, co się z nią i koło niej dzieje.



aż jako narzeczona doznawała takiego uczucia, że coś się w jej życiu zmierzcha, coś gaśnie, przecina się i zamyka, więc to narzeczeństwo nie budziło w jej sercu radości. Zgodziła się na nie tylko dlatego, że taka była wola Pągowskiego i że tak jej nakazywała wdzięczność za opiekę, a bardziej jeszcze z tego powodu, że po odjeździe Jacka została

w jej sercu tylko gorycz i żal i uraza i ta bolesna myśl, że prócz tego opiekuna nie ma nikogo i że gdyby nie on, byłaby jak podróżna sierota, zabłąkana wśród ludzi obcych i nieprzyjaznych. Aż oto nagle grom uderzył i w to ognisko, przy którym miała zasiąść w jakim takim, chociażby w smutnym spokoju, i nie

stałe jedynego człowieka, który był dla niej czemś na świecie. Nie dziwnego, że ów grom ogłosił ją w pierwszej chwili i że wszystkie myśli poplątały się w jej głowie, a w sercu zapiekło się jeno uczucie żalu za tą jedyną bliską duszą, w połączenia z uczuciem zdumienia i przestrasza.

Więc słowa dwóch starszych panien Krzepeckich, które poczęły grabić wyprawę, odbijały się o jej uszy jako dźwięki bez znaczenia. Przyszedł potem Marcyan, kłaniał się, zacierał ręce, podskakiwał, prawil coś długo, ale ona nie rozumiała zarówno jego, jak i wszystkich innych gości, którzy, wedle zwyczaju, zbliżali się ze słowami tem wymowniejszego spółzacia, im mniej go mieli w sercach! Dopiero, gdy pan Cypryanowicz położył jej po ojcowsku rękę na głowie i rzekł. „Bóg będzie nad tobą, sieroto“, poruszyło się w niej coś nagle i do oczu napłynęły łzy. Pierwszy też raz przyszła jej do głowy myśl, że jest jako liść marny, zdany na wolę wiatru.

Tymczasem rozpoczęły się ceremonie pogrzebowe, które, ponieważ pan Pągowski był człowiekiem znacznym w swej okolicy, trwały, wedle zwyczaju, około dni dziesięciu. W zrękowinach brali udział, z niewielkimi wyjątkami, tylko goście proszeni, na pogrzeb zaś zjechało całe bliższe i dalsze sąsiedztwo, więc dom roił się od ludzi, a przyjęcia, mowy, wyjazdy na nabożeństwa i powroty z kościoła następowały jedne za drugimi. W pierwszych dniach uwaga powszechna zwracała się wyłącznie na niedoszlą wdowę po nieboszczyku, lecz później, gdy ludzie spostrzegli, że Krzepeccy objęli całkiem dom i że oni występują jako gospodarze, przestano na nią zważać i pod koniec uroczystości pogrzebowych nie zważano już więcej, niż na zwykłą rezydentkę domową.

Mysłał o niej tylko pan Cypryanowicz, którego ujęły jej łzy i wzruszyła jej dola. Służba poczęła już szeptać o tem, że dwie panny Krzepeckie rozerwały całą wyprawę, a starszy pan pochował do szkatuły „klejnociki“ — i że w domu poczynają „panienką“ pomiatać. Więc gdy te słuchy doszły do uszu pana Serafina, poruszyło się niemi jego dobre serce i postanowił pogadać o tem z księdzem Woynowskim.

Lecz ksiądz Woynowski uprzedzony był wielce z powodu Taczewskiego do panny Sienińskiej i zaraz z początku rozmowy rzekł:

— Żal mi jej, bo biedna, nieboga—i w czem będę mógł, to jej pomogę, ale że (mówiąc między nami) Bóg ją za mojego Jacka pokarał, to pewna.

— No, ale Jacek pojechał, jako i mój Stanisław, a ona tu została sierotą.

— Jużei pojechał, ale jak? Waćpan widziałeś go w chwili odjazdu, a ja odprowadzałem go dalej—i powiem waści, że chłopczysko jeno zęby ścisnął, a serce to tak krwawiło mu w piersiach, że i słowa nie mógł przemówić. Oj! miłował ci on tę dziewczynę, jak tylko dawniej ludzie umieli miłować, a dziś już nie umieją.

— Ale przecie rękoma jeszcze może raszać, bom słyszał, że zaraz za Radomiem miał zwadę i poszerzył przejezdnego szlacheica, czy nawet dwóch.

— Ba, przeto że ma panięńską twarz, każdy zawałidroga myśli, że tanio się z nim wywinie. Szukali z nim jacyś pijacy okazyi. to i cóż miał robić? Zganię ci ja mu to, zganię, ale pomyśl waść, że człek z rozdartem przez afekt sercem jest jako leo, quaerens quem devoret.

— Prawda jest, ale co do dziewczyny—oj, dobrodzieju!—Bóg wie, czy ona tyle winna, ileśmy myśleli

— *Mulier est insidiosa.*

— Insidiosa, nie insidiosa, a mnie, jakem się tylko dowiedział, że Pągowski chce się żenić, zaraz przyszło na myśl, że to może on główny sprawca wszystkiego, bo siła musiało mu na tem zależeć, żeby się raz na zawsze Jacka pozbyć!

Leec ksiądz potrząsnął głową.

— Nie. Wymiarkowaliśmy to expedite z jego listu, że był z jej podaszczenia napisany. Pamiętam go doskonale i mógłbym waszmości każde słowo powtórzyć!

— Pamiętam i ja, ale tego nie mogliśmy wiedzieć, co jej Pągowski mówił i jak jej uczynki Jackowe prezentował. Bo naprzykład Bakojemsey przyznali mi się, że spotkawszy ją wraz z nieboszczykiem na drodze do Przytyka, amyslnie mówili im, że Jacek odjechał po obfitem strzemiennem, śmiejący się, wesoły i ekstrordynaryjnie ciekaw córki pana Zbierzchowskiego, do którego jegomość dałeś mu listy.

— Ot to nałgali!—i po co-

— A no, niby żeby pokazać dziewczę i Pągowskiego, iż Jacek sobie nie z nich nie robił. Ale pomiar-kaj z tego jegomość, że jeśli Bakojemsey tak gadali przez przyjaźń dla Jacka, co mógł jej nieboszczyk nagadać przez nieprzyjaźń.

— Pewnie, że nie musiał go szczedzić. Ale choćby ona była mniej winna, niżesmy myśleli, powiedz mi waćpan, co z tego? Jacek pojechał i może zgoła nie wrócił, bo, ile go znam, to mniej jeszcze będzie szczedził życia, niż pan Pągowski jego reputacyi.

— Taczewski byłby w każdym razie pojechał—odrzekł pan Cypryanowicz.

— I jeśli nie wrócił, nie rozedrę na sobie sutanny. Śmierć za ojezycznę i przeciw mahometowej bezczności—godny to chrześcijańskiego rycerza koniec i godne

wielkiego rodu skończenie. Alebym wolał, żeby był odjechał nie z tak bolesnym grotem, jaki w nim tkwił — i oto wszystko.

— I mój jednak żadnego osobliwego szczęścia w życiu nie zaznał, a także poszedł, także może nie wróci—odparł pan Cypryanowicz.

I zadumali się obaj, bo i jeden i drugi całą duszą miłowali tych młodzianków.

Trafił na tę zadumę ksiądz prałat Tworkowski i, dowiedziawszy się, że przed chwilą mówili o przyszej doli panny Sienińskiej, rzekł:

— Powiem waćpaństwu, ale niechże to będzie tajemnica, że nieboszczyk nijakiego testamentu nie zostawił i że Krzepeccy mieli prawo objąć majątność. Wiem, że chciał intercyzę uczynić na korzyść żony i wszystko jej zapisać, ale nie zdążył. Nie wygadajcie się jeno z tem przed Krzepeckimi!

— Toś ksiądz prałat nie im nie mówił?

— A po co? To twardzi ludzie, a mnie chodziło o to, żeby nie byli dla niej zbyt twardzi, więc nietylkom im nie powiedział, ale jeszcze rzekłem tak: „Nie, tylko Bóg człeka, ale i człek człeka chce czasem wypróbować“—co usłyszawszy oni, zaniepokoił się wielce i nuż wypytywać. „A jakoż jest? azali jegomość co wiesz?“ Na to ja znów: „Co ma się pokazać, to się pokaże; pamiętajcie zaś tylko to jedno, że nieboszczyk miał prawo zapisać całą posiadłość komuby mu się żywnie podobało“.

Tu prałat począł się śmiać i założywszy ręce za fioletowy pas, tak mówił dalej:

— To, powiadam waćpaństwu, pod starym Krzepeckim aż się łusty zatrzęsły, gdy to usłyszał. Począł przeczyć. „O! (prawi) nie może być! nie miał prawa. Ni Bóg, ni ludzie na to by się nie zgodzili“. A ja spoj-

rzałem nań surowo i rzekę: „Że Boga wspominasz, to dobrze czynisz, bo w waćpanowym wieku słuszna dbać o Jego miłosierdzie, ale do ludzkich trybunałów się nie odwołaj, bo snadnie mógłbyś końca nie doczekać“. — Zląkł się tedy okrutnie, a jam dodał: „I dla sieroty bądźcie dobrzy, aby zaś Bóg was prędzej, niż myślicie, nie pokarał.“

Na to ksiądz Woynowski, którego litościwe serce wzruszyło się już dołą dziewczyny, wziął zaraz prałata w objęcia.

— Dobrodziejaj! — zawołał — kanclerzem wam być z waszą głową. Rozumiem, rozumiem. Niceście nie rzekli, z prawdą się nie zminęli, a zaniepokoiłście Krzepeckich, którzy przypuszczają, że może testament jest, ba, że może nawet w waszych rękach, muszą się z tem liczyć i w postępkach względem sieroty się miarkować.

A prałat, rad z pochwały, postukał się knykiem w głowę i rzekł:

— Nie całkiem jak dziarawy orzech—co?

— Ba, tyle w niej rozumu, że ma się trudno pomięścić.

— Ha! pięknie, kiedy Bóg zechce, ale tymczasem mniemam, że istotnie sierotę zabezpieczył. Z drugiej strony muszę wszelako przyznać, że Krzepeccy nad moje spodziewanie ludzko i przychylnie mówili o Sienińskiej. Pannice tam ponoś zagrabiły jakieś fatałaszkę, ale i to stary mówił, że każde oddać.

— Choćby Krzepeccy byli najgorsi—ozwał się pan Cypryanowicz—nie ośmielą się uczynić krzywdy sierocie, nad którą czuwają oczy tak mądrego i dobrego kapłana. Ale, dobrodzieju, o co innego chciałem Waszą Przewielebność prosić: uczynicie mi tę łaskę i zajedźcie teraz do Jedlinki: niechże mam ten honor,

aby mógł ugościć pod moim dachem tak znakomitą personę, z którą rozmowa, jest właśnie jako miód polityki i mądrości. Ksiądz Woynowski już mi się obiecał, więc we trzech pogadamy de publicis et privatis.

— Wiem, jaka jest waszmości gościna — odrzekł uprzejmie prałat — i wyrzec się jej byłoby to prawdziwe umartwienie, a że czas postu, który jest czasem umartwienia minął, chętnie przeto do waszmości na dzionek zajadę. Pójdźmy tedy pożegnać się z Krzepeckimi, ale naprzód z sierotą, żeby Krzepeccy widzieli, w jakiej ją mamy estymie.

I poszli, a zastawszy ją samą, poczęli jej mówić słowa dobre, serdeczne, dodające otuchy i odwagi. Pan Cypryanowicz pogładził ją po jasnej głowinie, tak właśnie, jak czyni matka, która chce uspokoić rozżalone dziecko; prałat Tworkowski uczynił to samo, a pocziwego księdza Woynowskiego tak wczuwała jej zmierzowana twarz i jej smutna uroda, przywodząca na myśl jakby kwiat polny zawczasie kosą podcięty, że również ścisnął po ojcowsku jej skronie i, mając zawsze myśl zajęętą Taczewskim, rzekł, nawpół do niej, nawpół do siebie:

— Dziwić-że się tu Jackowi, kiedy to taki obrazek... Zełgali też Bukojemscy, że on wesół odjechał — o! jak zełgali!

A ona, usłyszawszy to, przytuliła nagle usta do jego dłoni i długo nie mogła ich oderwać. Łkanie serdeczne poczęło wstrząsać jej drobną pierś — i zostawili ją tak w płaczu ogromnym, nieutulonym.

A w godzinę później znaleźli się w Jedlinie, gdzie czekały ich dobre nowiny. Przyjechał czeladnik, wysłany z listem od Stanisława. Młody Cypryanowicz donosił, że obaj z Jackiem zaciągnęli się do chorągwi usarskiej królewicza Aleksandra, że są zdrowi i że Ja-

cek, lubo smutny zawsze, nabrał trochę ducha i nie zapamiętywa się już tak, jak w pierwszych dniach. Była przytem w liście, obok słów miłości synowskiej jeszcze jedna wiadomość, która przejęła zdziwieniem pana Serafina: „Jeśli Najukochańszy i Wielmożny Ojczyce Dobrodzieju (pisał Stanisław) zobaczycie z powrotem Bukojemskich, to nie dziwujecie się i poratuj ich z łaski swojej, bo dziwne spotkały ich przygody, w których my nie możemy już im być pomocą; oni zaś, gdyby na wojnę mieli nie iść, toby chyba pomarli z fransanka, który i tak omal już ich nie umorzył.“

W ciągu następnych miesięcy odwiedzał pan Cypryanowicz kilkakrotnie Bełzajączkę, chcąc się dowiedzieć co dzieje się z panną Sienińską. Nie powodowały nim żadne osobiste widoki, bo Stanisław, syn jego, się w niej nie kochał, a z Jackiem wszystko było zerwane; więc czynił to tylko z dobroci serca, a potrosze i z ciekawości, pragnął bowiem sprawdzić, w jaki sposób i o ile dziewczyna przyczyniła się do potargania węzłów tej przyjaźni.

Szło to jednak oporem. Krzepeccy szanowali go wprawdzie, dla jego wielkiej zamożności, więc przyjmowali go gościnnie, ale była to jakaś dziwnie czujna gościnność, tak pilna i nieodstępna, że pan Cypryanowicz nie mógł ani na chwilę pozostać sam na sam z panienką.

Rozumiał, że nie chcą, aby ją wypytywał, jak się z nią obchodzą, i dawało mu to do myślenia, jakkolwiek nie zauważył, żeby obchodzono się z nią źle lub postęgiwano się zbyt cznie. Obaczył ją wprawdzie raz i drugi czyszczącą skórka od chleba „hatłas“ na białych trzewikach takich rozmiarów, że nie mogły być z jej nogi, lub cerującą wieczorami pończochy; ale panny Krzepeckie czyniły toż samo — więc nie mogło

być w tem chęci upokorzenia sieroty jakąś służebniczą robotą. Pannice bywały też czasem uszczypliwe i kłójące na wzór pokrzyw, pomiarkował jednak wkrótce pan Serafin, że taka była ich natura i że niezawsze mogły się powstrzymać od dogryzania nawet brata, którego zresztą bały się do tego stopnia, że dość mu było popatrzeć na którą, aby zaraz schowała wysunięte już nawpół żądló. Sam Mareyan grzeczny i uprzejmy był dla panny Sienińskiej, ale bez natarczywości, a po wyjeździe starego Krzepeckiego i Teci stał się jeszcze uprzejmiejszy.

Wyjazd ten nie podobał się jednak panu Cypryanowiczowi, chociaż rzecz była prosta, że starca podupadłego już nieco na nogi niepodobna było zostawiać bez niewieściej opieki i że wobec dwóch gospodarstw dom Krzepeckich musiał się rozdzielić. Wolałby był jednakże pan Serafin, żeby właśnie Tecia została z sierotą, lecz gdy przy sposobności rzekł coś zdaleka o najodpowiedniejszym wieku dziewcząt, wzmianka ta została jak najgorzej przez starsze siostry przyjętą.

— Panna Sienińska—rzekła Joanna—pokazała już świata, że jej o wiek nie chodzi, czego dowodem nieboszczyk wuj i pani Winnicka—przeto i my dla niej niezastare.

— Tyle samo my od niej starsze, ile Tecia młodsza, a i to nie wiem;—dodała druga— a w ostatku, nasza w tem głowa, jak sobie radzić w gospodarstwie.

Lecz Mareyan wtrącił się do rozmowy i rzekł:

— Ojca najmilsze Teci usługi, miłuje ją też najwięcej, w czem mu się dziwić nie można. Myśleliśmy też, żeby pannę Sienińską wysłać razem z niemi, ale ona do tego domu przywykła—i tak myślę, że jej tu lepiej, a co do naszej opieki, czynię, co w mojej mocy, aby jej zbytnio nie ciężyła.

To rzekłszy, zbliżył się, szurgając nogami, do panny i chciał pocałować ją w rękę, którą ona cofnęła jednak w pierwszej chwili, jakby z trwogą. Pan Serafin pomyślał, że nie należało zabierać z domu pani Winnickiej, ale zachował tę uwagę dla siebie, nie chcąc wdawać się w nieswoje sprawy.

Zauważył on to nieraz, że na twarzy panny Sienińskiej maluje się obok smutku i bojaźń, ale nie dziwił się temu zbytnio, bo dola jej stała się rzeczywiście ciężką. Sierota, bez żywej blizkiej duszy, bez własnego dachu nad głową, zmuszona żyć na łasce ludzi sobie niemiłych, a wogóle mających niedobłą sławę, musiała boleć nad minioną jaśniejszą przeszłością i trwożyć się o terażniejszość. A przytem, choćby komu było jaknajgorzej, ten ma jeszcze jakąś pociechę, jeśli może mieć nadzieję lepszej przyszłości. Ale ona nie mogła spodziewać się i nie spodziewała się niczego. Jutro miało być dla niej takie samo jak dziś, a dalsze lata wiecznie jednakim ciągiem sieroctwa, samotności i życia na cudzym, łaskawym chlebie.

Rozmawiał o tem często pan Serafin z księdzem Woynowskim, z którym obecnie widywali się prawie codzieln, albowiem miło im było rozmawiać o swoich młodziankach. Ale ksiądz Woynowski wzruszał tylko ramionami ze współczuciem—i uwielbiał politykę księdza Tworkowskiego, który, zawiesiwszy groźbę testamentu, jakoby miecz Damoklesa nad głowami Krzpeckich, zabezpieczył przynajmniej sierotę od zbyt złego traktowania.

— Taki polityki! — mówił. — Tu go trzymasz, tu go nie masz. Ja czasem myślę, że on i nam nie powiedział całej prawdy i że może istnieje testament w jego ręku, z którym niespodzianie wystąpi.

— Przychodziło i mnie to na myśl, ale dlaczego go ukrywał?

— Nie wiem, może dla wypróbowania natury ludzkiej. To tylko myślę, że nieboszczyk Pągowski był człowiek wielce przezorny i w głowie mi się to nie mieści, aby on dawno już nie spisał jakowegoś rozporządzenia.

Lecz po pewnym czasie umysły obu starszków zwróciły się w inną stronę, albowiem przyjechali, a raczej przyszli piechotą z Radomia, bracia Bakojemscy. Zjawili się pewnego wieczora w Jedlinie, przy szablach wprawdzie, ale w obdrapanych żupanach, w niezbyt całych butach i z tak strapionemi twarzami, że gdyby pan Serafin nie był się ich oddawna spodziewał, byłby się przeraził okrutnie, myśląc, że mu wieść o śmierci syna przynoszą.

Więc poczęli go kolejno obejmować za kolana i całować po rękach, a on, patrząc na ich biedę, aż uderzył się po biodrze i zawołał:

— Pisał mi Stach, że z wami źle, ale bójcie że się Bogu!

— Zgrzeszyli, dobrodzieju! — odpowiedział, bijąc się w piersi Marek.

A za jego przykładem inni poczęli zaraz powtarzać:

— Zgrzeszyli, zgrzeszyli, zgrzeszyli!

— Mówcie jak? co? jak się ma Stach? Pisał mi, że was ratował. Cóż się stało?

— Stach zdrow, dobrodzieju, i obaj z Taczewskim świecą się jak dwa słońca...

— To chwała Bogu! chwała Bogu! Dzięki za dobrą nowinę. Listu nie macie?

— Pisał, ale nam nie dał, że to (powiada) może zginąć.

— A nie głodniście? Bójcie że się Boga! Jakoby czterech Piotrowinów mam przed sobą.

— Nie głodniśmy, bo gościna u każdego szlachci-
ca gotowa — ale nieszczęśliwi.

— Siadajcież. Napijcie się czego ciepłego, a nim zagrzeją, prawie, co was spotkało. Gdzieżeście byli?

— W Warszawie — odrzekł Mateusz — ale to pas-
kudne miasto.

— Czema zaś?

— Bo się tam roi od kosterów i pijaków, a na
Długiej i na Starem Mieście, co rusz — to wiecha¹⁾.

— I co?

— I namówił jeden taki syn Łukasza, żeby z nim
grał w kości. Bogdaj go byli poganie na pal pierwej
wbili!

— I zgrał go?

— Wygrał, co Łukasz miał gotowizną, a potem
co i my. Desperacya nas ogarnęła i chcieliśmy się
odegrać, ale on wygrał jeszcze konia — z siodłem i z pi-
stoletami w olstrach... To mówię jegomości, myśleli-
my, że Łukasz nożem się pchnie... I co robić? jakże
brata nie pocieszyć? więc przedaliśmy i drugiego ko-
nia, by Łukasz choć miał towarzysza na piechotę.

— Rozumiem już, co się stało.

— A tak, dobrodzieja... Jakaśmy wytrzeźwieli,
jeszcze większe zmartwienie, że już dwóch koni nie-
ma — zatem jeszcze potrzebniejsza pociecha...

— I takeście się pocieszali, aż do czwartego
konia...

— Aż do czwartego! zgrzeszyli, zgrzeszyli! —
zaczęli powtarzać skruszeni bracia.

¹⁾ Wiecha była oznaką sklepów, w których sprzedawano
wino.

— Czy aby się na tem skończyło? — zapytał pan Cypryanowicz.

— Gdzie tam! ojeze nasz i osobliwy dobrodzieju. Spotkaliśmy owego kosterę, niejakiego Poradzkiego, który począł nam urągać. „Tak (powiada) kpów strzygą! ale, żeście chłopy duże, więc przyjmę was (powiada) za pacholków, gdyż się właśnie do chorągwi zaciągam“. Zapłakał na to Łukasz, że ów na pośmiewisko nas podaje i kiedy to nie wytnie go szablą przez pysk — padł! Skoczyli tamtema na pomoc przyjaciele, a my Łukaszowi i już się siekać, aż tu nadechodzi straż marszałkowska i w nas! Dopieroż tamci poezną wołać: „Mości panowie, wolność tu oprymują i całą Rzeczpospolitą w naszych osobach krzywdzą — pogódźmy się“. Tak się też stało i Bóg zaraz pobłogosławił, albowiem usiekliliśmy w mig ośmiu pacholków, z tych trzech na śmierć, a reszta, co ich było jeszcze z pięciu — w nogi!...

Pan Cypryanowicz aż się za głowę schwycił a Marek mówił dalej:

— Tak! teraz wiemy. Bóg patrzył na naszą niewinność, aż dopiero, kiedy zaczęli ludzie krzyczeć, że to pod boki króla kryminał, że to gardłowa sprawa — zlekliśmy się i zaczęli uciekać. Chcieli nas imać, ale gdy się po staremu rozdało temu i owemu to po łbie, to po karku, uciekaliśmy. Stanisław poratował nas końmi swojej czeladzi, ale i tak ledwieśmy głowy unieśli, bo pościg był aż do Sękocina — i, gdyby konie były liche, byłoby po nas. Szczyściem, nikt tam naszego nazwiska nie wiedział — więc też sprawy z tego nie będzie.

Nastała długa chwila milezenia, poczem pan Serafin zapytał:

— Gdzież te konie Stanisława?

A bracia już po raz trzeci powtarzać:

— Zgrzeszyliśmy, dobrodzieju! zgrzeszyliśmy!...

Cypryanowicz począł chodzić wielkimi krokami po izbie.

— To teraz rozumiem — rzekł — dlaczegoście nie przywieźli listu od Stacha. Pisał ci on mi, że was spotkały różne żałosne przygody i przepowiadał wasz powrót, w tej myśli, że będziecie potrzebowali pieniędzy na konie i rynsztunek, ale tego, jak się to skończy, nie mógł przewidzieć...

— Tak jest, dobrodzieju — odpowiedział Jan.

Tymczasem przyniesiono wino grzane, do którego bracia zabrali się z wielką ochotą, albowiem znuzeni byli drogą. Niepokoiło ich jednak milczenie gospodarza, który wciąż chodził po komnacie z obliczem zasmacconem i sarowem. Więc Marek znów począł mówić:

— Pytasz się waszmość dobrodziej o konie stanisławowe? Dwa ochwaciły się, nim dojechaliśmy do Grójca, bośmy jechali wciąż wskok i w czasie okratnego wichru. Przedaliśmy je za byle co Żydom-farmanom, bo i tak nie by już z nich nie było, a nie mieliśmy ani szeląga przy daszy, ile że z przyczyny nagłej ucieczki nie miał Stanisław czasu nas wspomódz. Pokrzepiwszy się tedy coś niecoś, jechaliśmy dalej po dwóch na jednym koniu. Ale to jegomość rozumie! Pokaże się z przeciwka na drodze jaki szlachcic i zaraz się w boki bierze: „Cóż to (pyta) za hierozolimską szlachta?“ A my z tej okratnej żałości to już byliśmy na wszystko gotowi. Więc ciągle zwady, bójki! Aż w Białobrzegach, dla miłego spokoju, przedaliśmy i te ostatnie dwie szkapy; kto zaś się dziwował, że idziem piechotą, temu odpowiadaliśmy, że to wedle ślubu pobożnego... Jaż też, mój jegomości! wybaczeć nam po

ojcowską, bo nieszczęśliwszych ludzi niema chyba na świecie.

— Prawda! prawda! — zawołali Łukasz i Mateusz.

A najmłodszy Jan, rozczulony wspomnieniami przebytych nieszczęść i winem, podniósł w górę ręce i zakrzyknął:

— Sieroty my Boże! Cóż nam na świecie pozostało?

— Nie, prócz miłości braterskiej — odpowiedział Marek.

I poczęli się ścisnąć, wylewając zarazem łzy rzewne, a potem ruszyli wszyscy do pana Serafina.

Marek pierwszy objął go za kolana:

— Ojcie, — mówił — opiekunie nasz pierworodny, nie miejcie do nas urazy. Pożyczycie nam jeszcze raz na zaciąg, to z łupów, da Bóg, oddamy; nie pożyczycie, — i tak dobrze — jeno się nie gniewajcie, jeno nam wybaczcie! Wybaczcie dla owej wielkiej amicycy, którą dla waszego Stacha żywim, bo to wam szczerze powiem, że niechby kto na niego palec zakrzywił, tobyśmy go na szablach roznieśli! Nieprawdaż bracia najmilszy? — na szablach!..

— Dawajcie go sam, takiego syna! — zawołali Mateusz, Łukasz i Jan.

A pan Cypryanowicz stanął przed nimi, przyłożył rękę do czoła i tak mówić począł:

— Gniewno mi — prawda! — ale jeszcze więcej smutno, niż gniewno. Bo gdy pomyślę, że takich jak wy wielu jest w tej Rzeczypospolitej — to mi się serce ścisnąć i w duszy sobie zadaję pytanie: zdoła-li ta matka nasza przy takich dzieciach oprzeć się wszystkim nawałnościom, które jej grożą? Wy mnie chcecie przeproszać i mojego przebaczenia wyglądacie? Ależ — na żywy Bóg! nie o mnie tu i nie o moje konie chodzi,

jeno o coś stokroć większego, bo o dobro publiczne i o przyszłość tej Rzeczypospolitej, a że wy tego nie rozumiecie, że wam nawet taka myśl do głowy nie przyszła i że takich jak wy są tysiące — tem cięższy żal, tem boleśnieszka troska, tem większa desperacya i moja, i każdego zacnego syna tej ojezyny.

— Dla Boga, dobrodzieju! czymżeśmy przeciw ojezynie tak zgrzeszyli?

— Czem? Bezprawiem, swawolą, rozpustą i pijaństwem... Oj! lekko u nas ludzie takowe rzeczy biorą i nie widzą, jako się szerzy ta zaraza, nie widzą, jako rysują się mury tej wspaniałej budowli i pałap grozi naszym głowom. Oto wojna nad nami, oto nie wiadomo jeszcze, czy nie przeciw nam zwróci poganin swą potęgę, a wy — żołnierze chrześcijańscy — cóż najlepszego czynicie? Wołają już trąby do boja, a wam jeno w głowie wino i swawola. I z wesołem sercem siekacie stróżów tego prawa, które jakiego takiego ładu broni. Któż owe prawa postanowił? Szlachta? A kto je depee? — szlachta! — Jakoż wystąpi na pole chwały ów kraj, owo antemurale Christianitatis, gdy nie żołnierze, jeno pijacy, nie obywatele, jeno swawolnicy i warchołowie w nim mieszkają?...

Tu przerwał pan Serafin i, przycisnąwszy rękę do czoła, znów począł chodzić wielkimi krokami po izbie, a oni spoglądali na się w zdumienia i pomieszaniu, albowiem nie spodziewali się nie podobnego z ust jego usłyszyć.

Lecz on, westchnąwszy ciężko, tak mówił dalej:

— Wezwaniście byli przeciw krwi pogańskiej, a rozleliście chrześcijańską; wezwaniście byli na obronę tej ojezyny, a wystąpiliście jako jej wrogowie, boć oczywiste, że im większy nieład w fortecy, tem i forteca sama słabsza... Są jeszcze na szczęście i zacne

dzieci tej matki, ale, że i takich jak wy jest, jakom rzekł, legion, że ta nie wolność, jeno swawola kwitnie, nie posłuch, jeno bezkarność, nie surowy obyczaj, ale rozpusta, nie miłość ojezyny, jeno prywata, że ta się sejmy rwą, że skarb pustoszeje, że bezład się podnosi i wojny domowe jako rozkiełznane konie tratują tę ojezynę, że o jej losach pijane głowy stanowią, że jest ucisk poddaństwa i od góry do doła bezprawie — przeto się krwawi moje serce, i klęsk, i gniewa Bożego się boję...

— Dla Boga! to się nam chyba powiesić, czy co? — zawołał Łukasz.

A pan Cypryanowicz przemierzył kilkakroć jeszcze krokami izbę — i mówił dalej, ale już jakby nie do Bukojemskich, tylko do siebie:

— Jak Rzeczpospolita długa i szeroka — jedna wielka uczta, a na ścianie nieznana ręka pisze już: „Mane... Tekel... Fares!“ Leje się wino, a poleje się krew i łzy. Nie ja jeden to widzę, nie ja jeden to przepowiadam, ale próżno ślepemu świecę przed oczy stawiać, albo głuchemu pieśni śpiewać...

Nastąpiło milczenie. Bracia wciąż patrzyli to na siebie, to na pana Serafina, w coraz większej konfuzji, wreszcie Łukasz szepnął:

— Niech się rozpuknę, jeśli co rozumiem.

— I ja.

— I ja...

— Bo, żeśmy parę razy poapili...

— Cicho, nie wspominaj...

— Jedźmy do domu...

— Jedźmy.

— Czołem waszmości dobrodziejowi! — rzekł Marek, wysuwając się naprzód i pochylając się do kolan pana Serafina.

— A dokąd?

— Do Leśniczówki. Bóg nas wspomogę...

— I ja wspomogę; — odrzekł pan Cypryanowicz — jeno mi się żal zebrał w sercu i musiałem go wylać. Idźcie, waćpanowie, na górę, spoczniście — później do-
wiedzie się, com postanowił.

I w godzinę później kazał zaprządz i pojechał do księdza Woynowskiego.

Ksiądz zgorszył się także niemało uczynkami Bukojemskich, ale chwilami nie mógł się wstrzymać od śmiechu, albowiem, długie lata służąc wojskowo, pamiętał i przypominał sobie różne przygody, jakie przytrafiały się i jemu samemu, i towarzyszą. Jednakże przepiecia koni nie mógł braciom darować.

— Żołnierz często poswawoli, — rzekł — ale tego nadto, gdyż kto konia zbędzie, ten służbę zdradza. Bukojemskim rzeknę, że byłbym rad, gdyby im sąd marszałkowski lby z karków postręcał — i pewno, że przykład przydałby się swawolnikom, ale waści wyznam, że byłoby mi ich żal, bo wszyscy czterej chłopcy jak się patrzy. Znam ja się na tem z dawnych czasów i z góry powiem, co kto wart. Owóż co do Bukojemskich — niezdrowo będzie tym poganom, którzy się w ataku pierś w pierś z nimi uderzą. Cóż waćpan względem nich zamyślasz?

— Jużei bez poratowania ich nie zostawię, ale tak myślę, że gdybym ich samych wystął, to może im się toż samo po raz wtóry przytrafić...

— Prawda! — rzekł ksiądz.

— Przeto przyszło mi do głowy, żeby razem z nimi pojechać i wprost rotmistrzowi ich w ręce oddać. Raz pod chorągwią i w karbach — nie będą już sobie mogli na nie podobnego pozwolić.

— Prawda! — to arey grzeczna myśl. Odprowadź

ieh waćpan do Krakowa, bo tam się będą chorągwie sציagały. Ba! za jedną drogą może i ja się z waćcią wybiorę, bo w ten sposób naszych chłopaków obaczym, a potem raźniejsi wrócimy.

Na to uśmiechnął się pan Cypryanowicz i rzekł:

— Sam tylko jegomość wrócisz.

— Czemu zaś?

— Bo ja się też zaciągnę...

— Waćpan chcesz jeszcze sציżyć wojskowo? — zapytał ze zdziwieniem ksiądz Woynowski.

— I tak, i nie, bo co innego jest zaciągnąć się do komputa i ze sציżby zawód sobie uczynić, a co innego ruszyć na jedną wyprawę. Stary już jestem — prawda, ale i starsi odemnie stawali nieraz w szeregach na odgłos trąby Gradywa. Posłałem syna jednaka — i to prawda, ale przecie ojeżyźnie nie można za dużo ofiarować! Tak myśleli i ojcie moi, za co też wynagrodziła ich ta matka nasza największym zaszczytem, jaki dać mogła. Więc dla niej choćby ostatni grosz! choćby ostatnia kropla krwi! A gdyby przyszło i poledz, — pomyśl jegomość, jakaż piękniejsza śmierć, jakie większe szczęście spotkać mnie może. Raz trzeba umrzeć — a czyż nie milej na pola chwały, przy boćku syna, niż na łożu — i od szabli lub kuli, niż od choroby, a w dodatku przeciw poganom za wiarę i ojczyznę!...

Tu wzruszył się własnymi słowy pan Cypryanowicz i, rozłożywszy dłonie, począł powtarzać: „Daj to Bóg! daj to Bóg!“ a ksiądz Woynowski wziął go w objęcia i, wyściskawszy, tak mówił:

— Daj też i to Bóg, aby jaknajwięcej obywateli było podobnych w tej Rzeczypospolitej do waćpana, bo tak zacnych znajdzie się niewiele, a zaenieszego to już chyba wcale niema. Pewnie, że przystojniej szlach-

ciowii w polu niż na łożu umierać i dawniej wszyscy tak myśleli, ale dziś gorsze nastały czasy. Ojczyzna i wiara to jeden wielki ołtarz, a człek to źdźbło myrry, której przeznaczeniem spalić się na chwałę ołtarza... Ale taki dziś gorsze czasy... Wojna też waści nie nowina — prawda?

Pan Serafin pomacał się po piersiach.

— A mam ci tam trochę blizn od szabel i postrzałów z dawnych lat.

— Milej byłoby i mnie chorągwie oganiać niż tabaskich grzechów słuchać!... A to niejedna byle co prawi, całkiem tak, jakby przyszła pehły przy konfesyonale wytrząsać. Chłop, jak zgrzeszy, to już przy najmniej ma co wyznawać... a żołnierz tem bardziej! Już po wzięciu tej oto sukienki kapłańskiej byłem kapelanem przy usarskiej chorągwi pana Modliszewskiego... Mile sobie to spominam... Między jednym a drugim grzechów odpuszczeniem podniosło się jeszcze czasem strzelbę do zębów, albo się i szerpetyny wydobyla... Ha! kapelanów teraz pilno potrzeba. Chciałoby się też ruszyć, ale parafia wielka, roboty huk, wikary trocha niemrawy — a najgorszy to taki jeden postrzał, który dawno, dawno otrzymałem, a który m dłużej jak godzinę nie pozwala na szkapie dosiedzieć

— Szczęśliw byłbym, mając takiego towarzysza, — odrzekł pan Serafin — ale rozumiem, że choćby i nie ten postrzał, to jegomość nie mógłbyś parafii opuścić.

— A no, obaczym... Siędę przez parę dni na mierzynka i popróbuję, jak długo się na terlicy utrzymam. Możeby się tam jakoś zładziło. Ale u waści któż w domu ostanie na gospodarce?

— Mam jednego borowego, który jest prostak, ale tak zacy człek, że prawie święty...

— Wiem, to ten, co za nim bestye leśne chodzą. Inni powiadają, że czarownik, waćpan wszelako wiesz lepiej. Ale to stary człek i chory?

— Mam też chęć przyjąć tego Wilezopolskiego, który poprzednio u Pągowskiego służył. Może jegomość pamiętasz? młody szlachcic, bez nogi, ale tęgi człowiek i śmiały. Krzepecki oddalił go, bo mu się hardo stawiał. Był u mnie dwa dni temu, ofiarując się do służby — i dziś pewno się z nim ugodzę. Pągowski niebardzo go lubił, gdyż chłopak nie dał sobie w kaszę dmuchać, ale chwalił jego wierność i zaradność.

— A co tam słyhać w Bełżączce?

— Dość dawnom tam nie był. Wilezopolski oczywiście nie chwali Krzepeckich, ale tak szczegółowie nie miałem czasu go o wszystko wypytać.

— Zajrzę ja tam jutro, choć oni nie zbyt radzi mnie widzą, a potem przyjadę do waszmości natrzeć uszu Bukojemskim. Każę im się stawić do spowiedzi, a za pokutę plecy będą w robocie. Niech sobie dadzą wzajemnie po jakich pięćdziesiąt kańczugów, to się im przyda.

— Pewnie, że się przyda, ale teraz maszę już jegomości z przyczyny tego Wilezopolskiego pożegnać.

To rzekłszy, pan Cypryanowicz przykrócił rapci, aby mu szabla przy wsiadaniu na wasąg nie zawadzała, i w chwilę później jechał już do swojej Jedlinki, rozmyślając po drodze o przyszłej wyprawie i uśmiechając się na myśl, że będzie strzemię w strzemię ze swoim jedynakiem przeciw poganom czynił. Minąwszy Bełżączkę, spostrzegł dwa konie juczne i brykę z łubami, w której jechał Wilezopolski.

Kazał mu się tedy przesiąść do siebie i zapytał:

— To już z Bełżączki?

A Wilezopolski wskazał na łuby i, chcąc zaznaczyć, że jakkolwiek chodzi po służbie, nie jest jednak zupełnym prostakiem, rzekł:

— A oto, wasza miłość: omnia mea mecum porto

— Tak że to już było pilno?

— Nie było pilno, ale było trzeba; dlatego też na wszystkie kondyeye waszej miłości z radością przystaję, i w razie wyjazdu, o którym wasza miłość wspominał, domu i majątności wiernie ustrzeżę.

Panu Serafinowi podobała się odpowiedź i dziarska, zuchowata twarz chłopca, więc po chwili namysłu rzekł:

— O wierności nie wątpię, bo wiem, żeś szlachcie, jeńo niedoświadczenia i nieostrożności się boję. W Jedliniee trzeba kamieniem siedzieć i dzień i noc czuwać, dlatego, że to prawie w puszczy, a w wielkich borach zwyczajnie i osaczników nie brak, którzy czasem i na domy napadają.

— Dla Jedlinki nie życzę napadu, ale dla siebie tobym go chciał, aby przekonać waszą miłość, że mi stanie czujności i serca..

— Po prawdzie tak też wyglądasz — odrzekł pan Cypryanowicz.

I umilkł, a po chwili tak znów mówić począł:

— Jeszcze jedna ważna rzecz, w której cię muszę przestrzedz. Pan Pałowski na sądzie Boskim i de mortuis nihil nisi bene; ale to wiadomo, że dla poddaństwa był ciężki. Strofował go o to ksiądz Woynowski, z czego wynikała ich niezgoda. Nie żałowano tam chłopskiego potu a kary były ostre i sprawa krótka. Powiedzmy prawdę: był ucisk — i oficjaliści przywykli też zbyt ostro z ludźmi postępować. Otóż zapowiadam acanu, że tego u mnie niema. Karność musi być, ale ojcowska, wszelako zbytnią srogość uważam za ciężki grzech

przeciw Bogu i ojezyźnie. Zakonotaj to sobie dobrze, że kmieć to nie twaróg i zbytnio go wyciskać nie wolno. Ja ludzkiemi łzami nie żyję — i o tem pamiętam, że przed Bogiem wszyscyśmy równi.

Nastąpiła chwila milezenia, poczem Wilczopolski chwycił rękę pana Serafina i podniósł ją do ust.

A ów rzekł:

— Widzę, że mnie rozumiesz.

— Rozumiem, mój jegomość, — odrzekł młodzian — i to jeno odpowiem: mało sto razy chciałem do oczu panu Pągowskiemu powiedzieć, żeby innego szukał ekonomą, mało sto razy chciałem służbę porzucić, ale cóż! — nie mogłem!

— Czemu zaś? pracy po świecie nie brak...

A Wilczopolski zmieszał się i począł mówić jakby zająkliwie:

— Nie... zdarzyło się... nie mogłem... tak ot, z dnia na dzień się zostawało. Przytem... była srogość i nie było srogości...

— Jakto?

— Że do roboty zbyt gnano — prawda, i na to nikt nie mógł zaradzić, ale co do kar, co do bicia ludzi, powiem krótko: zamiast różg były słomiane powróśla...

— Któż był taki litościwy? — acan?

— Nie. Jenom wolał anielskiej niż dyabelskiej woli słuchać.

— Rozumiem, ale mów: czyjej woli?

— Panny Sienińskiej.

— A ai... Taką to ona była?

— Jako właśnie anioł. Ona się także bała nieboszczyka, który dopiero w ostatnich czasach zaczął na jej słowa zważać. Ale już ją tam tak wszyscy miłowali, że każdy wolał się na gniew nieboszczyka narazić, niż jej prośby nie usłuchać.

— Niech-że jej za to Bóg błogosławi! Takoście się tedy przeciw Pągowskiemu zwałiali?

— Tak, wasza miłość.

— I nie wydało się nigdy?

— Raz się wydało, alem panienki nie zdradził. Nieboszczyk sam mnie oświecył, bom mu powiedział, że jeśli kto inny to robi, albo jeśli mi, jako szlachcicowi, kobierca nie podłożą, to dom z dymem puszcę, a jego samego zastrzelę. I takby było, choćbym potem miał do osaczników w puszczy przystać!

— Za to mi się podobasz — odrzekł pan Serafin. A Wilezopolski dalej:

— Ciężko nieraz bywało z panem Pągowskim, ale był w domu — ot poprostu — cherubin Boży i dlatego chciał człowiek odejść — a zostawał. Później też, gdy panienka wyrosła, więcej na nią zważał nieboszczyk — a w ostatnich czasach to już całkiem. Wiedział bywało nieraz, że to biednych zbożem ze spichrza każe wspomódz, to, jako rzekłem, różgi na powrósła zmienić, to dzień pańszczyzny odpuścić — i udawał, że nie widzi. W końcu wstydził się już jej tak, że nie potrzebowała nie robić w ukryciu. Prawdziwać to była orędowniczka ludzka i dlatego niechże jej, jako wasza miłość powiedziała, Bóg błogosławi i niech ją poratuje.

— Dlaczego mówisz: „poratuje“? — zapytał pan Cypryanowicz.

— Dlatego, że jej gorzej, niż było.

— Bójże się Bogu! No, co?

— Panny są jędze, a sam młody Krzepecki niby je hamuje — ale ja wiem dlaczego — i niech że się strzeże, żeby mu kto w łeb jak psu nie strzelił.

Noc już była głęboka, ale bardzo widna, bo na niebie świecił księżyc w pełni i przy jego blasku uj-

rzał pan Cyprianowicz, że oczy młodego ekonoma za-
iskrzyły się jak wileze.

— Cóż o tem wiesz? — zapytał z ciekawością.

— Wiem, że on nietylko dla hardości mojej mnie
wydalił, ale i dlatego, że m patrzył i słucał pilnie, co
ludzie w domu mówią... Odszedłem, bom musiał, ale
do Bełżączki niezbyt daleko i w razie czego...

Tu umilkł — i na drodze słycać było tylko szum
sosen, poruszanych nocnym powiewem.



w Bełżączce było pannie nietylko źle, ale i coraz gorzej. Upłynęło już sporo czasu od owej chwili, w której stary Pagowski, spostrzegłszy, że Marcyan Krzepakki spogląda na niedoroślą jeszcze dziewczynę zbyt „koźlim wzrokiem“, wyrzucił go z domu. Ale on widywał ją potem w kościele,

a niekiedy i u sąsiadów, i zawsze jej wiośniana uroda budziła w nim nanowo żądze. Teraz zaś, gdy zamieszkał pod jednym dachem, gdy widywał ją codziennie, pokochał ją po swojemu, to jest taką zapalczywą i zwierzęcą miłością, do jakiej jedynie był zdolny. Zaszły też zmiany w jego postanowieniach. Z początku zamierzał, po shańbieniu dziewczyny, ożenić się z nią tyl-

ko w takim razie, gdyby się znalazł testament na jej korzyść. Teraz gotów był stanąć z nią przed ołtarzem w każdym razie, byle ją posiadać i posiadać nazawsze. Rozum, który, gdy go żądza podbije, staje się jej usłużnym poplecznikiem, mówił mu przytem, że panna, która nosi nazwisko Sienińskich, jest, choćby bez majątku, wielką i wiele korzystną partyą. Lecz gdyby nawet rozum mówił przeciwnie, Marcyan nie byłby go już słuchał, albowiem z każdym dniem tracił panowanie nad sobą. Gorzał, szalał i jeśli dotychczas powstrzymał się jeszcze od czynów przemocy, to tylko dla tej przyczyny, dla której najzapaleczywsza nawet żądza chce i pragnie dobrowolnej zgody, dobrowolnego oddania się i lubuje się myśla o wzajemności i w niej widzi rozkosz największą, a ludzi się nawet wówczas, gdy nie ma do tego żadnej podstawy. Tak łudził się Krzypecki i tak lubował się myśla o tej szczęsnej chwili, w której panna sama rozpromieniona i chętna pochylił się w jego objęcia.

Bał się jednakże, by postawiwszy odrazu wszystko na los szczęścia — nie przegrać — a gdy czynił sobie w duszy pytanie, coby wówczas mogło nastąpić, brał go lęk i przed samym sobą i przed grozą, jakaby nad nim zawisła, albowiem prawa Rzeczypospolitej, chroniące cześć niewieścią, były straszne, a w około były setki szabel szlacheckich, które niezawodnie zabłyśłyby nad jego głową. Lecz jednocześnie czuł, że może przyjść taka godzina, w której nie będzie już na nie zważał, że zaś w jego dzikiej i zachwałej duszy tkwiła chęć walki i głód niebezpieczeństw, więc znów nie bez pewnej ponęty była dla niego myśl o tłumie szlacheckim, oblegającym Bełżączkę, o łunie pożarnej nad głową i o czerwonym kacie, stojącym z toporem w rękę gdzieś tam, jakby za mgłą, w jakimś dalekiem mieście.

I tak żądza, obawa, a zarazem ochota do walki miotały nim jakby trzy wichry. Tymczasem, chcąc dać ujście tej burzy, a zarazem ochłodzić krew, która wrzała w nim jak ukrop, biesił się, nurzał w rozpuście po wiejskich karczmach, zajeżdżał konie, zaczepiał ludzi i pił na umor we wszystkich gospodach, jakie były w Jedlni, w Radomiu i w Przytyku. Zebrał tam sobie kompanię zawalidrogów, którzy nie pociągnęli na wojnę z powodu zbyt złej sławy, lub z przyczyny niedostatku, za którą płacił i którą tyranizował. Czynił to też w mniemaniu, że taka kompania może mu się w przyszłości przydać. Jednakże nikogo z niej nie dopuszczał do poufałości i nigdy nie wymawiał wobec tych kompanionów imienia dziewczyny, a gdy raz niejaki Wysz z niewiadomo gdzie leżącego Wyszkowa wspomniał o niej w grubijański i sprośny sposób, chlastnął go szablą przez pysk i zalał krwią.

Wracał zwykle do domu dopiero o pierwszym brzaśku, pędząc na złamanie karku, ale ta szalona jazda wytrzeźwiała go zupełnie. Padał wówczas w ubraniu na skórę końską, którą przykryte było łożo, i zasypiał jak kamień; spał kilka godzin, a po obudzeniu się wdziewał najpiękniejsze suknie, szedł do niewiast i starał się przypodobać pannie, z której nie spuszczał oczu ani na chwilę i, pełzając wzrokiem po całej jej postaci, podniecał w sobie żądze. I nieraz, gdy zostawał z nią sam na sam, wargi wysuwały mu się naprzód, potwornie długie ramiona drgały, jakby nie mogły się oprzeć chęci chwycenia jej w objęcia, głos stawał się zdławiony, słowa mętne, zuchwałe i dwuznaczne, w których naprzemian wiło się pochlebstwo i głucho warczała hamowana z trudem groźba.

A panna Sienińska bała się go poprostu tak, jakby się bała hodowanego wilka lub niedźwiedzia —

z trudnością kryła w sobie wstręt, którym przepełniała jego widok. Mimo bowiem papuzich barw, w które rad się przebierał, mimo klejnotów, błyszczących mu pod szyją i bogatego czekana, którego nigdy z rąk nie wypuszczał, wyglądał z każdym dniem gorzej i szpetniej. Bezsenne noce, rozpasta, pijaństwo i płomienne żądze wycisnęły na nim swą pieczęć: wychadł, barki mu opadły, przez co jego długie z natury ręce uczyły się jeszcze dłuższe, tak, że dłonie sięgały ponad człowiecze proporce, aż za kolana. Olbrzymi jego tałów stał się podobny do sękatego kłosa, a krótkie pałkowate nogi wygięły się od szalonej jazdy konnej jeszcze bardziej. Przytem skóra na twarzy nabrała jakiejś zielonawej bladeści, a z powodu zapadniętych policzków, wypukłe oczy i wargi wysunęły się do reszty naprzód. Zwłaszcza w chwilach, w których się śmiał, stawał się wprost straszny, albowiem z pod rozbłyśniętych śmiechem źrenic przeglądała mu jakaś zapalczywa, niepohamowana złość i groźba.

Lecz poczucie swej niedoli, głęboka tęsknota i niechęć wyrobiły w pannie Sienińskiej jakąś powagę, której ani śladu nie miała dawniej, a która imponowała Krzypeckiemu. Niegdyś była to szczebiotliwa dziewczyna, terkocząca po całych dniach jak młynek, teraz zaś nauczyła się mileżyć i oczy jej nabrały pewnej stałości wejrzenia. Więc choć nieraz seree jej drżało z bojaźni wobec Krzypeckiego, hamowała go mileżeniem i spokojnym wzrokiem, a on cofał się wówczas, jakby lękając się obrazić jaki majestat. Wydawała mu się wprawdzie tem bardziej pożądaną, ale zarazem trudniej dostępną.

Zresztą, przeczuwając, że grozi jej z jego strony ogromne niebezpieczeństwo, a później, mając zupełną pewność, że tak jest, starała się go unikać, zostawać

z nim jak najkrócej sam na sam, odwracać rozmowę od rzeczy takich, które mogłyby mu ułatwić wyznanie, a wreszcie ośmielała się czasem nadmieniać i o tem, że nie jest tak dalece opuszczoną przez wszystkich na świecie i zdaną na łaskę i niełaskę losu, jak się wydaje.

Unikała jednakże wspomnień o Jacku Taczewskim, rozumiejąc, że po tem, co między nimi zaszło, nie może on już być i nie będzie nigdy dla niej żadną obroną. Czuła przytem, że każde słowo o nim budziłoby gniew i złość w Marcyanie. Lecz zauważywszy, że Krzepeccy wystrzegają się księdza Tworkowskiego i patrzą na niego jakby z tajoną obawą, dawała często do zrozumienia, że jest pod jego szczególną opieką, wynikającą z tajnej umowy, którą na wszelki wypadek był z nim zawarł nieboszczyk pan Pągowski. Prałat zaś, który od czasu do czasu odwiedzał Krzepeckich, pomaga jej w tem znakomicie, bawił się bowiem z nimi dla własnej przyjemności w politykę, wyrażał się tajemniczo, cytował dwuznaczne sentencye łacińskie i pozwalał się domyślać Marcyanowi różnych rzeczy, które ów mógł sobie dowolnie tłumaczyć.

Lecz przedewszystkiem kochała „panienkę“ służba i cała wieś. Ludzie uważali Krzepeckich za intruzów, ją za prawą dziedziczkę. Marcyana bali się wszyscy z wyjątkiem Wilezopolskiego. Ale nawet po oddaleniu młodego szlachetki otaczała dziewczynę jakby niewidzialna opieka łada i Marcyan rozumiał, że strach, jaki wzbudza, ma swoją granicę—po za którą zaczęłoby się dla niego prawdziwe niebezpieczeństwo. Domyślał się także, że Wilezopolski, któremu „zuchwale patrzyło z oczu“, daleko nie odejdzie i że, w razie gdyby panna potrzebowała obrony, nie cofnie się przed niczem—więc w duszy przyznawał, że nie jest ona istotnie tak

przez wszystkich opuszczona, jak sam z początku myślał i jak o tem w swoim czasie ojca zapewniał.

— Kto się za nią ujmie? nikt! — mówił wówczas ojca, gdy ten przykazywał mu pamiętać o strasznych karach, jakimi prawa Rzeczypospolitej groziły za zamach na honor niewieści.

A teraz rozumiał, że tacyby się znaleźli.

Stanowiło to jedną trudność więcej, wszelako trudności i niebezpieczeństwa były tylko podniętą dla takiej jak marcyanowa natary. Ładził się jeszcze, że potrafi pannę przejednać i rozkochać, przychodziły jednak chwile, w których jasno jak na dłoni widział, że nie nie wskóra—i wówczas „biesel się“, jak mówili towarzysze jego nocnych hulanek, szalał—i gdyby nie jakieś przecucie głuche, ale silne i nieprzeparte, że gdy się porwie na dziewczynę, to ją nazawsze utraci, byłby oddawna rozpełtał w sobie dzikiego zwierza.

I w takich to właśnie chwilach pił bez miary i upamiętania.

A tymczasem stosunki w Bęłęczące stały się nienależnie—zaprawne jadem i złością. Panny Krzepeckie znienawidziły dziewczynę nie tylko dlatego, że była od nich młodsza i urodziwsza, ale dlatego, że kochali ją ludzie i że Marcyan ujmował się za nią z lada powodu a nawet i bez powodu. Zapłonęły w końcu nieubłagana nienawiścią przeciw bratu — ale spostrzegłszy, że panna Sienińska nie skarży się nigdy, dokazały jej tem zawzięciej. Raz Agnieszka sparzyła ją niby niechcący rozpalonym pogrzebaczem. Marcyan, dowiedziawszy się o tem przez służbę, poszedł przeproszać pannę i zaklinał ją, by zawsze szukała u niego obrony, lecz zarazem począł tak łapczywie i obmierzle całować jej rękę i tak przysuwać się do niej, że uciekła, nie mogąc potłamić wstrętu. Wówczas wpadł w wście-

kłóść i zbił siostrę tak, iż przez dwa dni potem udawała chorą.

Obie „pannice”—jak je zwano w Bełżączce—nie szczędziły dziewczynie kłójących słów, otwartych wymysłów i upokorzeń, mszcząc się w ten sposób na niej za wszystko, co musiały znosić od brata. Ale z nienawiści ku Marcyanowi ostrzegały ją przed nim, a jednocześnie posądzały ją o powolność jego żądzom, spostrzegły bowiem, że niczem nie zdołają jej zranić i upokorzyć boleśniej. Więc dom stawał się dla niej piekłem, a każda przeżyta w nim godzina męką. Nienawiść do tych ludzi, którzy sami się między sobą nienawidzili, poczęła zatrawać i jej serce. Poczęła myśleć o klasztorze, ale taiła się z tą myślą, wiedziała bowiem, że jej nie puszcza i że, rozpętawszy gniew Marcyana, narazi się na straszne niebezpieczeństwo. Cierpienie i trwoga zamieszkały stale w jej sercu—i zrodziły chęć, która nigdy w niej dotychczas nie powstała—chęć śmierci. Tymczasem każdy dzień dolewał nowych kropel goryczy do kielicha. Raz wczesnym rankiem Agnieszka spłoszyła Marcyana, zaglądnącego przez dziurę od zawory w drzwiach do pokoju sieroty. On cofnął się, zgrzytnąwszy zębami i pogroziwszy pięścią, lecz „pannica“ zawołała zaraz siostry i obie, zastawszy dziewczynę nieubraną, poczęły się znęcać nad nią, jak zwykle.

— Wiedziałaś, że on tam stoi—mówiła starsza—bo podłoga za drzwiami trzeszczy i słychać, gdy się kto zatrzyma, ale i tobie to widać też po myśli.

— Ba! oblizywał się na specyały, a ona ma ich nie kryła—przerwała Joanna—zali ty się Boga nie boisz, bezwstydnico?

— Przed kościołem taką do kupy wstawić

— I z domu wyświecić. Sodoma i Gomora!

— Tfu!

— A kiedy trza będzie po niewiastę do Radomia posłać?

— A jak bęsiowi dasz na imię?

— Tfu! Ścierka!

I poczęły na nią płuć. Ale w niej wzburzyło się serce, albowiem miara była przebrana.

— Precz!—zawołała, akazując ręką na drzwi.

Lecz twarz jej pobladła, jak płótno, w oczach po-
ciemniało, przez chwilę zdało jej się, że leci gdzieś
w jakąś przepaść bez dna, poczem straciła czucie, pa-
mięć i świadomość tego, co się z nią dzieje.

Zbudziła się oblana wodą i z poszczypaną piersią.
Pochylone nad nią twarze panien Krzepeckich wyraża-
ły przestрах, lecz po chwili, widząc, że dziewczyna
odzyskała przytomność, uspokoiły się znowu.

— Poskarż się, poskarż!—mówiła Joanna. — Twój
gach ujmie się za tobą.

— A ty mu się po swojemu wywdzięczysz...

Lecz ona, ścisnąwszy zęby, nie odpowiadała już
ani słowem.

Mareyan jednak domyślił się i bez skargi, co ma-
siało dzieć się na górze, gdyż w kilka godzin później
z kancelaryi, w której zamknął się z siostrami, doszły
wycia, od których struchlał cały dom.

Po południu, gdy przyjechał stary Krzepecki, obie
panny przypadły z krzykiem do jego kolan, zaklinając
go, by je zabrał z tej „jaskini rozpusty i mąk“ — lecz
on, o ile kochał najmłodszą córkę, o tyle nienawidził
starszych, więc nietylko się nie ulitował nad nieszczę-
sliwymi jędzami, ale począł wołać jeszcze o batog i ka-
zał im zostać.

Jedyną istotą w tym strasznym domu, w której
Joanna i Agnieszka—gdyby chciały być dla niej dobre

i przyjazne — mogły znaleźć litość, spólczenie a nawet i ochronę, była właśnie panna Sienińska. Ale one wołały dokuczać jej i pastwić się nad nią, bo z wyjątkiem Teści była to taka rodzina, w której każdy członek czynił wszystko, co było w jego mocy, by innym zatruć życie i powiększyć niedolę. Lecz panna Sienińska bała się miłości Marcyana bardziej jeszcze niż nienawiści jego sióstr. A on coraz bardziej się jej narzucał, coraz bezczelniej się przysawał, coraz był natarczywszy i coraz łakomiej na nią spoglądał. Czuć było, że już przestaje całkiem panować nad sobą, że dzika żądza targa nim jak wichur drzewem i że lada chwila wybuchnie.

Jakoż chwila ta nastąpiła już wkrótce.

Raz, gdy, po nastaniu ciepłych dni, panna Sienińska poszła świtanem wykapać się w ocienionej strudze, zanim zaczęła się jeszcze rozbierać, ujrzała po drugiej stronie wychylające się ze zbitej gęstwiny oblicze Marcyana. Wówczas poczęła uciekać bez tchu, a on pogończył za nią, lecz, chcąc przeskoczyć strugę, nie doskoczył, wpadł w wodę, ledwo się wygrzebał i wrócił do domu, przemoczony do nitki i wścickły. Przed obiadem zbił kilka ludzi do krwi, a podczas obiadu nie ozwał się do nikogo ani słowem — i dopiero pod koniec zwrócił się do sióstr i rzekł:

— Ostawicie mnie sam na sam z panną Sienińską, gdyż mam z nią o ważnych rzeczach pomówić!

Siostry, usłyszawszy to, poczęły na się znacząco spoglądać, a panna pobladła z wrażenia, gdyż dawniej starał się wprowadzić chwycić każdą chwilę, w której mógł być z nią sam na sam, ale tak otwarcie nigdy nie pozwalał sobie tego żądać.

Więc gdy siostry wyszły, wstał, zajrzał za jedne i za drugie drzwi, by się przekonać, czy go

nie podsłuchają, poczem zbliżył się do dziewczyny i rzekł:

— Podaj mi waćpanna rękę... na zgodę.

A ona mimowoli cofnęła obie ręce i odsunęła się od niego.

Mareyan zaś usiłował widocznie zdobyć się na spokój, podskoczył jednak dwukrotnie na swych pałankowatych nogach, albowiem od tego przyzwyczajenia nie mógł się nigdy wstrzymać — i ozwał się przyciszonym głosem:

— Nie chcesz! A ja dla waćpanny małom się ranom nie utopił. Ja waćpannę przepraszam za ów przestach, ale nie stało się to z przyczyny jakowejś sprośności, jeno że psy wściekłe włóczą się od wczoraj między Bełzączką a Wyrąbkami, więcem poszedł z ruzsniącą czuwać nad przezpiecznością waćpanny.

Pod nią kolana poczęły trochę dygotać, ale odrzekła dość przytomnie i spokojnie:

— Nie chcę ja takiej obrony, którejbym się wstydzicie musiała.

— A ja chciałbym waćpanny nietylko teraz, ale i zawsze bronić—do śmierci! — i bez obrazy Boskiej—jeno z Boskiem błogostawieństwem... Rozumiesz waćpanna?

Nastała chwila ciszy. Przez otwarte okna dochodził tylko z podwórza odgłos rąbania drzewa, którem stary, kulawy parobek zajęty był przy kuchni.

— Nie rozumiem—odrzekła dziewczyna.

— Bo nie chcesz — odparł Mareyan. — Widzisz to oddawna, że nie mogę bez ciebie żyć. Tak mi cię trzeba, jako tego powietrza dla oddechu. Cudnaś mi i miła nad wszystko w świecie. Nie mogę!... zgorzeję bez ciebie! zczecznię! Żebym się nie hamował, byłbym cię oddawna chwycił, jako właśnie jastrząb' gołębia. W gar-

dle mi bez ciebie schnie, jak bez wody... Wszystko we mnie do ciebie drży. Nie mogę spać, ni żyć... Patrz, oto i teraz...

I przerwał, bo zęby zaczęły mu szczekać jak w gorączce. Skurezył się, chwycił kościstymi rękoma za poręcz krzesła, jakby się obawiał upaść — i sapał czas jakiś rozgłośnie.

Poczem znów zaczął mówić:

— Brak ci fortuny—nie to!... Ja mam dość. Ciebie mi trzeba, nie fortuny. Cheesz być panią w tym domu? Miałaś za Pągowskiego wyjść—jam przecie nie gorszy. Jeno mi nie mów: nie! na Boga żywego nie mów mi: nie — bo nie wiem, co się stanie. Ty cadnal ty moja!...

To rzekłszy, klęknął nagle, objął rękoma jej kolana i począł je przyciskać do piersi. Lecz — nadszpedziewanie dla niej samej—przestrach jej przeszedł w tej strasznej chwili bez śladu. Zagrała w niej rycerska krew, zbudziła się gotowość do walki do ostatniego tchu. Poczęła z całej siły odpychać dłońmi jego zroszone potem czoło, które tuliło się do jej kolan.

— Nie! nie! wołałabym umrzeć tysiąc razy. Nie!

Wówczas wstał blady, ze zjeżoną czupryną, pełen zimnej wściekłości; przez czas jakiś drgały mu wąsy, z pod których przebłyskiwały długie, popsute zęby. Lecz jeszcze panował nad sobą, jeszcze przytomność nie odbiegła go zupełnie. Jednakże, gdy panna cofnęła się nagle ku drzwiom, zaskoczył jej drogę.

— Tak?—zapytał chrapliwym głosem.—Nie cheesz mnie? Powtórz mi to jeszcze do oczu! — nie cheesz?

— Nie chcę! I waćpan mi nie groź, bo się nie boję.

— Jać nie grożę, jeno cię chcę za żonę brać — ba! jeszcze proszę: opamiętaj się! na żywy Bóg!—opamiętaj się!

— W czem mam się opamiętać? Wolna mi woła, bom szlachcianka — i waćpanu do oczu powiadam: nigdy!

A on zbliżył się ku niej tak, że twarz przysnął tuż do jej twarzy, i mówił:

— To może, miast tu być panią, wolisz drwa do kuchni nosić? Też nie chcesz? To jakże będzie, szlachcianko?... Do których swoich włości stąd pojedziesz? A jeśli ostaniesz, to czyj tu chleb będziesz jeść? na czyjej będziesz łasce? W czyjej będziesz mocy?... Czyje łoże i czyj ten alkierz, w którym sypiasz? Co będzie, jak każę odjąć zaworę? A ty pytasz, w czem się masz opamiętać? W tem: co wybrać!... albo ślub, albo bez ślub!...

— Podły!—krzyknęła panna Sienińska.

Lecz wówczas stało się coś niesłychanego. Ogarnięty nagłą furią, Krzepecki ryknął nieludzkim głosem i, schwyciwszy dziewczynę za włosy, począł ją z jakąś dziką, zwierzęcą rozkoszą bić bez miłosierdzia i pamięci. Im dłużej panował nad sobą poprzednio, tem bardziej szaleństwo jego stawało się teraz straszne i ślepe. I byłby ją zabił niechybnie, gdyby nie to, że na jej krzyk o ratunek poczęli się zbiegać domownicy. Pierwszy ów stróż, który rąbał drzewo pod kuchnią, wpadł z siekierą do pokoja przez okno, za nim nadbiegli kuchenni, obie panny Krzepeckie, piwniczy i dwóch z dawnej czeladzi pana Pagowskiego.

Piwniczy, który był szlachcic z dalekiego zaścianka na Mazurach, a przytem człek niezwyklej siły, choć stary, chwycił Marcyana z tyłu za ramiona, ściągnął je tak, że aż łokcie niemal zetknęły się z sobą na plecach, i rzekł:

— Tak nie wolno, wasza miłość!—wstyd!...

— Puszczej!—ryczał Krzepecki.

Lecz żelazne dłonie trzymały go jakby w kleszczach i posępny, przyciszony głos ozwał mu się tuż za uszyna:

— Wasza miłość, pohamuj się, bo... kości potłamię!

Tymczasem panny Krzepeckie porwały dziewczynę i wyprowadziły, a raczej wyniosły ją z izby stołowej. Piwniczny mówił dalej:

— Pozwól, wasza mość, do kancelaryi... odpocząć! Bardzo tak radzę...

I począł go popychać przed sobą, jak dzieciaka, a ów kłapał wprawdzie zębami, wywijał krótkimi nogami, wołał o powrozy i kata, lecz nie mógł się oprzeć, bo zresztą w chwilę później zesłabł nagle po wybuchu do tego stopnia, że i na nogach nie mógłby się być o własnej mocy utrzymać.

To też gdy w kancelaryi piwniczny rzucił go na końską skórę, którą pokryte było łóżko, nie próbował się nawet podnieść i legł nieruchomie jak pień drzewa, ziejąc tylko i robiąc bokami jak przesilony koń.

— Pić!—zakrzyknął.

Piwniczny uchylił drzwi, wezwał pacholka i, szepnąwszy mu pocichu kilka słów, wręczył klucze, a ów wrócił niebawem, niosąc gąsior z okowitą i półkwartową szklenię.

Szlacheć nalał ją do pełna, powąchał i, zbliżywszy się do Marcyana, rzekł:

— Pij, wasza mość.

Krzepecki chwycił ją obiema rękami, ale drżały mu tak, że płyn począł mu się rozlewać na piersi, więc piwniczny podniósł go na łożu, przystawił mu ją do ust i począł przechylać.

Marcyń pił i pił, przytrzymując cheiwie szklanekę, gdy szlacheć próbował ją odsawać od jego ust.

Wreszcie wypróżnił ją do dna i — padł na wznak.
— Może będzie zadużo — rzekł piwniczy — aleś waszmość zesłał bardzo.

Marcyń chciał odpowiedzieć, lecz wciągnął tylko z sykiem powietrze, jak człowiek, który poparzył usta zbyt gorącym płynem.

Szlacheć zaś mówił dalej:

— Hej! winienesz mi waszmość dobry munsztułak, bom waszmości niemałą oddał przysługę... Niechby, broń Boże, co do czego... to za takie sprawy topór i kat—nie mówiąc już o tem, że i zaraz mogłoby się nieszczęście przygodzić. Ludzie tu okrutnie pannę miłują... I przed księdzem Tworkowskim trudno będzie ukryć, choć ja służbie nakażę milczenie. Jak się waszmość czujesz?

A Marcyń patrzył na niego zbielełemi źrenicami, łapiąc wciąż w otwarte usta powietrze. Raz i drugi chciał jakby coś przemówić, poczem chwyciła go czkawka, oczy stanęły mu w ślup, zamknął nagle powieki i począł chrapać jak konający.

A piwniczy popatrzył chwilę na niego, poczem mruknął:

— Śpij, albo i zdychaj, psie plugawy.

I wyszedł z izby na folwark, po upływie jednak pół godziny wrócił do dworu i zapukał do pokoiku panny Sienińskiej i, zastawszy tam obie siostry Marcyń, rzekł im:

— Waszmość panny możeby trochę do kancelaryi do młodego pana zajrzały, bo okrutnie zasłał. Tylko jeśli śpi, to nie trza go budzić.

Poczem, zostawszy sam na sam z panną Sienińską, pochylił się do jej kolan i rzekł:

— Panienko, trzeba uciekać z tego domu. Wszystko gotowe.

A ona, lubo zbita i ledwie na nogach się trzymająca, zerwała się w jednej chwili

— Dobrze—i ja gotowa. Ratujecie mnie!

— Zaprzężony wasąg stoi za strugą. Ja panienkę przeprowadzę. Przyodziewek jeszcze dziś w nocy odwiozę, bo pan Krzepecki się spił, jak Bela, i do jutra będzie leżał jako nieboszczyk. Weź jeno panienska jubkę i chodźmy. Nikt nas nie wstrzyma—nie bój się.

— Bóg zapłać! Bóg zapłać! — powtarzała gorączkowo.

I wyszli, kierując się przez sad, do tej fartki, przez którą zwykle przychodził z Wyrąbek Taczewski. Po drodze piwniecy mówił:

— Dawno to Wilczopolski ułożył. Umówił się z ludźmi tak, że gdyby tu na panienkę był jaki zamach, to mają podpalić gamna. Pan Krzepecki musiałby skończyć do ognia, a panienska miałaby czas wymknąć się przez sad za strugę, gdzie umyślny miał czekać z wózkiem. Ale lepiej, że się bez podpalenia obejdzie—boć to zawsze kryminał. Mówię, że Krzepecki będzie do jutra leżał jako kamień, przeto i nijakiego pościgu niech się panienska nie boi.

— Dokąd mam jechać?

— Do pana Cypryanowicza, bo tam o obronę nie trudno. Jest Wilczopolski, są panowie Bukojemscy i leśnicy. Krzepecki będzie pewnikiem chciał panienkę odbierać, ale nie wskóra. A gdzie potem pan Cypryanowicz panienkę odwiezie, czy do Radomia, czy dalej, to się o tem z księżmi naradzi... Ot wasąg. Pościgu się panienska nie bój. Do Jedlinki niedaleko—i wieczór dał Pan Bóg cudny. Ja przyodziewek dziś jeszcze przewiozę, a gdyby chcieli bronić, nie będę zważał. Niech cię prowadzi Matka Najświętsza, opiekunka i orędowniczka sierot.

To rzekłszy, wziął ją jak dziecko na ręce i, usadzwszy w wasągę, krzyknął na pacholika:

— Ruszaj!

Na świecie był już mrok i zorza wieczorna gasła, tylko od ostatnich jej blasków różowiły się na pogodnem niebie gwiazdy. Cichy wieczór przepojony był zapachami ziemi, liści i bzów kwitnących, a słowiki zalewały śpiewem, jakby ciepłym dżdzem wiosennym, sad, olszynę i całą okolice.



taki to wieczór siedział na przyźbie domu pan Cypryanowicz, goszcząc księdza Woynowskiego, który po niesporach przyjechał go odwiedzić, i czterech panów Bukojemskich, stale przebywających w Jedlinie. Przed nimi stał na krzyżakach stół, na nim łągiewka miodu i szklanice, a oni, słuchając

niego szumu paszczy, popijali z wolna, podnosząc oczy ku niebu, na którym błyszczał mocno sierp księżycy, i rozmawiając o wojnie.

— Dzięki Bogu i waszmości dobrodziejowi, że wkrótce znów będziemy gotowi do drogi—mówił Mateusz Bukojemski. — Co tam było, to było. I święci nawet grzeszyli, a cóż dopiero ałomny człowiek, który bez

łaski Boskiej nie nie wskóra. Ale jak spojrzę na ów miesiąc, który jest tureckim znakiem, to mnie tak zaraz ta pięść swędzi, jakby mi ją komary pocięły. No! daj Bóg jak najprędzej, to sobie człek ulży.

Najmłodszy Bakojemski zamyślił się trochę i rzekł:

— Czemu to, księżę dobrodzieju, Turcy jakoweś nabożeństwo do miesiąca mają i na chorągwiach go noszą?

— A psi to nie mają nabożeństwa do miesiąca?— zapytał ksiądz.

— Pewnie, że tak, ale dlaczego Turcy?

— Właśnie dlatego, że psubraty.

— A, jak mi Bóg miły, racyal—odrzekł młodzian, spoglądając z podziwieniem na księdza.

— Ale miesiąc temu nie winien—zaawazył gospodarz—i miło patrzeć, kiedy tak w cichości nocnej omaści swoim światłem drzewa, jakoby je kto srebrem obsypał. Lubię ja okrutnie siedzieć sobie w taką noc, spoglądać ku niebu i wszechmoność Boską podziwiać.

— Ano, pewnie, że dasza ludzka leci wówczas ni by na skrzydłach ku swemu Stwórcy—odparł ksiądz. — Bóg miłosierny stworzył tak samo miesiąc, jako i słońce—i to jest wielkie dobrodziejstwo... Bo jeszcze co do słońka, no—to w dzień przecie i tak widno, ale, żeby nie było miesiąca, tożby dopiero ludzie, jeżdżąc po nocy, karków nakręcili, nie mówiąc o tem, że w zupełnych ciemnościach i swawola dyabelska byłaby znacznie większa.

Na chwilę umilkli i wodzili oczyma po pogodnem niebie, poczem ksiądz zażył tabaki i dodał:

— Zakonotajcie sobie waćpanowie w pamięci, jak to dobrotliwa Opatrzność myśli nietylko o potrzebach ale i o wygodzie ludzkiej.

Dalszą rozmowę przerwał im tarcot kół, który w ciszy nocnej wyraźnie doleciał do ich uszu. Pan Cypryanowicz przypodniósł się z przyżby i rzekł:

— Jakiegoś gościa Bóg prowadzi, bo swoi wszyscy w domu. Ciekaw jestem, kto to może być?

— A naż kto z wiadomościami od naszych chłopaków!—odpowiedział ksiądz.

I powstali wszyscy, a tymczasem wasąg, zaprzężony w parę koni, wjechał w otwarty kołowrot.

— Niewiasta jakowaś na siedzeniu!—zawołał Łukasz Bukojemski.

— Prawda!

Bryczka, objechawszy pół dziedzica, zatrzymała się przed gankiem. Pan Serafin spojrział na twarz przyjezdnej niewiasty, rozpoznał ją przy blasku księżyca i zakrzyknął:

— Panna Sienińska!

I prawie na rękach wyniósł ją z wasąga, a ona pochyliła mu się zaraz do kolan i wybuchnęła płaczem.

— Sierota—rzekła—która o przytułek prosi i o ratunek!...

To rzekłszy, poczęła tulić się do jego kolan, obejmować je coraz silniej i łkać coraz żałośniej. Ogarnęło wszystkich tak wielkie zdumienie, że przez chwilę nikt słowa nie mógł przemówić, wreszcie pan Cypryanowicz podniósł ją, przycisnął do serca i zawołał:

— Póki mi tcha w nozdrzach, będę ci ojcem, sierotko. Ale cóż się stało? Wypędzili cię z Bełżączki, czy jak?

— Krzepecki mnie zbił i hańbą groził— odrzekła ledwie dosłyszalnym głosem.

Lecz ksiądz Woynowski, który stał tuż przy panu Serafinie, usłyszał odpowiedź, więc porwał się za białą czuprynę i zakrzyknął:

— Jezusie Nazareński, króla żydowski!...

A czterej panowie Bakojemsey spoglądali z otwartymi ustami i wytrzeszczonymi oczyma, nie nie rozumiejąc. Sereca ich poruszył wprawdzie od razu płacz sieroty, ale z drugiej strony pamiętali, że panna Sienińska uczyniła srogą krzywdę ich przyjacielowi, Taczewskiemu, pamiętali również nauki księdza Woynowskiego, że przyczyną wszelkiego złego na świecie bywa „malier“; więc poczęli następnie patrzeć na się pytającym wzrokiem, jakby w nadziei, że jeśli nie jednemu, to drugiemu przyjdzie jakowaś wyraźniejsza myśl do głowy.

Wreszcie Marek rzekł:

— A no, już-ci ci Krzepecey... to my tego Maryana w każdym razie... czy co?

I chwycił się za lewy bok, a za jego przykładem pozostali trzej bracia poczęli także macać rękojeści szabel.

Tymczasem pan Cypryanowicz wprowadził panienkę do pokoi i polecił gospodyni, pani Dzwonkowskiej, osobie czułego sereca i niepohamowanej wymowy, aby się nią zajęła jak najznakomitszym gościem. Rozkazał oddać jej własną sypialną komnatę, naniecié światła w domu, ognia w kuchni, wyszukać dryakwi uspakajającej spazmy i smarowideł na sińce, nagotować polewki winnej i różnych specyałów, samej zaś dziewczynieradził, by położyła się do łóżka, dokąd wszystko miało być jej podane — i wypocząć, odkładając szczegółową rozmowę do jutra.

Lecz ona chciała otworzyć zaraz serce przed tymi ludźmi, u których szukała ratunku. Chciała od razu wyrzucić z duszy cały ten ból, który się w niej nagromadził oddawna — i tę niedolę, i wstyd, i apokorzenie, i mękę, w której żyła w Bełżączce. Więc, zam-

knąwszy się z księdzem Woynowskim i z panem Serafinem, mówiła jakby ze spowiednikiem i z ojcem. Wyznała wszystko—i swój żal za Jackiem i to, że chciała wyjść za opiekuna tylko dlatego, iż sądziła, że Jacek nią pogardził, i że słyszała od Bukojemskich, jakoby miał żenić się z panną Zbierzchowską; wreszcie opowiedziała, jakie było jej życie, a raczej jaka męka w Betezaczee, więc i dokuczliwą złość panien Krzepcekich, i straszne zaloty Mareyana, i to, co zaszło w dniu ostatnim i co było ostatecznym powodem jej ucieczki.

A oni brali się za głowy, słuchając. Ksiądz Woynowski, dawny żołnierz, mimowoli sięgał ręką wzorem Bukojemskich do lewego boku, choć już dawno przy nim szabli nie nosił, a zacy pan Serafin co chwila obejmował drżącemi ze wzruszenia dłońmi skronie dziewczyny i powtarzał:

— A niech spróbuje cię odebrać. Miałem jeno syna, a teraz Bóg mi dał córkę...

Lecz ksiądz Woynowskiego uderzyło najbardziej to, co dziewczyna mówiła o Jacku. Pamiętając wszystko co zaszło, nie mógł się w tem teraz połapać.

Więc myślał, myślał, gładził całą szerokością dłoni mleczną czaprynę, wreszcie zapytał:

— Czyś waćpanna wiedziała o liście, jaki nieboszczyk Pągowski napisał do Jacka?

— Samam uprosiła opiekuna, aby go napisał.

— To już nie nie rozumiem. Czemu tak?

— Bom chciała, by wrócił.

— Jakoż miał wrócić?—zawołał z pewnym gniewem ksiądz.—List był taki, że właśnie po nim Jacek wyjechał z rozdartem sercem na kraj świata, aby zapomnieć i ten afekt, któryś waćpanna podeptała, wyrzucić z serca

A ona poczęła mrugać ze zdziwienia oczyma i złożyła jak do modlitwy ręce.

— Opiekun mi mówił, że to był ojcowski list...
Matko Najświętsza!—co w nim było?

— Wzgarda, obelgi i deptanie po ubóstwie i czei—
rozumiesz?

Na to z serca dziewczyny wyrwał się krzyk tak
bolesny i prawdziwy, że w księdzu zadrżało uczciwe
serce. Zbliżył się do dziewczyny, rozchylił jej dłonie,
którymi zakryła sobie twarz, i zawołał:

— Toś nie wiedziała?

— Nie wiedziałam—nie wiedziałam!

— I chciałaś, by Jacek wrócił?

— Tak!

— Na Boga! czemu tak?

Wówczas poczęły się jej znów z pod przymkniętych
powiek sypać łzy, prędkie i obfite, a dąże jak perły;
twarz jej splonęła dziewczęcym wstydem; poczęła łowić
w rozchylone usta powietrze, serce biło w niej, jak
w schwytanym ptaku, i wreszcie wyszeptala z wysileniem:

— Bo go... Kocham!...

— Bój że się Boga, dziecko! — zakrzyknął ksiądz.

Lecz głos załamał mu się w piersi, bo go też dła-
wiły łzy.

Ogarnęła go zarazem i radość, i niezmierna litość
dla dziewczyny, i zdumienie, że „mulier“ nie jest w tym ra-
zie przyczyną wszelkiego złego, ale niewinnem jagnię-
ciem, na które Bóg wie dlaczego spadły takie cierpienia.

Więc chwycił ją w ramiona, przycisnął do serca
i począł powtarzać raz po raz:

— Dziecko moje! dziecko moje!

A panowie Bakojemsey przenieśli się tymczasem
wraz ze szklanicami i z łagiewką do stołowej izby, wy-
pili sumiennie do dna miód i czekali na księdza i pana
Serafina w nadziei, że za ich przybyciem będzie poda-
na wieszczka.

Owi wrócili wreszcie ze wzruszeniem w obliczach i ze zroszonymi oczyma. Cypryanowicz odetchnął głębokoko raz i drugi, poczem rzekł:

— Pani Dzwonkowska kładzie teraz do łóżka niebożatko... Prawdziwie uszom się nie chce wierzyć... Jest i nasza wina — ale Krzepeccy — to już poprostu hańba! wstydi i tego bezkarnie puścić nie można.

— A to i owszem—odpowiedział Marek.—Pogadamy o tem z „Pniakiem“. Oj-oj!

Poczem zwrócił się do księdza Woynowskiego.

— Szczerze nam jej żal, ale tak przecież myślę, że ją Bóg za Jacka pokarał. Nieprawda?

A na to ksiądz:

— Głupiś waćpan!

— No to jakże? Co?

Więc staruszek, który miał pełne piersi żalą, począł mówić prędko i zapaleczywie o niewinności i męce dziewczyny, jakby chcąc w ten sposób wynagrodzić jej za tę niesprawiedliwość, jakiej się względem niej dopuścił — lecz po upływie pewnego czasu przerwało mu opowiadanie przybycie pani Dzwonkowskiej, która wpadła nagle jak bomba do fortecy.

Pani Dzwonkowska miała twarz tak zalaną łzami, jakby ją zanurzyła w pełnem wiadrze i zaraz od proga poczęła krzyceć z wyciągniętymi przed się rękoma:

— Łudzie, kto w Boga wierzył pomsty, sprawiedliwości! Na Bogu! pleczyki całe w sińcach, bielachne pleczyki jak opłatek... włoski ma garściami powyrywane, złociste włoski... gołąbek mój najmilszy, kwiatu-szek taki kochany! owieczka moja niewinna...

Co usłyszawszy, wzruszony już opowiadaniem księdza, Mateusz Bakojemski kiedy nie ryknie, kiedy nie zawtórzy mu Marek, Łukasz i Jan... aż służba zleciała się do izby, a psy poczęły szczeukać w sieni. Lecz

Wilezopolski, który w chwilę potem powrócił z objazdu nocnego stogów, trafił już na inny humor braci. Czapyryny ich były zjeżone, oczy zbiełałe z wściekłości, prawie gniotły rękojeści szabel.

— Krwi!—wołał Łukasz.

— Dawajcie sam takiego syna!

— Bij!

— Na szable!

I ruszyli, jak jeden mąż, ku wyjściu, lecz pan Cypryanowicz zaskoczył im ode drzwi.

— Stój!—krzyknął—kara, nie szablę, on godzi!



długo musiał pan Serafin uspokajać rozsierdzonych braci. Tłómaczył im, że gdyby zaraz usiekli Marcyana Krzepeckiego, nie byłby to szlachecki, ale zbójcecki uczynek. Wpierw—mówił—trzeba sąsiedztwo objechać, porozumieć się z księdzem Tworkowskim, mieć za sobą opinię szlachty i duchowień-

stwa, pościagać świadectwa służby z Befeżączki, następnie wnieść sprawę do Trybunału, a dopiero, gdy wyrok zapadnie, siłą go poprzeć. Gdybyście (mówił) zaraz Marcyana na szablach roznieśli, nie omieszkałby ojciec Krzepecki rozgłosić, żeście to uczynili w zмовie z panną Sienińską, przez co reputacya jej mogłaby ucierpieć—a was by stary pozwał i, zamiast na wyprawę

ić, musielibyście po sądach się włóczyć, bo nie będąc jeszcze pod inkwizycją hetmańską—nie moglibyście się od terminów uchylić. Ot co jest.

— Jakże?—pytał z żalem Jan.—To mamy płazem paścić krzywdę tego gołąbka?

— Zaś myślicie—zauważył ksiądz — że Marcyanowi Krzepeckiemu miłe będzie życie, gdy nad nim infamia albo i topór katowski zawisnie, a do tego gdy go wzgarda powszechna otoczy? Gorsza to męka, niż prędką śmierć, i nie chciałbym ja za wszystkie srebro olkuskie siedzieć teraz w jego skórze.

— A jeśli się wykręci?—spytał Marek.—Ojciec jego stary frant, którego już niejednym procesem wygrał:

— Jeśli się wykręci, to mu Jacek po powrocie do ucha słówko szepnie... Wy jeszcze Jacka nie znacie! dziewczyńskie on ma oczy, ale przezpieczniej z pod niedźwiedzicy niedźwiadki wyciągnąć, niżli jemu do żywego dojąć.

Na to Wilezopolski, który dotychczas milczał, ozwał się ponurym głosem:

— Pan Krzepecki już na się wyrok napisał i kto wie, czy powrotu pana Taczewskiego doczeka. Ale inną rzecz powiem: Będzie on pewnikiem chciał zbrojną ręką pannę napowrót brać i wtedy...

— Wtedy obaczmy!—przerwał pan Cypryanowicz.— A niech jeno spróbuj! To co innego!

I trzasnął groźnie szablą, a Bakojemsey poczęli wraz zgrzytać i powtarzać:

— Niech spróbuj! niech spróbuj!

Lecz Wilezopolski rzekł:

— Jeno, że waszmościowie na wojnę wyjeżdżacie...

— To się zaradzi!—odpowiedział ksiądz Woynowski.

Dalszą rozmowę przerwało przybycie piwniczego. Przywiózł on łaby z rzeczami panienki, co, jak mówił, nie przyszło mu bez trudności. Panny Krzepeckie usiłowały bronić i chciały nawet budzić brata, by też nie dawał. Ale dobudzić się go nie mogły, szlachcic zaś wmówił w nie, że trzeba to uczynić i dla ich własnego i dla braterskiego dobra, inaczej bowiem oskarżone będą o grabież cudzego mienia i wzięte na męki w sądzie. Złękły się tedy, jako niewiasty nie znające się na prawie, i przyzwoliły. Piwniczy mniemał także, że Marcyan będzie usiłował koniecznie odzyskać pannę, ale nie przypuszczał, by od razu uciekł się do przemocy.

— Powstrzyma go od tego — mówił — stary pan Krzepecki, który rozumie, czem pachnie „raptas pael-lae“! Nie on jeszcze nie wie, co się stało, ale ja stąd wprost pojedę i całą sprawę mu przedstawię, a to z dwóch przyczyn. Raz dlatego, by pohamował pana Marcyana, a powtóre, że nie chcę być jatro w Bełzączce w chwili, w której pan Marcyan się przebudzi i do- wie się, żem to ja ułatwił panience wyjazd. Porwałby się na mnie niechybnie i wówczas jednemu z nas mógłby się casus paskudeus przytrafić.

Pan Serafin i ksiądz Woynowski pochwalili roztro- pność piwniczego i, widząc, że człowiek jest życzliwy, a przytem doświadczony, który z niejednego pieca chleb jadał i któremu nawet i prawo jest nieobce — zaprosili go do spólnego sprawy rozważania. Uczyniły się tedy dwie narady, bo drugą złożyli w oficynie panowie Bu- kojemscy na własną rękę.

Pan Cypryanowicz, wiedząc, w jaki sposób najta- twiej można pohamować ich mężobójeze zamiary i za- trzymać ich w domu, podesał im do oficyny spory gąsior zacnego zieleniaku, który też zaraz radzi obsiedli i poczęli wzajem do siebie przepijać. Serca mieli wzru-

szone, a na myśl mimowoli nasuwały im się wspomnienia owej nocy, w której panna Sienińska po raz pierwszy przestąpiła progi domu w Jedlinie. Jęli sobie teraz przypominać, jak to się w niej natychmiast zakochali i jako się przez nią skłócili, a potem „unanimitate“ przeznaczyci ją Stanisławowi Cypryanowiczowi, czyniąc z własnych żądz ciężką dla przyjaźni ofiarę.

Wreszcie Mateusz pociągnął wina, wsparł głowę na dłoni, westchnął i rzekł:

— Jacek tej nocy na drzewie jak wiewiórka siedział. Któż się mógł wówczas domyślić, że to jemu właśnie ją Pan Bóg przeznaczył?

— A nam w sieroctwie trwać kazał—dodał Marek.

— Pamiętacie—zapytał Łukasz—jak to wtedy pojaśniało od niej we wszystkich izbach? Nie czyniłoby się jaśniej od stu świec jarzących. A ona to ci sobie wstała, to ci sobie siadła, to ci się uśmiechnęła... A co na cię spojrzała, to ci się tak ciepło w dołyżsku robiło, jakobyś się grzanego wina napił... Napijmy się i teraz na tę naszą tęskność okrutną.

Napili się znów—poczem Mateusz uderzył pięścią w stół i zakrzyknął:

— Ej! żeby ona tak tego Jacka nie miłowała!

— To i co?—zapytał oburkliwie Jan—to myślisz, żeby się zaraz w tobie zakochała. Patrzenie, jaki mi gładzysz!

— Dobrze, żeś ty nie kostropaty!—odparł Mateusz.

I poczęli na się nieżyczliwie spoglądać. Lecz Łukasz, choć zwykle do zwady wielce pochopny, począł ich godzić:

— Ni dla cię, ni dla cię, ni dla żadnego z nas—rzekł.—Inszy ją dostanie i do ołtarza powiedzie.

— A nam jeno żal i łzy—rzekł Marek.

— To się przynajmniej wzajem kochajmy. Nikt nas na świecie nie kocha! nikt!...

— Nikt! nikt!—powtarzali naprzemian, mieszając wino ze łzami.

— A ona tam sobie śpi!—ozwał się nagle Jan.

— Śpi niebożatko!—przywtórzył Łukasz—leży jako ten kwiatusek kosą podcięty, jako ta owieczka od bezecnego wilka podarta. Bracia rodzeni, zali tego wilka nikt nawet i za kadły nie wytarga?

— Nie może być!—zawołali Mateusz, Marek i Jan.

I poczęli znów się barzyć, a im więcej pili, tem częściej zazgrzytał to jeden, to drugi, albo też pięścią w stół aderzył.

— Mam myśli!—zawołał nagle najmłodszy.

— Mów! miej Boga w sercu!

— Ono, widzicie tak! Przyrzeklim panu Cypryanowiczowi, że „Pniaka“ nie rozsiekamy—prawda?

— Prawda, ale ty gadaj, nie pytaj!

— Wszelako pomścić się za naszą panienkę trzeba. Przyjedzie tu, jako mówili, stary Krzepecki próbować, czy ma pan Cypryanowicz dobrowolnie panny nie wyda. Ale my wiemy, że nie wyda! co?

— Nie wyda! nie wyda!

— Owóż, jak myślicie? nie wyskoczy li Marcyan na spotkanie wracającego ojca, żeby obaczyć i rozpytać, czy co wskórał?

— Jak Bóg na niebie, tak wyskoczy.

— Ano jest nawpół drogi między Bełzączką a Jedlinką smolarnia tuż przy gościńcu. A żebyśmy tak zaczękali na Marcyana w tej smolarni?...

— Dobrze! Ale po co?

— Jenó szal cicho!

— Szal...

I poczęli oglądać się po izbie, choć wiedzieli, że prócz nich niema w niej żywego ducha—a potem szeptać. Szeptali długo, to głośniej, to ciszej, wreszcie roz-

promieniły im się oblicza, dopili łuaszkiem wina, uści-
skali się wzajemnie i po cichu, gęsiego, jeden za dru-
gim wynieśli się z izby.

Posiodłali w największej ciszy konie i wyprowa-
dzili je za uzdy z podwórza. Minąwszy kołowrot, sie-
dli i jechali strzemię w strzemię, aż do wielkiego go-
ścińca; tam dopiero Jan, który, lubo najmłodszy, objął
tym razem komendę nad braćmi, rzekł:

— To ja z Markiem zaraz ruszamy do smolarni,
a wy tamtą beczkę przywieźcie jeszcze przede dniem.



tary Krzepecki, zgodnie z przewidywaniem piwnieczego przyjechał do Jedlinki zaraz następnego dnia po południu, ale nad wszelkie spodziewanie przyjechał z tak wesołym i dobrodusznym obliczem, że pan Cypryanowicz, który, mając zwyczaj drzemać po obiedzie, był trochę senny, aż roztrzeźwił

się ze zdziwienia na ów widok. Stary lis począł też od samego niemal progu mówić o sąsiedzkiej przyjaźni i o tem, jaką pociechą byłyby dla jego starości częstsze odwiedziny wzajemne; dziękował za gościnne przyjęcie i dopiero po skończonej wymianie grzeczności przystąpił do samej sprawy.

— Sąsiedzie dobrodzieja — rzekł — przyjechałem z powinnym pokłonem, ale zarazem, jak to masieliście

się już domyślić — i z prośbą, której, ze względu na mój wiek, tuszę, że zechcecie łaskawie wysłuchać.

— Rad uczynię zadość każdemu słasznemu żądaniu waszmości—odpowiedział pan Serafin.

A stary począł zacierać ręce:

— Wiedziałem!... z góry wiedziałem! — rzekł. — Bodaj to mieć z kimś rzetelnie mądrym do czynienia! Odrazu człek trafi do łada. Powiedziałem też mojemu synowi tak: „Zdaj to na mnie! Jaż (powiadam) jak z panem Cypryanowiczem sprawa, to wszystko pójdzie dobrze, bo nietylko tak rozumnego, ale i tak zaenego obywatela niemasz drągiego w całej okolicy.“

— Zbyt mi waszmość pochlebiasz.

— Nie, nie!—zamało jeszcze mówię!... Ale przystąpmy do sprawy.

— Przystąpmy.

Stary Krzepecki przez chwilę milczał, jakby szukając słów—i tylko poruszał szczękami, tak, że broda schodziła mu się z nosem—wreszcie uśmiechnął się wesoło, przyłożył dłoń do kolan pana Serafina i rzekł:

— Dobrodzieju... oto wiecie, że uciekł nam szczygieł z klatki.

— Wiem. Pono się kota przeląkł.

— Nie miłoś to z takimi rozmawiać!? — zawołał, zacierając ręce, stary—a to dowcip! Ksiądz Tworkowski pęknie z inwidy—jak mi Bóg miły!

— Słucham waszmości... .

— Owóż, ad rem i prosto z mosta: chcielibyśmy onego szczygiełka wziąć z powrotem.

— Czemu by nie?

Pan Krzepecki poruszył raz i drugi brodą w stronę nosa, bo zaniepokoiło go to, że sprawa idzie zbyt gładko. Jednakże klasnął w dłonie i zawołał z udaną radością:

— No, to i rzecz skończona! Bodaj się tacy ludzie na kamieniu rodzili!

— Ze mną skończona — odrzekł pan Serafin. — Trzebaby się tylko tej ptaszyny spytać, czy zechce wrócić, a to dziś jest niepodobna, bo ją waszmościen syn tak przydusił, że ledwo technie...

— Chora jest?

— Chora, leży w łóżku.

— A nie udaje?

Oblicze pana Serafina zasępiło się nagle — i rzekł:

— Mój mości panie, mówmy poważnie. Niegodnie, nie po ludzku, nie po szlachecku i zgoła haniebnie sobie waścien Marcyan z panną Sienińską postąpił — a i waszmość ciężko zawiniłeś przed Bogiem i ludźmi, żeś sierotę w takie ręce oddał i takiemu bezwstydnemu okrutnikowi ją powierzył.

— Niema i ćwierci prawdy w tem, co ona mówi! — zawołał stary.

— Jako? przecie waść nie wiesz, co ona mówi, a już przeczysz. Nie ona mówi, jeno sińce i ślady rązów za nią mówią, które moja klucznicia na jej młodem ciele widziała — a co do Marcyana — widziała cała służba w Bełżączce jego zaloty, a potem jego okrucieństwo i świadczyć w razie potrzeby gotowa. Jest u mnie Wilczopolski, który dziś jeszcze wyjedzie do Radomia opowiedzieć księdzu Tworkowskiemu, co się stało.

— Aleś waszmość mi obiecał, że dziewczkę oddasz.

— Nie! mówiłem jeno, że nie będę wstrzymywał. Zechce li wrócić, dobrze! Zechce u mnie zamieszkać — drugie dobrze! Tego jednak waćpan ode mnie nie wymagaj, abym ja sierocie srodze pokrzywdzonej dachu i kawałka chleba odmawiał.

Żuchwy starego Krzepeckiego poczęły się poruszać raz po razu. Przez chwilę milczał, potem rzekł,

— Waćpan masz słuszość—i nie masz słuszości. Sierocie dachu i chleba wzbronieć — niegodny byłby to uczynek, ale jako człek roztrotny, rozważ sobie, że co innego jest gościnności nie odmawiać, a co innego rebelię przeciw powadze rodzicielskiej popierać. Szezerze ja miłując moją najmłodszą córkę, Tećkę, ale przecie zdarzy się że jej czasem dam szturchańca. Więc jakże? To gdyby, skarciona przeze mnie, uciekła do waszmości—nie pozwoliłbyś mi jej zabrać, albo zdałbyś to na jej zgodę? Pomyśl waćpan... Jakież to byłby za porządek na świecie, gdyby białogłowy chciały mieć własną wolę? Przecie i ta, która jest zamężna, choćby i stara, musi mężowi ulegać i jego rozkazów słuchać, a cóż dopiero nieletnia dziewczka rozkazów ojca albo opiekuna?

— Panna Sienińska nie jest waszmości córką, ani nawet krewną.

— Aleśmy opiekę nad nią po panu Pągowskim odziedziczyli. Gdyby pan Pągowski był dziewczynę pokarał, pewniebyś waćpan nie miał ni słowa do powiedzenia; więc też to samo jest i co do mnie, i co do mego syna, któremu rządy w Bełzączce zwierzyłem. To trudno! ktoś musi rządzić, ktoś musi mieć prawo kary! Nie przeczę, że Marcyan, jako młody a porywczy, może i przebrał miarę, zwłaszcza gdy go niewdzięcznością nakarmiła. Ale to moja rzecz! Obaczę, osądzę i ukarzę — ale dziewczę z powrotem zabiorę, i tak myślę, że z przeproszeniem waszmości, nawet i sam król jegomość nie miałby prawa w tem mi jakowychś przeszkód czynić.

— Waćpan mówisz jak w trybunale — odrzekł pan Cypryanowicz—i nie neguję, że masz za sobą pozory. Ale pozór co innego, a co innego istna prawda. Ja waszmości nie chcę w niczem przeszkadzać, jeno po-

wiem szczerze, jest jakaś ludzka opinia, z którą i wam radzę się liczyć. Waćpanu nie chodzi o pannę Sienińską, ani o opiekę nad nią, jeno podejrzewasz, że u księdza Tworkowskiego może się znaleźć testament z zapisem dla dziewczyny, przeto boisz się, aby ci się razem z nią i Bełczączka nie wymknęła. Niedawno jeszcze słyszałem, jako jeden z sąsiadów mówił tak: „Żeby nie ta niepewność, pierwsi by oni sierotę z domu wygnali, bo ci ludzie Boga w sercu nie mają”.—Okrutnie mi to ciężko mówić waćpanu takie rzeczy w moim domu, ale trzeba, żebyś to wiedział.

W oczach starego Krzepeckiego zabłyśły płomienie gniewu, ale przemógł się jeszcze i odrzekł spokojnym, lubo nieco przerywanym głosem:

— Złość ludzka! podła złość—nie więcej, a w dodatku i bezrozum. Jakże? To niby mielibyśmy wypędzać z domu dziewczkę, z którą Marcyan chce się żenić? Zastanów się waćpan na miły Bóg! Dyć to się jedno drugiego nie trzyma.

— Powładają tak: jeśli się pokaże, że Bełczączka dla niej—to się Marcyan z nią ożeni, a jeśli nie—to ją jeno pohańbi. Jać nie jestem nieczyjem samieniem, więc jeno powtarzam, co mówią, z tym wszelako własnym dodatkiem, że syn waszmościów groził dziewczynie hańbą. To wiem pewnie—i waćpan, który Marcyana i jego sprośne żądze znasz—wiesz także, że tak było...

— Wiem ci ja to i owo, ale nie wiem, do czego waćpan zmierzasz.

— Do czego zmierzam? Ot, do tego, com już waści rzekł. Jeśli panna Sienińska zgodzi się wrócić do was, tedy nie mam żadnego prawa ani waszej, ani jej woli się przeciwieć, ale jeśli nie, to jej z domu nie wypędzę, bom jej to już obiecał.

— Nie o to idzie, byś ją waćpan wypędzał, jeno o to, byś ją wziąć dozwolił, tak samo, jakbyś dozwolił, gdyby chodziło o którą z moich córek. O to tylko proszę, byś nam woprzek nie stawał.

— Tedy powiem wyraźnie: na żaden gwałt nie pozwolę! W domu moim ja pan, i waszmość — któryś o króla wspominał—powinieneś rozumieć, że tego prawa nawet król jegomość negować mi nie może.

Usłyszawszy to, pan Krzepecki zaciśnął pięść, tak, że aż paznogie wpiły mu się w dłonie, i rzekł:

— Gwałt? Tęgo właśnie się boję. Ja, jeśli miałem co przeciw ludziom (a któż nie miał do czynienia ze złością ludzką?), tom przeciw nim prawem, nie gwałtem zawdy czynił. Ale to nieprawda, co przysłowie mówi, że jabłko niedaleko pada od jabłoni... Czasem pada daleko... Ja dla dobra i dla przepieczeniństwa waszmości chciałem zgodnie załatwić sprawę... Waćpan tu bezbronny w lesie siedzisz, a Marcyan... — ciężko ojcu o syna to mówić — nie całkiem wdał się we mnie... Wstyd mi wyznać, ale ja ręczyć zgoła za niego nie mogę... Boi się cały powiat jego zapaleczywości — i słusznie, bo on na nie gotów nie zważać, a ma z pięćdziesiąt szabel na zawołanie... Waćpan zaś... waćpan bezbronny, repeto, w lesie siedzisz... i z tem radzę się poradzić... Ja sam się boję...

Na to wstał pan Cypryanowicz i, zbliżywszy się do Krzepeckiego, spojrzął mu w same białka oczu.

— Waść chcesz mnie przestraszyć? — zapytał.

— Ja sam się boję... — powtórzył stary Krzepecki.

Lecz dalszą rozmowę przerwały im nagłe krzyki z podwórza od strony lamusa i kuchni, więc skoeczyli do otwartego okna i w pierwszej chwili skamienieli ze zdumienia. Oto wśród opłotków biegł ze strasznym impetem w stronę kołowrotu i dziedzińca jakiś nadzwyczajny

czajny potwór, niepodobny do żadnego ze stworzeń, na ziemi widywanych, a za nim na rozhukanych koniach pędzili czterej Bukojemscy, krzycząc i wywijając w powietrzu harapami. Potwór pierwszy wpadł w podwórze a za nim zwalili się podobni do piekielnych szeszwaczy bracia i poczęli go gnać wokół wirydarza.

— Jezusie, Maryo! — krzyknął pan Cypryanowicz.

I wypadł na ganek, a za nim podążył w te pędy stary Krzepecki.

Wówczas dopiero mogli się lepiej przypatrzeć. Potwór miał pozór olbrzymiego ptaka, ale zarazem i jeźdźca na koniu, biegł bowiem z jakąś postacią na grzbiecie i na czterech nogach. Ale i jeździec i koń byli do tego stopnia puchem pokryci, że głowy ich wyglądały jakby dwa kłęby pierzaste. Nie było zresztą możliwości rozeznąć nic dokładnie, bo bachmat biegł jak wichur w krąg dziedzińca, a panowie Bukojemscy dojeżdżali go zblizka, nie szeszcząc razów, od których odrywały się puchy i spadały na ziemię, lub też krążyły naksztadt śniegowych płatków w powietrzu.

Przytem potwór ryczał jak ranny niedźwiedź, bracia również i w ogólnym wrzasku ginęły głosy pana Cypryanowicza i starego Krzepeckiego. którzy wołali ile sił w płucach:

— Stójcie! na rany boskie, stójcie!

Lecc tamci pędzili, jakby ogarnęło ich szaleństwo, i obiegli z pięć razy dziedziniec. Jednakże z kuchni, z oficyn, ze stajen, od strony stodół i gumna zbiegła się liczna służba, która, słysząc okrzyk: „stójcie!“ powtarzany jakby z desperacją przez pana Serafina, skoczyła ku koniom panów Bukojemskich i poczęła je hamować, chwytając za uzdy i wędzidła. Osadzono wreszcie bachmaty braci, lecc z pierzastym koniem była trudność największa. Bez uzdy, cięty batożkami, shu-

kany i przerażony, wspinał się na widok ludzi lub błyskawicznym ruchem zawracał w bok, tak, że zatrzymano go dopiero wówczas, gdy, zebrawszy się w sobie, gotował się do przekroczenia płotu. Jeden z czeładzi porwał go za chmyza między uszami, drugi za chrapy, kilku za grzywę: nie mógł z takim ciężarem przeskoczyć i padł na przednie nogi; zerwał się wprawdzie zaraz, ale już nie próbował się wyrwać, tylko począł drżeć na całym ciele.

Zdjęto wówczas jeźdźca, który dlatego, jak się pokazało, nie zleciał, że miał nogi silnie pod końskim brzuchem skrępowane, i obdarto mu twarz z puchu. Ale pod puchem okazała się twarz całkiem pokryta gęstą smołą, tak, że rysów niepodobna było rozeznaczyć. Jeździec dawał zresztą słabe oznaki życia, więc dopiero, gdy przyniesiono go na ganek, poznał go stary Krzepecki, poznał także pan Serafin i obaj krzyknęli z przerażeniem:

— Marcyani!

— A ten ci to paskudnik jest! — rzekł na to, dysząc, Mateusz Bukojemski—skaraliśmy go coś nie coś i przygnali tutaj, aby panna Sienińska wiedziała, że są jeszcze czułe dusze na świecie.

A pan Cypryanowicz aż porwał się za głowę:

— Jechał że was sęk z takimi czułymi daszami! zbójce jedni!

Poczem, zwróciwszy się do pani Dzwonkowskiej, która, nadbiegłszy wraz z innemi, zegnała się krzyżem świętym, zawołał:

— Wódki ma do gęby nalać, otrzeźwić—i do łóżka!

Uczył się ruch i zamieszanie. Jedni skoczyli gotować łoże, inni po grzaną wodę, inni po wódkę, kilku obdzierało puch z Marcyana, w czem pomagał im stary Krzepecki, zgrzytając zębami i powtarzając:

— Żyje?... nie żyje? Żyje! Pomsty! pomsty!...

Poczem zerwał się nagle, przyskoczył do pana Serafina i, zakrzywiwszy palce nakształt szponów przed samymi jego oczyma, począł krzyczeć:

— Byłeś w znowie! zabiłeś mi syna — zbroju ormiański!

A Cypryanowicz pobladał bardzo i chwycił za szablę, lecz w tej samej prawie chwili wspomniął, że jest gospodarzem, a Krzepecki gościem; więc puścił rękonożę, a natomiast podniósł dwa palce w górę i rzekł:

— Na tego Boga, który jest nad nami, przysięgam, że o niczem nie wiedział — i na krzyżu gotowem zaprzysiądz — amen!

— My świadkami! — zawołał Marek Bukojemski.

— Cypryanowicz zaś dodał:

— Bóg wasci skarał, boś to wasć mi groził, jako bezbronnemu starcowi zapaleczywością swego syna. Ot, masz jego zapaleczywość!

— Kryminał! — ryczał stary — kat na was i pod miecz wasze głowy! Pomsty! Sprawiedliwości!...

— Ot, czegoście narobili! — rzekł pan Serafin, zwracając się do Bukojemskich.

— Mówilim, że lepiej od razu ucicie — ozwał się Łukasz.

Lecz tymczasem nadbiegła pani Dzwonkowska z wódką gdańską i poczęła ją lać z flaszki w otwarte usta Marcyana. Ów zakrzuszył się i zaraz otworzył oczy.

Ojciec przypadł ku niemu.

— Żyjesz! żyjesz? — zawołał z wybuchem dzikiej radości.

Lecz Marcyan nie mógł jeszcze dać odpowiedzi i leżał, jak wielki pułacz, który, postrzelony z rusznicy, padnie na grzbiet i dyszy na rozłożonych skrzydłach. Jednakże przytomność mu wracała a z nią i pamięć.

Wzrok jego przeszedł z twarzy ojca na oblicze pana Serafina, a potem zatrzymał się na Bukojemskich i stał się tak straszny, że gdyby w sercach braci było choćby najmniejsze miejsce na bojaźń, byłby ich dreszcz przeszedł od stóp do głów.

Ale oni postąpili tylko jeszcze krokiem ku niemu, nakształt czterech byków gotowych bóść, a Mateusz zapytał:

— Czego? Mało ci?



kilka godzin później stary Krzepecki zabrał Mareyana do Bełżączki, labo ten nie mógł się jeszcze trzymać na nogach i nie bardzo wiedział, co się z nim dzieje. Poprzednio służba wykapała go, wymyła z wielkim tradem i przebrała w świeżą bieliznę, ale właśnie po ukończeniu tych wszystkich czynności przyszło nań osła-

bienie tak wielkie, że kilkakrotnie zemdłał i że dzięki tylko wódkom pani Dzwonkowskiej, nalewanym na dzięgiel i na kurze ziele, przyprowadzony był do przytomności. Pan Serafin radził położyć go do łóżka i czekać z wyjazdem tak długo, póki całkiem nie wydobrzeje, lecz rozwścieczony w sercu stary Krzepecki nie chciał

się na to zgodzić, aby nie zaciągać długa wdzięczności względem człowieka, przeciw któremu zamierzał z powodu zatrzymania panny Sienińskiej prawem czynić. Kazał tedy wymościć skarbniczek sianem i, ułożywszy Marcyana na kilimie jak na łożu, ruszył, wśród pogroźek na Bakojemskich i na samego gospodarza, do Bełczączki. Było przytem aż śmieszne, że mówiąc ciągle o pomście, musiał jednak przyjmować pomoc Cypryanowicza i zapożyczać od niego szat, bielizny i siana; ale, zaślepiony gniewem, weale tego nie czuł, a pan Serafinowi było też nie do śmiechu, albowiem uczynek czterech braci wielce go skłopotał i zaniepokoił.

Tymczasem nadjechał wezwany umyślnie listem ksiądz Woynowski. Bakojemscy, wielce skonfundowani, siedzieli w oficynie, nie pokazując nosa, więc pan Cypryanowicz sam musiał opowiadać wszystko, co zaszło, a ksiądz słuchał, słuchał, od czasu do czasu uderzał się dłońmi po połach sutanny, ale nie gorszył się tak bardzo, jak pan Serafin przypuszczał.

A wreszcie rzekł:

— Jeżeli Marcyan umrze, to Bakojemskim będzie bieda, ale jeśli, jak miemam, się wyliże, w takim razie prędzejbym przypuścił, że będzie się mścił prywatnie, niż żeby miał im sprawę wytaczać.

— Czemu zaś tak?—zapytał pan Serafin.

— Bo to niemiła rzecz na śmiech się całej Rzeczypospolitej podawać. Przytem musiałby wyjść na jaw i jego proceder z panną Sienińską, a to też nie przyczyniłoby mu dobrej sławy. Niechwałebne on życie pędził, przeto lepiej mu nie narażać się na to, aby świadkowie coram publico musieli wyznawać wszystko, co o nim wiedzą.

— To może i słusznie — rzekł Cypryanowicz — ale przecie Bakojemskim trudno wybaczyć taką swawolę.

A ksiądz machnął tylko ręką.

— Bukojemsey jak to Bukojemsey!

— Cóż? — zapytał ze zdziwieniem pan Serafin — myślałem, że jegomość bardziej się zgorszysz.

— Mój mości panie—odparł starszek—wać służywałeś wojskowo, ale nie tak długo, jak ja. A jam się przez cały bieg żywota tyła żołnierskim swawolom natrzył, że mnie już byle jaka nie zadziwi. Źle jest, że tak jest, i zganię ja ci to Bukojemskim, ale widywałem rzeczy gorsze, tem bardziej, że tu chodziło o sierotę. Ba! powiem szczerze, iż bardziej bym się gorszył, gdyby Marcyanowi uszły całkiem płazem jego uczynki. Pomyśl waść, żeśmy starzy, ale gdybyśmy byli młodzi, to by nam też zawrzały serca. Oto, dlaczego nie mogę całkiem potępić Bukojemskich.

— Zapewne, zapewne — wszelako Marcyan może i jutra nie dożyje.

— W boskiem to ręką, ale mówiłeś waćpan, że nie ranny?

— Nie, jeno jak jeden siniec—i ciągle mślał.

— To się i wyliże, a mślał z fatygi. Ale trzeba pójść do Bukojemskich i rozpytać, jak co było.

I poszedł. Bracia przyjęli go z radością, albowiem mieli nadzieję, że wstawi się za nimi do pana Cypryanowicza. Poczęli się też zaraz kłócić o to, który ma zdawać relację — i przestali dopiero wówczas, gdy ksiądz przyznał pierwszeństwo Mateuszowi.

Więc ów zabrał głos i tak prawił:

— Ojcie dobrodzieju, Bóg patrzył na naszą niewinność!... Bo kiedyśmy się dowiedzieli od pani Dzwonkowskiej, że sierotka całe ciążeczko ma w sińcach, przyszlismy do tej tu oficyny w takiej żałości, że gdyby nie dzbaniec wina, którego gospodarz nam podesał, chybaby nam się były serca rozpuły. To mówię jego-

mości — pilim i płakalim — pilim i płakalim!.. A i to też mieliśmy na pamięci, że to nie byle dziewczka, ale panna z senatorskiego rodu... Dyć wiadomo, że na ten przykład: koń? — im większej krwi, tem na nim skóra cieńsza. Smagnij batem zwykłego podjezdka, to ledwie poczuję, a na szlachetnym ramaku zaraz ci pręga wy-skoczy... Pomyście tedy, ojeze dobrodzieja, jaką to masi mieć skóreczkę i na plecach i wszędy takie pa-niątko?—czy nie jak opłatek?—sami powiedzcie?

— A co mnie tam do jej skóry—odrzekł opryskli-wie ksiądz Woynowski. — Mówcie lepiej, jakeście Mar-cyana przyłapili.

— Przysięgliśmy panu Cypryanowiczowi, że go nie rozsiekamy, aleśmy wiedzieli, że stary Krzepecki tu przyjedzie i wraz przyszło nam do głowy, że Mar-cyan wyskoczy naprzeciw. Tedy wedle umowy dwóch z nas przytaszczyło jeszcze do dnia wielką solówkę z darterem pierzem od jednej leśnikowej do smolarni, a dwóch wybrało na miejscu beczkę co gęstszej smoły— i czekaliśmy przy chałupie. Patrzym — jedzie stary Krzepecki — nie to! niech jedzie! Czekamy, czekamy, aż nam się przykrzy i już myślimy, czyby nie jechać do Betezączki, a wtem pacholek od smolarza daje znać, że nadjeżdża Marcyan gościńcem. Wyjechalim i my, stanęlim wpoprzek na drodze: Czołem! — Czołem! — A dokąd to?—Przed siebie (powiada), prosto borem. — A na czyją szkodę? — Na szkodę (powiada) czy na ko-rzyść, odczepcie się! — I do szabli. A my go za kark. O! nie może być! W mig ściągnęliśmy z konia, które-go Jan pochwycił, i wleczem. Począł krzyczeć, wywi-jać nogami, kąsać, zgrzytać, a my go piorunem do be-czek, które stały jedna przy drugiej, i prawim: O! taki synu! to sieroty będziesz krzywdził, panienkam hańbą groził, na wielką krew nie zważał — po pleckach sma-

gał, i myślisz, że nikt się za nimi nie ujmie: poznaj, że są litościwe serca. I buch go łbem na dół w smołę. Wydobyłim i znów: Poznaj, że są czałe dusze!—I buch go w pierze! —Poznaj kawalerską fantazyę! —buch go drugi raz w smołę! —Poznaj Bakojemskich — buch go znów w pierze! Chcielim i trzeci raz, ale smolarz począł krzyceć, że się zatknie, a on też oblepił się godnie, tak, że mu ni nosa, ni oczu nie było widać. Wtedy posadziliśmy go na terlicę i przywiązali nogi ciasno pod brzuchem, żeby nie zleciał. Konia pomalowaliśmy kwaczem i posypali też puchem, a potem dość dzikiego zprzyrodzenia bachnata wysmagaliśmy batogami i, zdjąwszy mu uzdę, pognali przed się.

— I przygnaliście go tu?

— Jako osobliwego zwierza, bo chcieliśmy choć trochę panienkę pocieszyć i pokazać jej nasze braterskie afekta.

— A ładnieście ją pocieszyli! Ujrzawszy go przez okno, mało ze strachu nie umarła.

— No, ale jak ochłonie, to przecie wdzięcznie o nas pomyśli. Sierocie zawsze miło czuć nad sobą opiekę.

— Więcej wyście jej złego niż dobrego uczynili. Kto wie, czy jej teraz Krzepeccy nie odbiorą.

— Jako-że? na miły Bóg! Albo to my damy!

— A kto będzie dziewczki bronil, gdy was do wieży zamkną?

Usłyszawszy to, bracia stropili się wielce i zaczęli spoglądać na się frasobliwemi oczyma.

Wreszcie jednak Łukasz uderzył się w czoło i rzekł:

— Do wieży nas nie zamkną, bo pierwaj na wyprawę ruszymy, ale jeśli tak, jeśli o bezpieczeństwo panny Sienińskiej chodzi, to i na to znajdzie się rada.

— Oj-oj!—zawołał Marek.

— Jaka rada?—zapytał ksiądz.

— Poślemy parol Marcyanowi, jak tylko ozdrowieje. Nie wyjdzie żyw z naszych rąk!

— A jeśli zaraz umrze?

— Tedy zaradzi Bóg.

— Ale wy gardłem przypłacicie!

— Przedtem turków nałuszczymy, za co Pan Jezus nam nagrodzi. Niech tylko jegomość wstawi się za nami do pana Cypryanowicza, bo gdyby Stach tu był, toby też kąpał Marcyana razem z nami.

— A Jacek to niby nie?—zapytał Mateusz.

— Jacek sprawi mu lepszą łaźnię!—zawołał, jakby mimowoli, ksiądz.

Dalszą rozmowę przerwało przybycie pana Cypryanowicza, który właśnie przychodził z jakimś ważnym i gotowem już postanowieniem, albowiem ozwał się z wielką powagą:

— Myślałem o tem, co nam czynić należy—i wiesz jegomość com obmyślił? Oto trzeba nam wszystkim do Krakowa wraz z panną Sienińską jechać. Nie wiem czy tam obaczym naszych chłopaków, bo nikt nie wie, gdzie chorągwie będą i wedle jakiej dyspozycyi w pole ruszą, ale trzeba dziewczynę pod opiekę króla albo królowej Jejmości oddać, lub, gdyby się to nie udało, to choćby w jakowymś klasztorze ją na czas ubezpieczyć. Postanowiłem, jako jegomości wiadomo, zaciągnąć się na stare lata, aby razem z synem służyć, albo, jeśli taka wola Boska, razem i zginąć. Pódezas naszej nieobecności nie byłoby dziewczynie bezpiecznie nawet i w Radomiu, pod opieką księdza Tworkowskiego... Tym ichmościom (tu wskazał na Bakojemskich) trza też prędko znaleźć się pod inkwizycją hetmańską. Tu niewiadomo, co się stanie... Mam znajomych na dworze: pana Mateczyńskiego, pana Gnińskiego, pana

Grothusa—i myślę, że potrafię ich protekcyę dla sieroty pozyskać, co gdy się stanie, rozpytam o chorągiew Zbierzchowskiego i prosto do syna ruszę—gdzie też i jegomościnego Jacka zobaczę. Co?

Dla Boga!—zawołał ksiądz Woynowski—to jest arcy przednia myśl. I ja z wami! i ja z wami... do Jacka!... A co do panny Sienińskiej—jużci! Siła Sobiescy Sienińskim powinni! Będzie jej w Krakowie bezpiecznie—i bliżej... Bo i Jacek—jestem pewien—nie zapomni!... A po wojnie co Bóg da, to będzie... Dadzą mi tu zastępcę z Radomia do parafii— a ja z wami!...

— Wszyscy razem!—huknęli z radością Bukojemscy—do Krakowa!

— I na pole chwały!—zakończył ksiądz.



astały narady o wyprawie, nietylko bowiem żaden głos nie odezwał się przeciw niej, ale nawet i ksiądz Woynowski począł starać się o drugiego wikarego w Radomiu. Zresztą było to postanowienie dawniejsze, zmienione tylko o tyle, że obecnie przyłączył się do niego zamiar odwiezienia panny Sienińskiej do Krakowa i zabezpieczenia jej przed pościgiem Krzepeckich za pomocą opieki królewskiej lub klasztornej.

Przewidywał pan Cypryanowicz, że królowi zajętemu wojną nie pora będzie mówić o sprawach prywatnych, ale pozostawała królowa, do której łatwo było znaleźć wstęp przez znajomych dygnitarzy, spokrewnionych po największej części z domami Sienińskich i Taczewskich.

Były obawy również, aby na Jedlinkę nie napadli po wyjeździe gospodarza i Bukojemskich Krzepeccy i nie zrabowali wielkich dostatków w sprzętach i srebrach, znajdujących się we dworze. Ale Wilezopolski zaręczał, że się z czeladzią i z borowymi obroni i niczego tknąć nie da. Srebra wywiózł jednakże pan Serafin do Radomia i w depozycie w klasztorze Bernardynów zostawił—gdzie już i poprzednio ulokował był znaczne samy, nie chcąc ich trzymać w domu, wśród rozległej paszczy kozienickiej.

Tymczasem nadstawał pilnie ucha pan Serafin na wieści z Bełzączki, dażo bowiem od nich zależało. Gdyby Marcyan umarł, spadłaby na Bukojemskich ciężka odpowiedzialność; w przeciwnym zaś razie była nadzieja, że nawet i procesu nie będzie, trudno bowiem było przypuścić, aby Krzepeccy chcieli dobrowolnie wystawiać się na pośmiewisko. Za pewniejszą jeszcze rzecz uważał pan Cypryanowicz, że i stary Krzepecki nie zostawi go z powodu panny Sienińskiej w spokoju; myślał jednak, że gdy sierota raz znajdzie się pod opieką królewską, to tem samem zbraknie treści do sprawy.

Wiedzieli tedy przez piwniczego, że Krzepecki ojciec jeździł do Radomia i do Lablina, ale jakoś krótko tam bawił.

Co do Marcyana, przez pierwszy tydzień po wypadku chorzał ciężko i była obawa, że smoła, której napił się obficie, zadławi go, albo całkiem pozatyka mu wnętrzności. Lecz w drugim tygodniu uczyniło mu się lepiej. Nie opuszczał wprawdzie łoża, albowiem nie mógł trzymać się na nogach, kości bolały go okrutnie i czuł się „in summo grado fatigatus“, ale począł już zionąć przekleństwa na Bukojemskich i rozkoszować się myślą o pomście. Jakoż po upływie dwóch niedziel poczęła się zjeżdżać do niego jego „radomska kompa-

nia“: rozmaici obwiesie z szablami na konopnych rapciach, w dziurawych butach i z zapadłemi brzuchami, wiecznie głodni i spragnieni. A on uradzał z nimi i coś knował, nietylko przeciw Bukojemskim i panu Cypryanowiczowi, ale także przeciw pannie Sienińskiej o której bez zgrzytania nie wspominał i takie potwary na nią wymyślał, że aż ojciec musiał go przestrzegać, iż to już kryminałem pachnie.

Echa tych knowań i groźb dochodziły do Jedlinki i rozmaite na różne osoby czyniły wrażenie. Pan Serafin, człowiek odważny ale i rozważny, trochę się niemi niepokoił, zwłaszcza gdy przychodziło mu na myśl, że ta nieprzyjaźń ludzi złych i niebezpiecznych spadnie także i na jego syna. Ksiądz Woynowski, który miał gorętszą krew w żyłach, oburzał się wielce—i prorokował, że Krzepeccy źle skończą, a zarazem, lubo już całkiem przejednany dla panienki, zwracał się jednakże od czasu do czasu to do pana Cypryanowicza, to do Bukojemskich, i mówił:

— Kto wzniecił wojnę trojańską? — malier! Kto zawdy przyczyną bitew i kłótni?—malier! I tym razem tak jest! Winna, czy niewinna, ale malier!

Lecz Bukojemscy lekce sobie ważyli niebezpieczeństwo, grożące wszystkim od strony Marcyana, a nawet różne sobie obiecywali z tej przyczyny uciechy. Ostrzegano ich jednak z wielu stron bardzo poważnie. Panowie Sulgostowsey, panowie Silniccy, Kochanowsey i inni, wszyscy wielce oburzeni przeciw Marcyanowi, przyjeżdżali kolejno do Jedlinki z wiadomościami, że ów kapę zbiera i pono osaczników z puszczy nawet zaciąga. Ofiarowali też pomoc, ale bracia nie chcieli pomocy, i Łukasz, który najczęściej w imieniu wszystkich przemawiał, tak raz odpowiedział Rafałowi Silnickiemu, który zaklinał ich, by się mieli na baczności:

— Oj-jej! Nie zawadzi przed wojną przypomnieć sobie proceder i ręce, które nam już porzadziały trochę, rozprostować i wprawić. Bełżączka nie żadna forteca, przeto niech Marcyan o własnem bezpieczeństwie myśli, bo któż wie, co go może jeszcze spotkać, a jeśli nas chce niewdzięcznością nakarmić, to owszem niech spróbuje!

Spojrzał na to z pewnem zdziwieniem po braciach pan Silnicki i odrzekł:

— Niewdzięcznością nakarmić? No! jużci wdzięczności on chyba waćpanom nie winien.

Lecz Łukasz oburzył się szczerze:

— Jakto nie winien? Zali to nie mogliśmy go rozslekać? Któż go urodził? Raz pani Krzepecka, a drugi raz nasza dyskrecya, ale jeśli ciągle będzie na nią liczył, to powiedz mu waćpan, że się pomyli.

I dołóż, że tyle pannę Sienińską zobaczy, ile własne uszy—dodał Marek.

A Jan zakończył:

— Dlaczego nie? Nietrudno obcięte uszy obaczyć.

I na tem skończyła się rozmowa. Bracia powtórzyli ją panie Sienińskiej, aby ją uspokoić; co jednakże było zbyteczne, albowiem panienka nie była z natury bojaźliwa, a przytem, o ile bała się Krzepeckich, a w szczególności Marcyana w Bełżączce, o tyle była przekonana, że w Jedlinie nie jej już nie grozi. Ujrzawszy przez okno na drugi dzień po przybyciu do Jedlinki Marcyana w pierzu, w postaci jakby jakiegoś szkaradnego zwierza, gnanego batami przez Bakojemskich, po pierwszych chwilach okrutnego przerażenia, pomieszanego ze zdamieniem a nawet litością, nabrała takiej ufności w potęgę i moc braci, że nie umiała sobie nawet wyobrazić, jak ktokolwiek mógł ich się nie bać. Marcyan uchodził przecie za człowieka groźnego

i za zabijakę, a oto co oni z nim zrobili. Wprawdzie poszczerbił ich wszystkich w swoim czasie Jacek—ale Jacek przerastał całkiem teraz w jej oczach zwykłych ludzi i wogóle pokazał się jej przed ostatnią rozłąką ze strony tak nieznaney, że wcale nie wiedziała, jaką go mierzyć miarą. Wzmianki, jakie czynili o nim sami Bukojemsey i pan Cypryanowicz, wraz ze słowami księdza, który najczęściej o nim wspominał, utwierdziły w niej tylko podziw dla tego przyjaciela lat dziecinnych, który niegdyś był jej tak blizkim, a teraz stał się tak dalekim i odmiennym. Utwierdziły one w niej i tęsknotę za nim i to słodsze jeszcze uczucie, z którego raz wypowiedawszy się w chwili uniesienia księdzu Woynowskiemu, zamknęła się znów w głębi serca, jak bywa zamkniętą perła w muszli.

Miała przytem jakąś niezachwianą niezem pewnością w duszy, że musi się z nim spotkać i że go nawet wkrótce zobaczy. Że zaś wyrwała się z domu Krzypeckich, że czuła nad sobą potężną opiekę ludzi życzliwych, więc ta pewność stała się otuchą i radością jej życia. Wróciło jej zdrowie, wróciła wesołość—i zakwitła znów, jak kwiat na wiosnę. Stało się od niej jaśniej w całym, tak dotychczas poważnym dworze jedlińskim. Pozbadła zupełnie panią Dzwonkowską, pana Cypryanowicza i Bukojemskich. Było jej wszędzie pełno— a gdzie pokazał się jej zadarty nosek i zaświeciły jej młode, wesołe oczy, tam radość i uśmiechy pojawiały się na wszystkich twarzach. Bała się tylko trochę księdza Woynowskiego, albowiem zdawało się jej, że on trzyma w rękę losy i jej i Jacka. Patrzyła też na niego jakby z pewną pokorą, ale i on, mając serec litościwe i wogóle jak wosk dla wszelkiego Bożego stworzenia miękkie, polubił ją szczerze, a co więcej, poznawszy ją bliżej, choć czasem przezywał ją kraską

i wiewiórką, że to, jak mówił: „tu jest, tu jej niema” — coraz więcej cenił jej czystą duszę.

Po owem pierwszym wyznaniu nie mówili jednak, jakby wskutek jakowejś wspólnej umowy, o Jacku. Oboje czuli, że to zbyt „delikatna materya”. Pan Serafin nie mówił o nim z nią także nigdy przy ludziach, natomiast we cztery oczy wcale się nie krępował i gdy pewnego razu zapytała go, czy zaraz w Krakowie spotka się z synem, odpowiedział również pytaniem:

— A czy waćpanna nie życzyłybyś też sobie z kimś się tam spotkać?

I myślał, że wykręci się żartem, lecz na jej jasnej twarzy ukazał się cień smutku i odrzekła poważnie:

— Komum uczyniła krzywdę, tegobym rada przeprosić jak najrychlej...

Więc popatrzył na nią z pewnem wzruszeniem, ale po chwili inna widać myśl przysłała mu do głowy, bo pogładził ją po różanym policzku i rzekł:

— Ej! masz ty czem nagrodzić, że i sam król lepiej nie potrafi—no!

A ona, usłyszawszy to, spuściła oczy i stała przed nim cudna i rumiana, jak zorza ranna.



przygotowania do wyprawy szły szparko. Czeladź wybrano starannie, ludzi silnych i trzeźwych. Broń, konie, wozy i bryki były gotowe. Nie zapomniano ówczesnym zwyczajem nawet i o chartach, które w czasie pochodu szły pod wozami, a któremi na postojach szeszano liszki i zające. Wielość przygotowań i zapasów nawet dziwiła pannę Sienińską, która nie spodziewała się, że wyprawa wojenna tyle wymaga zachodów — i przypuszczając, że wszystko to czyni się może dla jej bezpieczeństwa, zaczęła rozpytywać o te rzeczy pana Serafina.

On zaś, jako człowiek roztropny i doświadczony, tak na jej pytania odpowiadał:

— Pewnie, że i osobę twoją mamy na względzie, gdyż tak myślę, że ze strony Marcyana nie obejdzie się bez jakowegoś gwałtu. Słyszałaś, że zabijaków zbiera, zmagia się z nimi i pije. Już-ci hańba byłaby to dla nas, gdybyśmy pozwolili, aby cię nam z rąk wydarł. Co będzie, to będzie, ale choćbyśmy mieli jeden na drugim paść, musimy odwieść cię przezpiecznic do Krakowa.

Na to panna pocałowała go w rękę, mówiąc, że niewarta jest, by dla niej zdrowie narażali, a on machnął tylko ręką:

— Jużbyśmy też nie śmieli oczu ludziom pokazać— rzekł— a przytem tak się składa, że jedno da się doskonale z drugim pogodzić, bo na wojenną wyprawę niedość jest iść, ale trzeba ją i roztropnie przygotować. Ty się dziwujesz, że na każdego z nas po trzy i cztery konie wraz z czeladzią wypada, ale to wiedz, że koń na wojnie grunt. Wiele ich pada przez same pochody, przez przeprawy po rzekach i błotach, albo z różnych przygód obozowych. A potem co? Kupisz w prędkości innego konia, który ma rozmaite wicia i narowy— i ten cię w najcięższej chwili zawiedzie dlatego; chociaż sowite poczty a w nich znaczne konie powiedli z sobą i mój syn, i Jacek Taczewski, jednakże na wszelki wypadek pomyśleliśmy, żeby jeszcze po jednym ramaku dla każdego z nich przyprowadzić; a ksiądz Woynowski, nad którego niemasz większego znawcy, kupił za tanie pieniądze u starego pana Podlódowskiego takiego turka dla Jacka, że i hetman nie powstydziliby się na nim pokazać.

— Który z nich jest przeznaczon dla syna waszmości?— zapytała panna.

Pan Cypryanowicz popatrzył na nią, ruszył głową, zaśmiechnął się i rzekł:

— Wszelako ksiądz Woynowski ma rację w tem, co o niewiastach mówi. Choćby to lieho było najpoczeiwsze, to i takie będzie chytre. Pytasz, kóten koń jest dla mego syna? Tedy ci odpowiem tak: dla Jacka jest ten cisawy ze strzałką na czole i z białą zadnią lewą pęcina.

— Waćpan mi dokuczasz!—zawołała panienska.

I prychnąwszy na niego jak kotka, zakręciła się na miejscu i znikła. Lecz tego samego dnia poginęły ośrodkie z bułek chleba i sól z solniczek, a na drugi dzień zobaczył pan Łukasz Bukojemski rzecz wielce ciekawą: oto przy studni na podwórzu cisawy rumak trzymał nozdrza ukryte w białych rączkach panny Sienińskiej, a gdy następnie odprowadzano go do stajni, oglądał się za nią raz po raz, wyrażając krótkim aryanem rżeniem swoją tęsknotę. Pan Łukasz nie mógł wówczas zapytać o przyczynę tej „konfidencyi“, gdyż wielce był ładowaniem wozu zajęty, więc dopiero po południu zbliżył się do dziewczyny z oczyma pełnemi zachwytu i rzekł:

— Czyś waćpanna zauważyła jedną rzecz?

— Jaką?—spytała panienska.

— Że nawet i bydlę pozna się na tem, co jest prawdziwy specyał...

A ona, zapomniawszy że ją rano widział i widząc ów zachwyty w jego oczach, podniosła ze zdamieniem swe śliczne brwi i spytała:

— Kogo waćpan ma na myśli?

— Kogo?—powtórzył Bukojemski: jackowego konia.

— Ach, konia!...

— To rzekłszy, parsknęła śmiechem i uciekła z ganuku do pokoju, on zaś został zdziwiony i trochę zmieszany, nie rozumiejąc dlaczego uciekła i skąd jej się wzięła tak nagła wesołość.

Upłynął jeszcze tydzień—i przygotowania dobiegły końca—ale panu Cypryanowiczowi jakoś nie pilno było w drogę. Odkładał z dnia na dzień, poprawiał rozmaite drobiazgi, narzekał na upały, a w końcu stał się całkiem frasośliwy. Panienska tęskniła do wyjazdu. Bukojemscy poczuli się całkiem niecierpliwie, a wreszcie i ksiądz Woynowski uznał, że dalsza zwłoka byłaby tylko próżną stratą czasu.

Lecz pan Serafin tak im na ich przynaglania odpowiedział:

— Mam wiadomość, iż Króla Jegomości nie masz jeszcze w Krakowie i nie zaraz tam będzie; tymczasem wojska tam mają ściągnąć, ale nie wszystkie i niewiadomo kiedy. Przykazałem Stanisławowi, aby co mi się przysłał mi pachotka z listem i z dokładnem wskazaniem gdzie chorągiew stoi, którędy pójdzie i pod czyją komendą. Owóż upłynęło już siedm niedziel bez nijakiej wieści. Listu spodziewam się lada dzień i dlatego zwłoczę, a powiem waćpaństwu, że i trochę się niepokoję. Bo nie wyobrażajcie sobie, abyśmy ich koniecznie mieli zastać w Krakowie, Ba! może się zdarzyć, że ich tam wcale nie będzie.

— JAKTO?—spytała z niepokojem panna Sienińska.

— Tak, że chorągwie wcale nie koniecznie potrzebują przez Kraków przechodzić. Gdzie która stoi, stamtąd może iść prosto, jak sierpem rzucił, a gdzie znajduje się teraz pan Zbierzchowski—nie wiem. Naż go wysłano gdzieś nad ślązką granicę, albo do wojsk hetmana wielkiego, które od strony Rusi ciągną? Często tak bywa, że przed wojną przerzucają chorągwie z jednego miejsca w drugie, choćby dlatego, by je do pochodów wdrożyć. W ciągu siedmiu niedziel rozmaite mogły przyjść rozkazy, o których powinien mnie być Stanisław zawiadomić—a że nie zawiadomił, przeto się

i troskam, bo i to też wiadomo, że w obozach często bywają zwady i pojedynki. Naż się co stało! Ale choćby i nie, trzeba nam przecie wiedzieć, gdzie jest chorągiew i skąd wyruszy.

Zasmacili się temi słowy wszyscy, lecz ks. Woynowski rzekł:

— Chorągiew przecie nie śpilka, ani też nie garzik, który jeśli się od kapoty oberwie a w trawę wpadnie, to go i odnaleźć trudno. Już się też waszmość nie troszezi! W Krakowie prędzej się o niej dowiemy niż w Jedlinie.

— Ale się można z listem zminąć.

— To ostawić Wilczopolskiemu rozkaz, by list za nami posłał. Ot co jest! a przez ten czas w Krakowie obmyślemy przepieczne schronienie dla panny Sienińskiej, i gdy przyjdzie ruszyć, będziemy już mieli wolną głowę.

— Racyja! racyja!

— Tedy tak radzę. Jeśli do jutra nie będzie, to wieczorem ruszymy chłodkiem do Radomia — a potem dalej na Kielce, Jędrzejów i Miechów.

— A możeby do Radomia pojutrze świtanem, żeby zaś przez lasy nocą nie przejeżdżać i zasadzki ze strony Krzepeckich unikać.

— O nie wadzi nie! Lepiej chłodkiem! — zawołał Mateusz Bakojemski. — Jeśli mają napaść, to tak samo napadną w dzień jak i w nocy, a nocę teraz widne.

To rzekłszy, począł zacierać z zadowoleniem dłonie, a trzej pozostali bracia poszli zaraz za jego przykładem.

Lecz ksiądz Woynowski innego był zdania. Wątpił on bardzo, aby Krzepeccy odważyli się na publiczną napaść. „Mareyan—może, ale stary Krzepecki zbyt jest na to mądry i nadto dobrze wie, czem taka sprawa

pachnie i jak już niejedyn gwałtownik przyplącił „raptus paellae“. Wreszcie wobec ich siły i Marcyan nie mógłby liczyć na zwycięstwo, a natomiast mógłby w każdym razie liczyć na pomstę ze strony Jacka i Stanisława.

Bukojemskim bardzo popsuły radość słowa księdza, ale pocieszył ich Wilezopolski, który począł zaprzeczać, trząść głową, stukać swoją drewnianą nogą w podłogę, a wreszcie rzekł:

— Choćby do Radomia, ba, do Kiele i Miechowa nie spotkała waszmościów żadna przygoda, radzę aż do samych bram krakowskich żadnej ostrożności nie poniechać, bo bory wszędy po drodze są, a ja, jako najlepiej młodego Krzepeckiego znający, zupełnie jestem pewien, że ten dyabeł coś obmyśli.



Nadszedł wreszcie dzień odjazdu. Orszak wyruszył z Jedlinki świtaniem, o cudnej pogodzie, w okazałej liczbie ludzi i koni. Prócz kolaski obitej blachą i skórą, przeznaczonej dla panny Sienińskiej z panią Dzwonkowską i dla księdza Woynowskiego na wypadek, gdyby dawny postrzał zbyt mu na koniu dokuczał, szło trzy bryki moeno ładowne, zaprzężone w cztery konie—przy każdej, licząc z woźnicą, trzech czeladzi. Za panem Serafinem Cypryanowiczem sześciu konnych pachołków, przybranych w turkusową barwę, powodowało konie zapaśne. Ksiądz miał dwóch, panowie Jełło-Bakojemsey po dwóch, prócz jednego leśnika, który pilnował wózka z łubami, razem więc trzydziestu czterech

ludzi dobrze zbrojnych w szable i bandolety ruszyło w daleką drogę. Wprawdzie, w razie jakowegoś napa-
da, kilkunasta z pomiędzy nich nie mogłoby wziąć udziału w obronie, albowiem musieliby pilnować wozów i koni,
ale i tak panowie Bukojemscy byli przekonani, że w ta-
kiej liczbie mogliby świat przejechać i że niezdrowo
byłoby ich zaczepić choćby trzykroć i czterekroć lic-
niejszej kupie. Serca ich rozpieęła radość tak wielka,
że ledwie mogli usiedzieć na koniach. Czynili oni swe-
go czasu mężnie przeciw Tatarom i kozakom, ale były
to ładajackie wojny, potem zaś, gdy osiedli w puszczy,
młodość schodziła im jeno na „lustracyach“ ostępów,
na niedbałym pilnowaniu borowych, na bicia niedźwie-
dzi, których obowiązani byli strzedz dla króla i na pi-
jaństwie w Kozienicach, w Radomiu i w Przytyku. I te-
raz dopiero, gdy jeden drugiego trącał strzemieniem,
gdy szli na wielką wojnę z całą niezmierną potęgą
turecką, czuli, że to właśnie jest ich prawdziwe prze-
znaczenie, że dawne życie było marne i lichy, a ninie
zaczyna się prawdziwe i one i iście takie, do jakiego
Bóg Ojciec szlacheńca polskiego stworzył, Syn Boży
odkupił a Duch Święty oświecił. Nie umieli tego sobie
jasno pomyśleć, ani wyrazić słowy, albowiem w tem nie
byli nigdy zbyt mocni, ale chciało im się aż krzyczeć
z radości. Pochód wydawał im się zbyt wolny. Ot
wypuściłby im konie wicherem i lecieć ku temu wielkie-
mu przeznaczeniu, ku wielkiej bitwie Polaków z poga-
ny, ku tryumfowi przez polskie ręce Krzyża nad pół-
księżycem, ku chwalebnej śmierci, ku wiekopomnej sła-
wie. Czuli się jaćś wyżsi, czystszi, zacniejsi i jeszcze
bardziej w swem szlacheństwie uszlachceni. O Marcya-
nie Krzepeckim i o jego hultajskiej kompanii, o zawa-
dach i przeszkodach na drodze prawie że nie myśleli.
Wydawało im się to jakieś maluchne, marne i niewarte

uwagi. A toć, gdyby im całe zastępy stanęły na drodze, przeszliby po nich jak burza, przejechałyby im jakby mimochodem po brzuchach i poszli dalej. Rozbawdziły się w nich przyrodzone lwie żądze i bojowa rycerska krew poczęła w nich grać z taką siłą, że gdyby kazano im skoczyć we czterech na całą gwardyę sułtańską, nie zawahaliby się ani chwili.

A podobne i w dodatku jeszcze osnute na dawnych wspomnieniach uczucia napełniały serca i pana Serafina i księdza Woynowskiego. Ksiądz kwiat życia spędził na pola z szablą, albo kopią w ręku. Pamiętał całe szeregi klęsk i zwycięstw. Pamiętał straszliwą rebelię Chmielnickiego, Żółte Wody, Korsuń, Piławce, przesławny Zbaraż i olbrzymią bitwę Berestecką. Pamiętał najście szwedzkie z nieskończoną ilością walk i napad Rakoczego. Był w Danii, gdy zwycięski naród, nie kontentując się pogromem i wygnaniem Szwedów z ojezyny, posłał za nim niezwyciężone pułki Czarnieckiego aż hen, nad dalekie morza; brał udział w rozgromie Chowańskiego i Dołgorakiego, znał największych mężów i największych rycerzy, był uczniem nieśmiertelnego Wołodjowskiego, kochał się w bitwach, rzeziach, szturmach i przelewach krwi — ale wszystko to póty trwało, póki nie złamała mu daszy prywatna niedola i póki nie został księdzem. Od tego czasu zmienił się do grantu i gdy, zwracając się z przed ołtarza do ładu, mówił: „Pokój z wami!“ to mniemał, że wypowiada największe Chrystusowe przykazanie i że wszelka wojna, jako temu przykazaniu przeciwna, jest jednak „dyzgustem“ Boga i grzechem przeciw miłosierdzia i zaklą dla ludów chrześcijańskich. Dla jednej wszelako czynił wyjątek: dla wojny z Turczynem. „Bóg posadził na koniu naród polski—mawiał—i zwróciwszy go pierśią ku wschodowi, tem samem mu jego przeznaczenie

i swoją wolę oznajmił. Wiedział, dlaczego nas wybrał, a innych za plecami naszymi umieścił, przeto jeśli chcemy naszą misję, jak również Jego rozkaz godnie spełnić, to wiecznie nam tam sterczyć skałą ku temu morzu i plugawę jego fale piersią rozbijać.—Sądził też ksiądz Woynowski, że Bóg amyslnie posadził na tronie takiego króla, któren już jako hetman tyle krwi pogańskiej wytoczył, aby przez jego ręce ostateczny cios tej potędze zadać i raz na zawsze zgabę od chrześcijańskiego świata odwrócić. Zdawało mu się, że właśnie teraz wielka godzina przeznaczeń i spełnienia woli Bożej nadeszła, więc patrzył na tę wojnę jak na świętą wyprawę krzyżową i radował się myślą, że wiek, trudy i rany nie tak jeszcze zupełnie przycisnęły go do ziemi, aby nie mógł w niej wziąć udziału.

Potrafi jeszcze chorągwie oganiać, potrafi jeszcze, dawny żołnierz na Chrystasowym ordynansie, wspiąć konia i skoczyć z krzyżem w rękę w największą gęstwą bitwy, z tą pewnością w sercu, że w ślad za nim i za krzyżem tysiąc kopij wrazi się w ciała pogan lub tysiąc szabel zazgrzyta na ich czerepach. Wreszcie poczęły mu nadlatywać do głowy i bardziej osobiste, zgodne z dawną naturą myśli. Krzyż przecie można trzymać w lewej ręce, a w prawej szablę. Nie podniósłby jej już, jako kapłan, przeciw żadnemu narodowi chrześcijańskiemu, ale przeciw Turkom! godzi się! godzi!... Otóż dopiero pokaże młodym, jako się gasi pogańskie świece, jako się goli, jako się kosi, jacy to byli dawni żołnierze. Ba! podziwiano go tam niegdyś na niejednym polu, może się teraz i sam Jegomość król zadziwi! I ta myśl tak wielką przejęła go uciechą, że począł się mylić w różańcu: „Zdrowaś Marya... bij! mordaj!... Łaskiś pełna — w nich!... Pan z Tobą — rznij!” Aż się wreszcie opamiętał: „Tfy! do licha! sława dym... Czy

mnie ta giez ukąsił? Non nobis! non nobis, sed nomi-
ni tuo... I ją! ąważniej przesuwając paciorki.

Pan Serafin odmawiał także poranne pacierze, ale od czasu do czasu spoglądał to na księdza, to na pa-
nienkę, to na panów Bukojemskich, którzy obok nie
toczyli końmi, to na drzewa i polanki leśne, skąpa-
ne w rosie. Wreszcie, gdy skończył ostatnią zdrowaś-
kę, zwrócił się do staruszka i, odetchnąwszy głęboko,
rzekł:

— Jegomość wydajesz się mi jakoś dobrej myśli?

— I waszmość także—odrzekł ksiądz.

— Bo pewnie. Póki człek nie wyruszy, to się
krząta, zabiega i troska; dopiero, gdy go wiatr w polu
obwieje, zaraz ma lekko na sercu. Pamiętam, że ja-
keśmy dziesięć lat temu szli pod Chocim, to taka jakaś
dziwna ochota była we wszystkich ludziach, że choć to
działo się w listopadzie i w srogie niepogody, niejeden
i opończę z siebie zrzucił, z przyczyny tej gorącości,
która ma szła od serca. No — i Bóg, który dał wów-
czas tak wielką wiktoryę, da ją chyba i teraz, bo prze-
cie wódz ten sam, a wigor i męstwo nie mniejsze.
Chwała, wiem ci ja, ludzie to szwedzkie wojska, to
francuskie, ba nawet i Niemców, ale przeciw Turkom
niemasz nad naszego żołnierza!

— Słyszałem, jak król jegomość raz to samo mó-
wił—odpowiedział ksiądz. — „Niemcy (mówił) cierpliwie
w ogniu stoją, ale, atakując, mrużą oczy, a moich (powia-
da) byłem nos w nos doprowadził, to już jestem spokojny,
bo mi tak wygola, jak żadna jazda nie wygoli“. I prawda.
Hojnie nas Pan Jezus co do tego obdarzył — a nawet
nietylko szlachcie, ale i chłopów. A naprzykład nasze
łanowe piechoty? Jak spluną w garść, a pójda z mu-
szkietami naprzód, to im i najtęższe janczary nie do-
stoją. Widzieliśmy to obaj nieraz.

— Byle Bóg Stacha i Jacka w zdrowiu zachował, to rad jestem, że w pierwszym polu przeciw Turkom będą czynili. Ale jak też jegomość miarkujesz, przeciw komu Turczyn największą potęgę obróci?

— Wedle mego mniemania przeciw cesarzowi, bo z nim już wojuje, wspierając rebelizantów węgierskich, ale Turczyna stać na dwie i trzy armie i dlatego nie wiadomo, gdzie się nam z nim ostatecznie spotkać przyjdzie.

— Z tego też zapewne powodu niemasz u nas dotychczas jeneralnego obozu, a chorągwie, stosownie do wieści, jakie nadchodzą, ciągle przenoszą się z jednego miejsca na drugie. Stoją pułki z panem Jabłonowskim pod Trębowłą; inne ciągną ku Krakowowi, inne jak któremu wypadnie. Nie wiem, gdzie jest w tej chwili wojewoda wołyński—i gdzie chorągiew Zbierzechowskiego. Czasem myślę, że Stach dlatego tak dawno nie pisał, że może pułk zbliża się w te strony.

— Jeśli ma rozkaz pójść ku Krakowowi, to pewnie, że niedaleko musi przeciągać: zależy gdzie przedtem stał i skąd wyruszy. Może w Radomiu zasięgniemy jakich wieści. Wszakże w Radomiu pierwszy nocleg?

— Tak jest. Chciałbym też, by prałat Tworkowski dziewczynę zobaczył i ostatecznej rady udzielił. Ma nam dać listy w jej sprawie do Krakowa.

Rozmowa urwała się na chwilę, poczem pan Cypryanowicz podniósł znów oczy na księdza Woynowskiego i zapytał:

— A co też jegomość myślisz, co będzie, jeśli się oni z Jackiem w Krakowie spotkają?

— Nie wiem: spotkają się, albo i nie spotkają... Będzie, jak Bóg zechce. Jacek mógłby z czasem przez małżeństwo fortunę rodową restaurować, a ona goła

jak święta turecka... Bogactwo samo w sobie farda, jeno że o splendoru rodu chodzi...

— Ale i ona familiantka. I, nie mówiąc już o tem, że dziewczka jak złoto — to przecie wiadoma rzecz, że oni się na umor kochają.

— O! zaraz na umor!...

I widocznie niezbyt chętnie mówił o tej materji, bo począł o czem innym:

— Ot—rzekł — lepiej pamiętajmy o tem, że na to złoto czyha rabuś. Pamiętasz waszmość, co mówił Wilezopolski?

Pan Serafin rozejrzał się na wszystkie strony po głąbiach leśnych i rzekł:

— Nie ośmielą się Krzepeccy, nie ośmielą! Kupa nas grzeczna — i patrz jegomość, jak naokół wszystko spokojnie. Chciałem, by dziewczyna siadła dla bezpieczeństwa do kolaski, ale się wypraszała... Nie się nie boi...

— No! krew bo w niej dobra — mruknął ksiądz. — Ale też uważam, że waćpana to już ona całkiem pozbadła.

— Ei trochę i jegomości — odparł Cypryanowicz — ale co do mnie to poprostu przyznaję. Jak zaczniesz o co prosić, to tak jakoś osobliwie umie ślepkami mrugać, że ani rusz odmówić. Różne sposoby mają niewiasty, a czyś jegomość zauważył, że ona ma właśnie to mruganie, przy którym ręce składa? W pobliżu Bęlcączki każę jej wleźć do kolaski, ale tymczasem chciało jej się koniecznie jechać na podjezdku, że to (powiada) zdrowiej.

— I na taki czas pewnie, że zdrowiej.

— Patrz jegomość, jaka to już różowa — jak wilcze łyko.

— A co mnie po jej różowości?!—rzekł ksiądz— ale że dzionek piękny, to prawda.

Jakoż pogoda była istotnie cudna, a ranek świeży, rosisty. Pojedyncze krople na igłach sosen błyszczały tęczą jak dyamenty. Wnętrze lasu było jasne od leszczyny, przetykanej promieniami rannego słońca. W głębinach gwizdały wesoło wiwilgi. Naokół pachniało igliwaniem—i cała ziemia zdawała się radować słońcu i powietrzniemu błękitowi bez chmurki.

Tak, posuwając się naprzód, dotarli nareszcie do owej smolarni, przy której Bakojemsey pojмали niedawno Marcyana Krzepeckiego. Obawy jednakże, że w tem miejscu będzie urządzona jakaś zasadzka, okazały się płonne. Wedle studni stało tylko dwa wózki chłopskie ładowne smołą i zaprzężone w liche konięta ze łbami poukrywanemi w torbach z obrokiem. Woźnice stali obok koni, pożywiając się chlebem i serem, ale na widok okazałego orszaku pochowali żywność i na pytanie, czy nie widzieli zbrojnych ludzi, odrzekli, że od rana czekał tu jakiś jeździec, który przed chwilą, ujrzawszy zdała orszak, puścił się co koń wyskoczy w przeciwną stronę. Wiadomość ta zaniepokoiła pana Serafina, sądził bowiem, że był to człowiek wysłany na zwiady przez Krzepeckich. Więc jako dowódcę podwoił baczność. Dwom pachołkom kazał zjechać na boki, aby zbadać bór, ciągnący się po obu stronach gościńca, dwóch wysłał naprzód z rozkazem, aby, jeśli dostrzegą jakowąś kupę zbrojną, dali ognia z bandoletów i wracali co najspieszniej ku wozom. Upłynęła jednak godzina bez żadnego alarmu. Orszak posuwał się wolno naprzód, pilnie spoglądając przed się, za się i na boki, ale w boru było cicho. Fiukały tylko wciąż wiwilgi, a tu i owdzie odzywało się pukanie pracowitych kowalików leśnych, dzieciolów. Wsunęli się wreszcie na

obszerną polanę, przed którą pan Cypryanowicz i ksiądz kazali koniecznie panience zleźć z podjezdka i wsiąść do kolaski, albowiem mieli przejeżdżać teraz niedaleko Bełczączi, której drzewa, a nawet i ukryty między niemi dwór można było dojrzeć gołym okiem. Panna Sienińska spoglądała ze wzruszeniem na ów dom, w którym upłynęło tyle lepszych i gorszych lat jej życia. Chciało jej się też popatrzeć przedewszystkiem na Wyrąbki, ale zasłaniały je lipy bełcząckie, tak, że z powozu nie można było nie zobaczyć. Przyszło jej jednakże na myśl, że może tych miejsc nigdy w życiu już nie zobaczy, więc westchnęła cicho i posmatniała.

Panowie Bukojemscy poczęli spoglądać bystro i wyzywająco na dwór, na wieś i na okolicę — ale wszędy panował spokój największy. Po przestronnych, zatopionych w świetle słonecznem ugorach pasły się owce i krowy, pilnowane przez kapki dzieci i psy; gdzieś gdzieś biegały stadka gęsi, które, gdyby nie upał letni, można było zdala poczytać za szmaty śniegu, leżące na pochyłościach; zresztą okolica wydawała się nawet pusta. Pan Cypryanowicz, któremu nie brakło kawalerskiej fantazyi, chcąc pokazać Krzepeckim, jak mało sobie z nich robi, nakazał amyslnie w tem miejscu pierwszy postój, aby „dać oddech“ koniom. Staął więc orszak wśród przyginanych wiatrem, szeleszczących lekko łanów żyta i wśród ciszy polnej, mąconej tylko parskaniem koni.

— Zdrów! zdrów! — odpowiadali im czeladnicy.

Jednakże najmłodszy z braci Bukojemskich, Jan, któremu wcale w niesmak był ten spokój, zwrócił się w stronę dworu i począł, wymachując ręką, wołać nieobecnych Krzepeckich.

— A pójźcie tu ino tacy synowie! pokaż no ino, Pniaku, swoją psią mordę, wnet ci tu ją szablami okrzyszem!

Poczem pochylił się do kolaski:

— Widzisz waćpanna—rzekł—nie śpieszno było na nas napadać ni Marcyanowi ze swoją kompanią, ni osacznikom w puszczy.

— To i osacznicy napadają? — zapytała panienska.

— Oj—oj! ale nie nas. Małoż to ich w Kozienickiej puszczy i w lasach ku Krakowu. Żeby tak król jegomość darowanie win ogłosił, stareżyłoby samych tutejszych na dwa grzeczne regimenty piechoty.

— Wolałabym spotkać osaczników, niż tę kompanię pana Marcyana Krzepeckiego, o której tyle razy w Bełżączce straszne rzeczy ludzie rozpowiadali. Nie słyszałam, żeby osacznicy napadli kiedy na jaki dwór.

— Bo zbój ma ten sam rozum co wilk. Uważ waćpanna, że wilk nigdy nie zarznie owcy albo bydła w tej wsi, w której ma gniazdo.

— A jakże! dobrze mówi! — zawołali inni bracia.

Jan, rad z pochwały, tłumaczył dalej:

— Zbój też nigdy nie napada na wsie i dwory w tej puszczy, w której żywie, a to z tej przyczyny, że gdyby się miejscowi ludzie na niego zawzięli, to, jako świadomi borów i wszelkich w nich kryjówek, łatwieby go wytropili. Przeto osacznicy w dalsze strony wyprawy czynią, albo też na przejeżdżających następują, nie zważając, czy większa, czy mniejsza kupa idzie.

— Nie boją się?

— Boga się nie boją, a mieliby się ludzi bać?

Lecz panna Sienińska myślała już o czem innym, więc, gdy pan Serafin zbliżył się do kolaski, zaczęła mrugać po swojemu i prosić:

— A po co ja w kolasce, skoro żadna napaść nie grozi? Można-li na podjezdka? można mi?

— A po co?—odpowiedział pan Serafin—słonko wysoko i opaliłoby liczkę waćpanny. Nażbyktoż tego był nierad?

Usłyszawszy to, panienska cofnęła się nagłym ruchem w głąb kolaski, a pan Cypryanowicz zwrócił się do braci:

— Czy nie prawda?

Lecz oni, nie mając nad miarę bystrych umysłów, nie zrozumieli o co chodzi i poczęli pytać:

— Kto? kto?

Więc pan Cypryanowicz wzruszył ramionami i rzekł:

— Ksiądz biskup krakowski, cesarz niemiecki i król francuski.

Poczem dał znak i kawalkata ruszyła dalej.

Minęli Bełżączkę i jechali znów wśród pól uprawnych, ugorów, łąk i rozległych powietrznych przestrzeni, obramowanych na widnokręgu siną wstęgą lasu. W Jedlni zatrzymali się na drugi postój, w czasie którego piwowarowie miejscowi oraz mieszczanie i chłopci żegnali się z księdzem Woynowskim—i przed wieczorem stanęli na pierwszy nocleg w Radomiu.

Mareyan Krzepecki nie dał najmniejszego znaku życia. Dowiedzieli się, że poprzedniego dnia był w Radomiu i pił z kompanią, ale na noc wrócił do domu; więc ksiądz i pan Cypryanowicz odetchnęli swobodniej, sądząc, że żadne już niebezpieczeństwo nie zagraża im po drodze.

Prałat Tworkowski zaopatrzył ich w listy do księdza Hackiego, do podkanclerzego Gnińskiego, o którym wiedział, że całą chorągiew własnym kosztem na przyszłą wojnę zaciąga, i do pana Matezyńskiego. Był też wielce rad i pannie Sienińskiej, i księdzu Woynowskiemu, dla którego wiele miał przyjaźni, i panu Cypryanowiczowi, w którym cenił dobrego łacinnika, rozumiejącego wszelkie cytaty i maksymy. Słyszał i on o groźbach Mareyana Krzepeckiego, ale niewiele z nich sobie robił, sądząc, że gdyby ów miał istotnie zamiar napaść

na orszak, to byłby napadł zaraz w puszczy kozienickiej, która lepiej się nadawała do tego rodzaju przedsięwzięcia, niż lasy, leżące za Radomiem ku Kielcom. „Młody was nie napadnie—mówił panu Cypryanowiczowi—a stary waćpana nie pozwie, albowiem miałby ze mną do czynienia, wie zaś, że ja prócz cenzur duchownych mam i inne na niego sposoby“. Gościł ich tedy przez cały dzień, a puścił dopiero przed wieczorem. Ponieważ zaś wszelkie niebezpieczeństwo zdawało się być stanowczo usunięte, więc pan Cypryanowicz zgodził się na nocną podróż, tem bardziej, że rozpoczęły się srogie upały.

Jednakże pierwszą milę ujechali jeszcze za dnia. Nad rzeką Oronką, tworzącą gdzieś bagna, zaczynały się znów w owych czasach rozległe sosnowe bory, otaczające Orońsk, Suchą, Krogulezą i ciągnące się aż do Szydłowa i dalej—do Mroczkowa i Bzina — aż hen... ku Kielcom. Posuwali się zwolna, albowiem stary gościniec szedł miejscami wśród wydm i piachów, miejscami zaś, zniżając się znacznie, zmieniał się w groble błotniste i wymoszczone wśród trzęsawisk, przez które ni wóz ni konny człowiek nie mógł przedostać się nigdy: a pieszy tylko w lata bardzo suche. Te okolice nie cieszyły się też dobrą sławą, ale oni, czując się w mocy, nie bardzo o to dbali, radzi, że jadą chłodkiem, gdy upał nie dokucza ludziom a ślepaki koniom,

Noc zaskoczyła ich niebawem, ale pogodna i jasna. Była pełnia. Z ponad boru podniósł się ogromny czerwony księżyc, który zmniejszał się i bladł w miarę tego, jak coraz wyżej wzbijał się ku górze, poczem, zbielawszy całkiem, płynął jak srebrny łabędź po granatowej toni nocnego nieba. Wiatr ustał. Nie ruchomy bór pogrążony był w zupełnej ciszy, którą przerywały tylko głosy bąków, dochodzące z odległych

stawów, i derkaczy, grających śród traw na bliższych łąkach.

Ksiądz Woynowski zaintonował: „Zawitaj, Panno mądra, domie Bogu miły“ — na co cztery basy panów Bukojemskich i głos pana Cypryanowicza odpowiedziały mu zaraz: „który złoty stół i siedm kolumn ozdobiły“, do chóru przyłączyła się panna Sienińska, za nią czeladź i przez czas jakiś brzmiał bór pieśnią pobożną. Lecz gdy odśpiewali całe „Godzinki“ i odmówili wszystkie zdrowaśki, zapadła znów cisza. Ksiądz, bracia i pan Serafin rozmawiali jeszcze czas jakiś zniżonemi głosami, następnie poczęli drzemać, a w końcu posnęli na dobre.

Nie słyszeli też ani przyciszonych: wio! wio! wozniców, ani parskania koni, ani cmoktania błota pod kopytami na długiej grobli, idącej przez grzązkie, pokryte sitowiem i tatarakiem, trzęsawisko, na którą wkrótce przed północą wjechali. Zbudził ich dopiero krzyk pacholka, jadącego na przedzie:

— Stój! stój!

Wszyscy pootwierali oczy. Panowie Bukojemscy wyprostowali się na kulbakach i żywo poskoczyli przed się.

— A co tam?

— Droga zagrodzona! Rów w poprzek, a za rowem zasieki!

Szable braci zazgrzytały w pochwach i rozbłysły przy świetle miesiąca.

— Do bronii zasadzka!

Pan Cypryanowicz w jednej chwili znalazł się przed przeszkodą i zrozumiał: nie było się co ludzi! grobla była przekopana szerokim rowem, za rowem zaś leżały w poprzek całe sosny, wraz z konarami, spiętrzone w olbrzymi zawał. Ludzie, którzy zamknęli w ten

sposób drogę, mieli widocznie zamiar wpuścić orszak na groblę, z której nie było zjazdu na boki, a następnie napaść go z tyłu.

— Do rusznic! do bandoletów! — zagrział głos księdza Woynowskiego.—Idą!..

Jakoż, o sto kroków za nimi, jakieś ciemne postacie, dziwne, kwadratowe, całkiem do ludzkich niepodobne, poczęły pojawiać się na grobli i biedz szybko ku wozom.

— Ognia!—skomenderował ksiądz.

Rozległ się huk i jaskrawe rzuty promienia rozdarły nocną pomrokę. Jedna tylko postać potoczyła się na ziemię, inne natomiast poczęły biedz tem prędzej ku taborowi, a za nimi pokazywały się coraz gęstsze kupy.

Doświadczony przez całe lata wojen, ksiądz Woynowski domyślił się zaraz, że ludzie ci niosą przed sobą pęki trzciny, łoziny lub słomy i że dlatego pierwsza salwa wywarła tak mały skutek.

— Ognia! Kolejno! po czterech! i w kolana! — zakrzyknął.

Dwóch pacholców miało gardłacze ponabijane siekańcami. Ci, gdy zrównawszy się z innymi, planęli po kolanach napastników, rozległ się krzyk bóleści i tym razem cały pierwszy szereg pęków runął w błoto na groblę, lecz następny, przeskakując przez leżących, zbliżył się jeszcze bardziej ku wozom.

— Ognia!—rozległa się po raz trzeci komenda.

I znów zagrziała salwa, tym razem jeszcze skuteczniejsza, albowiem atak został na chwilę powstrzymany, a w gromadzie uczyniło się zamieszanie.

Ksiądz nabrał ducha, zrozumiał bowiem, że napastnicy przemędrkowali w wyborze miejsca. Wprawdzie, w razie ich zwycięstwa, żywa dusza z taboru nie zdo-

łaby się im wymknąć, i to głównie mieli na uwadze, ale natomiast, nie mogąc otoczyć taboru ze wszystkich stron, zmuszeni byli atakować tylko przez groblę, zatem ważkim szeregiem, co znowu nadzwyczajnie ułatwiało obronę. W ten sposób pięciu lub sześciu ludzi męźnych i silnych mogło bronić przystępu choćby przez całą noc.

Napastnicy poczeli także strzelać, ale z powodu lichych widocznie strzelb nie przyczynili wielkiej szkody. Po pierwszym ogniu postrzelili tylko konia i jednego pachotka śluzem w udo. Wówczas panowie Bakojemsey jęli prosić, aby wolno im było skoczyć na nieprzyjaciela, aręczając, że zmiotą wszystkich na prawo i lewo w bagno, a kogo nie zmiotą, to go wtratają w błotnistą groblę. Książdz jednakże, zachowując sobie ów sposób na ostatni wypadek, nie chciał na to zezwolić, kazał im natomiast, jako wybornym strzelcom, prażyć napastników z daleka, a pana Cypryanowiczowi pilnować dobrze od strony rowu i zasiału.

— Jeśli z tej strony nas napadną — rzekł — to nie nam nie uczynią, ale i tak tanio nas nie kupią.

Poczem pośpieszył na chwilę do kolaski, w której siedziała z panią Dzwonkowską panna Sienińska. Obie odmawiały głosem pacierz, ale bez wielkiego strachu.

— Nie to! — rzekł — nie bójcie się!

— Nie boim się — odpowiedziała dziewczyna. — Chciałabym jeno przesiąść...

Strzały zgłuszyły dalsze jej słowa. Zmieszani chwilowo napastnicy parli znów groblą z dziwną i wprost ślepą odwagą, jasnym bowiem było że z tej strony niewiele będą mogli wskórać.

— Hm! — pomyślał książdz — gdyby nie niewiasty, możnaby ku nim skoczyć.

I począł zastanawiać się, czyby nie puścić czterech braci Bukojemskich z taką ilością dobrych pachołków, gdy wtem spojrział na boki i zadrżał.

Oto z obu stron na trzęsawie pojawiły się gromady ludzi i, skacząc z kępy na kępę, lub po wiązkach trzciny, umyślnie gęsto powrzucających zawczasu w bagno, poczęły biedz ku taborowi.

Ksiądz zwrócił ku nim co prędzej dwa szeregi pachołków, lecz pojął zarazem cały ogrom niebezpieczeństwa. Czeladź była wprawdzie dobrana, złożona z ludzi, którzy bywali już nieraz w różnych okazyach, ale niedość liczna, tem bardziej, że część musiała pilnować koni zapaśnych. Stawało się więc widocznem, że po pierwszym, niedostatecznym ze względu na liczbę napastników, wydaniu ognia, zanim broń zostanie powtórnie nabitą—przyjdzie do walki ręcznej, w której słabsi ulegną.

Pozostawało zatem jedno: otworzyć sobie drogę z powrotem przez groble, to jest zostawić wozy, kazać Bukojemskim znieść wszystko przed sobą i przedrzeć się też za nimi, mając niewiasty w środku między końmi. Więc, gdy z boków dawano jeszcze ognia na obie strony, kazał ksiądz przesiąść się niewiastom na podjezdki i sformował szyk do ataku. W pierwszym szeregu stanęło czterech braci, za nimi sześciu pachołków, potem panna Sienińska i pani Dzwonkowska, a po bokach ksiądz i pan Serafin, też za nimi znów ośmiu pachołków, po czterech w rzędzie. Po uderzeniu i przedostaniu się za groble, miał zamiar starsuszek dopaść do pierwszej wsi, zebrać wszystkich chłopów i powrócić dla odzyskania wozów.

Wahał się jednak jeszcze przez chwilę i—dopiero gdy napastnicy byli już po obu stronach na kilkanaście

kroków od grobli i gdy niespodzianie ozwały się dzikie wrzaski i z zasieku—zakrzyknął:

— Bij!

— Bij!—huknęli panowie Bakojemsey i raszyli jak huragan, który w pędzie niszczy wszystko przed sobą. Dobięgszy, wspięli konie i ranęli w zbitą kapę zabijaków, tratując ludzi, spychając ich w bagno, obalając całe szeregi i tnąc szablami bez miłosierdzia, bez wytechnienia. Uczynił się krzyk i ciężki plaskot ciał, padających w kałuże przy grobli, a oni parli naprzód, machając ramionami nakształt śmig wiatraka, które coraz większy podmach coraz szybciej rozpędza. Niektórzy z napastników dobrowolnie skakali na boki w bagno, by się przed strasznymi jeźdźcami uchronić; inni zastawiali się im widłami i drągami. Pałki i oszczepy wznosiły się przeciw Bakojemskim, lecz oni znów wspięli konie i, łamiąc wszystko przed sobą, szli naprzód, jak idzie wiecher przez młody las.

I gdyby nie wąskość drogi, gdyby nie to, że rąbani ludzie nie mieli gdzie pierzehać, i gdyby stojący z tyłu nie popychali przodowych, byłiby panowie Bakojemsey przeszli groblę. Lecz że niejeden ze zbójów wolał się bić niż topić w bagnie, przeto opór trwał i, co większa, czynił się coraz zaciętszy. Rozpaliły się serca i u napastników. Poczęli walezyć nietylko już dla ładu lub dla porwania kogokolwiek, ale i z wściekłości. W chwilach, gdy milkły okrzyki, słyhać było zgrzytanie zębów i przekleństwa. Pęd Bakojemskich wreszcie wstrzymany. Przyszło im wówczas na myśl, że może i zginąć przyjdzie.

A gdy nagle rozległ się przed nimi tętent koni, a zaś gromkie okrzyki ozwały się na całym okręgu zarośli, otaczających trzęsawiska, byli już pewni, że chwila zguby nadchodzi, więc poczęli tem

okropniej łomotać, aby przynajmniej tanio życia nie sprzedać.

Lecz nagle stało się coś dziwnego. Oto z tyłu za opryszkami rozległy się liczne głosy: „Bij!”; szable zamigotały w blasku miesiąca. Jacyś jeźdźcy poczęli łamać i ciąć z przeciwnej strony napastników, których, wobec niespodzianego ataku, w jednej chwili ogarnęło przerażenie. Tylne ujście grobli było zamknięte, nie pozostało im więc nic innego, jak chronić się na boki. To też niektórzy tylko dawali jeszcze rozpaczliwy opór, liczniejsi skakali jak kaczki na obie strony w torfowisko, które przerywało się pod ich ciężarem. Więc czepiali się szuwarów, sitowia, trzciny, przyczajali za kępami lub kładli na brzuchach, by się odrazu nie zapaść.

Jedna tylko mała gromadka, zbrojna w osadzone sztorcem kosy, broniła się czas jakiś zaciekle, wskutek czego kilku jeźdźców zostało rannych, ale wreszcie i owa garstka, widząc, że niemasz dla niej żadnego ratunku, rzuciła broń i padła na kolana, żebrząc łaski. Wzięto ich żywcem, dla zeznań.

Wówczas jeźdźcy z obu stron stanęli naprzeciw siebie i zaraz podniosły się głosy:

— Stój! stój! Co za ludzie?

— A wy kto?

— Cypryanowicz z Jedlinki.

— Dla Boga! nasi!

I dwóch jeźdźców wysunęło się nagle z szeregów. Jeden pochylił się ku łękowi pana Cypryanowicza i, chwyciwszy jego dłoń, począł ją okrywać pocałunkami, drugi rzucił się w ramiona księdza.

— Stanisław!—zawołał pan Serafin.

— Jacek!—zakrzyknął ksiądz.

Chwilę trwały uściski i powitania, poczem pan Cypryanowicz pierwszy odzyskał mowę:

— Dla Boga, skąd wyście się tu wzięli?

— Chorągiew nasza idzie do Krakowa. My z Jac-kiem mieliśmy już permisję, żeby jechać do Jedlinki, tymczasem w Radomiu na popasie dowiedzieliśmy się, że i ojciec dobrodziej, i ksiądz Woynowski, i Bakojemscy raszyli przed godziną gościńcem ku Kielcom...

— Ksiądz Tworkowski wam mówił?

— Nie! Żydzi w Radomiu. Księdzaśmy nie widzieli. Jak tedy nam to powiedzieli, nie jechaliśmy już do Jedlinki, jeno razem z chorągwią, w tej myśli, że nijak się z wami nie zmiem. Aż ta po północy słyszysz nagle strzały... Więc skoczyliśmy wszyscy na pomoc, myśląc, że osaczniacy jakichś podróźnych napadli. Nie przyszło do głowy, że to was. Boga dzięki, Boga dzięki, że nie przybyliśmy zapóźno!

— Nas nie osaczniacy napadli, jeno Krzepeccy. Chodziło o Sienińską, która tu jest.

— Na Boga!—zawołał Stanisław—to chyba z Jac-ka dusza wyjdzie!..

— Pisałem ci o niej, ale widać list cię nie doszedł.

— Bośmy już od trzech niedziel w pochodzie: dla-tego i ja w ostatnich czasach nie pisałem, żem miał sam przyjechać...

Okrzyki tryumfu panów Bakojemskich, pachołków i żołnierzy przerwały dalszą rozmowę. W tej chwili nadbiegli też czeladnicy z pozapalanemi pochodniami, których cały zapas kazał wziąć pan Cypryanowicz, aby w ciemne noce było czem świecić. Na grobli uczyniło się widno jak w dzień — i wśród tych jasnych blasków ujrzął Taczewski siwego podjezdka, a na nim pannę Sienińską.

I oniemiał na ten widok, ksiądz Woynowski zaś, widząc zdumienie młodzieńca rzekł:

— Tak jest. I ona z nami.

Wówczas Jacek posunął konia i stanął przed dziewczyną, poczem odkrył głowę i stał tak przed nią — zapatrzony — bez słowa, niemal bez oddechu w piersi, z białą jak kreda twarzą.

I po chwili czapka wysunęła mu się z dłoni na ziemię, oczy przymknęły się, a głowa pochyliła ku grzywie końskiej.

— Dy on ranny! — zawołał Łukasz Bukojemski.



acek ranny był rzeczywiście. Jeden z broniących się do ostatka napastników zaciął go osadzoną sztorcem kosą w lewe ramię, że zaś żołnierze byli w pochodzie bez pancerzy i naramienników, przeto sam koniec żelęza przedarł mu dość głęboko rękę od karku aż do łokcia. Skaleczenie nie było zbyt

ciężkie, ale krwawiło ogromnie, skutkiem czego młodzian zemdlał. Doświadczony ksiądz Woynowski kazał go ułożyć na wozie i, opatrzywszy mu ranę, polecił go opiece niewiast. Zaraz też potem otworzył Jacek oczy i począł znów patrzeć jak w tęczę w pochyloną nad nim twarz panny Sienińskiej.

Tymczasem czeladź w mig zasypała rów i rozebrała zasiek. Tabor i chorągiew przeszły za groblę na

suchą drogę, gdzie zatrzymano się dla odpoczynku, dla wprowadzenia ładu w obozie i wybadania jeńców. Ksiądz od Taczewskiego udał się do panów Bukojemskich, aby obaczyć, czy nie ponieśli jakiego szwanka. Leez nie! Konie mieli podrapane, a nawet pokłóte, lubo nieszkodliwie, widłami, sami zaś byli nietylko zdrowi, ale i w wybornych humorach, albowiem podziwiano powszechnie ich męstwo, „że natłukli jeszcze przed wojną tylu ludzi, ilu niejeden żołnierz przez całe lata wojaczki nie nabije“.

— Nażbyście waćpanowie zaciągnęli się pod pana Zbierzchowskiego—mówili ci i owi z towarzystwa—zdawna wiadomo, a Bóg da, że znów się pokaże, iż nasza chorągiew nawet między usarskimi prym dzierży, to też nie byle kogo i niełatwo do niej pan Zbierzchowski przyjmuje, ale tak godnych kawalerów i on chętnie przygarnie i my radzi z serca waćpanom będziemy.

Panowie Bukojemsey wiedzieli, że nie mogło to być, gdyż nie stać ich było ani na odpowiednie poczty, ani na „wyprawę“ konieczną do chorągwi tak górnej; jednakże z rozkoszą słuchali namów i, gdy manierki poczęły chodzić z rąk do rąk, nie dali się i na tem polu nikomu przewyżzyć.

Kiedy się to działo, żołnierze wyciągali za łby z błota i przyprowadzali przed pana Zbierzchowskiego, pana Cypryanowicza i przed księdza pochwytyanych napastników. Nie uszedł z nich poprosta żaden, albowiem w potężnej chorągwi, liczącej, prócz trzystu towarzystwa, dziewięćset pocztowych, dość było ludzi do otoczenia całego trzęsawiska i oba wylotów grobli. Widok jeńców zdziwił jednak wielce pana Serafina. Spodziewał się znaleźć pomiędzy niemi, jak zapowiedział synowi, Marcyana Krzepeckiego i jego radomską kompanię szlachecką, tymczasem miał przed sobą amazaną

w błocie i cuchnącą torfem obdartą gromadę zbójów, złożoną jak wszystkie podobne ze zbiegów z wybrańckiej piechoty, z wyrzutków z prywatnej czeladzi, z poddaństwa, słowem: z wszelkiego rodzaju dzikich i złowrogich hultajów, trudniących się rozbojem w puszczech i borach. Grasowało takich kup dużo, zwłaszcza w lesistem województwie Sandomierskiem, a ponieważ zaciągali się do nich ludzie gotowi na wszystko i którym w dodatku groziły w razie ujęcia straszne kary, więc i napady ich były nadzwyczaj zuchwałe i bitwy z nimi szczególnie zacięte.

Przez jakiś czas trwało jeszcze poszukiwanie po trzęsawiskach, poczem pan Cypryanowicz zwrócił się do Zbierzchowskiego i rzekł:

— Mości pułkownika, myśleliśmy, że to całkiem kto inny, a to zwyczajni osacznicy i zwykły napad zbójcki. Niemniej wszelako wdzięcznem sercem dziękujemy waszmości i całemu towarzystwu za skuteczną pomoc, bo bez niej nie oglądalibyśmy już może dzisiaj tego wschodu słońca.

A pan Zbierzchowski uśmiechnął się i odpowiedział:

— Bogdaj to noene pochody! I apał nie dokaczy, i przysługę można komu oddać. Cheesz waszmość zaraz badać tych ludzi?

— Jakem się im zbliżka przyjrzał, to niekoniecznie. Sąd ich i tak w grodzie zbada a kat im poświeci.

Na to wysoki kościsty chłop o posępnej twarzy i jasnym karku wysunął się z szeregu jeńców, i pochylwszy się do strzemia pana Cypryanowicza, rzekł:

— Wielmożny panie, darujcie nas zdrowiem, to powiemy prawdę. My zwyczajni osacznicy, ale napaść nie była zwyczajna.

Usłyszawszy to, ksiądz i pan Serafin spojrzeli po sobie z zaciekawieniem:

— Ktoś ty jest?—zapytał ksiądz.

— Starszy. Było nas dwóch, bo i kup było połączonych dwie, ale drugi zabit. Darujcie nam, wielmożni panowie, to powiem wszystko.

Ksiądz zastanowił się przez chwilę, poczem rzekł:

— Prawa nie możemy was odjąć, ale i tak lepiej wam dobrowolnie wyznać prawdę, niż żebyście ją mieli na mękach wyznawać. Może też w takowym razie i ludzki i boski sąd będzie dla was łaskawszy.

Chłop począł spoglądać po swoich, niepewny, czy ma mówić, czy milczeć, a tymczasem ksiądz dodał:

— I jeśli prawdę szczerą wyznacie, to jeszcze jedno możemy dla was uczynić, mianowicie wstawić się za wami do króla i jego miłosierdziu was polecić, który ponieważ grzecznych pacholców do piechoty potrzebuje, przeto często teraz sądom łaskawość poleca.

— Jak tak, to powiem wszystko—odrzekł chłop.— Ja się zwę Obuch, a starszym drugiej kupy był Kos, i oba nas najął jeden szlachcic, abyśmy na wasze miłości napadli.

— A wiecie, jako się ów szlachcic zowie?

— Jam go przedtem nie znał, bom z dalszych stron, ale Kos go znał i mówił, że się zowie Wysz.

Ksiądz i Cypryanowicz znów spojrzeli na się ze zdziwieniem.

— Wysz. powiadasz?

— Tak jest.

— A nie było z nim nikogo?

— Był drugi, cienki, chudy, młody.

Pan Serafin zwrócił się do księdza i szepnął:

— To nie oni...

— Ale może być Marcyanowa kompania.

Poczem głośno do chłopca:

— Cóż wam przykazali:

— Powiedzieli nam tak: Co z ludźmi uczynicie, to wasza rzecz; wozy i łup wasze, ale w taborze jest panna, którą macie chwycić i manowcami między Radomiem i Zwoleniem ku Policznej prowadzić. Za Policzną napadnie na was nasza kompania i pannę odbije. Wy jej ni by brońcie, ale tak, by szkody nijakiej w ludziach nam nie przyczynić. Dostaniecie za to po talarze na głowę, prócz tego co w wozach znajdziecie.

— To już jako na dłoni!—rzekł ksiądz.

I po chwili znów pytał:

— To tylko ci dwaj z wami gadali?

— Przyjechał później z nimi trzeci w nocy, który dał nam pozłotemu zadatka, ale, choć ciemno było jak w piwnicy, poznał go jeden mój człowiek, bo był z jego poddanych—i mówił, że to pan Krzepecki.

— Ha! otóż i oni!—zawołał pan Cypryanowicz.

— A ten człowiek jest tu, czyli też legł?—zapytał ksiądz.

— Jestem!—ozwał się opodal jakiś głos.

— A pójdz—no bliżej. Tyś poznał pana Krzepeckiego? A to jakim sposobem, skoro tak było ciemno, że choć w pysk bij?

— Dy ja go od małości znam. Poznałem go i po pałkowatych nogach, i po głowie, co mu jakoby w dole między garbami siedzi, i po głosie.

— To gadał do was?

— Mówił i z nami, a potem słyszałem, jak gadał do tych, co z nim przyjechali.

— Cóż im powiedział?

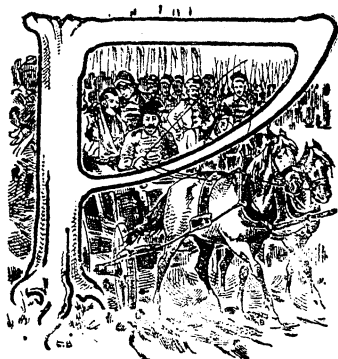
— Powiedział tak: „żeby wam można było pieniądze zawierzyć, to jabym tu nie przyjeżdżał, choćby noc była jeszcze ciemniejsza...”

— I zeznasz to przed burmistrzem, albo przed starostą w grodzie?

— Zeznam.

Usłyszawszy to, pan Zbierzechowski zwrócił się do pocztowych:

— Tego człowieka mi osobiwie strzedz.



oczem jęli radzić. Bakojemsey byli tego zdania, by przebrać w szatki panięskie pierwszą lepszą babę, wsadzić na podjezdka, otoczyć czeladzią i pocztowymi, poprzebieranymi za osaczników i iść na umówione z Marcyanem miejsce, a gdy ów uczyni rzekomy napad, otoczyć go i albo zaraz pomsty nad nim dokonać, albo też do Krakowa go wziąć i tam sądom oddać. Sami ofiarowali się z wielką ochotą poprowadzić wyprawę i przysięgali, że rzucą związanego Marcyana pod nogi pannie Sienińskiej. Zamiar ów podobał się w pierwszej chwili wiele, gdy jednak poczęto go pilniej rozważać, wykonanie jego okazało się trudne, a spełnienie niekonieczne. Pan Zbierzchowski mógł i miał prawo

ratować w niebezpieczeństwie ludzi, spotkanych przypadkowo w pochodzie, ale nie miał prawa i nie chciał wysyłać żołnierzy na prywatne ekspedycje. Z drugiej strony, skoro znalazł się między napastnikami człowiek, który znał i gotów był wskazać sądom głównego sprawcę napaści, to owego sprawcę można było w każdej chwili pociągnąć do odpowiedzialności i uzyskać nań wyrok hańbiący. Z tego powodu i pan Serafin i ksiądz Woynowski doszli do przekonania, że dość będzie na to czasu po wojnie, albowiem nie było obawy, aby Krzepeccy, posiadający znaczne majątkości, opuścili je i zbiegli. Nie podobało się to tylko panom Bukojemskim, mieli bowiem żywą chęć załatwić sprawę odrazu. Oświadczyli też nawet, że skoro tak, to sami pojedą ze swymi pacholkami po Marcyana, ale nie pozwolił im na to pan Cypryanowicz, a powstrzymał ostatecznie Jacek, który zaklął ich na wszystkie świętości, aby jemu wyłącznie pozostawili Krzepeckiego.

— Ja tam—mówił—prawem przeciw niemu nie będę czynił, ale po tem, co tu od waszmościów słyszałem, jeśli na wojnie nie legnę, to go, jako Bóg na niebie, odnajdę—i dopieroż się pokaże, czyby kondemnata nie była mu lżejsza i miłsza.

I jego „dziewczyńskie“ oczy zaświeciły przytem tak strasznie, że panów Bukojemskich, lubo kawalerowie byli nieustraszeni, aż dreszcz przeszedł; wiedzieli bowiem, w jak dziwny sposób splata się w duszy jacekowej łagodność z zapaleczywością i ze złowrogą pamięcią doznanych krzywd.

A on jeszcze powtórzył kilka razy: „gorze ma!“ „gorze ma!“—i znów poblądł z poprzedniej utraty krwi. Jeszcze przedtem rozedniało już zupełnie. Zorza poranna pomalowała świat różaną i zieloną barwą i roziskrzyła się w kroplach rosy, wiszących na trzcinach,

na sitowiu i na liściach drzew, a także na igłach karłowatych sosen, rosnących tu i owdzie po brzegach trzęsawiska. Pan Zbierzchowski kazał jeszcze jencom pochować ciała poległych, co prędko poszło, albowiem torf łatwo ustępował pod łopatami—i gdy na grobli nie pozostał żaden ślad bitwy, pochód ruszył dalej ku Szydłowcu.

Pannie Sienińskiej radził pan Cypryanowicz, aby znów przesiadła do kolaski, w której może zażyć smacznego snu przed popasem, ale oświadczyła tak stanowczo, że nie odstąpi Jacka, iż nawet i ksiądz Woynowski nie próbował odwieść jej od tego przedsięwzięcia. Jechali tedy razem i prócz woźnicy we dwoje tylko, gdyż panią Dzwonkowską morzył sen tak okrutnie, że po małej chwili przeniosła się do kolaski.

Jackek leżał na wznak na wiązках siana, poukładanych po jednej stronie wzdłuż wozu, a ona siedziała po drugiej, pochylając się co chwila ku jego zranionej ręce i bacząc, czy krew nie przedostaje się przez opatrunek. Chwilami przykładała rannemu do ust bakłak ze starem winem, które widocznie działało wybornie, gdyż po pewnym czasie sprzykrzyło mu się leżeć i kazał woźnicy powyciągać wiązki siana, na których wspierał nogi.

— Wolę jechać siedzący — rzekł — bo już się całkiem czuję na siłach.

A rana? nie będzie tak waćpanu bardziej dolegała?

Jackek zwrócił oczy ku jej różanej twarzy i począł mówić głosem cichym i smutnym:

— Odpowiem waćpannie tak, jak dawno, dawno temu odpowiedział pewien rycerz, który, gdy go król Łokietek ujrzał na pobojuwisku, przebodzonego krzy-

żackimi włóczniami i zapytał, czy bardzo cierpi, pokazał na swe rany i rzekł: „To mniej boli“.

Panna Sienińska spuściła powieki.

— A co więcej boli?—szepnęła.

— Więcej boli stęsknione serce i rozłąka i pamięć krzywd doznanych.

Przez chwilę panowało milczenie, tylko serca porwały bić w obojgu z coraz większą mocą, albowiem zrozumieli, że nadchodzi chwila, w której mogą i powinni wypowiedzieć wszystko, co przeciw sobie mają.

— Prawda—rzekła panienka—pokrzywdziłam waćpana wówczas, gdy go po owym pojedynku przyjęła z gniewną twarzą i nieludzko... Ale to było raz jedyne, i choć Bóg jeden wie, jakom potem tego żałowała, to przecie mówię: moja wina! i przepraszam waćpana z całej duszy.

— A Jacek przyłożył zdrową dłoń do czoła.

— Nie to—odpowiedział—było mi cierniem, nie to największą boleścią!

— Wiem: nie to, jeno list pana Pągowskiego... Jakto? więc waćpan mogłeś mnie posądzić, żem ja o nim wiedziała, albo przyczyniła się do niego?

I zaczęła opowiadać przerywanym głosem, jak wówczas było: jak błagała pana Pągowskiego, by krok do zgody uczynił, jak jej obiecał, że napisze list ojcowski i serdeczny, napisał zgoła przeciwny, o którym dopiero później dowiedziała się od księdza Woynowskiego, a z którego pokazało się, że pan Pągowski, mając już inne zamiary, chciał właśnie rozdzielić ich raz na zawsze.

Przeczem, ponieważ słowa jej były poniekąd wyznaniem, a zarazem odnową wspomnień przykrych i bolesnych, więc z przymusu i ze wstydu jasne ramieńce rozkwitały co chwila na jej policzkach, a oczy ćmiły się łzami.

— Zali ksiądz Woynowski—spytała w końcu—nie, napisał waćpanu, żem ja o niczem nie wiedziała, i że nie mogłam nawet zrozumieć, dlaczego za moje szesere serce taką otrzymałam zapłatę?

— Ksiądz Woynowski—odrzekł Jacek—doniósł mi jeno, że waćpanna za mąż, za pana Pągowskiego, wychodzi.

— Ale nie doniósł, żem się na to zgodziła z bólu, z sieroctwa, w opuszczeniu—i jeno z wdzięczności dla pana Pągowskiego... Bom wówczas jeszcze nie wiedziała, jak on z waćpanem postąpił, a wiedziałam to jedno, że mną wzgardzono i że o mnie zapomniano..

Usłyszawszy to, Jacek przymknął oczy i tak poezął mówić z wielkim smutkiem:

— Że cię zapomniano?... Bogdaj taki!.. Byłem w Warszawie, byłem na dworcu królewskim, jeździłem z chorągwią po kraju, ale cokolwiek mi czynić wypa-
dło i wszędy, gdzie byłem, ani na chwilę nie schodzi-
łaś mi z pamięci i z serca... Szłaś za mną, jako idzie
cień za człowiekiem... I nieraz w strapieniu, w bole-
ści, poprosta z umęczenia wołałem do cię śród bezsen-
nych noey: Zlitaj się! pofolgaj! daj o sobie zapomnieć!
Aleś ty nie odstępowała nigdy: ni w dzień, ni w noey,
ni w pola, ni pod dachem... Ażem wreszcie zrozu-
miał, że tylko wtedy mógłbym cię wyrwać z serca, gdy-
bym i samo serce wyrwał z piersi...

Tu przerwał, gdyż głos zdławilo mu wzruszenie, ale po chwili mówił dalej:

— ...Więc potem nieraz mówiłem przy pacierzu:
Daj, Boże, poledz, bo sam widzisz, że mi i do niej nie
lża, i bez niej nie lża... I jaż anim się spodziewał tej
łaski, że cię jeszcze w życiu zobaczę... ty, jedyna
w świecie... ty, umiłowana!

To rzekłszy, pochylił się ku niej i oparł skroń o jej ramię.

— Tyś—szeptał— jako ta krew, która daje życie, tyś jak to słońce na niebie... Miłosierdzie Boże jest nade mną, że cię jeszcze widzę... umiłowana! umiłowana!...

A jej wydało się, że Jacek śpiewa jakąś pieśń cudną. Oczy jej zalała fala łez, a serce fala szczęścia. Uczyniło się między nimi znów miłoznienie, tylko dziewczyna płakała długo, tak słodkim płaczem, jakim nie płakała dotychczas nigdy w życiu.

— Jacku—rzekła wreszcie—po cośmy się tak namartwili oboje?

— Bóg nagrodził stokrotnie.

I po raz trzeci zapadła między nimi cisza— jeno wóz skrzypiał, posuwając się zwolna po piachach szerokiego gościńca. Za borem wyjechali na obszerne, skąpane w słońcu, pola, szumiące żytem, utkane bogato kraśnemi makami i modrym chabrem. Był wielki spokój. Nad żzętemi już gdzieniegdzie polanami tkwiły w górze nieruchome, rozśpiewane skowronki, na krańcach pól migotały w oddali sierpy, z dalekich zielonych błoni dochodziły pokrzyki i pieśni pastasze. A im obojgu zdało się, że dla nich szumi to żyto, dla nich migocą maki i chabry, dla nich dzwonią skowronki, pokrzykują pastusi i że cały ów słoneczny spokój polny i wszystkie te głosy wtórują tylko ich szczęściu i apojeniu.

Z zapamiętania rozbudził ich dopiero ksiądz Woynowski, który, przysunąwszy się niepostrzeżenie do wozu, zapytał:

— Jako że ci tam, Jacuś?

Jacek drgnął i spojrział na niego błyszczącemi oczyma, jakby zbudzony ze snu:

— Co, dobrodzieju?

— Jako że ci jest?

— Ej! już i w raju nie będzie lepiej!

Ksiądz popatrzył uważnie naprzód na niego, potem na pannę.

— Tak?...—rzekł.

I pocałował z powrotem do kompanii.

Lecz ich objęła napowrót radosna rzeczywistość: poczęli spoglądać na się i tonąć sobie wzajem w żreńnicach.

— Ty... nienapatrzona!...—rzekł Jacek.

Ona zaś, spuściwszy oczy, jęła uśmiechać się kącikami ust, tak, że aż dołki utworzyły się na jej różowych policzkach.

— A panna Zbierzchowska zali nie gładsza?—spytała cicho.

Jacek spojrział na nią ze zdumieniem:

— Jaka panna Zbierzchowska?...

Wówczas nie odrzekła nic, tylko poczęła się śmiać w piąstkę dźwięcznym jak srebrny dzwonek śmiechem.

Tymczasem, gdy ksiądz przywalał do kompanii, towarzysze, którzy lubili Jacka, poczęli o niego dopytywać:

— No, co tam? jakoż nasz ranny?

— Już go na świecie niema!—odrzekł ksiądz.

— Na Boga! co się stało? jakto go niema?

— Bo powiada, że już w raju. Malier!!!...

Panowie Bukojemscy, jako ludzie pomierne z natury przywykli do prędkiego pojmovania tego co słyszą, nie przestali spoglądać na księdza z przerażeniem i, zdjawszy czapki, już-już mieli rozpocząć „wieczny odpoczynek“, gdy wtem ogólny wybuch śmiechu pomieszał im te pobożne myśli i zamiary. Ale w tym śmiechu towarzystwa była szczerza życzliwość i szczerze

spótczucie dla Jacka. Wiedzieli już niektórzy od Stanisława Cypryanowicza, jak „czuły był to kawaler“, domyślali się wszyscy, jak srodze musiał być utrapion, więc słowa księdza uradowały wszystkich wielce. Zaraz też ozwały się głosy:

— Dla Boga! widzieliśmy przecie, jako się z afektem borykał, jako na pytania odpowiadał nie do rzeczy, jako sprzączek na sobie nie dopinał, jako się przy jadł a nawet i picia zapamiętywał i jako nocami na księżyc oczy przewracał: niezawodne to były nieszczęsnej miłości signa!

Inni zaś mówili:

— Wiera, że ma teraz jak w raju, bo jeśli żadne rany gorzej od ran przez Amora zadanych nie boją, to natomiast niemasz słodsze go nad wzajemność specyala.

Takie i tym podobne uwagi czynili towarzysze Jacka. Niektórzy wszakże, dowiedziawszy się, przez jakie terminy przeszła panna i jak haniebnie obszedł się z nią Krzepecki, poczęli trzaskać szablami i wołać:—„Dawajcie go sami!“—niektórzy rozezulali się nad dziewczyną, niektórzy, dowiedziawszy się, co spotkało Marcjana od Bukojemskich, wynosili pod niebiosa ich przyrodzony dowcip i męstwo.

Lecz po chwili ogólna uwaga skupiła się znowa na dwojgu zakochanych.

— „Naże! — wołano—zakrzyknem im na zdrowie, na cześć et felices rerum successus!“—i wraz ruszono końmi tłumnie i hałaśliwie ku bryce.

W mig cała niemal chorągiew otoczyła Jacka i pannę Sienińską. Zagrzmiały gromkie głosy: „vivant! floreant!“ inni zaś przed czasem jeszcze wołali: „creseite et multiplicamini!“

Czy panna Sienińska naprawdę była temi krzykami przelękniona, czy też, jako „mulier insidiosa“, ada-

wała tylko przestрах—tego by i ksiądz Woynowski nie zdołał odgadnąć, dość, że przytuliwszy swą jasną głowę do zdrowego ramienia Jacka, zaczęła pytać zawstydzona i pomieszana:

— Co to, Jacku? co to się dzieje?

A on otoczył ją ramieniem i odrzekł:

— Ludzie mi cię dają, a ja cię wezmę, kwiataszka mój najmilejszy.

— Po wojnie?...

— Przed wojną.

— Dla Boga, czemu tak prędko?

Lecz Jacek widocznie nie dosłyszał pytania, albowiem, zamiast na nie odpowiedzieć, rzekł:

— Pokłońmy-ż się i podziękujmy miłym towarzyszom za życzliwość.

Więc poczęli się kłaniać na obie strony, co wzbudziło jeszcze większy zapal wśród rycerzy. Widząc tedy spłonioną i śliczną jak zorza ranna twarz dziewczyny, żołnierze aż bili się dłońmi z podziwu po udach.

— Na miły Bóg!—wołali—dy to olśnąć można poprostu!

— Anioł by się zakochał, a cóż dopiero człek grzeszny.

— Nie dziw, że z żalu po niej marniał!

I znów setne głosy haknęły jeszcze potężniej:

— Vivant! crescant! floreat!...

Śród tych okrzyków i w obłokach złotej karzawy wjechali do Szydłowca. Złękli się w pierwszej chwili mieszkańcy i, porzuciwszy stojące przed domami warsztaty, na których wykrawali z piaskowca oselki, poaciekali do izb. Lecz wkrótce poznawszy, że to są okrzyki wesela nie gniewu, wylegli harmem na ulice i połączyli się z wojskiem. Uczynił się tłum ludzi

i koni. Ozwały się husarskie kotły, trąby i krzywały. Ochota stała się powszechną. Nawet żydkowie, których strach najdłużej zatrzymał w izbach, krzyczeli: **wiwaj!** choć wielu nie wiedziało dobrze o co chodzi.

A Taczewski mówił do panny Sienińskiej:

— **Przed wojną! przed wojną, choćby w godzinę później zginąć przyszło!**



akże to? — mówił ksiądz Woynowski na uczcie, którą dla Jacka wyprawili towarzysztwo.—Za pięć albo sześć dni ruszamy, możesz na wojnie zginąć; zali tedy opłaci ci się brać ślub przed wyprawą, zamiast szczęśliwego końca jej doczekać i dopiero potem spokojnie się ożenić?

Lecz towarzysze, usłyszawszy te roztropne słowa, aż w śmiech; niektórzy aż brali się za boki, inni zaś poczęli chórem wołać:

— Oj! opłaci się, dobrodzieju! a właśnie dlatego, że może zginąć, tem więcej się opłaci!

Ksiądz gniewał się nieco, lecz gdy trzysta drażbów z pod chorągwi, nie wyłączając pana Cypryanowicza,

nalegało, a Jacek ani chciał słyszeć o zwłoce, musiało tak być, jak sobie życzył. Odnowione stosunki z dworem i łaska obojga królestwa ułatwiły wielce sprawę: Królowa Jejmość oświadczyła bowiem, że przysłała pani Taczewska zostanie przez cały czas wojny pod jej opieką i przy jej boku, a sam Jegomość obiecał być z asystencyą na słabie i o grzecznem wianie przy wolniejszej głowie pomyśleć. Pamiętał on, ile majątności Sienińskich przeszło swego czasu do Sobieskich i jak przodkowie jego na tem wyrosli, czuł się więc zobowiązany względem sieroty, która prócz tego ujęła go swą urodą, a zarazem wzbudziła w nim litość niedolą i nieszczęściami, przez które przeszła.

Pan Mateczyński, przyjaciel z dawnych lat księdza Woynowskiego, a zarazem i królewski, obiecał też często dziewczynę panu przypominać, ale po wojnie, gdyż teraz, gdy na barkach Jana III spoczywały losy całej Europy i całego chrześcijaństwa, nie wolno go było żadną prywatą zajmować. Ksiądz Woynowski ucieszył się jednak z tej obietnicy tak, jakby Jacek już „zacne starostwo“ otrzymał, wiedziano bowiem powszechnie, że na każdym słowie pana Mateczyńskiego można było polegać jak na słowie Zawiszy. On też, właściwie mówiąc, był sprawcą wszelkiego tego dobra, które pannę Sienińską w Krakowie spotkało, on przypomniał księdza Woynowskiego królestwu, on wreszcie zjednał dla dziewczyny królowę, która, lubo w upodobaniach zmienna i kapryśna, od pierwszej chwili poczęła okazywać jej szczególną, aż prawie zbyt nagłą przyjaźń i łaskę.

Otrzymanie indultu od zapowiedzi poszło łatwo przy protekeyi dworu i łasce księdza biskupa krakowskiego. Przedtem jeszcze pan Serafin wystarał się dla przyszłych państwa młodych o piękną kwatere u pewnego kupca krakowskiego, którego dziadowie handlo-

wali swego czasu z Cypryanowiczami, gdy ci jeszcze mieszkali we Lwowie i sprowadzali bławaty ze Wscho-
da. Piękna też to była kwatery, jakiej przy natłoku
cywilnych i wojskowych dygnitarzy w mieście nie miał
niejeden wojewoda. Stanisław Cypryanowicz, który po-
stanowił sobie, aby tych kilka dni przed wyprawę przy-
jaciel Jacek spędził tak właśnie, jakoby w prawdziwym
niebie, ozdobił ją nadzwyczajnie makatami i świeżem
kwieciami; inni zaś towarzysze pomagali mu w tem gor-
liwie, wypożyczając co kto miał najlepszego z tyfteków,
kobiereców i tym podobnych kosztownych rzeczy, które
w bogatych chorągwiach husarskich zabierano nawet
w pochód z sobą.

Słowem, wszyscy okazywali młodej parze jak naj-
większą życzliwość i pomagali jej, jak kto mógł i w czem
był mocen, z wyjątkiem tylko czterech panów Bako-
jemskich. Ci w pierwszych dniach po przybyciu do
Krakowa przychodzili czasem i po dwa razy na dobę
do Cypryanowiczów, do Jacka i pod wiechy do kap-
ców, a których piło towarzystwo z pod chorągwi kró-
lewicza Aleksandra, ale potem jak w wodę wpadli.
Ksiądz Woynowski myślał, że piją po przedmieściach,
gdzie ich istotnie czeladź pewnego wieczora widziała—
gdzie miody i wina były tańsze niż w samem mieście—
ale właśnie zaraz potem słuch o nich zaginął. Ksiądz
i panów Cypryanowiczów gniewało to ich postępowanie,
mieli bowiem dla pana Serafina obowiązki wdzięczno-
ści, o których nie powinni byli zapominać.

— Żołnierze mogą być z nich dobrzy — mówił
ksiądz—ale to lekkoduchy, na których stateczność wca-
le liczyć nie można. Znaleźli pewnie jakąś hultajską
kompanię, w której im lepiej niż między nami.

Posądzenie to okazało się jednak niesłuszne, gdyż
właśnie w wigilię ślubu Jacka, gdy w kwaterze pełno

było znajomych, którzy przychodzili składać życzenia i podarki, czterej bracia pojawili się, przybrani w najpiękniejsze jakie mieli szaty, uroczyści i z twarzami spokojnymi, ale pełnymi tajemniczości.

— Cóż się takiego z wami działo? — zapytał pan Serafin.

— Szlakowaliśmy zwierza! — odrzekł Łukasz.

Lecz Mateusz dał mu w tej samej chwili sójkę w bok i rzekł:

— Cicho! nie powiadaj przed czasem.

Poczem spojrzął na księdza, na obu Cypryanowiczów, wreszcie, zwróciwszy się do Jacka, począł odchrząkiwać, jak człowiek, który zamierza dłużej przemówić.

— Naże! poczynaj wrazi! — zachęcali go bracia.

Lecz on spojrzął na nich osowiałemi oczyma i zapytał:

— Jakże miało być?...

— Cóżeś to? zapomniał?...

— Zacięło mi się...

— Czekaj... już wiem — zawołał Jan — zaczynało się: „Przezaeny nasz...” Dalej!

— Przezaeny nasz Piłacie... — począł Mateusz.

— Dlaczego „Piłacie”? — przerwał ksiądz — może było „Pyladzie”? —

— W sednoś dobrodziej utrafił! — krzyknął Jan — było: „Pyladzie”, jako żywo!...

— Zaeny nasz Pyladzie! — zaczął z otuchą powtórnie Mateusz. — Choćby nie żelazny Borysten, ale sam złotonośny Tagas przez rodzinne nasze ziemie przepływał, to jako exulowie z pod najścia barbarorum, nie, prócz sere naszych, gorejących przyjaźnią, ofiarować byśmy ci nie mogli, ni też żadnym wdzięcznym upo-

minkiem nie zdołalibyśmy dnia dzisiejszego uczyć należycie...

— Tak ci gada, jakby orzechy gryzł! — zawołał z zapalem Łukasz.

Lecz Mateusz powtórzył jeszcze kilka razy: „należycie... należycie... należyście...” — i właśnie zaciął się, począł więc spoglądać na braci, wzywając oczyma ich ratunka, ale i oni zapomnieli w ząb, co miało być dalej.

Towarzysze poczęli się śmiać, a panowie Bukojemsey marszczyć, co widząc pan Serafin, postanowił im przyjść z pomocą.

— Kto wam tę mowę ułożył? — zapytał.

— Pan Gromyka, z pod chorągwi pana Szamlańskiego — odrzekł Mateusz.

— Otóż to. Cudzy koń najłatwiej dęba stanie i na miejscu się zatnie; uściśnijcie tedy Jacka i powiedzcie poprostu, co macie powiedzieć.

— Pewnie, że tak najlepiej.

I poczęli kolejno brać Taczewskiego w objęcia, poczem Mateusz rzekł:

— Jacuś! nam wiadomo, żeś nie żaden Piłat, a tobie wiadomo, że po odpadnięciu Kijowszczyzny chude z nas pacholki, a krótko mówiąc, goley. Masz-że! przynosim ci, na co nas stać, a ty przyjmij, choć i to, wdzięcznem sercem.

To rzekłszy, wręczył mu jakiś przedmiot, zawinięty w kawałek czerwonego atlasu, a przez ten czas trzej młodzi bracia powtarzali z rozrzewnieniem:

— Przyjmij, Jacusia! przyjmij! przyjmij!

— Przyjmuję i Bóg wam zapłaci! — odpowiedział Jacek.

Tak mówiąc, położył przedmiot na stole i począł odwijać atlas — nagle cofnął się i zakrzyknął:

— Dla Boga! ucho ludzkie!

— A wiesz czyje? Marcyana Krzepeckiego! — zagrmieili bracia.

— Cha!

Obeeni zdumieli się tak okratnie, że nastąpiła chwila milczenia.

— Tfu! — zakrzyknął wreszcie ksiądz Woynowski.

I przemierzywszy jednego po drugim sarowym wzrokiem, nabrał ich z góry:

— Cóżecie to Turcy, abyście mieli uszy pobitych nieprzyjaciół prezentować? Wstyd czynicie temu chrześcijańskiemu wojsku i wszystkim szlachcie. Choćby Krzepecki sto razy na śmierć zasłużył, choćby nawet heretykiem albo zgoła poganinem był, jeszcze byłaby niewypowiedziana hańba taką rzecz czynić. O, toście Jacka udelektowali, że aż splota tę ślinę, która mu do gęby popłynęła! Ale ja wam powiadam, że za takowy uczynek nie żadnej wdzięczności, jeno wzgardy się spodziewajcie, a w dodatku hańby; bo nie masz takiej chorągwi w całej jeździe, ba, nawet takiego regimentu w piechocie, któryby podobnych barbarusów jako komilitonów przyjmą zechciał!

Na to Mateusz wystąpił przed braci, i płonąć wielkim gniewem, tak mówić począł:

— Oto wdzięczność, oto zapłata, oto sprawiedliwość ludzka i sąd ludzki, który, gdyby kto świecki wypowiedział toby się pewnie i drugie ucho znalazło z pierwszym do pary, ale gdy osoba duchowna tak mówi, to niechże ją Pan Jezus sądzi i za niewinnością się ujmie! Pytasz, jegomość: „cożecie to Turcy?“ a ja spytam: cóż to jegomość myślisz, że myśmy trupowi ucho obcięli?... Bracia rodzeni! sieroty wy niewinne, na toż wam przyszło, żeby z was Turków, nieprzyjaciół wiary, czyniono!... Co?...

Tu głos mu zadrżał, albowiem żalność gniew przemożła, pozostali zaś bracia, wzruszeni niesłusznem sądem, poczęli wołać również żalnością:

— Turków z nas uczyniono!

— Nieprzyjaciół wiary!

— Pogan bezecnych!...

— To powiadajcie, a licha, jako było! — rzekł ksiądz.

— Łukasz obciął Marcyanowi ucho w pojedynku.

— Skąd się Krzepecki tu wziął?

— Przyjechał. Od pięciu dni już tu był... Za nami przyjechał...

— Niech jeden mówi. Mów ty, jeno do rzeczy.

Tu ksiądz zwrócił się do najmłodszego Jana.

— Znajomek nasz, towarzysz z chorągwi ks. Biskapa sandomierskiego — począł Jan — powiedział nam przypadkiem przed trzema dniami, że widział w winiarni na Kazimierzu jakoweś dziwo: „Szlacheć — powiada — jak pień, z ogromną głową, tak weisniętą w kadyb, że ma ramiona do uszu sięgają; na krótkich (powiada) krzywych nogach, a pił jak smok. Bezecciej-szej małpy (powiada) w życiu nie widziałem!“ A my, jako że nam Pan Jezus to już od urodzenia dał i że w lot wszystko pomiarkuję, zaraz spojrzeliśmy po sobie: Naż to to Krzepecki? Dopiero ja do towarzysza. Zaprowadzisz do winiarni? — Zaprowadzę. I zaprowadził. Ciemno już było, ale patrzym: aż tu czer-ni się coś w jednym kącie za stołem. Łukasz podszedł i naż krzesać iskry przed samymi ślepiami tem, co się tam krył: „Krzepecki!“ — krzyknie — i cap go za kark! My do szabel, ale ów się wyrwał i, widząc, że niema rady, bośmy byli od strony drzwi, kiedy to nie zacznie skakać przed nami! To tak ci podskakiwał raz po razu jak kogut! — Cóż (powiada) zabijaki, my-

ślicie, że się boję?! W pojedynkę jeno ze mną, nie kapą! chyba, żeście zbójcy, nie szlachta?

— Szelma!—przerwał ksiądz — a sam to cóż lepszego z nami chciał uczynić?

— Tak mu też rzekł Łukasz. „O! takiej matki synu—powiada—któż to całą watahę zbójów na nas najął? Katu (powiada) wartoby cię za to oddać, jeno że krócej będzie taki...“ To powiedziawszy, zaraz natarł—i poczęli się ścinać. Za trzeciem czy czwartem złożeniem kiedy to nie zajędzie mu w bok głowy! Patrzym, aż ucho na ziemi. Podniósł je zaraz Mateusz i krzyczy: „Nie obcinaj drugiego, ostaw nam. To (powiada) będzie dla Jacka, a tamto dla panny Sienińskiej.“ Ale Mareyan upuścił szablę, bo go krew okrutnie zaczęła uchodzić — i omdlał. Leliśmy mu na łeb wodę, a w gębę wino, myśląc, że się ocknie i następnemu stanie, wszelako nie mogło to być! Ocknął ei się wprawdzie i powiedział tak: „Skoroście sami sprawiedliwość uczynili, to innej szukać wam nie wolno“—potem znów omdlał. Myśmy też poszli, żałując drugiego ucha. Łukasz powiada, że mógł go zabić, ale nie uczynił tego amyslnie, żeby się dla nas, a w końcu i dla Jacka zostało... I nie wiem, czy kto potrafi postąpić polityczniej, bo nie grzech to taką gadzinę zgnieść, ale widać — nie płaci teraz polityka, skoro za nią jeszcze cierpieć musimy.

— Prawda! słusznie mówi!—wołali inni bracia.

— No!—rzekł ksiądz—jeśli tak, to co innego, ale zawsze niesmaczne to jest donum.

Bracia poczęli spoglądać na się ze zdziwieniem.

— Jakto niesmaczne? — zapytał Marek — dyć my nie do zjedzenia Jackowi to ucho przynieśli.

— Dziękuję wam z duszy za waszą życzliwość — odpowiedział Taczewski — gdyż tak miemam, że nie przynieśliście tego i do schowania.

— Jużci, że trochę pozieleniało: chybaby w dymie uwędzić!

— Niech je pacholek zaraz zagrziebie — rzekł sarowo ksiądz — bo zawdy chrześcijańskie to acho.

— Lepsze my rzeczy w Kijowszczyźnie widzieli — mruknął Mateusz.

— Krzepecki niechybnie po to tu przyjechał — rzekł Jacek — aby nowy jaki zamach na Analkę uczynić!

— Z dworu królowej jejmości przecie jej nie porwie — odpowiedział roztropny pan Serafin — ale nie myślę, żeby on po to tu przyjeżdżał. Napaść ma się nie udała, więc suponuję, że chciał się tylko przekonać, czy wiemy, że to on ją urządził, i czyśmy go już oskarżyli, czy nie. Stary Krzepecki może o imprezie synowskiej nie wiedział, ale może i wiedział, a jeżeli tak, to wielce obaj muszą być teraz niespokojni i wcale mi to nie dziwno, że się Marcyan na zwiady tu wybrał.

Stanisław Cypryanowicz począł się śmiać.

— No — rzekł — ale że nie ma on szczęścia do Bakojemskich, to niema!

— Bóg z nimi! — zawołał Taczewski — bo jam ma dziś gotów wszystko przebaczyć.

Więc Bakojemscy i Stanisław Cypryanowicz, którzy znali zawziętość młodego kawalera, spojrzeli na niego ze zdziwieniem, a on, jakoby w odpowiedzi im, dodał:

— Bo Analka wraz będzie moja, a jutro rycerzem będąc chrześcijańskim i wiary obrońcą, który serec powinien mieć wszelkich nienawiści i prywat próżne.

— To cię za to Bóg pobłogosławił — zawołał ksiądz.



adszedł wreszcie dla Jacka Taczewskiego dawno upragniony dzień szczęścia. W Krakowie, między mięszczaństwem, jeszcze poprzednio rozeszła się wieść, powtarzana ze zdziwieniem, że znajduje się w wojsku pewien rycerz, który jednego dnia się żeni, a drugiego siada na koń. Gdy zaś się

rozniosło, że oboje królestwo mają asystować przy ślubie, tłumy poczęły się od rana zbierać w kościele i pod kościołem. Przyszło w końcu do tego, że trabanci królewsey musieli czynić na miejscu porządek, aby dla weselników pozostał przejazd wolny. Koledzy Taczewskiego zbrali się jak jeden człowiek, co uczynili zarówno z życzliwości i przyjaźni dla niego, jak i dla

tego, że miło było każdemu być widzianym w orszaku, w którym uczestniczył sam król, i należeć do jego jakby prywatnej kompanii. Stawiło się też i wielu dygnitarzy, nawet takich, którzy nigdy o Jacku Taczewskim nie słyszeli, albowiem wiadomo było, że królowa proteguje to małżeństwo—dużo zaś zależało na dworze o jej przychylności i łaski.

Lecz niektórym z panów wydawało się to niemniej dziwne niż mieszczaństwu, że król, na którego barkach spoczywały w tej chwili losy niemal całego świata, i do którego dzień w dzień przylatywali na spienionych koniach kuryerowie zagraniczni, znajduje jednak czas, aby być na ślubie prostego towarzysza. Więc jedni tłumaczyli to sobie dobrocią pańską i chęcią ujęcia wojska, drudzy czynili przypuszczenia, że może pomiędzy Jegomością a Taczewskim istnieją jakieś blizkie, a trudne do wyznania, węzły rodzinne; inni, nakoniec, śmieli się z tych przypuszczeń, ślusznie mówiąc, że w takim razie królowa, tak mało pobłażliwa, że nawet i za kawalerskie grzechy musiał nieraz król przed nią odpowiadać, nie zajęłaby się tak gorliwie połączeniem kochanków.

Ludzie zapomnieli już trochę o Sienińskich, więc, by zapobiedz wszelkim potwarzom i plotkom, przypomniał król amyślnie, ile Sobiescy byli temu rodowi winni. Wówczas poczęto zajmować się panną Sienińską i, jak to bywa na dworach, to litować się nad nią, to rozezulać się jej przygodami, to wychwalać jej enoty i piękność. Wieści o jej urodzie rozechodziły się szeroko wśród mieszczan i mieszczanek, ale też, gdy ją wreszcie ujrzano, nikt nie doznał zawodu.

Przybyła ona do kościoła wraz z królową, więc w pierwszej chwili wszystkie spojrzenia zwróciły się na panią, której wdzięki świeciły jeszcze całym blaskiem

przedwieczornego słońca; gdy jednak skierowały się na oblubienicę, wszędy—między dygnitarzami, między woj-skowymi, szlachtą i mieszczaństwem—ozwały się szep-ty, a nawet i głośne awagi:

— Cudna, cudna! Wiele oczom powinien, kto ta-ką raz w życiu obaczył.

I była to prawda. Niezawsze w owych czasach ubierano dziewczyny biało do ślubu, ale ją panny z frau-cymeru przybrały biało, bo taka była najlepsza jej su-knia—i takie życzenie. Więc w bieli, z zielonym wia-nuszkiem na złotych włosach, z twarzą trochę zmie-szaną i pobladłą, ze spuszczonei oczyma, cicha, smu-klą, wyglądała jak śnieżny łabędź, albo poprostu jak lilia biała.

Zdamiał się jej widokiem i sam Jacek Taczewski, któremu wydała się jakaś inna niż zwykle.

— Dla Bogal—rzekł sobie—jakoż ja do niej przy-stąpię! Toż to istne królewiątko, albo i zgoła anioł, do którego grzech inaczej niż na kolanach gadać.

I zląkł się prawie w duszy. Lecz gdy wreszcie klęknął z nią przed ołtarzem, gdy usłyszał wzruszony głos księdza Woynowskiego, który zaczął przemowę od słów: „Dziećmi was znałem oboje“, gdy stała związała im ręce, gdy usłyszał ciche wyrazy: „Biorę ciebie za małżonka“, a w chwilę potem wybuchła pieśń: „veni, Creator“, wtedy zdawało się Jackowi, że chyba szczę-ście rozsadzi mu piersi, i to tem łatwiej, że nie miał na nich pancierza. Kochał ją oddawna, od pacholęcych lat, i wiedział, że kocha, ale teraz dopiero zrozumiał, jak bez miary i bez granic ją miłuje. I znów począł sobie mówić:

— Chyba polegnę, bo gdyby człowiek za życia był tak szczęśliw, to cóżby było w niebie?

Ale pomyślał, że nim polegnie, musi przedtem Panu Bogu odwdzięczyć i nagle przeleciały mu przed oczyma duszy tłumy Turków, brody, turbany, zawoje, krzywe szable, chorągwie, buńczuki. Więc z serca wyrwał mu się ku Bogu okrzyk:

— Odwdzięczę się! odwdzięczę!

I uczuł, że dla tych nieprzyjaciół Krzyża i wiary stanie się lwem-niszczycielem. Trwało to widzenie tylko przez mgnienie oka, poczem załała mu nanowo piersi niezmierna fala szczęścia i kochania.

Tymczasem ceremonia była skończona; orszak ruszył do mieszkania, przygotowanego dla państwa młodych przez Cypryanowiczów, a ozdobionego przez towarzyszków z pod chorągwi. Na chwilę tylko mógł tam Jacek przycisnąć młodą panią Taczewską do serca, albowiem wnet musieli oboje wybiedz naprzeciw królestwa, którzy nadjechali z kościoła. Dwa wyższe krzesła były przygotowane dla nich za stołem, więc, po błogosławieństwie, przy którym oboje państwo młodzi przyklękli przed majestatem, prosił Jacek miłościwego pana i panią na ucztę weselną, lecz król odmówił:

— Miły towarzyszu — rzekł — radbym z tobą pogwarzyć, ba, i z tobą, krewniaczko, (tu zwrócił się do pani Taczewskiej) o przyszłym wianie pogadać, ale mi nijak. Chwilę ostanę i zdrowie wasze wypiję, siadać wszelako nie mogę, bo tyle mam na głowie, że mi każda godzina droga.

— A wiera! — zawołało kilkadziesiąt głosów.

Taczewski podjął pod nogi pana, a on wziął ze stołu nalany kieliszek.

— Mości panowie! — zawołał — zdrowie państwa młodych!

Uczynił się krzyk: „vivant! crescant! floreant!“, poczem król znów głos zabrał:

— Używaj-że wczasu i szczęśliwości swojej—rzekł do Taczewskiego — bo warto, a długo tego nie będzie. Jużci trzeba ci kilka dni zostać, ale potem pilnie nas musisz gonić, bo my tu na ciebie nie będziemy czekać.

— Łatwiej jejmość wytrzyma bez ciebie, niż Wiedeń bez nas — rzekł, śmiejąc się, pan Marek Mateczyński.

— A przecież kawaler Lubomirski już tam Turków łuszczy—zaawazył jeden z towarzyszków cesarskich.

— I mam dobre o naszych wiadomości — rzekł król—które kazałem Mateczyńskiemu wziąć z sobą, aby je umyślnie waszmościom przeczytać, na pociechę żołnierskich serc. Oto, co mi pisze o bitwie pod Presburgiem książę Lotaryński, generalisimus cesarski.

I począł czytać, trochę powoli, gdyż czytał dla szlachty po polsku, a list był pisany po francusku:

„Kawaleria cesarska szła dzielnie i z zapalem, ale akcyi dokonali tylko Polacy, którzy Niemcom nie zostawili do roboty. Nie mogę znaleźć dość słów pochwały dla dzielności, siły i zachowania się pana Lubomirskiego, oficerów i żołnierzy, którymi dowodzi“ *).

— Oto, co pisze książę Lotaryński. Bitwa była wielka i chwała naszych nie miała!

— Popiszemy się i my nie gorzej!—wołali żołnierze.

— Wierzę i ufam, jeno trzeba pośpiechu, bo późniejsze listy źle wróżą. Wiedeń ledwie już dyszy, a całe chrześcijaństwo ma oczy na nas zwrócone: nadążym czy nie nadążym.

*) Carolus Dux Lotharingiae Joanni III Poloniae Regi etc. Julius 31, 1683.

„Toute la Cavalerie de l'Empereur allait avec fermete et joie, mais l'action s'est passé seule entre les Polonais, qui n'ont rien laissé à faire aux Allemands“ etc. etc. etc.

— Niewiele tu ostało chorągwi, a główne wojska, jako słyzałem, czekają już pod hetmanami w górach Tarnowskich—rzekł ksiądz Woynowski—ale pod Wiedniem, choć i potrzebne nasze ręce, ale nie tyle, ile obecność takiego wodza, jak w. k. mość.

Uśmiechnął się na to król i rzekł:

— Słowo w słowo pisze mi to samo ksiązę Carolus. Trzymajcie tedy waćpanowie cugle w rękę, bo la-da godzina każe trąbić przez munsztak!

— Kiedy, miłościwy panie?—spytało kilka głosów.

A król spowaźniał nagle.

— Jutro raszam te chorągwie, które jeszcze przy mnie zostały.

Poczem spojrział bystro na Taczewskiego, jakby go chcąc wybadać, i rzekł:

— Ale że i królowa jejmość odprowadzi nas aż do Tarnowskich gór, gdzie będzie rewia, przeto, jeśli nie będziesz nas prosił o zgoła inną funkcyę, to możesz tu jeszcze pozostać, byleś nas prędko dogonił.

A Jacek otoczył żonę ręką, przysunął się wraz z nią o krok do króla i rzekł:

— Miłościwy panie! Żeby mi za nią cesarstwo niemieckie, albo nawet i królestwo francuskie ofiarowali, Bóg, który patrzy w serce moje, widzi, że nie oddałbym jej za żadną koronę, ni za żadne na świecie klejnoty. Ale żebym miał, dla szczęśliwości mojej, słażby zaniechać, okazyę stracić, wojny za wiarę poniechać, wodza odstąpić—nie daj też tego Bóg, bo sambym sobą wzgardził i ona, jako ją znam, takżeby mną wzgardziła. Nażby, miłościwy panie, trafiła się jaka przygoda, jakowaś napaść, któraby mi przecięła drogę, chybabym zgorzał ze wstydu i boleści...

Tu oczy zaćmiły mu się łzami, na policzkach wykwiły ramienie i tak dalej mówił drgającym ze wzruszenia głosem:

— Jam dziś przed ołtarzem pobлуźnił, bom rzekł Bogu: „odwdzięczę się!“ A czem? zali zdrowiem, zali życiem, zali krwią można się odwdzięczyć za takie szczęście, jakie mnie spotkało?... Ale właśnie dlatego o żadną inną funkcję nie będę prosił i, gdy ty wyruszysz, miłościwy królu i wodzu mój, nie останę ani na jeden dzień, jeno pójdę z tobą, choćby mi jutro ledz przyszło.

I klęknął u nóg pana, a on pochylił się i, uściśnawszy go za głowę, rzekł:

— Takich mi więcej, a zagrzmie na świat imię polskie!

Książd Woynowski miał łzy w oczach, Bukojemscy płakali jak bobry, wzruszenie i zapach ogarnęły wszystkich obecnych.

— Na pogan! za wiarę!—zagrzmiały liczne głosy. I poczęto się trzaskanie szablami.

A gdy uciszyło się trochę, pani Taczewska pochyliła się do ucha męża i poczęła szeptać zbladłemi ustami:

— Nie dziwuj się moim łzom, Jacku, bo, gdy pójdiesz, może cię nie zobaczę więcej, ale idź.



ednakże dwa dni pozostali jeszcze z sobą razem. Dwór wyruszył wprawdzie następnego dnia, ale że królowa z całym fraucymerem i mnóstwo dygnitarzy świeckich i duchownych odprowadzało króla do obozu, do gór Tarnowskich, gdzie zapowiedziany był wielki przegląd wojsk, przeto tak liczny orszak, który z konieczności musiał poruszać się powoli, łatwo było dogonić. Następnego pochód samych wojsk z królem na czele, od granicy aż pod Wiedeń, miał zadziwić świat pośpiechem, zwłaszcza, że król nadażął w przedzie przed główną armią, ale do gór Tarnowskich wlokła się królowa jejmość z dworem przez dni sześć. Państwo Taczewscy dogonili więc orszak dru-

giego dnia, poczem młoda pani przesiadła się do karoc królewskich, a Jacek skoczył na noc do obozu, by połączyć się z swoją chorągwią. Chwila rozstania zbliżała się. Dwudziestego drugiego sierpnia król pożegnał się uroczyście ze swą ukochaną „Marysieńką“ i wezsnym rankiem wsiadł na koń, aby przed jej oczyma sprawić wojsko, a następnie ruszyć na jego czele do Gliwic.

Zauważono, że jakkolwiek rozstawał się z nią zawsze z największą przykrością, miłując ją bowiem jak źrenicę oczu, bolał nawet nad krótkim rozstaniem, tym razem miał twarz promienną. Więc świeckim i duchownym dygnitarzom, którzy wiedzieli, jak straszna jest wojna z tym nieprzyjacielem, który przytem nigdy dotychczas nie wystąpił z taką potęgą, przybyło zaraz serca. „Poruszyli wprawdzie Turcy (mówiono sobie) trzy części świata, ale jeśli pan nasz, największy ich pogromca i niszczyciel, z taką radością idzie na tę wojnę, to już i my nie mamy się o co troszczyć“. I otacha napełniła piersi, a widok wojsk powiększał ją jeszcze bardziej i zmieniał w zupełną pewność zwycięstwa. Wojska wraz z taborem pełnym czeladzi wydawały się bardzo znaczne. Jak wzrok mógł sięgnąć, widać było rozbłyśki słońca na hełmach, na pancierzach, szablach, na lufach maszkietów i dział. Blask był tak moeny, że oczy mrużyły się pod jego nadmiarem. Nad wojskiem grała w błękitnym powietrzu tęcza chorągwi i chorągiewek. Warczenie bębnow po pałkach pieszych mieszało się z odgłosem trąb, kottów, krzywań, z piekielnym hałasem kapeli janczarskich i ze rzeniem koni. Zaraz z początku rewii ruszył bokiem sam tabor, by nie tamować ruchów wojsk, i dopiero potem rozpoczął się właściwy przegląd. Powozy królewskie stały na niezbyt wyniosłej równinie, nieco w prawo od drogi, którą

miały przechodzić pałki. W pierwszym siedziała królowa, przybrana w pióra, koronki i aksamity, błyszcząca od klejnotów, piękna i okazała, z pełną majestatu twarzą kobiety, która posiadała w życiu wszystko, czego tylko w najśmielszych zamysłach mogła pożądać, bo koronę i niewypowiedzianą miłość najstawniejszego ze współczesnych monarchów. Równie jak dygnitarze z najbliższego otoczenia królewskiego była i ona pewna, że gdy król—jej małżonek—raz siądzie na koń, to w ślad za nim pójdzie, jak dotychczas zawsze szło, zwycięstwo i pogrom. I czuła, że w tej chwili oczy całego świata, poczawszy od Carogrodu, aż do Rzymu, Madrytu i Paryża są na niego zwrócone, że całe chrześcijaństwo wyciąga do niego ręce i w nim jeno i w tych żelaznych jego wojskach widzi ratunek, więc serce jej wzbierało dumą niewieścią. „Potęga nasza wzrośnie, a sława wyniesie nas nad wszystkie inne króle“ — mówiła sobie w duszy — i dlatego, choć ów małżonek prowadził zaledwie dwadzieścia kilka tysięcy ludzi przeciw nieprzeliczonym zastępom tureckim, pierś jej zalewała radość i żadna chmura obawy lub niepokoju nie zasępiała jej białego czoła. „Patrzcie na zwycięzcę, patrzcie na króla-ojca — mówiła do dzieci, wypełniających tak powóz, jak pisklęta wypełniają gniazdo—gdy wróci, świat uklęknie przed nim w podzięcie“.

W samych powozach widać było to wdzięczne twarze panien dworskich, to infanty biskupie, to poważne i surowe oblicza senatorów, którzy zostawali w domu, by sprawować rządu w zastępstwie pana. Sam król był już przy wojsku, ale widać go było dobrze, opo-
dał na wzgórzach, wśród hetmanów i generałów, między którymi czynił wrażenie siedzącego na koniu olbrzyma. Wojska miały przechodzić poniżej, jakby u jego stóp.

Więc przetoczyła się naprzód z głuchym turkotem i ze zgrzytem łańcuchów artylerya pana Marcina Kąckiego, po niej szły regimenty piesze z muszkietami na ramionach, pod wodzą oficerów zbrojnych w szable, w bandolety i w długie trzciny, któremi ład czynili wśród szeregów. Szły te pułki w czworobokach, do rachomych fortec podobne, krokiem pod miarę, równym i grmiącym. Każdy, przechodząc wedle powozu królowej, witał ją gromkim okrzykiem i zniżał chorągiew na znak czci. Były między nimi niektóre lepiej od innych przybrane i dość okazałą czyniące postać, lecz najokazalej przedstawił się regiment kaszubski, w błękitnych koletach z żółtymi ładownicami, złożony z tęgich, na schwał chłopów, rosnących i tak dobranych, że jeden wydawał się być drugiemu bratem, ciężkie muszkiety poruszały się w ich potężnych dłoniach jak trzciny. Na głos piszczałki stanęli przed królem jak jeden mąż i sprezentowali broń tak sprawnie, że król uśmiechnął się z zadowoleniem, a dygnitarze poczęli do się mówić: „Ej! z temi to i gwardyi sułtańskiej niezdrowo się będzie spotkać! lwy to prawdziwe, nie ludzie!”

Lecz zaraz za nimi poczęły przeciągać chorągwie lekkiej jazdy polskiej! Rzekłbyś hipocentaury, tak każdy człowiek i koń jedną stanowili całość: nieodrzdni synowie owych elearów, którzy swego czasu stratoswali całe Niemcy, roznosząc na szablach i kopytach pułki, ba, nawet i całe armie wyznawców Lutra. Najcięższa obea jazda nie mogła się im w równej sile oprzeć, najlżejsza — uciec przed nimi. O nich to po Chocimiu mówił sam król: „Byle doprowadzić, to wytną wszystko jako kosiarze trawę“. I choć w tej chwili przeciągali wolno przed powozami, każdy, nawet weale nieobyty z wojną człowiek łaenie odgadywał, że w danym razie, chyba wicher jeden mógł szybciej od nich

pędzić, zwracać się i uderzać. Krzywały i kotły grzmiały przed nimi, a oni szli, chorągiew za chorągwią, z gołymi szablami, które w drgającym blasku słonecznym wydawały się jak miecze ogniste. Minawszy powozy dworskie, zakołysali się nagle jak fala i ruszyli rysią, potem cwałem i, zatoczywszy olbrzymie koło, przeszli znów, ale już jak huragan koło królowej z przeraźliwym okrzykiem: „bij, mordaj!” z szablami, w wyciągniętych prawicach jak do ataku, na koniach o rozdętych chrapach, rozwianych grzywach i jakby oszalałych od pędu. I przeszli tak jeszcze raz, drugi, a dopiero za trzecim nawrotem zatrzymali się prawie nagle, nie łamiąc szeregów, tak równo, zgodnie i dokładnie, że cudzoziemcy, których wielu było przy dworze, a zwłaszcza ci, którzy po raz pierwszy widzieli w polu jazdę polską, poczęli spoglądać na się ze zdumieniem, jakby oczom własnym nie wierząc.

Poczem zamigotało i zakwitło jakby kwieciami całe pole od dragonów. Niektóre ich pułki przysły pod panem Jabłonowskim z pod Trębowli, niektóre wystawili magnaci, a jeden — sam król z własnej szkatuły, którym pan de Maligny, brat królowej, dowodził. Stażył w dragonach po większej części lud prosty, ale do konia od dziecka zaprawny, ćwiczony w różnych bojach, w ogniu uporeczywy, wręcz mniej od szlachty straszny, ale karny i na trudy wojenne najwytrzymalszy.

Lecz największa rozkosz dla dusz i oczu poczęła się dopiero wówczas, gdy ruszyły się chorągwie usarskie. Posuwały się one spokojnie, jak na tak górne pułki przystało. Trzymane w górę kopie sterczały nad nimi jak las, a w górze drgała, poruszana lekkim powiewem, tęczowa chmura proporców. Konie ich większe, niż w innych chorągwiach, zbroje stalowe nabija-

ne złotem, na plecach skrzydła, w których pióra czyniły nawet w spokojnym pochodzie taki szum, jaki słyszeć można między gałęziami w głębi boru, wielka, bijąca od nich powaga i jakby duma—wszystko to czyniło takie wrażenie, że królowa, damy dworskie, senatorowie, a zwłaszcza zagraniczni goście aż powstali w powozach, by im się lepiej przypatrzeć. Było coś groźnego w tym pochodzie, mimowoli bowiem przychodziło każdemu na myśl, że gdy taka ławica żelazna runie przed siebie — wówczas zmiażdży, rozniesie, zetrze wszystko przed sobą i że niemasz siły ludzkiej, która by się jej oprzeć mogła. Nie tak to dawne były czasy, gdy trzy tysiące takiej jazdy starło na proch pięć razy liczniejsze zastępy szwedzkie; jeszcze mniej dawne, gdy jedna taka chorągiew przeszła jak dach zniszczenia przez całą armię Karola Gustawa, a całkiem świeże, gdy pod Chocimem ta sama hasaryja, pod wodzą tegoż samego króla, stratowała gwardye janczarskie, tak łatwo, jak łan zboża. Wielu z tych, którzy brali udział w owym pogromie chocimskim, służyło dotychczas pod dawnymi znakami i ci szli teraz pod mury obcej stolicy dumni, pewni siebie, spokojni — na nowe żniwo.

Siła i groza zdawała się być duszą tych chorągwi. Wstał nagle za nimi południowy wiatr, zafarkotał w proporce, zwiął ku przodowi trefione grzywy końskie i uczynił szum tak mocny w skrzydłach, że aż andalazy w powozach poczęły przysiądać na zadach. Chorągwie zbliżyły się na kroków dwadzieścia do karcoc, poczem zwróciły się w bok i szwadronami poczęły przechodzić mimo.

Wówczas to pani Taczewska ujrzała męża po raz ostatni przed wyprawą. Jechał z brzegu, w drugim szeregu, cały w żelazie, ze skrzydłem na zbroi i w hełmie, którego nausznicę zakrywały mu całkiem policzki.

Rosły, złoto-gniady natolski koń niósł go lekko mimo ciężkiej zbroi, rzucając głową, dzwoniąc wędzidłem i parszając rozgłośnie, jakby na dobrą wróżbę dla rycerza.

Jackek zwrócił swą, okrytą żelazem głowę w stronę żony i poruszył ustami, jakby szepeąc, lecz choć żadne wyraźne słowo nie doszło do jej uszu, odgadła przecie, że mówi jej ostatnie „bądź zdrowa!” — i taki poryw miłości i tęsknoty chwycił ją za serce, że gdyby była mogła za cenę życia zmienić się naprzykład w jaśkółkę, usiąść na jego ramieniu lub na propocy jego kopii i towarzyszyć mu w drogę, nie byłaby się wahała ani chwili.

— Bądź zdrow, Jacku! niech cię Bóg strzeże... — zawołała, wyciągając ku niemu ramiona.

I oczy jej zrosiły się łzami, a on przejechał — błyszczący w słońcu, jakiś uroczysty i jakby uświęcony tą służbą, którą miał odsłużyć.

* * *

Za chorągwią królewicza Aleksandra nadciągnęły i przeszły inne, równie świetne i równie straszne, poczem, śladem innych pułków, zatoczywszy wielki krąg, ustawiły się na równinie prawie na tych samych miejscach, z których wyruszyły w czasie rewii, ale już w szyku pochodowym.

* * *

Z powozów, stojących na wyniesieniu, wzrok mógł ogarnąć całe niemal wojsko. W pobliżu i w dali widać było błyszczące zbroje, kraśne mundury, błyskania mieczów, sterzące lasy dzid, chmury proporców, a nad nimi wielkie chorągwie nakształt olbrzymich kwiatów. Od stojących bliżej pułków powiew donosił zapach potu końskiego, i dochodziły krzyki komendantów, głuchoe odgłosy kotłów i świst piszczałek. A w tych odgłosach, w tych okrzykach, w tej radości i ochocie bojowej było coś zwycięskiego. Zupełna pewność zwycięstwa Krzyża nad półksiężcem spłynęła na wszystkie serca.

* * *

Król zabawił jeszcze przez mgnienie oka przy powozie królowej, poczem ruszył w skok do wojska, żegnany krzyżem z relikwiami przez biskupa krakowskiego. Po chwili przeraźliwy dźwięk trąb targnął powietrzem i masy ludzi i koni zakolebały się i poczęły zwolna wydłużać, a wreszcie ruszyły przed się ku zachodowi. Na przedzie widać było znaki lekkich chorągwi, za nimi szły husarye, pochód zamykali dragoni.

* *

Ksiądz biskup krakowski podniósł obiema rękoma krzyż z relikwiami jak najwyżej nad głową:

— Boże Abraamów, Boże Izaaków, Boże Jakóbów, zmiłuj się nad ludem Twoim!

* * *

A w tej chwili z przeszło dwadziestu tysięcy pier-
si zabrzmiała pieśń, którą podobno pan Kochowski
umyślnie na tę wyprawę ułożył:

Dla Ciebie, Panno czysta,
Matko Niepokalana,
Idziemy bronić Chrysta,
Naszego Pana.
Dla cię, Ojczyzno droga,
I dla cię, Orle biały,
Idziemy gromić wroga
Na polu chwały.